

KRZYSZTOF BEŚKA

WIECZORNY
SERVIS



Krzysztof Beśka

Wieczorny seans

A stylized, handwritten signature in black ink, consisting of the letters 'K', 'B', and 'S' intertwined in a cursive script.

Warszawa-Saska Kępa, środa popielcowa.

W tym mieście jest bardzo wiele budynków - zarówno okazałych przedwojennych kamienic, jak i skromnych oficyn z tego samego okresu czy pełniących funkcje gospodarcze przybudówek, na elewacji których wyraźnie widać jeszcze otwory po kulach albo odłamkach. Najczęściej są to ślady jeszcze z powstania warszawskiego. Gdyby spytać okolicznych mieszkańców, tych najstarszych, z pewnością każdy z nich miałby coś ciekawego do opowiedzenia: tutaj hitlerowcy złapali w zasadzkę cały oddział, tylu chłopców młodych zginęło. A tam, proszę spojrzeć, w tamtym oknie, to nasi bronili się najdłużej...

Komisarz Konstanty Podbiał właśnie miał taką dziurę przed oczami. Wystrzelona przed paroma sekundami kula wyłupała w ścianie nowego budynku piękny, regularny otwór, ukazując nawet fragment drucianej siatki.

Za chwilę powstanie drugi podobny otwór. W plecach lub głowie policjanta.

Za chwilę człowiek ów poczuje, czym jest wysokość sześciu pięter, bo właśnie tyle dzieliło go od bruku. Będzie to najpewniej jego ostatnie ziemskie doznanie.

- Kurwa! - zaklął; dźwięk głucho wybrzmiał w niszy balkonu niczym w jakiejś krypcie.

Próbował się przesunąć. Powoli, ostrożnie.

Nie patrzeć w dół - przypomniał sobie podstawową zasadę obowiązującą akrobatów-amatorów. Palce rąk przesuwały się po krawędzi balustrady. Lodowaty metal mroził skórę pozbawioną ochrony rękawiczek. Po chwili chłód zaczął przenikać aż do kości.

Wtem pod lewą nogą załamał się gzyms. Kostek krzyknął.

Wtedy padł kolejny strzał...

PROLOG

1

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, tydzień wcześniej.

- Dobranoc, do jutra! - zawołała, zamykając za sobą drzwi atelier.

Odchrząknęła, pociągając jedną ręką za końcówki wełnianego szalika, który jeszcze szczelniej, miękką wełną otulił jej szyję. Po całym dniu pracy zaczynało ją już niezłe drapać w gardle. Z drugiej strony, dobrze, bo to najlepszy dowód, że się dzisiaj nie oszczędzała. Niech widzą, że ona, Laura Minz, ubiegłoroczna absolwentka Akademii Teatralnej w Warszawie, w pełni zasługuje na tę rolę. Tylko że jutro też jest dzień i trzeba będzie wypowiedzieć ileś tam kwestii... Ale i na to znajdzie się sposób: po drodze trzeba wejść do apteki i kupić jakiś lek na gardło - postanowiła twardo, zdejmując dłoń w czerwonej rękawiczce z klamki drzwi.

Zajrzała jeszcze na krótką chwilę do oświetlonego hallu atelier. Portier z uśmiechem pomachał jej ręką na pożegnanie. Zza wysokiego kontuaru recepcji widać było tylko jego ogoloną głowę z mocno odstającymi, zawsze zaczerwienionymi uszami. Nierówności szyby w drzwiach wykrzywiły mu dodatkowo twarz i powiększyły uszy.

Śmieszny człowieczek - oceniła go w myślach i mimowolnie również się uśmiechnęła.

Na zewnątrz było już całkiem ciemno. Laura ogarnęła jednym spojrzeniem parking, ale wśród nielicznych o tej porze samochodów nie było zamówionej taksówki. Dzwoniła przed dobrym kwadransiem, więc samochód powinien już na nią czekać.

- Pewnie znów nie może trafić albo zatrzymał się za zakrętem - rzekła sama do siebie.

Postanowiła to sprawdzić. Ledwo zrobiła krok do przodu, uderzył w nią silny podmuch wiatru. Pachnie już wiosną - pomyślała z radością, choć w tej samej sekundzie musiała wtulić głowę w futrzany kołnierz płaszcza.

Między drzewami błysnęły światła samochodu. Wyteżyła wzrok, wypatrując z nadzieją kolorowego koguta ze znajomym logo taksówkowej korporacji i mrugania kierunkowskazu, zapowiadającego skręt w stronę wytwórni. Pojazd jednak okazał się autem prywatnym i pomknął prosto z potwornym rykiem silnika. Od zimnego powietrza aż zaszczypały ją oczy.

- Szlag by was trafił! - zaklęła pod nosem, oglądając się bezradnie w stronę parkingu; nikt jednak, kogo mogłaby poprosić o podwiezienie, stamtąd nie wyjeżdżał.

Spojrzała na wyświetlacz telefonu komórkowego, który nie bez trudu wyłuskała z torebki. Dochodziła siódma wieczorem. Już dwadzieścia minut, od kiedy dzwoniła po taksówkę! Od strony niedalekiego węzła kolejowego dobiegł huk przetaczanych wagonów towarowych.

Laura mocniej przycisnęła łokciem torebkę do boku, wzięła głęboki oddech, jakby miała za chwilę zanurkować, po czym szybkim krokiem, stukając obcasami po mokrym asfalcie, ruszyła w kierunku cywilizacji, którą w tym momencie musiały być Włochy, peryferyjna dzielnica stolicy. I to właśnie stukot własnych szpilek przerażał ją w tej chwili najbardziej. Nie zauważa się go przecież na co dzień, nie słyszy, idąc zatłoczoną ulicą miasta w akompaniamencie jego muzyki: warkotu samochodów, dzwonienia tramwajów, syren karetok pogotowia i głosów przechodniów.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że odgłos jej szpilek nie jest jedynym, jaki słyszy. Towarzyszyły mu inne kroki, ciężkie. Męskie!

Ktoś za nią szedł.

Ktoś z ekipy? - przeszło jej przez myśl. Wystarczy się odwrócić, żeby się o tym przekonać, a jednocześnie odetchnąć z ulgą, więc czemu tego nie robi? Czemu przyspiesza kroku? I czemu ten ktoś robi to samo?!

- Gdzie jest ta cholerna taksówka? - jęknęła cicho Minz.

Samochodu jednak nie było. Do głównej, dużo lepiej oświetlonej drogi pozostało jeszcze kilkadziesiąt metrów. Po bokach zaczęły się gęste krzaki, a za nimi prawdopodobnie rów wypełniony o tej porze roku wodą i błotem. Dziewczyna wzdrygnęła się na tę myśl. Sapała ciężko, zaczynały jej się plątać nogi.

Nagle zatrzymała się. Cisza. Powoli odwróciła się.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Laura Minz, która przez cały czas ścisnęła aparat w dłoni, odebrała połączenie jednym naciśnięciem guzika. Nie była jednak w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

2

Warszawa-Mokotów, ul. Puławska, w tym samym czasie.

W gabinecie dyrektora było duszno i jasno. W kwadratowych kasetonach na suficie, obok czujników dymu, kratek wentylacji i podobnych do nich głośników radiowęzła, z którego nigdy nie wydobył się żaden dźwięk, paliły się wszystkie świetlówki. Tylko jedna z nich mrugała irytująco, jakby nie mogła się zdecydować, czy rozblysnąć, czy zgasnąć na dobre.

Każdy z siedzących w pokoju co chwila podnosił wzrok, kręcąc głową z dezaprobatą i zniecierpliwieniem, nikt jednak nie wyrzekł w tej sprawie ani słowa. W ogóle zgromadzeni w tym miejscu i w tym czasie ludzie niewiele mieli do powiedzenia.

Wszyscy prócz jednego - gospodarza gabinetu.

- Nie wiem, dlaczego jeszcze was tutaj trzymam! Pojęcia, kurwa, nie mam! - wyrzucił z siebie niskim, charczącym głosem.

Wrzaski, groźby zwolnienia, czasem nawet ciężkie wyzwiska, rodem z trybun stadionu piłkarskiego, przy akompaniamencie walenia pięścią w stół i rzucania w ściany różnymi, czasami nawet ciężkimi przedmiotami - do tego wszystkiego, w wykonaniu szefa, ludzie ci zdążyli się już przyzwyczaić. Taki egzemplarz, może czasem niezbyt miły, ale skuteczny - tłumaczono sobie po cichu podczas przerw na papierosa czy w biurowej kuchence, po czym każdy kładł uszy po sobie, zaciskał pięści, brał jeszcze jeden głęboki oddech. Byli też tacy, którzy ogłaszali buńczucznie, że to był ostatni raz i więcej skakać po sobie nie pozwolą.

Jak to się zwykle kończyło, łatwo się domyślić każdemu, kto choć tydzień spędził w plastikowo-szklanej krainie, której na imię korporacja. Także i dziś nikt nie protestował przeciwko poczynaniom pryncypała.

Był to mężczyzna przed czterdziestką, brunet, jednak na skroniach już lekko siwiejący. Miał starannie ogoloną twarz, której najpewniej nie szczędził nigdy dobrych i drogich męskich kosmetyków. Ubrany był zgodnie ze wszystkimi standardami, których wymagało piastowane stanowisko, a także regulowały wewnętrzne okólniki, wyznaczające trendy ubioru od koloru koszuli, odcienia krawata, po... liczbę dziurek w pantoflach. Ale nie tylko ze względu na strój mężczyzna ten nie wyróżniałby się z tłumu; powodowała to pospolitość twarzy. Na ulicy był tylko jednym z tysięcy przechodniów. Ale tutaj był tym, kim był. I najwyraźniej nie zamierzał przestać ani na chwilę korzystać z tego dobrodziejstwa.

- Przez was, tylko przez was, kolejny nasz kontrakt poszedł w chuj - oznajmił, już nieco ciszej, po czym teatralnym gestem opadł plecami na oparcie głębokiego, skórzanego fotela i demonstracyjnie zapalił papierosa.

Jak jeden spojrzeli ku górze, choć nie było to wywrócenie oczu, mówiące: „jak długo jeszcze?” lub „co ty powiesz?”, względnie „zabierzcie mnie stąd!” czy „Boże, ty widzisz i nie grzmisz?!” Wszyscy zgromadzeni na wieczornej odprawie podwładni z napiętą uwagą przypatrywali się... czujnikom przeciwpożarowym, choć każdy z tych ludzi doskonale wiedział, że akurat w tym pomieszczeniu, choćby chciał ze wszystkich sił, modląc się jak mieszkańcy Afryki o deszcz, aparatura ta nie zadziała.

Jedno po drugim zaczęli spuszczać wzrok, choć nie z poczucia winy. Ktoś dyskretnie, pod linią blatu stołu objął się za brzuch, aby spróbować uspokoić grające coraz głośniejszego marsza kiszki, inny powoli, jakby rozbierał bombę, odchylił mankiet koszuli, by zerknąć na zegarek. Przecież już dawno nie powinno ich tutaj być!

Jakby dla potwierdzenia tych myśli, ostatecznego pogńębienia siedzących, z korytarza dobiegł warkot pracującego odkurzacza, a zaraz po nim głośnie nawoływania sprzątaczek.

- Słucham? - rzucił półgębkiem mężczyzna rozparty w fotelu, wypuszczając nosem dwie smużki dymu. - Bardzo jestem ciekaw, co teraz wymyślicie, jełopy.

Cisza. Nie pierwsza i nie ostatnia chwila ciszy, która w tym miejscu mogła nastąpić tak przed burzą, jak i po burzy, a także w trakcie.

Nagle stała się rzecz dziwna: coś trzasnęło, niczym łamany sople lodu, w tym samym ułamku sekundy rozległ się metaliczny wizg, a zaraz po nim ciche westchnienie.

Zdezorientowani uczestnicy spotkania zaczęli rozglądać się dookoła. Przerwał to dopiero przeraźliwy, spazmatyczny krzyk jednej z kobiet.

- Jezu! Co to?!

Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę, gdzie znajdowała się przyczyna. Na pierwszy rzut oka nic nie niepokoiło w tym widoku: dyrektor siedział w tym samym miejscu, które zajmował jeszcze przed chwilą - wygodnie rozparty w swoim dyrektorskim fotelu. Wzrok mężczyzny był nieruchomy, usta wykrzywione w dziwnym grymasie. Właśnie takiego oglądali go najczęściej: sceptycznego, szydzącego z ludzi, nigdy do końca niezadowolonego z osiągniętych przez swój zespół wyników. Między wskazującym a środkowym palcem prawej ręki leżącej na blacie stołu spokojnie tkwił zapalony papieros. Wąska smużka szarego dymu unosiła się ku górze niemal pionowo.

Ale było jeszcze coś, czego nie mogli oglądać na co dzień i, co za tym idzie, przyzwyczać się do takiego widoku - malutki, okrągły otwór na czole, nieco ponad prawą powieką. Cienką, ukośną strużką płynęła z niego krew.

DZIEŃ PIERWSZY

1

Warszawa, stacja metra Plac Wilsona, nazajutrz, Tłusty Czwartek.

Wybrzmiał potrójny, ostrzegawczy sygnał. Zasunęło się kilkanaście par drzwi; na ułamek sekundy przed połączeniem się ich skrzydeł, jakby ostatnim wysiłkiem woli, z krawędzi wejścia do wagonu usuwały się ostatnie stopy pasażerów, a od niewidzialnej linii, którą za moment wyznaczają zamykające się drzwi, tak podobne do ostrza gilotyny, uciekały ręce, plecy, głowy, bagaże. Niczym gołębie, które zawsze w ostatniej chwili podrywają się sprzed kół pędzącego samochodu, unikając rozjechania. A i dla Polaka to nie był, nie jest i nie będzie nigdy żaden problem: zmieścić się, wepchnąć, uczepić, załapać.

- Z Bogiem - mruknął pod nosem samotny mężczyzna, odsuwając się powoli od krawędzi peronu.

Oto kolejne poranne metro, wyładowane pasażerami niemal pod dach, ze zgrzytem i metalicznym wizgiem odjeżdżało w kierunku centrum. Za odbijającymi świetlne refleksy szybami coraz szybciej przesuwały się rozmyte prędkością twarze. Tu i ówdzie, spomiędzy zakończonych czarną gumą krawędzi drzwi, wystawał jakiś przytrzaśnięty rąbek spódnicy, pasek plecaka, a nawet pukiel włosów!

Niedoszły podróżny usiadł ciężko na marmurowej ławce, jednej z kilku ustawionych wzdłuż peronu żoliborskiej stacji metra Plac Wilsona. Z wyglądu miał ponad trzydzieści lat, ciemne włosy z widocznymi już śladami siwizny na skroniach. Był dość wysoki. Jego czoło orały głębokie bruzdy, oczy miał podkrążone, a kąciki ust opadały. Musiał być albo niewyspany, albo skacowany.

Mężczyzna wtulił głowę w futrzany kołnierz kurtki, wsunął ręce w kieszenie i przymknął oczy. Właśnie przepuścił metro, nie próbując nawet podejmować walki o dostanie się do środka. Dziś było to stanowczo ponad jego siły. Tak jak wczoraj. I tydzień temu też.

- W następnym na pewno będzie luźniej - pocieszył się na głos; w ostatnim czasie zdarzało się coraz częściej, że osobnik ów mówił sam do siebie.

Szum odjeżdżającego składu ucichł zupełnie, nowi podróżni jeszcze nie nadeszli, więc przez chwilę na stacji panowała niemal zupełna cisza. Człowiek ten lubił się nią rozkoszować, tym bardziej, że tak mało tego typu chwil miało miejsce w jego życiu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma rano. Spokojnie zdąży, nie musi odbijać karty „na zakładzie”. Sam wyznacza sobie czas pracy, zresztą i tak zwykle przekraczając wszelkie limity. Teraz wracał do pracy po kilkudniowym urlopie, a takie momenty nigdy nie należały do najłatwiejszych, szczególnie gdy urlop wypoczynkowy był nim tylko z nazwy.

W powietrzu coś zafurkotało. Siedzący na ławce leniwie podniósł jedną powiekę.

Jakiś zabłąkany wróbel wylądował na podłodze i skakał po niej wesoło, w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Mężczyzna przypatrywał mu się z uwagą, którą przepełniało uczucie żalu. W tych beznadziejnych poczynaniach małego, bezbronnego ptaka, który zabłąkał się na peron metra i nie wiadomo, czy znajdzie drogę powrotną, zobaczył swój zakichany los. Siebie w tym wielkim, głośnym, pędzącym wciąż do przodu i wciąż obcym mieście.

- Eee, nie śpimy - doszedł go męski głos.

Siedzący otworzył drugą powiekę i powoli podniósł wzrok.

Stali przed nim. Dwóch, na oko dwudziestoletni, obaj z metra cięci, na gębach ślady zarostu. Kilka miesięcy temu najpewniej grzecznie podnosili w górę dwa paluszki, zanim nauczycielka łaskawie udzieliła im głosu. A teraz rządzą.

- Wypiliśmy za dużo klina, a? - zapytał jeden z wyraźnym białostockim akcentem.

- Dowodzik osobisty - rzekł drugi.

Mężczyzna wyprostował się na ławce. Rzeczywiście, wyglądał nieco nieświeżo, a taka pokurczona pozycja w miejscu publicznym, w dodatku tak dopieszczonym jak warszawskie metro, gdzie rzadko można napotkać rzucony papier - więc tym bardziej okrucy dla wróbla - musiała wzbudzić zaniepokojenie władz; dopiero teraz dostrzegł, że za parą młokosów w czarnych uniformach, ściśniętych szerokimi pasami (zapiętymi zresztą na ostatnią dziurkę) i kamizelkach z napisem POLICJA, czai się pracownik ochrony metra.

Tchórzliwa menda - ocenił go w myślach indagowany.

- Dowodzik. Głuchy jesteś? - ponaglił jeden z funkcjonariuszy.

Mężczyzna sięgnął leniwym ruchem w zanadrze, chwilę trzymał tam rękę, jakby

zastanawiał się, co dalej zrobić, po czym podniósł jeszcze wyżej wzrok. Decyzja została podjęta.

- A wal się! - rzucił niegłęboko, ale wyraźnie.

Cóż, w normalnym przypadku po takich słowach nastąpiłoby to, o czym każdy młody stójkowy marzy. Ale przypadek ów nie był wcale typowy. Ledwie bowiem wybrzmiało krótkie a treściwe zdanie, w ręku kandydata do doprowadzenia na policyjny dołek i spuszczenia łomotu pojawiły się dobrze znane, składane okładki, kryjące policyjną odznakę i legitymację.

- Komisarz Konstanty Podbiał, komenda stołeczna - mężczyzna dokonał ostatecznej prezentacji, po czym, nie czekając, aż otwarte usta posterunkowych złożą się w jakieś słowa, schował dokumenty.

Po chwili policjantów nie było już przy oficerze, a na peronie zaczął zbierać się tłum pasażerów. Dopiero teraz Podbiał poczuł, jak serce mu wali. Podobne sytuacje zawsze powodowały u niego skoki ciśnienia. Właściwie to miał zamiar powiedzieć młodemu: „spierdalaj”. Ale w ostatniej chwili zapanował nad niewyparzonym zwykle językiem i użył łagodniejszego zwrotu. W końcu tamci wykonywali tylko swoją pracę, a on chyba rzeczywiście wyglądał dość... rojąco.

Tłum na peronie stacji Plac Wilsona zaczął tężeć. Kostek skrzywił się.

Pewnie znów się nie załapie - ocenił w myślach. Wstał ciężko z ławki i ruszył w stronę żółtej linii, której przestąpienie powodowało, że w megafonach odzywał się męski, ciepły głos, znany z filmów o zwierzętach, i prosił grzecznie o odsunięcie się od krawędzi peronu. Ten sam głos zresztą zapowiadał kolejne stacje w pociągach metra.

Podbiał poczuł na twarzy powiew z tunelu. Chłód przyniósł otępienie. Mężczyzna wzdrygnął się, przez plecy przebiegł mu zimny dreszcz.

Dość smędzenia, stary! - przywołał się w duchu do porządku.

Na jednym z monitorów, odliczających czas do następnego pociągu, wyświetlano już napis WJAZD. Ludzie stojący na peronie poruszyli się niespokojnie. Zaraz zacznie się wojna. Wojna już nie o miejsca siedzące - to było luksusem dostępnym tylko pasażerom mieszkających w otoczeniu trzech pierwszych stacji - ale w ogóle o wejście do wagonu! Jak za dawnych czasów, kiedy w wakacje szturmem zdobywało się miejsce w nocnym pociągu na Hel albo do Zagórza, skąd jechało się dalej, w Bieszczady. Tylko że w metrze nie można było otworzyć okien na tyle, by przez nie dostać się do środka...

- Uwaga, pociąg. Kierunek Kabaty - rozległ się głos z megafonów, inny jednak niż ten, który ostrzegał i zapowiadał.

Uderzenie czyjegoś ramienia. Kostek znów wzdrygnął się i otworzył szeroko oczy, machinalnie, choć dyskretnie chwytając za kieszeń z dokumentami i portfelem (służbowy Glock leżał w tej chwili w pancерnej szafie w komendzie). Wszystko było na swoim miejscu. Przed sobą miał otwarte drzwi pociągu. I plecy kilkorga ludzi, usiłujących dostać się do środka. Trzydzieści centymetrów, może dwadzieścia. Jednocześnie na plecach czuł narastający napór.

- Jeszcze trzech! - krzyknął jakiś młokos, czemu zawtórował rechot jego rówieśników.

Komisarz Konstanty Podbiał odwrócił głowę, by przyjrzeć się żartownisiom. W tym samym momencie w tłumie mignęła znajoma twarz. Zabrakło mu tchu. Opuścił wzrok. Zadreptał w miejscu, jakby nie mógł się zdecydować, w którą stronę iść.

Naraz wybrzmiał potrójny, ostrzegawczy sygnał. To starczyło, by wróciła mu świadomość. Przed sobą ujrzał lukę. Jeden krok i znalazł się w wagonie. Poczł za sobą podmuch zamykanych drzwi.

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 10.15.

- Co to jest? - zapytał Kostek, wskazując ruchem głowy wielkie, płaskie, białe pudełko, niesione z istnym pietyzmem przez jednego z młodych funkcjonariuszy, po czym sam odpowiedział na swoje pytanie, zresztą z jak najbardziej poważną miną: - Pewnie bomba...

Siedzący w sali odpraw popatrzyli na niego z obojętnością. Nikt nie roześmiał się z dowcipu. Potem zaczęli zerkać po sobie, jakby szukając potwierdzenia wyrażonej wcześniej, choć tylko w myślach, diagnozy: z Kostkiem Podbiałem jest wciąż kiepsko. Kilkudniowy urlop niewiele zmienił, nie pomógł, jak myśleli. Mówiłem, żeby mu podsunąć jakąś niezgorszą dupę, to zawsze najlepszy sposób...

- Pączki - wyjaśnił krótko naczelnik sekcji, podinspektor Bronisław Musiał. - Przecież dziś Tłusty Czwartek.

Komisarz Podbiał tylko kiwnął głową, po czym wbił nieruchome spojrzenie w jakiś oddalony punkt, marszcząc przy tym czoło, jakby ta data albo związany z nią zwyczaj coś mu przypomniały. Coś przykrego albo wręcz przeciwnie - bardzo miłego, ale już bezpowrotnie straconego.

Sala odpraw stołecznej dochodzeniówki, niedawno wyremontowana i unowocześniona, powoli zapełniała się funkcjonariuszami. W mundurach i bez, starsi i młodszy - ludzie, którym nieobce były wszelkie, nawet najbardziej skrywane brudy tego miasta.

Przybywało też pączków na stołach; zapowiadała się niezła uczta. Także w tym roku tradycji miało stać się zadość. Przed warszawskimi cukierniami ustawiały się kolejki,

słodki asortyment w mgnieniu oka zniknął z osiedlowych piekarenek, małych i wielkich sklepów spożywczych. Podróżni udający się w drogę lub wracający z eskapady wykupywali towar, który w inne dni wysychał w spokoju, konsumowany zwykle przez osy i muchy, za szybami stoisk spożywczych na warszawskich dworcach. W biurach, szkołach, zakładach, na wszelkich zapleczach - wszędzie konsumowano pączki: z marmoladą, różą, z budyniem, czasem nawet na ostro, posypane cukrem pudrem albo otoczone skorupką lukru, małe i duże, o regularnym kształcie i już nieco zdeformowane, pogniecione w transporcie, choć przez to nie mniej smaczne.

- Dobra, zaczynamy dzisiejszą zabawę - odezwał się Musiał, po czym dodał, już nieco ciszej: - Można jeść, zapraszam.

- Apetyt rośnie w miarę... siedzenia - rzucił swoją tradycyjną mądrością ludową komisarz Jerzy Konieczko, sięgając od razu po dwa pączki.

Przez uchylone okno dobiegł jęk tramwaju rozpędzającego się na ulicy Andersa między Arsenalem a Muranowem. Monotonne jak brzęczenie muchy głosy kolejnych oficerów. Kostek ocknął się jednak dopiero wtedy, gdy usłyszał stukot zasuwanych krzeseł.

- To jak? Kawka i jedziemy, nie? - zapytał go młodszy aspirant Tymon Nowak, pakując sobie do ust połowę pączka.

Komisarz Podbiał spojrzął na swojego partnera, jakby widział go pierwszy raz. Pokryte jasnym zarostem, wzdęte teraz policzki Tymona, na oko licealisty-prymusa, chuderlaka z włosami zaczesanymi na bok, poruszały się miarowo, w kącikach jego ust bielili się cukier puder.

- Ile pączków już żeś wpieprzył? - zapytał Kostek.

Partner wzruszył ramionami i spojrzął na zegarek.

- Kawę wypijemy na miejscu - rzekł, przełknąwszy ostatni kęs pączka i wytarłszy z ust krawędzią dłoni resztki cukru. - Czekają już na nas.

- Gdzie?

- W Uniwerteksie na Puławskiej.

Zarówno nazwę firmy, jak i ulicy Kostek Podbiał słyszał dziś po raz pierwszy.

Wyszli przez główną bramę Pałacu Mostowskich i ruszyli w kierunku jednego z zaparkowanych w półkolu nieoznakowanych radiowozów. Mroźne powietrze od razu przyniosło otrzeźwienie: Kostek parsknął jak po wynurzeniu się z wody, uderzył się kilka razy po policzkach, jednak skierował się od razu do drzwi pasażera. Tymon o nic nie pytał, tylko uśmiechnął się pod nosem. Lubił prowadzić, choć rzadko miał okazję siedzieć za kółkiem służbowej skody octavii.

Auto wyprysnęło z parkingu i wjechało w Andersa. Wkrótce minęli plac Bankowy i znaleźli się na Marszałkowskiej, wolnej już od porannego komunikacyjnego szczytu.

- Klina? - zapytał aspirant, zezując badawczo na kolegę.

Podbiał pokręcił głową.

- Wcale nie mam kaca - odparł. - Po prostu jakoś wciąż nie potrafię się zebrać do kupy...

Nowak nic nie odpowiedział. Włączył radio. Wybiła akurat pełna godzina, więc niemal na wszystkich częstotliwościach czytano właśnie złe i jeszcze gorsze wiadomości, dlatego szybko zrezygnował z pomysłu. Do celu podróży nie było zresztą wcale daleko.

- Pamiętasz jeszcze te zimy, gdy byliśmy gówniarzami? - rzucił Nowak, ogarniając wzrokiem suche trotuary.

Różnica wieku była spora; Kostek był od partnera starszy o ponad dziesięć lat, ale nie miał zamiaru mu tego wypominać.

- Ludzie często mi nie wierzą, gdy opowiadam o tunelach, które na wiosce kopaliśmy w śniegu, żeby dostać się do drogi - westchnął Tymek, wrzucając piąty bieg na pustym niemal odcinku jezdni między Królewską a Alejami Jerozolimskimi.

- Na wiosce? Myślałem, że ty jesteś stąd! - zdziwił się Kostek.

- Po ludziach stąd nie został nawet swąd, jakby powiedział nasz druh Konieczko - zaśmiał się kierowca. - Nawet w naszej sekcji na palcach jednej ręki można policzyć gości z Warszawy. No bo kto?

- No kto?

- Rudzki?

- Tylko się tu urodził.

- Konieczko?

- Z Łomży.

- No to przecież prawie „stolyca”!

Zaśmiali się obaj. W tym samym momencie koła samochodu zadudniły krótko na torach Nowowiejskiej.

- Zaraz będziemy na miejscu - mruknął Nowak.

Nie. W przypadku żadnego z nich nie trzeba było żmudnego studiowania planu miasta, wkuwania indeksu ulic wzorem kandydatów na licencjonowanych kierowców taksówek, by w krótkim czasie poznać to miasto jak własne (co jednak nie zawsze szło w parze z nazywaniem go własnym). Tymon mieszkał tu od liceum, kiedy przeniósł się do metropolii wraz z rodzicami, z którego to czasu trzeba było wyłączyć lata spędzone w szkółce policyjnej. Mimo to, w porównaniu z nim Konstanty był tu totalnym żółtodziobem, gdyż mieszkał w Warszawie dopiero od trzech lat.

Gdy wyjechali z za zakrętu, w przedniej szybie radiowozu ukazał się potężny szklany gmach. Przyrównywany nie tylko przez specjalistów architektów do wielkiej kupy, nieprzystającej nijak do zabudowy tej części Mokotowa, był siedzibą banków, sklepów i wszelakich biur. Kilka pięter pod powierzchnią ziemi zajmowało eleganckie, nowoczesne i wielosalowe kino.

- Dobra. Powiesz mi, o co chodzi? - zapytał Kostek, gdy, okazawszy cieciami policyjne odznaki, wjeżdżali na podziemny parking.

- Wczoraj wieczorem ktoś załatwił jednym strzałem w głowę bossa nazwiskiem Lubski w jednej z mieszczących się tutaj firm - wyjaśnił Tymon.

- Pewnie mu się należało.

- No właśnie. Dziwna sprawa, bo wszystko to wyglądało na zaplanowaną egzekucję...

3

Warszawa-Mokotów, ul. Puławska, około południa.

- Więc to ma być ten korporacyjny raj - powiedział Konstanty Podbiał, po czym

gwizdnął przeciągle.

Stali na progu pomieszczenia pełniącego funkcję sali konferencyjnej. Na gładkich, białych ścianach wisiały reprodukcje obrazów, ale też dyplomy, z których część wypisana była w języku angielskim. W dwóch rogach sali rosły palemki w dużych donicach, na środku zaś królował ogromny szklany stół, obstawiony nowoczesnymi krzesłami. Przy każdym stanowisku zamontowano gniazdko elektryczne i jakieś inne, najpewniej komputerowe, telefoniczne albo służące do podłączenia choćby słuchawek.

- Też by się nam taki przydał - zarechotał cicho Tymon. - Ktoś by mógł od razu tłumaczyć na nasze, co stary pierdoli. Albo puszczać jakąś fajną muzykę.

Kostek nie zaśmiał się z dowcipu. Znów zaczęli bacznie i w milczeniu rozglądać się po pomieszczeniu.

Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że kilkanaście godzin temu zamordowano tu człowieka. Ekipa, która została wezwana na miejsce jeszcze wczorajszego wieczoru, zabezpieczyła wszystkie ślady, fotograf wykonał pamiątkowe zdjęcia, ludzie z zakładu medycyny sądowej zabrali sztywnego do siebie, na ulicę Oczki, wezwany lekarz udzielił pierwszej pomocy pozostałym przy życiu (kilka kobiet zemdłało), a śledczy wstępnie przepytali świadków zdarzenia, którzy się do tego nadawali.

Czego zatem następnego dnia szukali tutaj dwaj oficerowie stołecznej dochodzeniówki? Powinni zacząć od dziury w szybie, dziury po kuli. Takowej jednak nie było. Analiza balistyczna, którą otrzymali rano, wykazała, że pocisk pochodził z karabinka snajperskiego, a zatem został wystrzelony z dużej odległości.

- Aptekarska robota - stwierdził Kostek, przyglądając się wytyczonej w wyobraźni linii, którą pokonał śmiercionośny kawałek ołowiu, nim dosięgnął płata czołowego ofiary.

- Musiał walić z tamtych okien - Nowak odchylił wstęgę wertykalnej żaluzji i wskazał głową na kamienicę stojącą po drugiej stronie Puławskiej. - A najpewniej z dachu.

Kostek Podbiał stanął obok kolegi, uchylając swoją wstęgę żaluzji. W tym samym momencie za ich plecami otworzyły się drzwi. Odwrócili się.

W progu stał wyelegantowany młokos, za nim tłoczyła się grupka ludzi. Byli to najprawdopodobniej wezwani na rozmowę świadkowie wczorajszego zdarzenia.

- Można? - zapytał nieśmiało, odchylając nieco szerzej drzwi.

- Proszę. Niech państwo wejdą - zawołał Tymon, jednocześnie mrugając porozumiewawczo do Kostka.

W kilka chwil, nim jeszcze wszyscy zdążyli zająć swoje miejsca przy konferencyjnym stole, pomieszczenie wypełniło się zapachem drogich perfum i wód toaletowych. Jeśli bowiem był to raj, korporacyjny raj, którego to - znanego skądinąd - określenia użył Kostek, to tak właśnie musieli pachnieć aniołowie. I anielice - połowę towarzystwa bowiem stanowiły kobiety. I to jakie! Przez twarz Podbiała przebiegł błysk, mężczyzna przełknął ślinę. Obecność Nowaka (a ten, jak niemal wszyscy w sekcji, znał jego obecną sytuację) spowodowała, że się opanował.

- Proszę zająć te same miejsca, które zajmowaliście państwo wczoraj - polecił mocnym, zmienionym nieco głosem komisarz Podbiał.

Spojrzeli na niego. Nikt się nie ruszył.

Czyżby Tymon już to wcześniej powiedział? - pomyślał. Nieważne. Kostek odchrząknął, po czym stanął nieco z boku i zaczął po kolei przyglądać się wszystkim obecnym. To jednak najwyraźniej nie spodobało się młokosowi, który stał na czele

trzódki; może aspirował do rangi nowego lidera, może już nim był?

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, czemu ma służyć dzisiejsze spotkanie? - powiedział; silił się na twardy ton, ale w jego głosie wyraźnie pobrzmiwał chłopięcy dyszkant. - Przecież wczoraj składaliśmy już zeznania. Przez pół nocy.

- Odciski palców też! - dorzuciła płaczliwie jakaś paniusia, unosząc jako dowód umazany jeszcze kciuk.

Komisarz Konstanty Podbiał zdawał się jednak ich nie słyszeć. Usiadł nonszalancko na krawędzi stołu.

- Kto z państwa otwierał wczoraj okno w tym pomieszczeniu? - zapytał po dłuższej chwili, tocząc wzrokiem po twarzach siedzących.

- Czy jesteśmy o coś podejrzani? - zapiała inna panienka, gładko uczesana blondynka w szarym kostiumie; od razu zawtórował jej zbiorowy pomruk niezadowolenia.

- Pan komisarz zapytał tylko, czy ktoś z państwa otwierał wczoraj okno w tym pomieszczeniu - powtórzył pytanie Tymon, najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać.

- Owszem, ja - odezwał się blondyn około czterdziestki. - Kilka koleżanek zemdlało, więc trzeba było...

Kostek obejrzał się przez ramię. Okna były dwa. Potem zerknął do protokołu, który Tymon odebrał na porannej odprawie. Z zapisków wynikało, że na klamkach obu znajdowały się odciski palców niejakiego Andrzeja Pruszyńskiego, lat czterdzieści jeden, pracownika rzeczonyj firmy Uniwertex. Wyglądało na to, że wcześniejsze ślady zostały dokładnie zatarte. Czyli że to ktoś stąd uchylił okno (dziwne, że nikt nie protestował, była przecież zima...).

- Czy oba okna pan otworzył? - zapytał Kostek.

- Tylko jedno - odpowiedział szybko Pruszyński. - Drugie było uchylone. Potem oba zamknąłem, bo wszystkim zrobiło się zimno i...

Podbiał przymknął oczy. Usiłował sobie przypomnieć, jak wygląda teraz jego pokój w rodzinnym domu. Meblościanka, wiśniowy dywan, biurko. Za oknem widok na jezioro i las.

- Nie słyszał pan, że po takim poważnym zdarzeniu, jak morderstwo, niczego nie można ruszać? - warknął na niego Tymon, na co pan Andrzej spuścił głowę jak złapany na niewiedzy czwartoklasista.

- Nic z nich nie wyciągniesz - stwierdził Nowak, gdy jechali windą z powrotem do podziemnego garażu. - Nauczono ich trzymać język za zębami, cokolwiek by się działo.

- Kto niby? - zapytał półgębkiem Kostek.

- Jak to kto? Ich szefowie, szefowie szefów. Zachodnia korporacja! Są lepsi niż szpiedzy. Tajemnica państwowa i liczba wojsk na wschodniej granicy Unii to chuj w porównaniu z tym, gdzie i za ile firma kupuje papier do kserokopiarki. Nie na darmo płacą im takie odprawy, zakazują konkurencji czy wysyłają na szkolenia na koniec świata...

Kostek w milczeniu kontemplował nowoczesny wystrój windy. Odezwał się dopiero, gdy z niej wychodzili.

- Kim jest denat?

- Mówiłem ci. To ich dyrektor. To znaczy jeden z wielu, ale wyjątkowa menda. Mobbing, wrzaski, groźby karalne, choć nikt nigdy niczego nie zgłosił oficjalnie. Pewnie

cieszą się po cichu, że diabli go wzięli...

- Myślisz, że to ktoś z tej grupy? Tego jeszcze u nas nie grali, żeby strzelać do przełożonych.

- Może czas?

Podbiał aż się zatrzymał.

- Przystaleś do antyglobalistów? - zapytał, usiłując przybrać żartobliwy ton.

- Skąd! - bąknął Nowak. - Ale jak człowiek słyszy, co się po firmach dzieje. Moja siostra już wrzodów na żołądku dostała. Teraz może je wyleczy, bo niedawno ją zwolnili...

- Tak. Zawsze byli, są i będą jacyś ONI.

Zatrzymali się przy samochodzie. Zadzwoiły wyciągane z kieszeni kluczyki.

- Wiem - mruknął naraz komisarz, by zaraz dodać wyraźnie, trzeźwo i szybko: - Potrzebna jest nam lista osób, które zostały przez niego ostatnio zwolnione. Wrócę na górę, a ty rozejrzyj się po mieszkaniach w tej kamienicy naprzeciwko. Zapytaj ludzi, czy czegoś nie widzieli, powęsz. Jak wrócę, wejdziemy na dach.

Wszedłszy z powrotem do windy, Konstanty Podbiał czuł, jak wracają mu siły i chęć, jeżeli nie do życia, to przynajmniej do pracy. Oddychał szybko, ale głęboko. W myślach układał formułkę, którą wyrecytuje w rozmowie z szefostwem Uniwerteksu.

Nie za bardzo lubił jeździć windą. Dźwig, w którym się znajdował, zmierzał ku ostatniemu piętru wieżowca. Nagle Kostkowi wydało się, że winda przyspiesza coraz bardziej. Podłoga napała od dołu, powodując zgięcie nóg w kolanach pasażera. Poczuł,

jakby ktoś pompował mu powietrze do głowy. Wyciągnął ręce w bok, usiłując chwycić się ścian.

Nagle obraz gibnął w bok. Nastąpiła ciemność...

4

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, godzina 13.00.

- Dziękuję! Bez dubla będzie - rozległ się donośny, choć nieco piskliwy, a przez to szczeniacki głos reżysera; po sekundzie jego posiadacz, już nieco ciszej i jakby do siebie, dorzucił z satysfakcją, ale i ulgą: - Mamy to.

Odetchnęli i inni. W jednej chwili nieruchomy dotąd plan rozsypał się niczym obraz w teatrze żywych fotografii i wypełnił kakofonią ludzkich głosów i dźwięków zbędnych i niezbędnych maszyn i urządzeń. Wąski kadr włączonej wciąż kamery wypełnili pochowani dotąd gdzieś specjaliści i fachowcy od tego czy owego, dziewczyny zbrojne w pędzle do makijażu, grzebienie, a chłopcy w kable, druciki i sto innych przedmiotów. Oto ktoś puścił w ruch steraną kopię czarno-białego filmu, przy czym zrobił to na zbyt szybkich obrotach, przez co obraz ów przypominał burleskę sprzed stu lat.

Wprawne oko widza z łatwością podzieliłoby wszystkie postacie znajdujące się tak w kadrze, jak i poza nim, na mniejsze grupki. Jedna z nich liczyła trzy osoby i składała się z mężczyzny oraz dwóch kobiet. Cała trójka przed chwilą skończyła grać wspólną scenę.

- Dwadzieścia minut przerwy! Dwadzieścia minut! - przez wzmagający się z każdą chwilą jazgot przebił się głos kierownika planu.

- Palić. Palić - jęknęła Katarzyna, której ręka właśnie nurkowała w czeluściach wielkiej torby z zielonej skórki w poszukiwaniu wszystkich niezbędnych akcesoriów tego zgubnego nałogu. - Ktoś idzie na dyma?

- Ja - Anka, postawna blondynka, podniosła szkolnym zwyczajem dwa palce do góry.

- Umiecie przekonywać - stęknął stojący najbliżej Kaśki młody mężczyzna, po czym wystudiowanym ruchem otworzył drzwi prowadzące na korytarz hali zdjęciowej; naciągnięty za sprawą tego ruchu rękaw podkoszulka odsłonił na prawym bicepsie tatuaż w kształcie skorpiona.

Każdy, kto choć raz znalazł się na planie filmu czy serialu, wie, że praca w takim miejscu polega głównie na jednym: na czekaniu. Jest to oczekiwanie na odpowiednie światło, jeśli zdjęcia realizowane są w plenerze, a potem na prąd, bo w plenerze łatwo przecież o awarię. Na ciszę, chwilę po ogłoszeniu ciszy przez kierownika planu, na rozplątanie zaplątanych kabli. Wreszcie na gwiazdę Pipsztycką, bo ta utkwiała w ulicznym korku, wracając z porannej próby w teatrze, co każdy przyjmie jeszcze z pobłażaniem; gorzej, kiedy wraca z planu świetnie płatnej reklamy margaryny lub proszku do bieli. Tak, na rzeczoną gwiazdę, aż odtaje, wypije kawę z mleczkiem i zawsze dwiema kostkami cukru, zje, tak jak dzisiaj, pół tradycyjnego pączka, potem skończą jej robić makijaż i wymieniać najnowsze plotki - czekać najtrudniej.

Z każdym krokiem było coraz ciszej, ale i coraz chłodniej. Troje młodych aktorów przeszło w milczeniu kilkanaście metrów korytarza, mijając mieszkania-dekoracje, należące do innych, serialowych rodzin. Czasami lepszych, czasami gorszych, uwielbianych przez miliony i szczerze nienawidzonych, ale zawsze na szczęście (albo niestety) nieprawdziwych.

- Nie idzie mi dzisiaj za cholerę, wiecie - poskarżyła się kasztanowłosa Kasia Rawska, gdy zamknęli za sobą drzwi niewielkiego pomieszczenia, pełniącego nieoficjalnie funkcję palarni.

Robert bez słowa podał obu kobietom ogień. Wszyscy zaciągnęli się dymem, który w kilka chwil rozdzielił ich gęstą zasłoną. Ta była widzialna; o innej, niewidocznej,

dotyczącej Kaśki i Roberta, od rana powtarzał reżyser. Zróbcie coś, weźcie się w garść, nie iskrzy, jesteście przecież małżeństwem! - gardłował za każdym razem, gdy podejmował decyzję o następnym „dubelku”.

- Nie przejmuj się - pocieszała koleżankę po fachu Anka; dziewczyna trzymała dymiącego papierosa w malowniczy sposób: w dwóch palcach prawej ręki, lekko odchylonej, której łokieć spoczywał z kolei w dłoni lewej.

- Przynajmniej jest czas, żeby nad tym popracować. Co by o gościu nie mówić, to ambitny skurwiel - dodał Robert, rozsiadłszy się wygodnie w starym fotelu z podłokietnikami wytartymi przez kolejne pokolenia gwiazd i gwiazdek, które, prócz wielu typowych dla tego zawodu nałogów, trzymało nie mniej zgubne uzależnienie od nikotyny.

Kaśka już miała coś powiedzieć, podziękować za dobre słowa, a może dalej sypać sobie sól na rany, kiedy nagle skrzypnęły drzwi. Na progu kanciapy stanęła Laura Minz, choć przez gęstą zawiesinę dymu siedzący w środku nie od razu ją rozpoznali. Przez chwilę wydawało się nawet, że dziewczyna waha się, czy w ogóle wejść do środka. W końcu jednak zamknęła za sobą drzwi. Na jej powitanie aktor uśmiechnął się szeroko, Anka zmieniła układ rąk (teraz papieros kopcił malowniczo w palcach lewej dłoni), Katarzyna zaś zaczęła przewracać nerwowo strony scenariusza, który zabrała ze sobą na przerwę, by przypomnieć sobie tekst dialogu.

- Możecie mnie poczęstować? - spytała słabym głosem Laura; teraz dopiero było widać wyraźnie, że jest strasznie blada i trzęsą jej się ręce.

- Nie wiedziałem, że palisz - zdziwił się Robert, nie mniej szybko sięgnął w zanzadze po paczkę marlboro.

- Ja też nie wiedziałam - odpowiedziała cicho.

Oparła się o jedną ze ścian i głęboko zaciągnęła się dymem. Przez długą chwilę nikt nic nie mówił.

Ciszę przerwała dopiero Kasia: najpierw zamknęła z trzaskiem scenariusz, a po chwili zaśmiała się sztucznie:

- Słyszałam, że miałas wczoraj spotkanie z jakimś wielbicielem! Musiał być wyjątkowo wytrwały, żeby tak do nocy w krzakach siedzieć.

- Swoją drogą, podziwiam cię. Ja bym chyba umarła... - dorzuciła jasnowłosa Anka.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że już ich mamy z głowy - wtrącił się też Robert, obracając w dłoni zapalniczkę z logo motocykla harley.

Kaśka spojrzała pytająco na swojego ekranowego męża, marszcząc przy tym czoło, co z miejsca dodawało jej kilka lat.

- Kogo? - zapytała.

- Jak to kogo? Fanów! - zachnął się mężczyzna. - Kiedy zaczynaliśmy, to jeszcze rozumiem. Serial nowy, hala zdjęciowa nie tak daleko od miasta, no to wystawali pod wytwórnię, żeby dostać autograf albo zrobić sobie z kimś z nas zdjęcie. Ale teraz?

- Co się dziwisz, nowa postać, to i ma nowych wielbicieli - powiedziała Rawska, potwierdzając tym, że ma dziś naprawdę kiepski dzień: w jej słowach wyraźnie czuć było potworną złośliwość.

- Może ci jeszcze jakąś fajną stronę internetową założą?! - zaśmiała się Anka.

Jednak Laura, której, w istocie, następnego dnia miał minąć dopiero miesiąc, od kiedy dostała rolę w jednym z najpopularniejszych polskich seriali, albo nie dostrzegła

prawdziwych intencji swoich koleżanek, albo rzeczywiście odczuwała przemożną potrzebę wygadania się komukolwiek.

Grała tu Kitty, odnalezioną po latach w Anglii córkę jednego z głównych bohaterów. Po raz kolejny tego dnia mówiła jednak nie kwestię swojej bohaterki, a historię, która przytrafiła jej się wczorajszego wieczoru - i to naprawdę. W miarę jak opowiadała, a Robert przypominał sobie podobne wypadki, rzedły też miny pozostałych znajdujących się w palarni aktorek.

- A raz jeden psychol omal nie pociął Agacie twarzy - rzucił naraz aktor. - Taką brzytwę miał! - dorzucił, układając palce rąk niczym wędkarz.

Kasia zgasiła jednym ruchem połowę papierosa, wstała tak gwałtownie, że scenariusz zsunął jej się z kolan i klapnął na podłogę. Podniosła go bardzo szybko i bez słowa wyszła z palarni.

- Zawsze przydeptuje na szczęście - zauważyła Anna.

- Musiała się rzeczywiście wkurzyć albo przestraszyć - ocenił Robert. - Ale ty się nie przejmuj - powiedział do Laury, ogarniając ją ciepłym spojrzeniem. - To na pewno był tylko jakiś nieszkodliwy fan.

- Chyba tak - dziewczyna po raz pierwszy od kilkunastu godzin uśmiechnęła się. - Z początku wydawało mi się, że któryś z chłopaków z produkcji robi sobie żarty. Znacie ich przecież. Ale potem... Tak, to musiał być jakiś fan. Zresztą on mówił do mnie, używając serialowego imienia. A oni przecież często myślą fikcję z rzeczywistością...

- Zapraszam wszystkich na plan! - z daleka dobiegł schrypnięty męski głos kierownika przybytku.

Robert, Laura i Anka dogonili Kasię Rawską na korytarzu wytwórni. Ledwie

zrównali się z nią w niespiesznym, mimo ogłoszenia końca przerwy, marszu, zadzwonił przejmująco czyjś telefon komórkowy.

- Mój - powiedziała szybko Katarzyna, sięgając, jak przed chwilą po paczkę papierosów, do swojej skórzanej torebki, skąd wydobyła niewielkie cacko, wygrywające fałszywie coraz głośniejsze, skądś znane takty. - Słucham? Tak...

Laura i Anna poszły dalej. Także Robert już miał zamiar ruszyć na plan, aby nie krępować rozmawiającej Kaśki, gdy dostrzegł, że dziewczyna nagle poczerwieniała na twarzy, po czym z kolei zbladła jak papier, by za chwilę ciężko oprzeć się o ścianę.

- Co się stało? - zapytał, kiedy telefon wraz z ręką opadł bezwładnie wzdłuż ciała aktorki.

- Mój mąż... - zdążyła tylko szepnąć, po czym oczy uciekły jej do tyłu głowy.

Stał dość blisko, więc udało mu się ją chwycić, ratując przed niechybnym upadkiem. Wydawało się, że skorpion na bicepsie Roberta poruszył w tym momencie ogonem.

5

Warszawa, szpital MSWiA, ul. Wołoska, godzina 15.20.

W starych filmach to zawsze wygląda tak samo. Najpierw jasność, coś jakby mgła albo chmury. Potem obraz powoli zyskuje ostrość, a przedmioty kontury, choć właściwie w polu widzenia tych przedmiotów jak na lekarstwo: lampa na suficie, jakiś grzyb w rogu, spękania tynku.

Po chwili niemal cały kadr wypełnia ogromny, rogaty, biały i budzący strach czepiec pielęgniarki - koniecznie siostry zakonnej. Kobieta jest dość młoda, choć zapięta po szyję, uśmiecha się dobrotliwie, potem coś mówi. Co? Na przykład:

- Słyszysz mnie pan? Halo. Czy pan mnie słyszy?!

Komisarz Konstanty Podbiał uniósł głowę z poduszki, która szczelnie opatulą mu uszy, zatrzymując część dźwięków. Otworzył też szerzej oczy. Nos zarejestrował dziwny, znajomy, niezbyt przyjemny zapach. Język przypominał wiór. Podbiał próbował nim poruszyć, prowokując wydzielanie śliny. Teraz mógł wypróbować jeszcze jeden zmysł; splekane wargi ułożyły się w najbanalniejsze:

- Gdzie ja jestem?

- W szpitalu - odpowiedziała pielęgniarka, której w międzyczasie zniknął z głowy czepiec, a wysokie zapięcie fartucha rozchyliło się, ukazując ładny dekolt.

- Co się stało?

- Znaleźli pana w windzie, w biurówcu przy Puławskiej. Był pan nieprzytomny. Na początku podejrzewaliśmy zawał serca i udar mózgu, ale na razie wszystko wskazuje na to, że chyba tylko przemęczenie. Na szczęście. Prawdopodobnie będzie pan musiał zostać u nas przez kilka dni...

Słowa pielęgniarki dochodziły do uszu Kostka niczym wypowiedane przez prezenterkę, czytającą telewizyjne wiadomości. Na szczęście żadna nie dotyczyła jego. No, może poza szlabanem na wcześniejsze emerytury w policji, czym straszyl rząd. Zawał, winda? Kurwa! Jaki zawał?!

- Nic nie pamiętam - jęknął tylko.

Po chwili uniósł wyżej głowę, potem tułów. Próbował się podnieść na łokciach, ale cały pokój zawirował. Nim z powrotem Kostek opadł na poduszkę, zdążył jeszcze dostrzec nad sobą jakieś monitory, pełgające kolorowymi diodami elektroniczne

urządzenia, do których był podłączony. Na jednym z ekraników było nawet wypisane jego imię i nazwisko wraz z cyfrą odpowiadającą liczbie przeżytych lat. Na końcu z obrzydzeniem skonstatował, że ma na sobie ohydny piżamę w biało-niebiesko-czarne paski - przydzwiek używany we wszystkich polskich resortach siłowych chyba od czasów odsieczy wiedeńskiej.

Wirowanie ustało, siostra poprawiała otaczające leżącego kabelki. Kostek chciał coś powiedzieć, już otwierał usta, kiedy do salki wszedł lekarz. Znak rozpoznawczy: stetoskop przewieszony przez szyję, biały fartuch i mina jak po zjedzeniu cytryny, czego nie są w stanie zmienić nawet bomboniery i likiery, zostawiane wciąż, mimo wybuchających co raz afer, w dowód wdzięczności przez pacjentów.

- Dzień dobry, nazywam się Jerzy Korcz - rzucił półgębkiem doktor, nie patrząc wcale na leżącego przed nim pacjenta, tylko od razu wyżej, na jego elektroniczną interpretację. - Jak się czujemy?

- Tam jest napisane - odpowiedział cicho Kostek.

- Humor, widzę, dopisuje - skomentował lekarz bez uśmiechu. - Planujemy jeszcze badanie laryngologiczne, aby wykluczyć błędnik. Zajrzymy na dno oka.

Szkoda, że nie na dno duszy - pomyślał Kostek. W jednej chwili wróciło wszystko, co od dłuższego czasu nie pozwalało mu optymistycznie spoglądać na świat, trzymało za gardło, uciskało klatkę piersiową, a na oczy założyło filtr, przez co cały świat wokół miał kolor brudnego, zapomnianego śniegu, topniejącego na przyzbie.

- Kiedyś miałem kłopoty z błędnikiem - powiedział Kostek po dłuższej chwili. - Leżałem nawet w szpitalu, pod koniec liceum. Chyba jakoś tak. Potem to jeszcze wracało.

- Sprawdźmy, sprawdzimy - odparł doktor, wciąż doszukując się czegoś na

monitorze. - Ale pewne wnioski możemy postawić już teraz, panie komisarzu.

Przypomniał sobie, kutas - zaklął w myślach chory, udając zainteresowanie tym, co też ciekawego ma do powiedzenia resortowy medyk.

- Tak?

- Rzucamy papierosy, alkohol, ale także colę i burgery. Zaczynamy prowadzić zdrowy tryb życia.

- Sam pan wie, że w tym zawodzie...

- Wiem, wiem - lekarz bezceremonialnie przerwał Kostkowi. - Od dziesięciu lat lecę szeryfów, bez których w tym mieście rozpleniłaby się przemoc i bezprawie, ludzi niezastąpionych. Proszę jechać na Wólkę Węglową. Tam zobaczy pan całe kilometry kwadratowe, pod którymi leżą ludzie. I wszyscy niezastąpieni!

A może rzeczywiście on ma rację? - pomyślał Podbiał. - Wziąć urlop, wyjechać gdzieś, jak najdalej, na ile tylko pozwoli stan dróg i portfela. Spróbować zapomnieć o tym wszystkim, co się stało. O pracy. Przynajmniej podjąć taką próbę. Chuj, może się uda?

Kostek, zawsze niepokorny, pyskаты, skory do scysji, teraz nawet miał zamiar przyznać rację lekarzowi, wyrazić skruchę. I już otwierał usta, żeby to uczynić, kiedy znów coś, a raczej ktoś mu w tym przeszkodził. Oficer podniósł wzrok. I nagle obraz przed oczami rozmył się, jakby na oko kamery ktoś nagle wylał wodę. Zaszczypało pod powiekami.

Nie, tego jeszcze brakowało!

- Przepraszam, można? - zapytała cicho, przestępując próg sali w takt szpilek; nie

rezygnowała z nich nawet teraz, zimą: kozaki kozakami, ale musiały mieć niebotyczne obcasy!

- Proszę - uśmiechnął się doktor.

- Dzwoniono do mnie i... - Katarzyna przerwała, wbiła badawcze spojrzenie w chorego.

- Może zostawimy państwa samych - rzekł lekarz, dając znak pielęgniarce; po chwili oboje zniknęli za drzwiami.

- Nie musiałaś przyjeżdżać - warknął Kostek.

Kasia przygryzła wargi.

- Przestraszyłam się - jęknęła.

- Niepotrzebnie.

Usiadła na brzegu łóżka. Odwrócił głowę, żeby na nią nie patrzeć. Mimo to, nozdrza Kostka pochwyciły znajomy zapach perfum Katarzyny. Bardzo je lubił, chociaż nie pamiętał ich nazwy. Chyba już zawsze będą mu się z nią kojarzyły. Jak zresztą wiele innych rzeczy. Jak niemal wszystko...

Milczeli tak przez dłuższą chwilę.

- Przyjechałam, jak tylko mogłam najszybciej - głos Katarzyny nagle stał się szorstki, a ton niemal oficjalny; właściwie mógłby mu towarzyszyć dźwięk sugestywnego otrzepywania rąk. - Ale widzę, że z tobą wszystko w porządku.

Popatrzył na nią. Oczy Kasi błyszczały. To mu wystarczyło. Usiłował złapać ją za

rękę, ale kobieta była szybsza: nie tylko zdążyła w porę odsunąć dłoń, ale również gwałtownie wstała. Pociągnęła nosem, dotknęła palcami oczu.

- Przypominam ci, że sprawa rozwodowa jest w przyszły wtorek - wyrecytowała i Kostek Podbiał nie miał już wątpliwości, iż cokolwiek się zmieniło od wczoraj, już nie ma nadziei. I chyba nigdy jej nie było.

- Tak, pamiętam - odpowiedział głucho.

Izbę wypełnił stukot obcasów. Skrzyknięcie drzwi.

Podbiał westchnął głęboko. Zaklął pod nosem.

Nagle zaczął zrywać z piersi wszystkie przyssawki, którymi był oblepiony. Dźwignął się z łóżka. Obraz zakolebał się, ale szybko uspokoił.

- Ta łódka jeszcze popłynie - rzekł do siebie.

Nadbiegła pielęgniarka, zaalarmowana hałasem.

- Co pan robi?! - zawołała, patrząc to na pacjenta, to na monitory, teraz już zupełnie bezużyteczne.

- Wypisuję się.

Powiedział to twardo i wyraźnie, patrząc siostrze prosto w oczy. Czuł się z tym świetnie. I poczułby się jeszcze lepiej, gdyby nie to, że nagle pociemniało mu w oczach.

- Co tam się dzieje, do cholery? - zdenerwował się doktor Jerzy Korcz, usłyszawszy jakieś krzyki dochodzące ze szpitalnego korytarza. - Pewnie znów któryś podziurawiony wybiera się na służbę.

Siedzący w gabinecie zabiegowym mężczyzna, nagi od pasa w górę, uśmiechnął się.

- Niektórzy nazywają to powołaniem - rzekł filozoficznie.

- Dobra, dobra - lekarz odwrócił się z powrotem do siedzącego naprzeciwko gościa. -
Niech pan lepiej pokaże tę rękę. Boli, jak dotykam?

Pacjent skrzywił się.

- Nie - odpowiedział niegłęboko.

- A teraz?

Tym razem mężczyzna nie potrafił zapanować nad jękiem.

- No właśnie! - rzekł z satysfakcją Korcz. - I jak ja mam panu dać papier o
przydatności do czynnej służby? No jak?!

6

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 17.10.

Młodszy aspirant Tymon Nowak lubił bujać się na krześle. To go uspokajało. Kiedyś, na przykład w nieodległych czasach szkolnych, byłby za to srogo obrugany. Teraz mógł robić, co mu się podoba. Problemem był jedynie stan mebli znajdujących się w komendzie; wiekowe krzeselka, na których siadali pewnie i „siepacze krwiożerczego reżymu”, i ich ofiary, niepokojąco trzeszczały za każdym razem, gdy się ich używało. Jak dotąd jednak wytrzymały wszystkie katusze, na jakie skazywał je aspirant. A poprzedniego systemu i tak za bardzo nie pamiętał.

- Cześć, do jutra - rzucił do niego komisarz Jurek Konieczko.

- Na razie - odpowiedział Tymek.

- Nie siedź za długo - powiedział jeszcze oficer z ojcowską troską w głosie, po czym dodał po swojemu: - Nie od razu Kraków... skorumpowano.

Tego dnia miarowe kołysanie, choć był w pokoju sam i nikim się nie krępował, nie było w stanie ukoić nerwów Tymka Nowaka. A to dlatego właśnie, że był sam. Także ze sprawą.

Kiedy kilka godzin temu wrócił na parking (chciał tylko zabrać czapkę z samochodu, gdyż ostatnio był bardzo podatny na przeziębienia), właśnie odjeżdżała z niego karetka z nieprzytomnym Kostkiem Podbiałem w środku. Przytomny cieć parkingowy skojarzył twarze i od razu poinformował Tymka, co się stało. Aspirant pojechał od razu śladem ambulansu na Wołoską, tam wypytał kogo trzeba, zawiadomił telefonicznie przełożonych. Wszystkie te czynności wykonywał jak w amoku, mechanicznie. Potem wrócił do biurowca, dokończył czynności, następnie udał się do komendy, usiadł za biurkiem i dopiero wtedy do niego to doszło. Że przedstawienie musi trwać. Od roku byli z Podbiałem partnerami, ale taka sytuacja zdarzyła się pierwszy raz. A wagary nie wchodziły w rachubę.

Za oknem była już szarówka. Jadący w stronę Śródmieścia tramwaj hamował przed przystankiem Metro Ratusz Arsenał. Tymon powoli opuścił na podłogę nóżki krzesła i zapalił stojącą na biurku lampkę. Sięgnął po ostatniego pączka, który został na talerzyku, nieco już twardego. Drugą ręką otworzył notatnik służbowy.

Na ostatniej stronie widniały trzy nazwiska wraz z adresami, które miał zgromadzić Podbiał, a które w jego zastępstwie wydobył Tymek. Byli to pracownicy zwolnieni w przeciągu ostatniego roku z firmy Uniwertex. Ale to nie wszystko. Dobrze działający dział personalny dysponował także fotografiami swoich pracowników. Byłych,

powtórzmy. Zwolnionych przez Lubskiego. Zamordowanego.

A ostatnio w narodzie rzeczywiście wrzało. Warszawa, miasto mające nieszczęście być stolicą wciąż zmieniającego się państwa, nie potrafiło przyzwyczać się do tego, że raz na jakiś czas zostaje sparaliżowane przez rozmaite demonstracje.

Atrybuty takich wystąpień zmieniały się wraz z rotacją rządzących ekip, charakterem protestu, no i tego, kto protestował. Świńskie łby, którymi rzucono ponad ustawionymi przed URM-em policyjnymi płótkami i głowami policjantów, malowane były raz czerwoną farbą, innym zaś razem czarną. W okna i chłopaków z prewencji leciały metalowe śruby, potrzebne tak do budowy statków, jak i przy wydobywaniu węgla. Zwierzęce odpadki, kości, wcale nie zgniłe ziemniaki, ziarna zbóż, jajka czy pomidory, które potem często dokładnie zbierano, nim zdążyły to uczynić odpowiednie służby, niekoniecznie świadczyły o biedzie na wsi, ale już eksplozje petard czy domowej roboty bomb hukowych wymuszały chyba w każdym respekt i potwierdzały stare powiedzenie, że, kto jak kto, ale Polak potrafi.

Palono kukły kolejnych premierów, zanoszono petycje, mówcy chrypli nad tłumem z tubą w rękę bądź bez tuby, a wszyscy jednakowo, ze łzami w oczach śpiewali „szablą odbierzemy”, choć w rękach dzierżyli jedynie trzonki od łopat. W ustach mieli gwizdki, a w sercach gniew, który w tych rzadkich chwilach, kiedy czuli się mocni jednością, a wróg był nazwany, wreszcie znajdował swoje ujście.

Często przy wtórze modlitw niesiono figury Matki Boskiej, niemal naturalnych rozmiarów krucyfiksy lub plastikowe figurynki, przedstawiające kilkutygodniowy płód. Czasem jakaś starowinka podchodziła bliżej, stawała przed kordonem policji i próbowała po dobroci: modliła się głośno, przypominała chłopakom ich własne babcie bądź matki, potem dzieliła się opłatkiem, jeśli był to czas przedświąteczny, kiedy indziej jajeczkiem albo płodami rolnymi z pracowniczej działki lub przydomowego ogródka. Ekipy telewizyjne wchodziły w tłum z poświęceniem godnym wojennych korespondentów. Fotoreporterzy trzaskali zdjęcia na pierwsze strony dzienników, dziennikarze zaś

mlaskali z zachwytem reżyserów horrorów.

Wieczorne wiadomości pokazywały przebieg wypadków oraz szkody: popalone, zalane farbą frontony gmachów, wybite szyby, a także straty w ludziach po obu stronach. Minister spraw wewnętrznych odwiedzał w szpitalu rannych policjantów, wzdychając zapewne za dawnym ZOMO, które, niech kto sobie myśli, co chce, ale w kaszę sobie dmuchać nie dało.

Nigdy jednak nie protestowali ci, których nazywano „białymi kołnierzykami”.
Czyżby do teraz? I od razu tak radykalnie?

Nowak jeszcze raz spojrział na zdjęcia zwolnionych z Uniwerteksu.

Czy jest wśród nich morderca albo przynajmniej zleceniodawca zabójstwa? - zastanawiał się. Tak, od tego trzeba zacząć. Czuł, jak - mimo późnej pory - wracają mu siły i zapał do pracy.

Spojrział na zegarek. Dochodziła szósta po południu. Do dwudziestej można jeszcze ludzi pogłębić, dłużej nie. Zdąży zrobić jednego.

- Który tam jest pierwszy? - Tymon pochylił się nad swoimi notatkami. - Chodź no tu do mnie, kochasiu...

Nagle zaniemówił. Znał to nazwisko: Karol Lech - rówieśnik Tymona. Chodzili nawet do jednej podstawówki! Aspirant szybko spojrział na fotografię. Tak, to mógł być on.

Mimo korków, dotarcie do celu zajęło Tymkowi niespełna kwadrans.

Wciśnięty pomiędzy szare, jednakowe bloki z wielkiej płyty, pokryty jasnym, nowym tynkiem budynek stanowił enklawę luksusu dla wybranych. Podwórko ogrodzone wysokim na trzy metry płotem z żelaznych sztachet, otwieraną przy pomocy pilota bramą, kolczatką i cuchnącą w środku budką ochroniarza w czarnym uniformie z naszywkami i czapce z zatłuszczonym daszkiem. To typ szczególnego cerbera. Zna każdego z mieszkańców z twarzy, ba, nawet z nazwiska! Umawiać się trzeba na konkretną godzinę, jeśli chcesz odwiedzić szczęśliwca mieszkającego w tym szlachetnym przybytku, a i to mało: wylegitymować się, profilem stanąć i en face - pan Czesiek fach swój zna i nie z nim te numery. Potem krótkie przesłuchanie: na jak długo, po co i skąd pan właściwie wiesz, że pod czternastym mieszka akurat ten pana niby znajomy z rodziną?

No dobra, niech idzie. Pan Czesiek serce ma! Przepusteczkę wypisze, a i pouczyć nie zapomni: tylko mnie się nie kręcić po budynku, śmieci nie rzucać, niedopałków, nie szczać po kątach, bo ja tu wszystko w telewizorze widzę. Cały ten ich raj...

Równo przystrzyżona trawa, zwirowe alejki, plac zabaw, na którym bawią się dzieci pod czujnym okiem Wiery czy Nataszy, bo państwo są do późna w pracy, a pracują ciężko. Apartament kosztuje przecież i samochód nowy w podziemnym garażu. Czasu wolnego mało, a przecież miejsc, by go spędzić, nie brakuje: staw i szumiąca cicho fontanna. Albo w fitness club, bo i taki u nas jest. I fryzjer, salon masażu, ujęcie wody własne, ech, cuda!

Te i inne myśli kotłowały się w głowie aspiranta, zbliżającego się ku głównemu wejściu do apartamentowca. Sięgnął do kieszeni, gdzie namacał odznakę, gotów na przeprowadę z takim właśnie panem Cześkiem, siedzącym w ciasnej stróżówce.

Portier nie zwrócił jednak na gościa najmniejszej uwagi. W niewielkim, czarno-białym telewizorku nadawano właśnie jakiś teleturniej. Grzech było przeszkadzać, więc

policjant maszerował dalej jak do siebie.

Szybko znalazł właściwą klatkę, nacisnął przycisk domofonu. Nikt się nie odezwał. Ustrojstwo zabrzęczało, elektromagnes puścił. Gość wszedł do środka. Po kilku chwilach stał przed drzwiami mieszkania.

Zapukał dwa razy. Drzwi otworzyła ładna blondynka.

- Ojej. Myślałam, że to Karol... - zdziwiła się.

- Dzień dobry - Tymon zaszurał stopami jak gimnazjalista.

Tak się zresztą czuł. O ile łatwiej idzie się na melinę na Szmulkach, gdzie ktoś zakłął kompana od kieliszka. Żadnych ceregieli, penitentom wali się od razu na „ty”.

- Dzień dobry - odpowiedziała gospodyni.

- Czy zastałem Karola?

Wolał na razie pójść po linii starej znajomości; z drugiej strony, takie pytanie i cała sytuacja mogły trochę dziwić. Kto w dzisiejszych czasach wybiera się do kogoś w ciemno, wstępuje, jak kiedyś, prosto z ulicy, nie umówiwszy się uprzednio przez telefon lub pocztą elektroniczną? Ale nic, rolę trzeba było grać do końca, a i odznaka wypychała kieszeń spodni, dodając pewności jej właścicielowi.

- Nie, nie ma go - odpowiedziała kobieta; szerokość szpary między krawędzią drzwi a futryną, choć dość duża, nie zwiększała się też ani o centymetr, choć wystarczyła, by otaksować przybysza od stóp do głów.

- Kiedy będę mógł go zastać? - ciągnął dalej tę szczeniacką zabawę Tymon, sam dziwiąc się swojej cierpliwości, której nigdy nie miał za wiele, nie tylko w sprawach

zawodowych. - Albo lepiej, gdzie mogę go zastać? - poprawił się. - Bo sprawa jest bardzo pilna...

Kobieta wyglądała na coraz bardziej zaskoczoną.

- Wiem, że lepiej by było, gdybym zadzwonił, ale...

- Karol nie używa komórki - ucięła blondynka, marszcząc brwi. - Przestał jej używać, odkąd... - przygryzła wargi, a nieruchome dotąd drzwi poruszyły się kilka razy, aż policjant poczuł na policzkach podmuch powietrza. - Mówił, że ma o wpół do ósmej jakieś spotkanie. W hotelu.

- W którym?

- W Sheratonie.

Tymon już biegł w dół po schodach, kiedy dogoniło go pytanie dziewczyny:

- A pan może w sprawie pracy?!

Nie odpowiedział. Przyspieszył jeszcze bardziej.

8

Warszawa-Śródmieście, pół godziny później.

W hotelowym holu było ciepło i jasno. Młodszy aspirant Tymon Nowak stąpał niepewnie po błyszczącej podłodze z marmurowych płyt. Zapach papierosów i drogich perfum przyjemnie drażnił nozdrza.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się sklepiki z prasą, pamiątkami z Warszawy i

Polski, restauracje i kawiarenki, skąd płynęła cicha muzyka. Młoda dziewczyna z głębokim dekoltem, najpewniej ekspedientka z któregoś ze stoisk, ćmiła samotnie papierosa i rzucała tęskne a zachęcające spojrzenia gościom o śniadej skórze. Na widok Tymka jednak spuściła wzrok, jakby się zawstydziła.

Niezatrzymywany przez nikogo, dotarł do głównego, okrągłego hallu. Na samym środku podłogi widniała róża wiatrów, ułożona z kolorowych kawałków kamienia, bezpośrednio nad nią zwisał ogromny kryształowy żyrandol oświetlający wnętrze oraz wznoszące się spiralą, kryte czerwonym dywanem schody. Dalej, przed kontuarem, stali w krótkiej kolejce goście hotelowi, inni siedzieli na miękkich, atlasowych kanapkach. Panował tu dość duży ruch, jak to w hotelach: ktoś wyjeżdżał, ktoś inny dopiero zaczynał pobyt.

Tymon orientował się, że biznesowe spotkania odbywały się tak w kawiarniach i restauracjach, jak i w lobby hotelowym, gdzie na środku stało kilka miękkich foteli wraz z niskimi stoliczkami. Przy najbliższym siedziało dwóch facetów z laptopami.

Czy ten plecami do wejścia jest może Karolem Lechem? Trzeba to sprawdzić, również w dokumentach.

- O Boże! - krzyknęła nagle jakaś kobieta.

I nie był to chyba krzyk radości na widok dawno niewidzianego kuzyna z Republiki Południowej Afryki. Odsunięte gwałtownie krzesło z łoskotem przewróciło się na podłogę. Elektryzujący dźwięk rozbijającej się na twardym marmurze szklanki.

Na środku sąsiadującej z hallem kawiarni, pomiędzy stoliczkami stał mężczyzna w średnim wieku, którego twarz wydała się Tymkowi znajoma. Stał i próbował zetrzeć z marynarki gęstą, żółtą maź. Chyba była to farba. Towarzysząca mu kobieta w bardzo krótkiej spódniczce podrygiwała obok z otwartymi z przerażenia ustami i to chyba ona wydała okrzyk, który zmroził wszystkich ludzi.

Nie była to jednak ostatnia osoba dramatu: kilka kroków od stolika dwóch ochroniarzy hotelowych trzymało próbującego się wyszarpnąć, młodego chłopaka w nabitej ćwiekami, skórzanej kurtce i czerwonym grzebieniem włosów na ogolonej głowie. Ręce miał całe umazane tą samą farbą, którą bezskutecznie usiłował zetrzeć z siebie tamten mężczyzna.

Po chwili przy napadniętym pojawili się kolejni pracownicy hotelu.

- Czy nic się panu nie stało? - zapytał jeden z nich.

Był szpakowaty, dobrze zbudowany. Pewnie szef hotelowej ochrony, emerytowany wojskowy albo policjant. Podał poszkodowanemu własną chustkę do nosa. Ten jednak nic nie odpowiedział, a w chustkę bezceremonialnie i głośno się wysmarkał.

Nowak w końcu rozpoznał w oblany znanego z telewizyjnych seriali i reklam aktora, bożyszcze polskich nastolatków, ale także emerytek, gdyż jego znakiem firmowym była rola lekarza w tasiemcowym serialu.

- Dzwonić po policję? - zapytał szefa jeden z ochroniarzy, szef zaś skinął głową, patrząc wzrokiem sędziego na spokojnego już winowajcę.

- Jeszcze raz bardzo przepraszamy za ten pożałowania godny incydent - wyrecytował formułkę szpakowaty. - Zapraszam w bardziej ustronne miejsce, gdzie będzie się pan mógł umyć i doprowadzić do porządku - rzekł, a następnie zwrócił się do dziewczyny.

- Pani, oczywiście, też, jeśli tylko zechce towarzyszyć... ojcu.

Dziewczyna zaśmiała się głupio, aktor poczerwieniał i spojrzał na nią z pretensją, po czym cały ten szczególny orszak: poszkodowani, wraz z ochroną, oraz napastnik, tym bardziej pod eskortą, ruszył na ukos przez szeroki hotelowy korytarz.

W tym samym momencie do Tymka Nowaka doszło, że zna także twarz winowajcy: chłopaka z irokezem na głowie.

To był Karol Lech!

Kilka sekund później kolumna z zatrzymanym anarchistą została zatrzymana.

- Młodszy aspirant Tymon Nowak, Komenda Stołeczna Policji - wyrecytował Tymek, unosząc w górę rękę z odznaką.

- O co chodzi? - zapytał jeden z cerberów.

- Widziałem wszystko. Przejmuję zatrzymanego.

Przez chwilę ochroniarze przypatrywali mu się w milczeniu, ale i z niechęcią. Nowak nie miał wątpliwości, że właśnie odbiera im okazję do spuszczenia komuś solidnego i, co najważniejsze, bezkarnego wpierdolu.

- Szybcy jesteście - cmoknął z uznaniem szef ochrony hotelu, a przez ramię rzucił: - Wykonać.

Puścili napastnika, jeden z osiłków pchnął go w plecy, a Tymon chwycił za ramię.

- Nie skuje go pan? - zapytał szef.

- Poradzę sobie.

Odprowadzani przez wszystkie oczy: czarne i niebieskie, skośne i okrągłe, minęli Murzyna z górą walizek i przeszli przez obrotowe drzwi. Fala ciepłego powietrza dmuchnęła im w twarze.

- Dobranoc panom - pożegnał ich dyżurujący pod drzwiami hotelu szwajcar w ciemnoczerwonej liberii.

Nie uszli jeszcze kilku kroków, kiedy Lech szarpnął się i syknął z nienawiścią:

- I co? Spałujesz mnie, kapitalistyczny pachółku?!

- Spokojnie, Lech - mruknął Tymon, nie zmniejszając ani trochę żelaznego uścisku; godziny spędzone na siłowni, a i domowe ćwiczenia, w tym gimnastyka dłoni przy pomocy gumowego krążka, przynosiły efekty.

- Znam swoje prawa! - rzekł Karol.

- Wiem. Jesteś w końcu prawnikiem.

- Skąd pan wie? - para oczu pod barwną fryzurą zaczęła badawczo przyglądać się policjantowi. - Czy my się czasem...

- Tak. Znamy się - dokończył Nowak.

Stali na rogu ulicy Prusa i Alej Ujazdowskich. Kilka kroków od nich grupa młodych chłopaków katowała deskorolkami kamienny skwerek otaczający pomnik Wincentego Witosa. Nowak puścił ramię Karola.

- Musimy pogadać, Karol - rzekł Tymon. - Gównu mnie obchodzi, coś zrobił przed chwilą. Ale wczoraj został zabity twój były szef. Sprawdzamy wszystkie okoliczności.

Oczy chłopaka w skórze powiększyły się jeszcze bardziej.

- Lubski?

- Tak.

- Ale ja nic nie wiem...

- Pogadamy teraz czy wolisz wezwanie do Mostowskich? - zapytał twardo aspirant.

- Pogadamy teraz - jęknął cicho Karol.

- Znasz tu jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy... - policjant zawiesił głos, taksując wzrokiem indywidualium, jak sam przed kilkunastoma minutami został otaksowany. - Gdzie mógłbyś czuć się bezpiecznie?

- Tak. Jest takie miejsce - odparł po chwili Lech.

9

Warszawa-Górcze, kilka minut przed 20.00.

Całe osiedle świętowało koniec kolejnego dnia. Każdy na swój sposób, indywidualnie, a jednak, podskórnie i nieświadomie - na jedną modłę. Z rozświetlonych, uchylonych (wieczór był, jak na tę porę roku, dość ciepły) okien dobiegały strzępy rozmów, klótnie mieszkańców, szczeł kuchennych naczyń i gwizd czajników. Telewizory huczały znajomą melodią, kończącą kolejny odcinek serialu, dziennikarz czytał wiadomości, pulsowały basy rozkręconej na full wieży stereo. Gdzieś płakało niemowlę, szczekał pies, gdzieś dalej szybko zawtórował mu drugi. Przerażliwie wyl silnik samochodu usiłującego wcisnąć się pomiędzy inne zaparkowane pod blokiem pojazdy. Szczęśliwiec, któremu sztuka ta udała się przed chwilą, zamknął z trzaskiem drzwi i z charakterystycznym piskiem włączył alarm.

Bezszelstnie wydłużały się za to pęknięcia na ścianach, mieszał się smród spalin i

świeżo wysypanego w zsywie chloru. Wysokim płomieniem palił się blaszany kosz na śmieci. Na placu zabaw, między połamanymi huśtawkami a piaskownicą z resztką cuchnącego psimi szczynami i odchodami piasku, przykrytego teraz cieniutką warstwą śniegu, wrzeszczały zapomniane dzieci. Pod pawilonem osiedlowego sklepu mieszane towarzystwo spożywało tanie piwko w puszkach, śmiało się głośno i spluwało pod nogi.

Było jednak jedno miejsce na osiedlu, które dalece różniło się od reszty zabudowy. Wciśnięte między niewielki skwerek a dwa bloki: jedenasto- i czteropiętrowy. Okopcone z jednej strony pudło z czymś, co mogło być kominem, przypominało starą kotłownię. I było nią w istocie, kiedyś, przed paroma, może nawet kilkunastoma laty. Nikt sobie jednak nie zaprzętał nim głowy, tylko dzieci przestrzegał, by tam nie chodziły, sam mijał obojętnie i nie zaglądał do środka.

Od jakiegoś czasu zaczęto widywać tam młodych, dziwnych ludzi, ale mało kto z mieszkańców osiedla interesował się, kim są i co robią. Chodziły zresztą słuchy, że kotłownia ma zostać zburzona i mają w tym miejscu zbudować nowy, piękny budynek. Dla tych bogatszych.

Tymek zaparkował samochód przy ulicy. Wysiedli wraz z Karolem, by po chwili zmieszać się z podążającą od strony pętli autobusowej grupą mieszkańców okolicznych bloków.

Potok zmęczonych, postarzałych i wymiętych w podróży ludzi, kobiet ciągnących siatki po ziemi i przygarbionych, sztachających się dymem ojców rodzin rozdzielał się na mniejsze strumienie. Ten i ów za chwilę bąknie zwyczajowe „do widzenia”, „dobranoc”, jeszcze bardziej się przygarbi. Rzuci peta pod nogi albo na ten skrawek pod balkonem parteru, strzeżony przez krzywy płótek i mający ambicję być przydomowym ogródkiem, zniknie w jednej z ciemnych, identycznych i jednakowo cuchnących klejem i uryną klatek schodowych. A wraz z nim resztki złudzeń.

Dwaj młodzi mężczyźni oderwali się od grupy, skręcili w bok i weszli na wąską

ścieżkę prowadzącą w stronę ciemnej ściany budowli. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Po kilku chwilach stali już na schodkach, przed metalowymi drzwiami, pokrytymi liszczami rdzy.

Karol Lech nacisnął słabo widoczny przycisk dzwonka. Po blisko minucie ciężkie wierzaje uchyliły się i goście szybko wśliznęli się do środka.

- Cześć pracy! - zawołał Karol.

- Salut! - odpowiedział mu chudy osobnik bez koszulki i w krótkich, harcerskich spodkach, za to w wysokich, sznurowanych i ciężkich butach, z włosami podgolonymi na bokach i postawionymi na środku, tak jak u Lecha, w czub zwany swojsko irokezem. - Dawno cię u nas nie było!

Gospodarz wyciągnął do Tymka dłoń na powitanie.

- Kolega? - zapytał, choć nie wiadomo do kogo pytanie było skierowane. - Mateusz.

- Coś w tym rodzaju - odparł cicho Karol, a Nowak uściskał podaną mu prawicę, po czym również się przedstawił:

- Tymek.

- Z gazety?

- Coś w tym rodzaju - powtórzył znów Karol, zerkając z ukosa na policjanta.

Przez cały czas gospodarzowi towarzyszył duży, kudłaty pies nieokreślonej rasy, który łąsił się do Tymka i lizał go po rękach.

- Polubił cię - ocenił Mateusz.

Przeszli krótkim korytarzykiem do obszernego pomieszczenia, którego ściany zdobiły ogromne, kolorowe freski. Nie była to jednak byle jaka mazanina sprayem, obrazek jakże powszechny na ulicach polskich miast, a fachowa, można powiedzieć, koronkowa robota, której nie powstydziliby się chyba sam Michał Anioł - gdyby oczywiście przyszło mu mieszkać w warszawskich squacie. Mural w istocie przywodził na myśl słynne Stworzenie Adama z jego centralnym punktem, czyli dwojgiem rąk. W tym wypadku jednak dłonie się stykały - więcej: splatały się, tworząc uścisk. Jedna była czarna, druga biała, wymowa dzieła zaś - jak najbardziej czytelna.

Pod sufitem zawieszono były wydobyte skądś, historyczne transparenty; obok siebie wisiały wyblakłe: NIECH ŻYJE TOWARZYSZ JÓZEF STALIN i WYKONAMY PLAN SZEŚCIOLETNI, oraz nieco skromniejsze: UWOLNIĆ POLITYCZNYCH i WOLNA POLSKA WITA OJCA ŚWIĘTEGO - przedmioty o niewątpliwej wartości historycznej (choć niektóre mogły się jeszcze przydać). W pomieszczeniu stały również meble: stare fotele, podniszczona, ale jeszcze zdarna do użytku kanapa, słowem - wszelkie dobro, które każdego dnia można zobaczyć przy warszawskich śmietnikach.

- Nieźle, nieźle. Coraz lepiej - cmoknął z uznaniem Karol, przyglądając się wystrojowi tego miejsca.

- Staramy się - odrzekł skromnie chłopak, który przedstawił się jako Mateusz. - Chcesz mieszkać, mieszkać! Przynieś, co masz, ale zapomnij o dragach i przemocy, segreguj śmieci, dbaj o czystość. Kubeł, woda i mop według grafiku. W końcu to nasz squat!

- I cisza nocna od dwudziestej drugiej do szóstej rano - zachichotał były pracownik Uniwerteksu.

- Jak w dobrym hotelu. Albo i lepiej - dodał gospodarz i ziewnął potężnie. - Bo u nas nie trzeba bulić.

Od dużego pomieszczenia odchodził kolejny korytarz. Jego ściany zdobiły z kolei makatki. W pewnej chwili Tymonowi wydało się, że na jednej z nich błysnęła biała karteczka z ceną. Postanowił o to zapytać cicerona.

- Dziewczyny odkryły w sobie talent swoich prababek - wyjaśnił z uśmiechem. - Udało nam się nawet nabyć za psi grosz taką starą maszynę.

- I ktoś to kupuje? - zdziwił się policjant, wciąż jeszcze incognito.

- A co, brzydkie?

- Nie... - zmieształ się Nowak. - Tak tylko pytam, z czystej ciekawości.

- Powoli, ale schodzi. Na jakichś większych spotkaniach czy koncertach, razem z koralikami, jak ktoś jest akurat przy kasie i wpadnie mu taka kolorowa szmatka w oko.

W pewnej chwili pod nogami młodych mężczyzn zaroiło się od psów. Popiskiwały, merdały ogonami, duże i małe, przeważnie kundelki. Aspirant patrzył na tę całą menażerię z rozczuleniem.

Ostrożnie, by nie nadepnąć na psią łapę, ruszyli dalej. Po lewej stronie korytarza ciągnęły się drzwi. Wszystkie były otwarte i przybysz mógł sobie do woli zaglądać do każdego ze znajdujących się za nimi pomieszczeń.

W pierwszym jakaś młoda para leżała na podłodze, na wojskowych materacach. Oboje spali, czule do siebie przytuleni. Ładna dziewczyna miała czarne włosy poskręcane w dredy, jej towarzysz nosił taką samą fryzurę, choć włosy miał jasne. Obok ich leżały nierozpakowane plecaki, na ścianie wisiała trójkolorowa flaga z czarną podobizną Boba Marleya.

- Wrócili dziś po południu stopem z festiwalu w Gdańsku - wyjaśnił szeptem Mateusz. - Maniacy rastafariańskiej muzy, nie znam większych! Może w przyszłym roku uda nam się zrobić taki koncert tutaj...

Poszczególne pomieszczenia przedzielone były dyktą. Z następnego numeru dochodził dźwięk przypominający mruczenie elektrycznej maszynki do golenia.

- W następnym pokoju kiedyś mieszkali bębniarze, a potem można było bardzo tanio naprawić rower, a teraz... - zawiesił głos Mateusz.

Teraz w zamalowanym po sufit boksie siedziało dwóch chłopaków. Jeden był bez koszulki, pisał coś ołówkiem w zeszycie, nad nim pochylał się drugi, ubrany i... dziergał mu fachowo tatuaż na plecach.

Ten z maszynką przerwał żmudną czynność, kiedy zobaczył gości.

- Karl! Kopę lat! - huknął, aż głos odbił się o niski strop.

- Siemano, Radek. Przekwalifikowałeś się?

- Takie czasy, nie ma lekko - odparł tamten i pociągnął nosem. - Chcesz, zrobię ci zajebistego smoka.

- Nie przepadam za dziarami.

- To nie żadne dziary, to prawdziwa sztuka! - wykrzyknął oburzony Radek.

- Wybacz, mistrzu, ale mimo to, dzięki.

- Nie pękaj, stary! To prawie nic nie boli. Gutek ci może zaświadczyć - wskazał na swoją ofiarę, tego bez koszulki, który bez słowa i mało zachęcająco pokiwał głową, nie

przerywając swojej pisaniny. - Tylko nie można potem jakiś czas pić, nawet browara.

- To jeszcze bym jakoś wytrzymał - uśmiechnął się Karol Lech.

- To jak? A może chcesz takiego fajnego orła na karku. Albo pająka na glacy. Wszystko profesjonalnie, czysto, sterylnie... - chłopak pokazał swój tajemniczy sprzęt, nawet sięgnął po katalog, dosyć gruby album, gdzie wklejone były arkusze kalki technicznej ze wzorami tatuaży.

- Może innym razem. Karl nie ma teraz do tego głowy - Mateusz przyszedł w sukurs gościowi.

- A kolega? - Radek spojrział na Tymka, który zbladł momentalnie.

- Dzięki... - zdołał tylko jęknąć, choć pod kurtką nie przestawał czuć znajomej twardości służbowego glocka.

- Innym razem - dokończył gospodarz squatu.

- W takim razie trzymam za słowo!

- Jeszcze da sobie przekłuć nos - zaśmiał się Karol.

- Mam wzór fajnego węża, japoński. Zupełna nowość - zawołał z nadzieją w głosie Radek. - Zrobię wam za friko, w ramach promocji...

Ale oni byli już na korytarzu, po którym roznosił się smakowity zapach. Dochodził z zaimprovizowanej kuchni, niegdyś najpewniej pomieszczenia socjalnego palaczy. Pojawiły się dziewczęta. Dokładnie dwie. Mieszały warzączkami w wielkim kotle. Dosypywały coś, próbowały, kontrolowały wysokość płomienia na kuchence gazowej. Nawet nie zauważyły wejścia gości, zajęte mieszaniem gęstej i apetycznie wyglądającej

zupy, której podstawowym składnikiem była kapusta.

- Na jutro, dla całej rodziny - z dumą rzekł Mateusz. - Raz na tydzień robimy też akcję „Jedzenie zamiast bomb”. Zawsze setka ludzi z miasta się pożywi. Chodźmy dalej - zaordynował cicerero.

W głównym pomieszczeniu starej kotłowni rozbrzmiewała muzyka. Długowłosi osobnicy walili w zapamiętaniu w najpewniej własnoręcznej roboty bębny, ktoś usiłował towarzyszyć im, grając na podłączonej do starego magnetofonu typu kasprzak gitarze basowej. Jakaś bosa para wykonywała na środku afrykański taniec wiosny, mimo że za oknami była jeszcze zima. Mało jednak tak naprawdę obchodziło tych ludzi, co dzieje się za murami tego miejsca - azylu nieprzystosowanych, zbuntowanych, chcących żyć inaczej, po swojemu.

Młodszy aspirant Tymon Nowak dobrze wiedział, czym są stołeczne squaty. Działo ich kilkanaście i większość z nich była siedliskiem narkomanów i gówniarzy, którzy pouciekali z domów, więc dzielnicowi musieli często tam zaglądać. Ten adres jednak powtarzał się w policyjnych raportach.

- Po tym wszystkim zacząłem nawet żałować, że w ogóle studiowałem - powiedział Karol Lech, kiedy wraz z Tymonem usiedli wreszcie na miękkich fotelach, by odbyć obiecaną rozmowę. - Po cholere było tyle lat siedzenia w bibliotekach i dusznych salach wykładowych? Żeby być korporacyjnym sługusem?! Nie rozumiem ludzi, którzy zapisują się na dwa fakultety, zarywają noce, nie mają czasu na nic. Idzie taki jeden z drugim na uniwersytet, bo wszyscy z jego Batorego czy Reytana się tam wybierają. Ambitny, a jakże, nie żeby jakiś leser. Przyszłość ma zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach. Po studiach robota w międzynarodowym koncernie, apartament gdzieś w centrum albo bliźniak w Konstancinie, fura w garażu, dupa o wyglądzie modelki i wakacje na Wyspach Kanaryjskich, no, w najgorszym razie w Tunezji. Jeszcze nie wie, bidulek, że to wszystko pobożne życzenia... Bo takich, jak on, są dziesiątki, a może nawet setki tysięcy i dla wszystkich roboty nie będzie. Już nie ma! A absolwenci

uniwersytetu muszą sprzedawać warzywa na straganie albo po prostu spierdalać z tego kraju. Zawsze nam mówili: ucz się, dziecię, ucz! Może jeszcze ze swym dyplomem uniwersytetu dostaniesz pracę jako sprzedawca w hipermarkecie albo przy zbiorach winniczków na francuskie stoły. Zagraniczne koncerty to też nie przedszkole: wycisną cię jak szmatę, wykorzystają i wyrzucą na zbitą mordę, tak jak się stało ze mną. I to wcale nie zrobią tego Niemcy czy Jankesi, oni sobie bez powodu rączek nie brudzą. Polacy-rodacy chętnie ich w tym zastąpią. Ci, którzy dorwali się do stołków, kiedy nie trzeba było umieć niczego, tylko dobrze zawiązać krawat, trochę spikać, umieć opowiadać, jakim się jest świetnym, i znać odpowiednich ludzi. Ale to się skończyło, dawno temu. Polskie Eldorado poszło się jebać! Dopiero tu, w tej starej kotłowni, wszystko zrozumiałem. Może pójdę na kolejne studia, ale dla siebie, nie dla koncertu. Filozofię albo historię.

- Miałeś powody, aby nienawidzić dyrektora Lubskiego - stwierdził bardziej niż zapytał Tymon, kiedy Lech zakończył swoją długą tyradę.

- Sto powodów - Karol kiwnął swym czerwonym kogutem. - Ale go nie zabiłem.

- Dla formalności zapytam jeszcze o alibi.

- Wczoraj byłem cały wieczór tutaj. Owszem, mogłem jeszcze zlecić zabójstwo - Lech ubiegł policjanta z kolejnym pytaniem. - Ale nie za bardzo mam za co. Mieszkanie jest zadłużone, trzeba je będzie sprzedać. Justyna jeszcze o tym nie wie. Na razie myśli, że mój nowy wizerunek to tylko forma odreagowania po wylaniu mnie z roboty. Ale ja już wiem, że chcę żyć inaczej...

Bębniarze przestali grać, zapiszczał przeraźliwie stary kasprzak pełniący funkcję wzmocniacza gitary basowej, para tancerzy odpoczywała zmęczona na starej kanapie w rogu sali. Muzykę zastąpił gwar rozmów i śmiechy.

Wtem przez jedno z otwartych okien coś wpadło do środka i huknęło o podłogę. Była

to połówka cegły, owinięta w papier.

Mateusz szybko doskoczył do niespodziewanej przesyłki. Na papierze widniał starannie wykaligrafowany napis WON! Zapadła grobowa cisza.

Przerwał ją trzask pękającej szyby i krzyk kobiet. Kolejna cegła wpadła do środka, już bez listu. Zaczęły szczekać przestraszone psy. Na podłodze pojawiła się krew. Tymon spojrzał na Mateusza.

- Chyba znów się zaczęło - powiedział przywódca squatu.

W jednej chwili zgasili wszystkie światła i dopadli okien. Przed starą kotłownią gromadzili się jacyś ludzie. Krzyczeli, wygrażali pięściami, niektórzy trzymali płonące pochodnie, inni kamienie. Jeden, ciśnięty chyba przez kobietę, chybił celu, uderzając o zewnętrzną ścianę budowli. Z okien bloku naprzeciwko wyglądali zaciekawieni mieszkańcy.

- O co chodzi? - zapytał Nowak któregoś z bębniarzy, bo Mateusz i Karol akurat gdzieś zniknęli.

- To są ludzie, którzy wpłacili pieniądze na mieszkania w apartamentowcu - wyjaśnił brodaty muzyk.

- W jakim apartamentowcu?

- W tym, który miał tutaj stanąć. Tylko że developer spierdolił z kasą na Seszele...

Wszyscy mieszkańcy starej kotłowni rozbiegli się w popłochu. Znalazł się za to Mateusz ze swoim wiernym psem. W rękach trzymał latarkę i trzonek od łopaty. Za nim szedł Karol Lech z... siekierą.

- Zostanę, pomogę wam! - zdeklarował się Tymon, czując w sobie nagły przypływ złości.

- Nie trzeba - rzekł krótko Karol. - Przyzwyczailiśmy się do tego. Nie ma potrzeby, żebyś się w to mieszał. Zmykaj tylnym wyjściem.

Wąska ścieżka prowadziła w dół, wijąc się między jakimiś ruinami i suchymi krzakami. Idący szybkim krokiem, Tymek z nadzieją wypatrywał świateł. Zza pleców wciąż dochodziły jakieś wrzaski i odgłosy tłuczonego szkła; w pewnej chwili wydało mu się, że słyszy syrenę.

Oby to byli nasi, a nie straż pożarna - przeszło mu przez myśl.

Naraz usłyszał jakieś głosy, ale przed sobą.

- Mówiłem, żeby poczekać. Na pewno któryś będzie próbował się tędy ulotnić! - z ciemności dobiegł schrypnięty głos, któremu towarzyszył zbiorowy śmiech.

Nagle zapaliło się kilka latarek. Wszystkie promienie wycelowane były w twarz idącego. Nowak zmrużył oczy, przysłonił je ręką, co jednak niewiele pomogło.

- O co chodzi? - zapytał nie swoim głosem.

- O ciebie, brudasie - padła natychmiastowa odpowiedź. - Wreszcie zrobimy z wami porządek. Potem z Żydami i pedałami.

Tymon czuł, jak miękną mu kolana, twarz zaczyna płonąć żywym ogniem, a przez plecy co raz przebiegają ciarki, jakby kto czerwony guzik naciskał. Nie ma co. Wdepnął w minę śmierzącą jak jasna cholera.

- To jakaś pomyłka, panowie - ze ściśniętego przerażeniem gardła był w stanie

wydobyć tylko taką głupotę, w dodatku cholernie banalną.

Światła latarek zaczęły go okręzać, odcinając drogę ucieczki. Było ich pięć, może sześć. Czy przekładało się to na liczbę napastników? Pewnie nie...

- Spokojnie - rzekł, wyciągając przed siebie rękę gestem negocjatora, chociaż wiedział doskonale, że niewiele to pomoże.

Byli coraz bliżej. Już któryś splunął pod nogi z pogardą, a może w ręce, żeby pewniej kij do baseballa trzymały.

Nagle powietrze rozdarł huk wystrzału. W tej samej sekundzie jeden z napastników rozdarł się wniebogłosy.

- Kurwa!!! Moja noga!

- Ja nie strzelam najpierw do Bozi. Następna będzie prosto w łysy łeb - rozległ się twardy, męski głos. - Ale spokojnie, wrywa tylko czachę z tyłu, u wylotu kuli. Przód będzie elegancki.

Głos był znajomy!

- Wypierdalać do domu! - ryknął jego posiadacz.

Tymek nigdy nie czuł, jak trzęsie się ziemia. A teraz tak. Uciekali, aż miło. Kilka latarek upadło na ziemię, snop światła jednej wycelowany był nawet dokładnie wzdłuż ścieżki i widać było znikające w dali podeszwy kilku par adidasów.

Tymon Nowak stał bez ruchu. Nie do końca jeszcze dochodziło do niego to, co się przed chwilą wydarzyło.

- Jesteś cały, Tymon? - zapytał komisarz Konstanty Podbiał, chowając pistolet do kabury, skórzanej i zawsze przy tym skrzypiącej.

- Tak - wykrztusił z największym trudem aspirant.

- To dobrze.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza. Przerwał ją Tymon.

- Nie powinieneś być czasem w szpitalu?

- W jakim szpitalu?!

- Resortowym - odparł Nowak z poważną miną.

- Ja się nigdzie nie wybieram - zaśmiał się Kostek. - Przynajmniej nie w tej chwili.

- Nic nie rozumiem.

- Co tu rozumieć? Chcesz, żeby mnie któregoś dnia zlicytowali razem z łóżkiem albo jakąś maszyną, do której będę akurat podłączony, jeżeli ktoś wcześniej nie odetnie prądu? Przyjdzie komornik i nie będzie patrzył, czy ktoś zdycha, czy nie. Tego mi życzysz?!

- Zmieniasz temat, Kostek. Godzinę temu walczyłeś ze śmiercią.

- Ale, jak widziałeś, wygrałem. Przy okazji ocaliłem ci dupsko - mruknął Podbiał, po czym rozejrzał się dookoła. - Chodźmy lepiej, bo jeszcze tu wrócą z połową osiedla.

Ruszyli tą samą ścieżką. Nowak długo nie wytrzymał milczenia.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - zapytał.

- Może ty mi najpierw, kurwa, wyjaśnisz, gdzie się włóczysz po ciemku?! Co ze śledztwem? Masz te nazwiska?

Tymon nie odpowiedział na żadne z tych pytań. Odruchowo sięgnął ręką w bok. Jego służbowa „klamka”, która spokojnie mogłaby zostać użyta przeciwko kijom baseballowym, była na swoim miejscu...

DZIEŃ DRUGI

1

Warszawa, stacja metra Plac Wilsona, nazajutrz.

Ludzi spieszących się rano do metra można podzielić na dwie kategorie. A obie jednakowo śmieszne, szczególnie kiedy się na nich patrzy, siedząc już wygodnie w wagonie, podczas gdy pociąg jeszcze czeka na stacji z otwartymi drzwiami.

Pierwsza kategoria to „Wiecznie zaganiani”. Gdyby autobus lub tramwaj jeździł, jak kiedyś, z otwartymi drzwiami, wskakiwaliby i wyskakiwali zeń w biegu. Potem po schodach, w dół, mało jeden z drugim nóg nie połamię. Gdy zauważą, że metro czeka, wtedy przyspieszają jeszcze bardziej. Rozwiany włos, oblęd w oczach, torby i siatki w rękach przypominających skrzydła wiatraka stają się niebezpieczną bronią i strach się wtedy znaleźć w zasięgu ich działania. „Wiecznie zaganiany” dopada drzwi pociągu jak ten Bartosz Głowacki rosyjskiej armaty podczas bitwy pod Raławicami, często już w momencie, gdy słychać ostrzegawczy sygnał. Ostatni rzut, skok szczupakiem, wślizgnięcie przez zwężającą się szczelinę to umiejętność charakteryzująca każdego współczesnego Polaka - niezbędna nie tylko podczas podróży stołecznym metrem.

Kategoria druga to „Olewusy”. Nigdzie im się nie spieszy, schody i drogę na perony

pokonują niespiesznym spacerkiem, z rękami w kieszeniach i znudzonym wyrazem twarzy. Ale to tylko pozory. Kiedy „Olewus” skonstatuje, że na peronie czeka pociąg metra z otwartymi drzwiami, z których nie wysypują się podróżni, coś w nim przeskakuje, zmienia się, nieznacznie, ale zawsze, wyraz twarzy. Nie zmienia się jednak zupełnie tempo marszu. I dopiero w momencie, gdy delikwenta dzieli od drzwi pociągu zaledwie kilka metrów, następuje nagły zryw, zakończony dopadnięciem drzwi. Czasem ma to opłakane skutki - podłoga w metrze warszawskim jest zawsze czysto wypucowana, wstyd (bardziej niż strach) rzucić paperek lub niedopałek papierosa, więc nietrudno o wywiniecie przysłowiowego orła. Zazwyczaj jednak wszystko kończy się szczęśliwie i „Olewus” (któremu, jak widać, jednak zależy) dostaje się do metra.

Wybrzmiał potrójny, znajomy sygnał. Po chwili zasunęło się kilkanaście par drzwi. Pociąg ruszył z szarpnięciem.

- Następna stacja: Dworzec Gdański - z głośników popłynął aksamitny, choć trochę zniekształcony głos lektora.

Komisarz Kostek Podbiął przymknął oczy. Siedział na swoim ulubionym miejscu, otoczony tłumem stojących ludzi, ale bezpieczny, w pewien sposób odizolowany. Owe ulubione miejsca Podbiąła znajdowały się na obu końcach każdego przedziału, ale tylko w wagonach produkcji rosyjskiej. Dwa miejsca były przedzielone przestrzenią na niewielki bagaż, dzięki czemu można było uniknąć stykania się nogami z innymi pasażerami. Pół biedy, gdy była to ładna panienka, ale Kostek dostawał szewskiej pasji, gdy musiał zajmować miejsce obok jakiegoś byczona, który nie potrafił siedzieć inaczej jak z rozkraczonymi szeroko nogami.

Czasem niewinne, przelotne muśnięcie, czyjś sterczący jak garb, wypchany plecak, futerał z laptopem lub torebka majtająca się swobodnie i objijająca się o bok, uda, plecy sąsiada - wszystko to wyprowadzało go z równowagi. Drętwiał wtedy, odsuwał się jak tylko można było najdalej. Dygotał wręcz z obrzydzenia, gdy ktoś siadał zbyt blisko, wbijał szpikulec parasola lub łokieć w bok, przygniatał połą marynarki lub płaszcz,

głośno chrząkał, cmokał, kaszłał, ciamkał, kichał, pociągał nosem bądź wydmuchiwał w brudną chustkę twardniejące smarki.

- Następna stacja: Ratusz Arsenał.

Aby tego wszystkiego uniknąć, komisarz Konstanty Podbiął potrafił nadłożyć drogi, cofnąć się, wsiadając do metra kilka stacji wcześniej. Mieszkał na Bielanach; położenie jego domu i układ komunikacyjnych linii pozwalały dotrzeć aż do pięciu kolejnych stacji. A jako że na Placu Wilsona, tak jak wczoraj, często nie dawało się już wsiąść do środka, policjant podjeżdżał autobusem aż do stacji Stare Bielany. Tam miejsca siedzące były zawsze. Prawie zawsze.

Kiedy już zajął swoje ulubione, to albo drzemał, albo dyskretnie przyglądał się ludziom. Choć zima, jak to zima, powodowała, że ludzie więcej zakrywali niż odkrywali, zawsze można było, jak to pięknie nazywał naczelnik sekcji Musiał, „poczynić wartościowe obserwacje”.

Choć wczoraj wieczorem Kostek dotarł do domu dość późno, a zasnął jeszcze później, już dobrze po północy, czuł się wyjątkowo świeży i wypoczęty. Nie chciało mu się spać. Aż dziw, że jeszcze kilkanaście godzin temu... Nieważne. Lekko tylko szumiało mu w głowie, zawroty nie powtarzały się, można było z czystym sumieniem iść do roboty.

- A wczoraj podobno niezła awantura na Górczewskiej była - uszu Kostka doszedł strzęp rozmowy.

- Słyszałem. Jakiś pijany gliniarz o mało nie wystrzelał połowy bloku.

- Ja pierdolę! Już nie da się żyć spokojnie w tym mieście...

- Święte słowa.

Podbiał zacisnął zęby. Zrobił to, żeby nie zacisnąć pięści. Jednak rozmowa przycichła. Słysząc było tylko stukot kół toczących się po szynach i furkot powietrza wpadającego do środka przez nieliczne uchylone lufciki.

Naraz odezwał się dzwonek telefonu. Kostek drgnął nerwowo. Metro było tym środkiem publicznego transportu, gdzie nie można było rozmawiać przez komórki. Jedynie podczas postoju pociągu na stacji, bo tylko tam był zasięg. Ale już na powierzchni było to prawdziwą plagą. Ludzie zawsze gadają przez komórki, a właściwie nie gadają, a wrzeszczą, jakby mieli na linii Nowy Jork, i to za czasów Bella! Do tego operatorzy sieci prześcigają się w promocjach, dając coraz więcej darmowych minut, przez co człowiek, jadąc od pętli do pętli, poznaje czasem całe życiorysy panien, nawet ze szczegółami w rodzaju liczby orgazmów.

Inna sprawa to „melomani” - przypomniał sobie Kostek. Siada taki niedaleko, nawet nie obok. Z początku słysząc dźwięk, jakby to upierdliwa mucha obijała się o szybę. Ale to młodzież muzyki słucha. Dobrze powiedziane: muzyki! Monotonna łupanina, jakby kompozytor nagrał kilka taktów, potem tylko wcisnął opcję „powtarzaj”, a sam poszedł zapalić papierosa albo wysrać się. Na własny użytek Podbiał nazywał podobnych osobników „Bezmózgami komunikacyjnymi”. „Bezmózg komunikacyjny” (metro nie chroni przed tym, niestety) słucha tego czegoś zawsze z potencjometrami rozkręconymi na full, dzięki czemu słyszy to bardzo dobrze również cały tramwaj, autobus, a nawet wagon. Po takiej jeździe „meloman” zresztą już nic zupełnie nie słyszy, ale może o to właśnie chodzi...

„Meloman” wysiada. Ale zaraz tarabani się dziadunio albo babcia i akurat nad tobą musi zawisnąć, dysząc jak lokomotywa z wiersza Tuwima. Na kogo wypadło, na tego bęc! Trzeba wstać. Człowiek nigdy chyba nie pozbędzie się z siebie smarkacza. Za dwa przystanki emeryt opuszcza tramwaj lub autobus, można usiąść znowu. Z tyłu wolne miejsca, ktoś je po chwili zajmuje. I nie ma, kurwa, bata, żeby się nie złapał, młody czy stary, twój oparcia i nie ciągnął za nie, mało nie wyrwał z podłogi, upuszczając

dupsko na siedzisko! Czy to nie można normalnie usiąść? Za każdym razem oczami wyobraźni Kostek Podbiał widział, jak jeden z drugim łapie się wcześniej umyślnie poluzowanej poręczy i leci na pysk, a raczej na plecy, ale pysk lepiej brzmi. Jak w głupawym telewizyjnym sitcomie, z Cezarym Pazurą w roli głównej i śmiechem puszczanym zza kadru...

- Źle się pan czuje?

Kostek Podbiał zamrugął oczami. Siedząca obok starsza pani przyglądała mu się z zaniepokojeniem.

- Nie - szepnął po chwili.

Może jednak wrócić do domu. Albo do szpitala? - pomyślał z trwogą.

Prawda bowiem była taka: Konstanty Podbiał miał nerwy w strzępach. Było tak, od kiedy jego małżeństwo z aktorką Katarzyną Rawską zaczęło zmierzać ku nieuchronnemu końcowi. Jeden szczegół, który właśnie kątem oka, przesuwając się ku wyjściu, zauważył, boleśnie mu o tym przypomniał: piękna czerwona róża w rękach młodej dziewczyny, siedzącej naprzeciwko. Ona już świętowała, zaskoczona przez chłopaka romantyka, obdarowana pod domem lub szkołą.

Dziś Warszawa świętowała Walentynki - anglosaski dzień zakochanych, przez jednych uwielbiany, przez innych nienawidzony, ale z roku na rok coraz bardziej popularny, może też dlatego, że obchodzi się go w samym środku zimy...

Poszarzały tłum porannych wyrobników parł we wszystkich kierunkach, dlatego Kostek postanowił przeczekać największą jego falę, przyglądając się w spokoju odjeżdżającemu w stronę centrum składowi. Gdy para czerwonych świateł zniknęła w czeluści tunelu, a powietrze na peronie na powrót się uspokoiło, mężczyzna ruszył ku wyjściu na powierzchnię. Ruchome schody były nieczynne, więc zaczął piąć się powoli

po zwykłych, zbrukanych już błotem i śniegiem. Czuł, że każdy krok sprawia mu coraz większą trudność. Nie ma się co oszukiwać: wydarzenia ostatnich dni kosztowały go sporo zdrowia.

- Zapraszam. Zapraszam państwa! - rozległ się męski, stłumiony głos.

Głos ów dochodził z wnętrza wielkiego, wykonanego z jakiegoś tworzywa serca, które na ludzkich nogach stało u wylotu jednego z korytarzy. Organ miał też parę rąk, które rozdawały ulotki.

- Zapraszam.

Głos był znajomy. Dudniący, odrobinę zniekształcony, ale znajomy!

Podbiał odebrał podaną mu ulotkę (która okazała się zaproszeniem na walentynkową dyskotekę w jakimś klubie, oczywiście po promocyjnej cenie „dla dwojga”), ale nie odchodził. Na początku udawał, że dokładnie studiuje treść ulotki, tymczasem nastawił uszu, by jeszcze raz posłyszeć słowa szczerzej zachęty i spróbować przyporządkować delikwentowi konkretną twarz; ta zresztą była częściowo widoczna, bowiem serducho miało oczy, nos oraz uśmiechnięte usta i to właśnie stamtąd spozierały czyjeś oczy.

- Zapraszam państwa, bardzo serdecznie. Proszę.

Jakaś objęta czule para minęła serce; dziewczyna trzymała w ręku wielkiego, czerwonego lizaka, oczywiście również w kształcie serca, z białym, lukrowanym napisem WALENTINE'S DAY, chłopak leniwym ruchem sięgnął po ulotkę. A Kostek Podbiał już wiedział, kto kryje się między komorami.

- Cześć, Andrzej.

Spod skorupy dobiegło ciche przekleństwo. Po chwili, jakby w rezygnacji rzucone:

- No cześć.

- Co ty odpierdalasz?

Całe szczęście, że podkomisarza Andrzeja Rudzkiego chroniło przebranie. Inaczej spaliby raka; może nawet byłby bardziej czerwony niż tworzywo, z którego wykonana została skorupa, pod którą się ukrywał.

- Od razu mówiłem, żeby mi nie kazali stawać w tym miejscu - rzekł ze złością. - Ale nie było bata! Wszystkie inne miejscówki chapnęli inni, studenciaki i emeryci. Ci ostatni to nawet szybciej, bardziej zaciekli. Jakby się kto, kurwa, zmówił. No to stoję i modlę się, żeby nikt mnie nie obczaił. Ale musiałeś się napatoczyć ty...

Rudzki był oficerem świeżo po szkole w Szczytnie, dopiero organizującym sobie życie w stolicy (choć urodził się w tym mieście), w dodatku obarczonym żoną i dwojgiem malutkich dzieci. Wyglądający, podobnie jak Tymon Nowak, na licealistę, względnie studenta pierwszego roku śledczy często wspominał w gronie kolegów, że nie wyrabia finansowo. Wiele mówiło się o korupcji wśród policjantów, będących często na garnuszku mafii (najbardziej chodliwym towarem, który można było wynieść z Pałacu Mostowskich, była informacja), więc słowa takie z pewnością musiały wzbudzić jeżeli jeszcze nie nieufność czy zaniepokojenie, to z pewnością zainteresowanie. Ale podkomisarz Andrzej Rudzki był jak kryształ: nie dość, że nie współpracował z bandytami i pewnie nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby to zrobić, to jeszcze nie pił i nie palił. Do tego całkiem dobrze strzelał. Po prostu ideał!

Teraz jeden z najbliższych kolegów z pracy odkrył jego tajemnicę.

- To legalne? - zapytał Kostek.

- Co? Mów głośniej, bo ja w tym gównie nic nie słyszę! - zawołał Rudzki, by po

chwili się zreflektować. - Albo lepiej nie. Nic nie mów.

- Pytałem, czy to legalne - naciskał, mimo to, oficer.

- Cholera wie. Chyba nie.

Chwila ciszy. Ciężkiej jak pewnie to całe kretyńskie przebranie.

- Spokojnie, nikomu nic nie powiem - uspokoił Andrzeja Podbiał.

- Nie miałem wyjścia... - jęknął podkomisarz. - A płacą całkiem nieźle jak na tego typu szopkę. Grzech było nie wziąć!

- Rozumiem.

- Na pewno?

- Andrzej, oddychaj nosem - zaśmiał się Kostek, by za chwilę zmarszczyć brwi i przybrać urzędowy niemal ton: - Ale jutro jesteś w firmie?

- Jeszcze dziś! - zawołał Rudzki, na co odchodzący już w stronę fontanny przy kinie Muranów Podbiał uniósł rękę, nie odwróciwszy się.

2

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 10.05.

- Opanuj się, człowieku! - syknął Nowak z pretensją. - To nie telewizor ani automat do gier, a nowy dostaniemy najwcześniej za dwa lata.

Podbiał opadł ciężko na oparcie obrotowego krzesła i westchnął. Siedzieli we dwóch

przed monitorem komputera, który usiłował bezskutecznie połączyć się z Internetem.

- To cholerstwo otwiera się z pół godziny - denerwował się komisarz.

- Spokojnie.

Do pracy dotarli niemal jednocześnie; Kostek wdrapał się na piętro dokładnie w momencie, gdy Tymon mordował się z wiecznie zacinającym się zamkiem w drzwiach. Chcieli pogadać o wczorajszym incydencie, ale chwilę po wejściu do pokoju uwagę obu policjantów przykuła żółta karteczka naklejona na monitorze komputera: adres na stronie You Tube, a pismo należało do Konieczki.

Był to powszechny sposób porozumiewania się między śledczymi.
NIEPOTRZEBNIE TY SIĘ MIOTAŁ I QURWAMI RZUCAŁ. ZNALAZŁEM TEN RAPORT. Albo: STARY WNERWIONY. UNIKAĆ NIŻSZYCH REJONÓW. Krótko i treściwie, wzorem innych biur warszawskich, post-ity, zwane też sklerotkami, znajdowały szerokie zastosowanie także i w Pałacu.

- O co może chodzić? - zastanawiał się głośno Kostek, zalewając wrzątkiem kawę rozpuszczalną w duraleksowych filiżankach. - Pewnie jakieś rozebrane lale albo...

Przerwał mu telefon terkocący na biurku. Oficer sięgnął po słuchawkę.

- Podbiał, słucham.

- Konieczko - odezwał się konfidencjonalny szept kolegi z sekcji. - Otworzyliście już ten filmik?

- Jurek, litości - wyjęczał Kostek. - Zawracasz nam dupę jakimiś...

W tym samym momencie rozległo się głośne klaśnięcie. Tymon, który spowodował

hałas, rozcierał dłonie, patrząc na ekran komputera.

- Syn wygrzebał to w sieci - ciągnął Konieczko. - Od razu skojarzyłem z miejscem, gdzie mieliście wczoraj robotę.

Komisarz Konstanty Podbiał uważniej przyjrzał się zdjęciu, które zajmowało część desktopu: był to jakiś budynek, sfotografowany po zmroku, najprawdopodobniej biurowiec, gdyż jednakowe światło paliło się w wielu sąsiednich oknach. Dopiero po chwili policjant rozpoznał na zdjęciu gmach biurowca przy Puławskiej, gdzie rzeczywiście wczoraj z Tymkiem byli. Zresztą zdjęcie nie było zdjęciem, tylko filmową stopklatką.

- Muszę lecieć. Powodzenia. Ziarnko do ziarna i zbierze się... barka - szepnął Konieczko i rozłączył się.

Kostek rzucił słuchawkę na widełki i jednym susem dopadł komputera. Tymon Nowak czekał z dłonią na myszy. Kliknął.

Filmik wystartował, choć z początku nie dało się zauważyć żadnego ruchu. Po chwili jednak kadr zaczął się zwięzać, a okna biurowca powiększać. Kilka sekund później tylko jedno z nich wypełniało ekran, jednocześnie operator regulował też ostrość, więc było widać dokładnie również to, co dzieje się za szybą.

- O cholera - szepnął Nowak.

Widzieli ich wszystkich jak na dłoni: uczestnicy wieczornej odprawy, zebrania - jakkolwiek by to zwać - odbywającego się w firmie Uniwertex. Czy jest wśród nich także i on, szef despota, i czy, w głowach obu policjantów kołowały się chyba te same myśli, zaraz nastąpi to, o czym wiedzieli, że nastąpi, czy może filmik przedstawia jakieś inne, wcześniejsze, odbyte w tym samym gronie, ale zakończone szczęśliwie spotkanie?

- Rzeczywiście, kawał z niego gnoja... - skomentował Kostek, patrząc na wyraz twarzy, na gestykulację dyrektora, który wypełniał teraz cały kadr.

- Był - dokończył przytomnie Nowak.

Cyfry zmieniające się u dołu wskazywały, że do końca filmu pozostało pięć sekund. Kostek i Tymon jak jeden wstrzymali oddech. Film się skończył. Na pierwszy rzut oka nic nie niepokoiło w tym widoku: Lubski siedział wygodnie rozparty w swoim dyrektorskim fotelu. Wzrok mężczyzny był nieruchomy, usta zaś wykrzywione w dziwnym grymasie. Niewielki, okrągły otwór na czole, nieco ponad prawą powieką. Mógł być skazą na filmie. Gdyby nie to, że cienką, wyraźną strużką płynęła z niego krew...

- Nie wierzę - rzekł cicho Kostek. - Ktoś nas robi w bambuko. Pewnie ten gówniarz Konieczki, za podszeptem swojego starego.

Nowak kliknął myszką i policjanci obejrzelik filmik po raz drugi. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Zalana wrzątkiem kawa stygła, a oni gapili się w monitor jak dzieci przed dwudziestoma laty, które po raz pierwszy w życiu widziały komputer, a w nim grę w „Owocowego Franka”, gdzie za podkład muzyczny robiła wygrywana fałszywie Sonata księżycowa Ludwiga van Beethovena.

Z tego stanu odrętwienia wyrwał ich szef dochodzeniówki, podinspektor Bronisław Musiał, który bez słowa (i pukania) wtoczył się do gabinetu.

- Dzień dobry panom - rzucił od progu.

Skinęli głowami w pozdrowieniu, po czym ponownie wlepili wzrok w zakurzony monitor. Komuś, kto nie znałby panujących tu zwyczajów, pewnie nie spodobałby się sposób, w jaki potraktowano przełożonego. Naczelnik Musiał skierował swe kroki ku podwładnym, nachylił się nad nimi niczym nauczyciel informatyki.

Na miejscu Kostka i Tymona każdy przyłapany na takiej czynności biurowy, nie tylko warszawski, wyrobnik najpewniej struchlałby, zapomniał języka w gębie, zapadłby się w fotel bądź modlił o przebudzenie z koszmaru. Buszowanie w Internecie w godzinach pracy bowiem urastało już do prawdziwej plagi i było tępione z największą surowością. Firmy zakładały nawet na komputery specjalne filtry, których zadaniem było nie dopuszczać do połączenia internauty z najbardziej odciągającymi od pracy stronami w sieci, przede wszystkim z portalem, gdzie szukało się szkolnych znajomych, czy platformami aukcyjnymi, albo też bez pardonu odcinały niektóre programy, przez co nie można było oglądać śmiesznych filmików ani słuchać muzyki. Każdy firmowy boss doskonale jednak wiedział, że wysiłek mający na celu ochronę dziecka przed pornografią w sieci to nic w porównaniu z próbą odcięcia pracownika od shortów, darmowych MP3 lub pogawędek z dawno niewidzianymi kolegami lub koleżankami ze szkolnej ławy.

Podinspektor Musiał, który czasami wydawał się zupełnie ślepy i głuchy, więc trzeba było naprawdę wielkiej afery, żeby wyprowadzić go z równowagi, a poza tym sam był wielkim fanem Internetu, jeszcze niżej pochylił się nad ekranem. Od razu poczuli słodki zapach tytoniu, gdyż inspektor był też namiętym palaczem fajki, a gustował w tytoniach owocowych: śliwce, jabłku i wiśni.

- Co jest? - zapytał niegłośnie, jakby od niechcenia.

- Nic - rzucił Kostek przez zęby.

- Ale chyba mamy w mieście nowego psychola - dokończył Tymek.

3

Warszawa-Mokotów, kilka minut przed południem.

Skrzyżowanie ulic Puławskiej i Rakowieckiej zalane było ostrym, wiosennym już

słońcem. Ludzie szli trotuarami jakoś wolniej niż zazwyczaj, wydawało się też, że dookoła jest ciszej. Samotny mężczyzna w drelichowym wdzianku z odbłaskami na rękawach i nogawkach zgarniał przy pomocy miotły zdmuchnięte z dachu drobiny śniegu. Nieco dalej przechadzały się wszędobyłskie gołębie, porównywane przez niektórych mieszkańców tego miasta do szczurów.

Na niewielki dziedziniec, którego strzegły dwa siedzące kamienne lwy - jedyna (zresztą ocalona w wyniku niezwyklej determinacji garstki zapaleńców, przechowana przez nich gdzieś na własny koszt) pozostałość po istniejącym w tym miejscu jeszcze kilka lat temu kinie Moskwa, wylegli pracownicy okolicznych biur. Popalając samotnie lub w niewielkich grupkach papierosy, przyglądali się światu, który pędził dokądś, może bez tchu, może bez celu, ale na pewno wolny. W przeciwieństwie do nich, których czas na wychnienie odliczał zar zbliżający się bezgłośnie a nieuchronnie po bibule w kierunku papierosowego filtra.

Konstanty Podbiał i Tymon Nowak stali przed biurowcem i w milczeniu przypatrywali się okolicy. Jakaś rozkrzyczana grupka uczniów, na oko dwie klasy, zmierzała w stronę wejścia do kina. Energiczne panie nauczycielki usiłowały zapanować nad rozbiegającą się co raz na boki hałastrą. Patrząc na ów powszechny obrazek, komisarz Kostek Podbiał uświadomił sobie, zresztą bardzo boleśnie, dwie rzeczy. Że oto znów stracił okazję na zostanie ojcem (a chciał tego ponad wszystko i niech sobie kto myśli, co mu się podoba). To po pierwsze. A po drugie, że właściwie już nie pamięta, kiedy był ostatnio w kinie...

Z przystanku ruszał w stronę centrum miasta tramwaj linii 18. Był cały oblepiony papuzimi reklamami, w środku obu wagonów było niemal czarno od pasażerów.

- Zawsze się zastanawiam nad jedną rzeczą - rzekł Tymon, odprowadzając wzrokiem rozpędzającą się osiemnastkę.

- No?

- Kto w Polsce pracuje, skoro w południe nie można dostać się do tramwaju?

Rozumiem: staruszkowie, studenci, matki z dziećmi, bezrobotni...

- Płatni zabójcy - wszedł mu w słowo Kostek, zachowując przy tym twarz kamienną jak te dwa lwy strzegące wejścia do kina. - Albo niepłatni amatorzy strzelania do żywego celu, rzekłbym: koneserzy, nie mniej efekt jest zawsze taki sam.

Jak na komendę (zdarzało się to coraz częściej, a rokowało chyba dobrze) unieśli głowy w stronę, skąd padł strzał. I skąd, wiedzieli to od kilkudziesięciu minut, nakręcono także makabryczny film, zamieszczony następnie w sieci. Czy zabójca i operator to ta sama osoba? Czy może jednak było ich dwóch? Psychol działa zawsze sam, to prawda znana od zarania dziejów. Jak jednak mierzyć jednocześnie z karabinka snajperskiego, patrząc przez lunetę, i robić zbliżenie, ustawiać ostrość w kamerze?

Tymi i innymi pytaniami przierzucali się przez całą drogę z Andersa na Puławską. To już nie była zwykła sprawa o zabójstwo, jakich co dzień wiele przynosi, choć to brzmi dość niefortunnie, życie. Życie w tym mieście. To była już frapująca zagadka i grubsza afera, jak to zresztą z miejsca skwitował ich przełożony Musiał, nazywany czasami, za sprawą swoich tytoniowych przyzwyczajień, Sherlockiem Holmesem. Nie zmieniało to jednak faktu, że zagadkę kryminalną mieli do rozwiązania dwaj zwyczajni gliniarze.

- To musi być ta kamienica - Podbiał wskazał ruchem głowy budynek po drugiej stronie ulicy. - Właściwie dobrze, że wczoraj nie dokończyliśmy sprawy.

- Czemu? - zdziwił się aspirant.

- Musielibyśmy teraz znów wspinać się schodami na samą górę. Bo zakładam, że tu nie ma windy.

Ale była. Stara, pewnie jeszcze przedwojenna, umieszczona w charakterystycznym,

okratowanym szybie, okolonym marmurowymi, pachnącymi czystością schodami.

Po naciśnięciu guzika rozległ się metaliczny, spotęgowany przez echo trzask i dźwig rozpoczął jazdę na dół. Zza którychś drzwi na parterze dobiegło szczekanie psa, przez szparę w drzwiach mieszkania naprzeciwko zlustrowała gości para czujnych, starczych oczu. Uszu Kostka doszedł strzép dobiegającego z radia hejnału. Dwunasta. Momentalnie poczuł się głodny.

Ciekawe, co teraz robi matka? - przeszło mu jeszcze przez myśl. W tym samym momencie winda dotarła na parter.

- Voil? - rzekł Tymon, otworzywszy drzwi.

Gdy Podbiał zrobił krok do przodu, podłoga dźwigu lekko się zapadła; było to spotykane w starych dźwigach, uniemożliwiało puszczenie ich w jałowe kursy, choć nie należało do rzeczy najprzyjemniejszych dla pasażera.

- Pan życzy? - błaznował aspirant; Kostek tylko przewrócił oczami.

- Rozumiem, że do emerytury będziesz dorabiał jako windziarz w Pałacu Kultury? - rzucił nie bez złośliwości.

- Albo w czymś o wiele wyższym, co dopiero nam postawią - odparł Tymeek półgębkiem. - A jak twoje plany?

- To znaczy?

- Słyszałem, że dostałeś ciekawą propozycję.

- Znaczy skąd?

- Z telewizji.

- Spadaj! - prychnął Kostek.

Tymek Nowak nacisnął z pietyzmem najwyższy guzik. Winda szarpnęła i ruszyli ku górze.

Podbiał zamyślił się. Tak, dostał ostatnio taką propozycję. Żeby zostać prowadzącym program detektywistyczny. Któżby bowiem zrobił to lepiej niż gliniarz, a do tego mąż aktorki? Oczywiście, nie on sam tak sądził, tylko tak mówiły przydupasy telewizyjnych bossów, którzy do niego wydzwaniali. Rozmowa jednak nie doszła nawet do kwestii pieniężnych, gdyż Kostek kazał im spierdalać. Użył, rzecz jasna, innych, bardziej kulturalnych słów, ale wtedy mało brakowało, a wybuchłby. Nie było wątpliwości, komu mógł zawdzięczać ów honor. Ale nie chciał nic od Kaśki. Już nie.

W parę chwil znaleźli się na ostatnim piętrze. Kilka dodatkowych, wyslizganych schodków prowadziło na strych, do którego dostępu strzegł jedynie zardzewiały skobelek. Nowak podważył go krawędzią scyzoryka, z którym się nigdy nie rozstawał; chodziło o ewentualne odciski palców, które mógł zostawić killer.

Na strychu huczał wiatr i słychać było gruchanie gołębi. Podłoga niepokojąco skrzypiała pod podeszwami butów. Podeszli do pierwszego okna. Nowak wyciągnął z torby pożyczonego wcześniej laptopa, włączył urządzenie, chwilę czekał na połączenie z Internetem. Wreszcie na ekranie pojawił się znajomy obraz.

- Cholera - zaklął Podbiał. - Chyba za wysoko. I jakby trochę bardziej w lewo.

Tymon w milczeniu spoglądał to na film, to za okno, przekrzywiając przy tym głowę jak zblazowany stylistka.

- Rzeczywiście. Nie pasuje - zgodził się. - Trzeba szukać gdzie indziej.

Kostek Podbiał jeszcze raz ogarnął wzrokiem całe pomieszczenie. Był to zwyczajny strych, jakich wiele w tym mieście, nieco zaniedbany. Pewnie latem ludzie suszą tutaj pranie, dzieciaki pokazują sobie nawzajem, często po raz pierwszy, swoje genitalia, a młodzież spotyka się na alkoholowych lub narkotykowych schadzkach.

A przecież Kostek całe życie marzył o mieszkaniu właśnie w takim miejscu. Nieważne było miasto, nawet kraj - grunt, że był strych! A w środku kochająca kobieta. Jakie to banalne. Ale tak było!

Teraz czuł, że znów zapada się w bezdenną dziurę, której na imię czarna rozpacz. A na drugie Katarzyna. Wielu ludzi wiedziało, co w ostatnim czasie działo się u Kostka. I, jak zwykle w takich przypadkach, każdy pocieszał, na swój sposób, nachalnie i dyskretnie, na trzeźwo i po kilku głębszych, za każdym razem jednakowo bezskutecznie.

Ale się przynajmniej starają; ciągną na piwo po służbie albo wódkę w środku dnia - pomyślał z wdzięcznością. A to przypominają sobie o samotnej kuzynce, co to też się liże ze świeżych ran... Kostek złapał się na tym, że przestaje zauważać zmiany pór roku, choć zwykle wyczulony był na najdrobniejsze metamorfozy przyrody. Coś w nim pękło nieodwracalnie.

Nigdy, tak jak teraz, nie odczuwał upływu czasu. Upływ to zresztą za mało, zbyt pięknie powiedziane. Czas w tym mieście gnał przecież jak chyba nigdzie indziej. Kiedyś czterdzieści pięć minut lekcji w szkole wydawało się wiecznością, dziś czterdzieści pięć dni mija niczym chwila, którą trudno by było zauważyć, gdyby nie konieczność płatności za czynsz, telefon, kredyt, cholera wie, co jeszcze. Najgorsze jednak było to, że z każdym dniem wiotczały mięśnie, słabły kości, przytępiał się słuch, otłuszczały ściany naczyń.

Konstanty bał się najbardziej starości i wszystkiego, co ze sobą niesie.

- Idziesz? - wyrwał go z odrętwienia głos partnera.

- Tak. Jasne - odpowiedział gardłowo. - To nie to miejsce.

W dół zbieżali już pod schodach, wyglądając przez okna klatki schodowej, by porównać widok z filmem, który już na dobre wrył się obu w pamięć. Nic się jednak nie zgadzało.

- To musi być jedna z kamienic na Rakowieckiej - spekulował Podbiał.

- A jeśli była dobra luneta, to nawet gmach... naszego ministerstwa! - wypalił Nowak.

Wyszli na powietrze. Słońce skryło się w międzyczasie za chmurą i świat nie wyglądał już tak pięknie, jak jeszcze przed kilkoma chwilami. Podbiał ukrył ręce głęboko w kieszeniach dzinsów, postawił kołnierz swojej „bomberki”, na chwilę wtulił policzki w miękkie futerko, opuszczając wzrok. To wystarczyło, żeby stracić orientację, a i na partnera nie można było w tym względzie za bardzo liczyć. Nim ktokolwiek zdążył zrobić cokolwiek, komisarz Podbiał, dokładnie na wysokości apteki, zderzył się czołowo z idącym z naprzeciwka człowiekiem.

- Przepraszam - jęknął, podnosząc szybko wzrok.

Przed nim stała młoda dziewczyna. Miała ciemne, długie włosy, pięknie kontrastujące z czerwonym kolorem ortalionu puchowej kurtki, w którą była ubrana. Przede wszystkim jednak uwagę przykuwały jej oczy: były niemal czarne, pod pięknymi łukami brwi. I przerażająco wręcz smutne.

- To ja przepraszam - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem, po czym w mgnieniu oka minęła Kostka.

- Jesteś cały? - zarechotał Tymek.

- Cały - powtórzył drewnianym głosem komisarz. - Chodźmy.

Drzwi klatki schodowej były otwarte, więc bez problemu weszli do środka. Nie czekając na windę, zgodnie ruszyli w górę po schodach. Na półpiętrze między trzecią a czwartą kondygnacją Kostek przysiadł na parapecie. Lekko wychylił się.

- To chyba to - zawyrokował. - Daj kompa.

Porównali zdjęcia z rzeczywistością. Tak, to mogło być to miejsce.

W pewnej chwili Podbiał zerwał się z parapetu, jakby nagle sobie uświadomił, że tenże jest świeżo malowany, po czym, trzymając ręce przy ciele, nachylił się nisko niczym tropiący wyżeł. Niczego jednak nie udało mu się znaleźć.

- Zebrać odciski palców ze wszystkich pięter. Od tego pod nami w górę - wyrecytował jak na jakimś egzaminie Tymon Nowak.

- Czekaj, chyba jednak coś mam - stęknął Kostek, prostując się. - Daj mi rękawiczki.

Po chwili komisarz trzymał w ręku butelkę po małym piwie popularnej marki, którą wydobył z zakamarka między ścianą a grzejnikiem.

- Kiepsko tu sprzątają, co? - rzekł z przyganą, w której jednak nie można było nie wyczuć nutki zadowolenia.

Podniósł butelkę do nosa, powąchał.

- Świeże - ocenił.

Na butelce nie było kurzu, a na jej dnie znajdował się jeszcze płyn.

- Zawsze się zastanawiałem, czemu skupują tylko półlitrowki - powiedział Nowak, nadstawiając plastikową torebkę, w której po chwili zniknęło znalezisko. - Przecież butelki zero trzy i zero sześć to takie samo szkło.

- Nie wiem, przyjacielu - sapnął komisarz. - Ale może ta należy do zabójcy. Znałem takich, co bez piwka nie zaczynali roboty. Po prostu za bardzo im się ręce trzęsły. Może ten nasz też jest taki nerwus. I do tego zapominalski. Dziwne...

Już mieli wracać, kiedy Konstanty jeszcze raz wyjrzał przez okno.

- Ja skądś znam ten widok - powiedział, mrużąc przy tym oczy. - Już go kiedyś gdzieś widziałem...

4

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, godzina 13.20.

- Dwadzieścia minut przerwy! - przez szum sprzętu i jazgot ludzi przebił się głos kierownika planu.

Pierwsze, co zrobiła Laura Minz, to spojrzała na wyświetlacz telefonu komórkowego. Ekranik nie informował jednak ani o nieodebranych połączeniach, ani o nowych wiadomościach.

Dziewczyna westchnęła, po czym podniosła ze stolika niewielki kuferek z kosmetykami i szybkim krokiem, choć przerwę w zdjęciach dopiero co ogłoszono, ruszyła w kierunku toalet.

Od rana bolała ją głowa, więc koniec kolejnego etapu zdjęć przyjęła z wdzięcznością. Co prawda aby poprawić makijaż, wystarczyło iść do charakteryzatorek, ale o tej porze było tam gwarno jak w ulu. Laura nie była też jakoś ciekawa najnowszych plotek, a kto

jak kto, ale makijażystki i fryzjerki, zatrudnione przy telewizyjnych produkcjach, wiedziały wszystko najlepiej - choćby i to, która z serialowych postaci jeszcze pożyje, a którą czeka jakiś nieszczęśliwy wypadek, nieuleczalna choroba, wyjazd za ocean bądź, co tu kryć - tu też dobiliśmy do Zachodu - los ofiary morderstwa.

- Cześć, Lora! - rzucił jej w przelocie, z drażniącą, hollywoodzką manierą, mijany na korytarzu operator.

- Cześć - odpowiedziała, unikając wzroku mężczyzny.

Przechodząc obok palarni, poczuła zapach papierosowego dymu, który wydostawał się przez szpary w drzwiach. Stamtąd również dobiegały głosy. Rozpoznała wśród nich jeden znajomy, męski. Od razu zrobiło jej się zimno, nieprzyjemnie. Przyspieszyła kroku. Po kilku chwilach była już przed drzwiami łazienki, które pchnęła zdecydowanym ruchem.

W środku nie było nikogo. Drzwi od obydwu kabin były otwarte. Pachniało środkiem dezynfekującym, szumiała woda w jednym z sedesów; zepsutej spłuczki jakoś nikt nie chciał naprawić.

Nawet w przybytku blichtru i sławy coś może szwankować - pomyślała z rozbawieniem. A ludzie i tak myślą, że myjemy się i sikamy w łazienkach z marmuru, odkręcamy złote kurki, a gwiazda Pipsztycka codziennie kąpie się w szampanie!

- Dzień dobry - powiedziała kobiecie, której twarz zobaczyła w lustrze.

Laura ułożyła swój kuferek z kosmetykami na półeczce pod lustrem. Odkręciła kurek z zimną wodą, podsunęła dłonie pod strumień. Pochyliła się nad umywalką i dotknęła gorących policzków. Jeszcze raz. Więcej wody! Jednostajny szum. Już lepiej.

Wyprostowała się. W tej samej sekundzie zobaczyła obok swojej twarzy drugą twarz.

Serce załomotało jej w piersiach niczym duży, ciężki kamień rzucony do blaszanego wiadra.

Nim zdążyła wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, czyjeś ręce zacisnęły jej na szyi pętlę. I wtedy, już nawet gdyby chciała, nie mogła zrobić użytku ze strun głosowych.

- Co ty robisz? - powiedziała bezgłośnie albo tylko pomyślała.

Oczy nabiegły jej łzami. Nie widziała już tej drugiej twarzy.

Twarzy, którą знаła. Jej własna: policzki, usta, nos, podbródek - wszystko, zamiast odzyskać blask i ostre kontury dzięki pociągnięciom pędzelka, maskary czy szminki, rozmazało się niczym odbite w krzywym zwierciadle.

Wtedy poczuła na swojej twarzy żywy ogień. Obraz zaszedł mgłą; ta po chwili poczerniała jak zimowe niebo. Nie rozjaśnił jej już nawet blask gołej żarówki, który ukośnie przeciął kadr niczym ślad pęknięcia na szybie.

5

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 14.10.

Komisarz Konstanty Podbiał siedział przy biurku i patrzył za okno. Była piękna, słoneczna pogoda. Zima najwyraźniej dawała już za wygraną.

- Chłopaki opowiadali wczoraj, jak jedna taka przyszła zeznanie złożyć - odezwał się Tymon, nalewając wrzątek z elektrycznego czajnika do ogromnych rozmiarów kubka z niewiele mówiącą Podbiałowi nazwą i wymyślnym logo; w kubku były zawsze dwie saszetki zielonej herbaty. Tymek miał obsesję na punkcie zdrowej żywności.

- No i? - zachęcił, choć w dość specyficzny sposób, Podbiał.

- No więc sierżant wziął kajecik, długopis i pyta: imię, nazwisko, adres, data urodzenia. Dziunia podaje, jak na spowiedzi, patrząc mu prosto w oczy. Następne pytanie dyżurnego brzmi: panna? A ta odpowiada: nie, Koziorożec!

Tymon chichotał, aż nie mógł trafić czajnikiem na okrągłą podstawę.

- Łamiecie regulamin, aspirancie - zaśmiał się tym razem Kostek.

- Co?

- O oszczędzaniu energii elektrycznej nie słyszeliście?!

Popatrzyli na siebie z porozumieniem w oczach. Owszem, wszyscy słyszeli o nowych zarządzeniach. Żeby elektrycznego czajnika nie włączać, kiedy kawę czy herbatę chce zalać tylko jedna osoba. W tym celu trzeba było się... skrzyknąć. Z wegetujących komend w Polsce co raz dochodziły wieści o nowych absurdach, choć i w Pałacu dało się zauważyć, że tną. Z trzech sprzątaczek zostały dwie.

- Jak każą nam srać po ciemku, wtedy się zacznę zastanawiać - skwitował sprawę młodszy aspirant Tymon Nowak.

Zbliżał się czas obiadu. W przypadku śledczych pracujących akurat w tym pokoju Pałacu Mostowskich była to chwila na wyciągnięcie wcześniej przygotowanych kanapek. Sporadycznie schodzili do firmowego bufetu, jeszcze rzadziej do jakiejś knajpy w mieście; z tych ostatnich, najczęściej budek z coraz bardziej popularnym arabskim lub tureckim jedzeniem, korzystało się przede wszystkim podczas pracy w terenie. Taka co prawda okazja nadarzyła się właśnie dziś, ale wracający do bazy policjanci byli tak zafrapowani postępami w prowadzonym przez siebie dochodzeniu, że zupełnie zapomnieli o obiedzie.

Na szczęście Tymek zawsze miał więcej kanapek, więc często dzielił się z kolegą. Kostek pamiętał widziany kiedyś w gazecie żart rysunkowy, przedstawiający faceta idącego ulicą. Gość, gliniarz w cywilu, wymieniał w myślach wszystko to, co miał przy sobie: pistolet, kajdanki, gaz i co tam jeszcze potrzebne jest do przeżycia. Na koniec, w ostatnim dymku, stwierdzał: KURWA, ZNÓW ZAPOMNIAŁEM O KANAPCE...

- Dałeś butelkę do analizy? - zapytał Kostek aspiranta, który rozpakowywał już pierwszą kanapkę.

- Jutro będzie wynik.

- A ilu jeszcze gości masz na tej liście zwolnionych?

- Dwóch.

- Daj! - Podbiał wyciągnął rękę, do której aspirant bez słowa włożył odwiniętą do końca kanapkę. - Kiedyś zimą tylko człek mógł pomarzyć o pomidorach i sałacie, a dziś masz wszystko - stwierdził filozoficznie, przyglądając się zdobyczy.

- Plus bezrobocie i wyzysk - dodał z poważną miną Nowak, po czym przekazał Kostkowi otrzymane wczoraj w Uniwerteksie dokumenty.

- Damian Kłosowski - przeczytał komisarz, mimo że usta miał już pełne. - Kolejny niezastąpiony specjalista, który jednak okazał się być do zastąpienia.

Przedłużającą się chwilę ciszy przerwał dzwonek telefonu na biurku Tymona. Policjant podniósł słuchawkę, przedstawił się, i przez jakiś czas słuchał czyjegoś głosu. W pewnej chwili zmarszczył czoło i poczerwieniał na twarzy. Rzucił okiem na siedzącego naprzeciwko Podbiała.

- Dziękuję, rozumiem - powiedział głucho, odkładając bardzo powoli słuchawkę. W

jego wzroku znać było strach, a może raczej ból. Albo jakieś inne uczucia, jakich trudno pozbyć się osobie, która za chwilę ma przekazać drugiej niezbyt radosną informację.

- Coś się stało w hali zdjęciowej na Noteckiej - rzekł powoli, po czym dodał, jeszcze ciszej: - Na planie tego serialu...

Kostek Podbiął przestać żuć. Okruszek chleba wypadł mu z ust i wylądował na przeglądanych dokumentach.

- Tylko się nie denerwuj - rzekł Tymon, jakby oswajał jakieś dzikie zwierzę. - Na miejscu jest ekipa z Włoch i...

Ale komisarza Podbiąła nie było już w pokoju.

Nie pamiętał, jak przejechał przez całe miasto. Policyjne radio przez cały czas skrzeczało głosami, których nie rozumiał. Z komunikatów, jakie nadawano, nie potrafiłby powtórzyć ani jednego słowa. Drogę znał na pamięć. Trafiłby tam z zamkniętymi oczami. Ile to razy gnał na złamanie karku, wykorzystując wszystkie poznane skróty, z których część biegła niemal po kolejowych bocznicach. Wszystko po to, żeby być tam szybciej. Nie spóźnić się, nie pozwolić na siebie czekać ani minuty.

- Nie rób mi tego. Wszystko, tylko nie to! - powtarzał pod nosem i niczym zahipnotyzowany przerzucał biegi, naciskał gaz, sprzęgło i hamulec.

Na dobrze znany parking przed halą zdjęciową auto wpadło z impetem, podnosząc kurz i drobiny piasku, którym wysypano asfalt, gdy jeszcze leżał na nim śnieg i lód.

Komisarz Konstatny Podbiął wyskoczył z samochodu i rzucił się ku drzwiom wejściowym do atelier.

- Czy mogę prosić o autograf? - dobiegł gdzieś z boku dziecięcy głos i czyjaś ręka z

białym zeszytem na końcu zagroziła mu drogę.

Kostek zatrzymał się raptownie, zakołysał w miejscu. Przed oczami wirowały mu czarne koła. Machinalnie sięgnął po podany pisak, złożył podpis, w czym miał dużą wprawę.

- To mąż tej aktorki, gliniarz - powiedział ktoś drugi konspiracyjnym szeptem.

- Prawdziwy?

- A jak!

- A gdzie ma... różę? Albo przynajmniej czekoladki jakieś...

Nagła rozpacz chwyciła go za gardło, w oczy jakby ktoś rzucił garść soli, choć powodem tego nie było nieprzygotowanie do święta zakochanych. Zacisnął rękę na klamce drzwi, ale ich nie otwierał. Bał się. Bał się tego, co za nimi zobaczy i usłyszy, choć tyle razy otwierał kopniakiem lub wyłamywał, napierając ramieniem inne drzwi, drzwi melin czy pijackich met na Szmulkach, gdzie ktoś komuś akurat poderznął gardło, sprzedał zimną stal pod żebro lub potraktował „tulipanem”. To właśnie tym jej zaimponował. Twardy, zdecydowany, męski. Po prostu facet! A teraz, gdy jej nie było, mogło się okazać, że... nie ma jej jeszcze bardziej.

Ktoś pchnął szklane drzwi od wewnątrz. Podbiał odsunął się na bok, nadal trzymając się kurczowo klamki. Zza plastikowej ramy wychynęła głowa z odstającymi śmiesznie uszami. Dopiero po chwili policjant dostrzegł granatowy uniform portiera.

- Proszę stąd odejść! - fuknął mężczyzna.

Komisarz sięgnął po służbową legitymację. Zwykle oponenti miękli na jej widok, ten jednak tylko wzruszył ramionami. Szerzej otworzył drzwi.

- Proszę wejść. Już kilku waszych przyjechało.

Kostek wszedł do środka. W środku panował rozgardiasz, jakby za chwilę miano tu realizować kolejne zdjęcia. Ktoś ćwiczył płacz, ktoś inny wykorzystywał wolną chwilę, by porozmawiać przez telefon. Płacz jednak tym razem był prawdziwy, a rozmowa telefoniczna dotyczyć mogła tylko jednej sprawy.

Szedł przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd ma pójść. W oddali zamajaczyła czerń policyjnych, polowych mundurów, z żółtą, odznaczającą się plaketką na plecach. Pojedyncze głosy, które jeszcze przed chwilą rozróżniał, stopiły się w jeden pulsujący szum. Ktoś wołał go po imieniu, komuś po chwili ścisnął dłoń. Był na miejscu. Tam, gdzie miał być. Zawsze opanowany i spokojny, gdy pochylał się, by odchylić folię i przyjrzeć się twarzy człowieka leżącego na podłodze. Dziś nie mógł tego zrobić.

- Kwas - stwierdził jeden z policjantów, ale Kostek nie był w stanie ocenić, czy były to słowa skierowane do niego. - Ktoś najpierw ją dusił, a potem polał jej twarz kwasem. Dziewczyna wyżyje, ale o karierze aktorki może zapomnieć.

Podbiał czuł, że wracają zawroty głowy. Złapał się ręką ściany.

- Co tu robisz? - usłyszał nagle za plecami i poczuł, jakby ktoś wylał na niego wiadro wrzątku.

Odwrócił się powoli. Za nim stała Kaśka. Jej oczy nie odbiły jednak radości, jaką on miał z pewnością w swoich, widząc ją całą i zdrową. Za to dokładnie przypomniał sobie chwilę, w której zobaczył ją po raz pierwszy...

6

Mikołajki, trzy lata wcześniej, koniec lipca.

Słońce nad Bełdanami stało w zenicie, przygrzewając niemiłosiernie. Gdyby nie dość silna i rześka bryza, ciężko by było wytrzymać zarówno na lądzie, jak i na wodzie. Na szczęście po kilku dniach totalnej flauty wreszcie powiało. Jachtowi Graga droga z Rucianego-Nidy zajęła niespełna trzy godziny. Białe Tango 780 Family puło szarozieloną, poprzecinaną tu i ówdzie białymi grzywami fal tafłę jeziora.

Po dniach przymusowego przestoju, polegającego na tym, że częściej używało się czterosuwowego Johnsona niż żagli, wreszcie można było sprawdzić możliwości łódki. Mimo że jej właściciel, Adek, profesor z pobliskiego uniwersytetu, policzył za czarter niemal symboliczną kwotę, żal było nie poczuć, co staruszka Graga potrafi. Dwa razy huknęło o grot z taką siłą, że dzierżący rumpel Marek, świeżo upieczony doktor na tym samym uniwerku, który dziś, według ustalonego na wstępie terminarza, dostąpił zaszczytu sterowania jachtem, zaczął się na serio zastanawiać, czy nie zrefować grota. Wspólnie jednak zdecydowali, że tego nie zrobią. Adrenalina musi być.

O takim rejsie każdy z trójki przyjaciół marzył od lat. Nic tylko woda, wiatr i piwo. Dużo piwa. Żadnych kobiet, żadnych żon. Przynajmniej na pokładzie. W przypadku Kostka Podbiała ten ostatni punkt nie stanowił problemu, był bowiem sam i nawet gdyby chciał, nie miał z kim pertraktować warunków wyrwania się na męski rejs z Rucianego do Węgorzewa, czyli na najdłuższej możliwej trasie.

- Już „Trójkąt Bermudzki”? - zdziwił się, wychyliwszy się z kabiny z butelką piwa w rękę, trzeci z załogantów, Krzysztof; na co dzień, od niemal dekady pracował jako dziennikarz w Warszawie, jednak pochodził stąd. - Idziemy jak burza - ocenił z podziwem. - Nawet halsować nie trzeba...

Mianem „Trójkąta Bermudzkiego” nazwano akwen w pobliżu półwyspu Wierzba, gdzie mieszały się wody trzech jezior: Bełdan, Mikołajskiego i największego na Mazurach, dorównującego wielkością małemu morzu, jeziora Śniardwy. Widać je nawet było przez dłuższą chwilę, po prawej stronie: ciemne, niemal granatowe. Tam z

pewnością nie obyłyby się bez konieczności refowania największego żagla.

Załoga białego Tanga miała jednak inne plany: dopłynąć do Mikołajek.

Po upływie niespełna pół godziny na horyzoncie zamajaczyły pierwsze budowle miasteczka: wieża kościoła ewangelickiego i druga, dużo wyższa - ciśnień. W tej samej chwili przed dziobem jachtu pojawiło się istne mrowie białych żagli. Wszystkie należały do łodzi jednej klasy - omega, i umieszczono na nich te same napisy reklamowe.

- Kolejne mistrzostwa Polski, tylko nie wiem, czyje - rzucił od niechcienia Krzysiek. - Mistrzostwa dziennikarzy będą za dwa tygodnie, więc to pewnie aktorzy - dodał po chwili zastanowienia.

Kostek mocniej pociągnął za szot foka, wychylając się jednocześnie nieco za burtę, by cokolwiek zobaczyć. Rzeczywiście, wyglądało to bardzo malowniczo. Trochę inaczej zapewne rzecz przedstawiała się w samym środku wyścigu.

- Zamiast potraktować to, jak zabawę, oni biorą wszystko na serio - tłumaczył ze swadą dziennikarz. - Kołek w zęby i nie ma zmiłuj! Jakieś wyzwiska, protesty, donoszenie na siebie do sędziów, że ktoś dotknął burtą bojki przy zawracaniu. Po prostu walka na śmierć i życie. Do tego stopnia, że przywożą własne liny, talie, a redakcje specjalnie zatrudniają na kilka dni zawodowych sterników, żeby tylko wygrać te mistrzostwa. Pewnie tak samo jest wśród aktorów. Kogo nie chcą fotografować, odbija sobie, udając wilka morskiego. A teraz pewnie mają bieg długodystansowy. Tylko dla orłów - zakończył pan redaktor, po czym pociągnął z butelki solidny łyk piwa.

Omegi płynęły pod wiatr i musiały halsować, minęło więc sporo czasu, nim przecięły się kilwatery Gragi i żaglówki prowadzącej w wyścigu. Jej załoga ubrana w jednakowe czerwone koszulki i takiegoż koloru czapeczki z daszkiem i jakimiś napisami uwijała się jak w ukropie; dwie panny balastowały, wystawiwszy kształtne tyłki daleko za burtę. Męski głos coś pokrzykiwał, walka trwała więc na całego.

- Ty, Krzysiu, pewnie masz wstęp na dzisiejszą bibę - stwierdził bardziej niż zapytał Mareczek.

- Daj spokój! - machnął ręką dziennikarz. - Mam ich dość na co dzień, komediantów. Nie będę sobie podczas urlopu dupy zawracał...

Nagle rozległ się łopot żagla, przypominający odgłos falującego arkusza cienkiej blachy. Spojrzeli w stronę, skąd dochodził niepokojący dźwięk. Płynąca na czele wyścigu omega z numerem osiem stała w linii wiatru. Na jej pokładzie trwało jakieś zamieszanie. Ścigające ósemkę pozostałe żaglówki nieuchronnie zbliżały się do niej.

W pewnym momencie sternik odbił gwałtownie rumplem, by złapać wiatr. Udało się. Podmuch był jednak na tyle duży, że zaczął przechylać łódź. Coś szwankowało w komunikacji na pokładzie; załogant najpewniej nie puścił w porę talii, czego efekt mógł być tylko jeden. W mgnieniu oka maszt omegi trzasnął o taflę wody...

- Człowiek za burtą! - krzyknął Kostek.

- Płyniemy do nich - zdecydował Marek, po czym, zgodnie z procedurami, zaczął wydawać kolejne komendy: - Oko na człowieka. Przygotować się do zwrotu przez sztag. Lewy foka szot luz. Prawy foka szot wybierz...

W kilka chwil Graga była przy omedze, która na szczęście nie zrobiła „grzyba”. Cała załoga znajdowała się w wodzie. Na szczęście wszyscy mieli na sobie kamizelki ratunkowe.

- Podniesiemy się sami! - zawołał sternik ósemki.

Mężczyzna już podkładał koło ratunkowe pod tom masztu. Po chwili płynął w kierunku miecza. Tylko towarzyszące mu dziewczęta za bardzo nie wiedziały, co robić.

Szczególnie jedna z nich była w kiepskiej formie. Prychała wodą, trochę bezradnie poruszała rękoma. Była też najbliżej burty Gragi. Kostek nie zastanawiał się długo.

- Wskakuj! - zawołał.

Dziewczyna uniosła rękę. Podbiał chwycił ją za mokry przegub i mocno pociągnął ku górze.

- Dzięki - wyszeptała siniejącymi wargami.

Tymczasem omega została podniesiona. Mimo że reszta załóg była już daleko, sternik zdecydował się kontynuować wyścig. Spojrzał w stronę Tanga i swojego rozbitka. Okryta kocem załogantka dała mu znak ręką, żeby płynęli bez niej. Po chwili także Graga wróciła na swój poprzedni kurs.

- Debil! - rzuciła dziewczyna w stronę malejącego żagla z numerem ósmym.

- Konstanty - Podbiał poczuł się w obowiązku dokonać prezentacji. - Moi przyjaciele: Krzysztof i Marek.

Dziewczyna pokraśniała.

- Ten koc chyba nic nie da - zauważył przytomnie dziennikarz. - Jesteś cała mokra.

Na te słowa kobieta rozbitek poczerwieniała jeszcze bardziej. Chyba nawet zaczęła żałować, że wyciągnęła rękę po pomoc. Trzech nieznanymi facetów, a ona jedna. W dodatku na środku jeziora. Musieli pomyśleć podobnie, bo Marek skinął na Kostka.

- Certyfikat przyzwoitości, proszę - powiedział z uśmiechem.

Na to poczerwieniał z kolei Podbiał. Wiedział, do czego pije naukowiec. Z drugiej

strony, jakoś nie widział innego sposobu na wyjście z patowej sytuacji. Zawsze starał się unikać nadmiernego „machania szmatą”, jak zwykle się mówił o częstym sięganiu po legitymację służbową z odznaką. I już miał zejść pod pokład, by wyszperać dokumenty, kiedy nagle dziewczyna rozpromieniła się.

- Jestem Kaśka - przedstawiła się. - Dacie mi jakieś suche ciuchy?

Atmosfera na Gradze zmieniła się w ciągu jednej chwili. Nidoszła topielica zniknęła w kabinie, by po chwili wyjść. I jakoś tak dziwnie się złożyło, że ubrana... tylko w rzeczy należące do Kostka. Podczas jej nieobecności przyjaciele zdążyli jeszcze wymienić kilka gestów, oceniających urodę dziewczyny. Podbiałowi wydawało się, że już ją gdzieś widział. Nie powiedział jednak o tym głośno. Nie tylko dlatego, iż nie wiedział gdzie.

Kilka godzin później siedzieli w ogródku tawerny Pod Złamanym Pagajem i rozmawiali, jakby znali się od lat. Wiedział już, że Kaśka Rawska jest aktorką, która rzeczywiście mignęła mu w jakichś serialach, i bierze udział w żeglarskich mistrzostwach aktorów. Jej załoga wróciła z wyścigu do Wierzby w minorowych nastrojach; nie zdążyli już odrobić strat spowodowanych pechową wywrotką.

Po wyłożonej kostką promenadzie wzdłuż brzegu jeziora ciągnął nieprzerwany, barwny tłum spacerowiczów. Błyskały flesze aparatów fotograficznych, dzieci wrzeszczały, domagając się zakupu kolejnych lodów. Z drugiej strony, na pobliskiej scenie, do wieczornego występu przygotowywał się zespół szantowy. Kostek znał ich świetnie; dwóch z nich bowiem, gitarzystów, było na co dzień... gliniarzami z komendy wojewódzkiej.

- Właściwie nie przepadam za wodą - powiedziała w pewnej chwili dziewczyna. - Kolega z teatru kompletował załogę, ktoś w ostatniej chwili wypadł, więc potrzebowali balastu. I tyle. A ty, co robisz na co dzień? - zapytała. - O jakim certyfikacie przyzwoitości mówili twoi kumple? Jesteś może... księdzem?

Omal nie prychnął na nią piwem, które akurat miał w ustach.

Nie, tego jeszcze nie grali! - pomyślał z rozbawieniem. I już miał wyznać, kim jest naprawdę, kiedy od strony miasta nadbiegła koleżanka Kasi. Coś krzyczała, gestykulowała, a minę miała nietęgą.

- Włamali nam się do samochodu! - rzuciła z dramatyzmem, złapawszy wreszcie oddech.

Rawska wstała zza stolika tak gwałtownie, że omal nie poprzewracała szklanek z piwem.

- Coś zginęło? - zapytała szeptem.

- Jeszcze nie wiem.

- Pomóc wam w czymś? - wtrącił się nieśmiało Kostek Podbiał.

- Dzięki, ale... - Kasia była naprawdę przejęta; przygryzła wargi, tupnęła nogą, wydawała się być nieporadna jak małe dziecko.

Mieszkały w Mazurze na starówce, pięknym hotelu z wieżyczką, zorganizowanym w byłym ratuszu, który niszczał przez całe dziesięciolecie. Obok znajdował się niewielki parking, ale to nie tam doszło do nieszczęścia. Okazało się też, że akurat Kaśce nic nie zginęło.

Panny wybrały się autem na przejażdżkę po mieście, w kościele ewangelickim odbywał się jakiś koncert organowy. Kiedy wróciły do samochodu, zastały wybitą szybę od strony kierowcy. Brakowało panelu radia (z którym właściwie nie wiadomo, co zrobić), ale też torby, którą jedna z koleżanek, imieniem Sabina (Kostek kojarzył ją z jakąś reklamą) nieopatrznie zostawiła w aucie, ufna w ludzką dobroć.

- Miałam tam dokumenty, pieniądze, ale tylko niecałą stówę - wyliczała z sapką Sabina. - No i najważniejsze: karty kredytowe!

I wszystkie wlepiły błagalne spojrzenia w Kostka, choć nie wiedziały przecież, kim jest.

Podbiał kazał nowym znajomym wrócić do wioski żeglarskiej, sam zaś udał się do miejscowej komendy. Miał szczęście, bo akurat spotkał sierżanta Lipkę, którego poznał przed rokiem, nazajutrz po feralnej nocy, której wszyscy w mieście długo nie mogli zapomnieć. Streścił w dwóch zdaniach problem. Lipka był już po cywilnemu, właśnie wychodził do domu, ale zgodził się wybrać z Podbiałem w okolice kościoła, gdzie znajdował się też (i to być może było przyczyną wzmożonej aktywności miejscowych złodziei) przystanek PKS.

- Mamy kilku gnojów na oku - powiedział sierżant, kiedy wolnym krokiem, udając turystów, zbliżali się do strefy zagrożenia.

- Zapytałbym tego w czerwonej koszulce.

- Z orłem w koronie? - Podbiał chciał uściślenia.

Po upływie niespełna pięciu minut orzeł nie był już biały, tylko zafajdany krwią. Krwią z nosa, bo właśnie tam celował precyzyjnie Kostek pięścią, kiedy, udając pasera z Warszawy, namówił gówniarza na zejście nad pobliskie jezioro Tałty. Dwa celne ciosy wystarczyły, żeby złodziej, obok juchy, puścił też farbę.

Po fanty komisarz musiał się jednak pofatygować nieco dalej. Innego złodzieja znalazł śpiącego po ciężkiej pracy w baraku opuszczonego ośrodka wczasowego, aż na skraju miasta, w pobliżu mostu kolejowego przez gardziel między Mikołajskim a Tałtami. Szykował się na kolejny łomot, ale śpiący chłopak, najwyżej piętnastoletni,

wyglądał tak niewinnie, że Kostkowi zrobiło mu się go po prostu żal. Zabrał więc po cichu torbę i panel radia, z leżącego obok portfela wyciągnął pięćset złotych na wprawienie nowej szyby w samochodzie aktorek. I wyszedł. Po prostu okradł złodzieja.

Od kiedy wrócił ze zdobyczą, wprawiając wszystkich w nie lada osłupienie, Kaśka nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie opowiedział, w jaki sposób odzyskał towar, z drugiej strony - nie zamierzał dłużej ukrywać, gdzie pracuje. Nad miasteczko i jeziora powoli nadciągała ciemność. Katarzyna zaproponowała Podbiałowi spacer.

- Dotąd nie znalazłam nikogo, kto miałby na imię Konstanty - rzekła z nutką dziewczęcej egzaltacji. - No, może poza Gałczyńskim - zachichotała.

- „Tyś jest jezioro moje, ja jestem twoje słońce” - wyrecytował Kostek.

- Pięknie! - zachwyciła się dziewczyna, na co policjant, zawstydzony, spuścił wzrok.

Spacerowali tak chyba ze dwie godziny, jakby każde z nich zapomniało jeśli nie o bożym świecie, to na pewno o swoich załogach. W tym milczeniu, które zawisało pomiędzy nimi co kilka chwil, Kostek czuł jakieś dziwne napięcie. Kiedyś słyszał, że prawdziwie milczeć potrafią jedynie stare, dobre małżeństwa. Czy dlatego, że wtedy nie ma już o czym rozmawiać, że wszystko już wiadomo? Czy ta kobieta czuła się w tej chwili bezpieczna? Z nim, tutaj? - zastanawiał się. Kto ją odprowadza do domu na co dzień? Komu Kostek kradnie tę dziewczynę, choćby poprzez niewinne zgoła muśnięcie ramion, krawędzi dłoni, nawet równy rytm kroków?

Opowiadali o pracy, nie zabrakło też plotek z życia ludzi, których Podbiał znał tylko z pierwszych stron brukowych gazet i kolorowych tygodników. W pewnym momencie znaleźli się u wylotu kładki dla pieszych, przerzuconej w miejscu, gdzie łączyły się ze sobą jeziora Mikołajskie i Tałty. Na niewielkim skwerku pod kamienną tablicą ze zdjęciem młodego mężczyzny w policyjnym mundurze paliły się dwa znicze.

- Co tu się stało? - zapytała Kasia.

Kostek Podbiał popatrzył w dal, w stronę łuny zachodu. Wtedy pogoda była podobna. Sobota. W jednej z knajp przy samym jeziorze zabawa trwała jak co dzień. Nikt nie wiedział, że jednym z gości jest boss podstołecznego gangu. Nie był sam, miał kumpli. Świątowali urodziny szefa. Obok nich siedziało kilku młodych chłopaków. Niczym specjalnym się nie wyróżniali.

Nagle jeden z nich wstał, podszedł do bossa. W ręku miał pistolet. Nim ktokolwiek zdążył pomyśleć, padło kilka strzałów. Zabójca w mgnieniu oka opuścił lokal, za nim zmyli się jego kumple. Wtedy ludzie nagle jakby otrzeźwiali. Rzucili się w pogoń. Gdy zabójcy uciekali po kładce dla pieszych, zauważył ich przypadkowy przechodzień i zatrzymał policyjny radiowóz. Jeden z jadących nim funkcjonariuszy ruszył w pościg radiowozem, drugi na piechotę. Gdy któryś z zabójców zobaczył, że biegnie za nimi policjant, odwrócił się i strzelił dwa razy. Sierżant dostał w piersi. Padł, podczołgał się kilka metrów po kładce. Po chwili skonał. Miał trzydzieści trzy lata. Kilka tygodni wcześniej przeniesiono go z oddziału prewencji w Olsztynie. Mordercy uciekli. Komisarz Podbiał pojawił się w Mikołajkach następnego dnia rano, wraz z całą specjalnie powołaną ekipą śledczą, kiedy właściwie niewiele już można było zrobić...

Kiedy to wszystko opowiedział Kaśce, długo nie mogła wydobyć z siebie słowa. Szli powoli, patrząc pod nogi.

W pewnym momencie Kostek poczuł jej dotyk na swojej dłoni. Jakże inny od tego, który połączył ich na chwilę potrzebną do wyciągnięcia z wody. Za pierwszym razem mogło to być przypadkowe muśnięcie. Ale już drugie... Kasia splotła swoje palce z palcami mężczyzny, mocno ścisnęła, po czym powiedziała, patrząc mu prosto w oczy:

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś ty nie wrócił...

Warszawa-Powisłe, ul. Dobra, godzina 23.40.

- Boli cię?

- Chuj tam! Poboli i przestanie.

- Może wolisz wrócić do domu?

- Jedź, nie pierdol. Jeszcze nie umarłem.

Żółty, sportowy samochód z przyciemnianymi szybami, spojlerami i otwartym, mimo dość chłodnej nocy, szyberdachem łagodnie zjechał z Tamki i skręcił w uliczki Powiśla. Prowadzący wóz Damian Kłosowski, mężczyzna przed trzydziestką, z uwagą rozglądał się dookoła. Miejsce obok zajmował gruby blondyn imieniem Olek, jego rówieśnik. Mężczyzna trzymał się za wydatny brzuch, który bolał go od godziny.

Samochód toczył się wolno ulicą Dobrą. Nad jezdnią zapaliło się czerwone światło. Zatrzymali się.

- No i czemu prowadzisz jak jakaś ciota, co?! - zaperzył się pasażer. - Jedź. Pewnie już wszyscy są.

Ruszyli spod świateł. Silnik zagrał nisko. Po chwili z prawej strony mignęły grynszpanowe budynki uniwersyteckiej biblioteki i spora kolejka studentów, po chwili zaś, za kolejnym skrzyżowaniem, pokazał się ciemny o tej porze park. Z obu stron ulicy stały zaparkowane samochody. Nie było wiadomo, które z nich należą do mieszkańców okolicznych budynków i są puste, a które za chwilę ruszą i zatrzymają się na skrzyżowaniu z ulicą Karową, gotowe do nocnej zabawy.

- Nie mówiłem, że już się zaczęło?! - rzekł z przyganą gruby Olek, zerkając to na

boki, to przed siebie.

Samochód stanął. Trzasnęły jednocześnie zamykane drzwi kilku innych aut. Trochę dalej jakaś grupka śmiała się głośno. Od strony Mariensztatu nadjeżdżał biały ford z aż trzema parami włączonych reflektorów. Chwilę później mrugnął kilka razy światłami długimi.

Oznaczało to, że okolica jest czysta.

- Idź, zapytaj, kto dziś chętny - zarządził Olo, wygramoliwszy się z trudem z samochodu.

- Patrz, Rydzewski będzie palić gumę! - Damian wskazał koledze czerwone punto z alufelgami, którego silnik wył coraz głośniej.

Dookoła pojazdu stali ludzie, niektórzy z nich oklaskami i okrzykami zagrzewali zawodnika do walki. Kierowca zatrzaskał drzwi. Odskoczyli szybko, gdyż samochód zaczął kręcić młynka. Wkrótce niemal całkowicie zniknął za zasłoną spalin wydobywających się z dwóch grubych jak ryny rur wydechowych.

Damian pobiegł truchcikiem w tę stronę, gdzie zbierało się najwięcej ludzi, grubas tymczasem znów usiadł na przednim siedzeniu, wyciągnął z zanadrza srebrną piersiówkę i pociągnął z niej spory łyk.

Przyjaciel wrócił niebawem. Oczy mu błyszczały.

- Trasa sprawdzona, od godziny żadnego frajera ani suki - zawołał z uśmiechem, nachyliwszy się nad otwartą szybą. - Startujemy w pierwszym wyścigu, z braćmi Kozińskimi z Ursusa, Grześkiem Jaworskim w golfie i tą jego nową, fajną dupą, nie pamiętam, jak ma na imię. Ponoć niezła żyleta. Brunetka taka, ciemna, ładna nawet...

- Marzena - podpowiedział Olek.

Kłosowski już o nic więcej nie pytał; był zbyt podekscytowany.

Wskoczył do wozu, trzasnął drzwiami, zapuścił silnik. Ten zagrał znów nisko, bez zarzutu. Kierowca kilka razy nacisnął pedał gazu, włączył silniejszy nawiew powietrza, by odparowała przednia szyba, było bowiem coraz chłodniej. Potem pieczołtliwie pogłaskał obleczoną czarną skórą i małą, a przez to łatwą do operowania na zakrętach kierownicę. Popatrzył przed siebie, w stronę skrzyżowania, gdzie robiło się tłoczno jak za dnia.

- Chyba muszę zmienić fotel na sportowy - powiedział Damian bardziej do siebie niż do towarzysza.

Olek ledwo dostrzegalnym ruchem ramion zgodził się ze zdaniem kierowcy.

- Ślisko będzie. Nie boisz się jechać ze mną? - zapytał kierowca. - Tydzień temu, jak cię nie było, ledwo jednego młokosa ze skody wyjęli. Prawdziwa maszynka do mielenia mięsa, mało się nie usmażył, tak w filar wiaduktu koło przyflancował.

- Wyżył?

- Nie wiem, może go lekarze poskładali. I też tak siąpiło jak dzisiaj. Nie boisz się jechać ze mną? - zapytał ponownie Damian, jednak bez przesadnej troski w głosie, poprawiając przy tym włosy we wstecznym lusterku.

- Chuj tam! - odparł głośno Olek, robiąc przy tym ruch, jakby chciał po coś sięgnąć do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

- To się zapnij w pasy.

- Brzuch mnie boli.

- Trudno, wytrzymasz - uciął Damian i wrzucił pierwszy bieg.

W tej samej chwili od krawężnika oderwały się dwa inne samochody: podrasowany golf koloru grafitowego z bajerami oraz srebrne, przypominające kosmiczny pojazd subaru.

Zatrzymali się w jednym rzędzie, na linii startu, którą wyznaczała zebra przejścia dla pieszych. Wokół nich pojawiły się czarne cienie kibiców. Coś krzyczeli, ale zagłuszał ich skutecznie narastający ryk silników. Damian siedział z głową opartą o zagłówek, palcami zaciśniętymi na kierownicy. Wzrok wbity w jeden punkt przed sobą, przygryzione wargi. Wykorzystując chwilę, Olek przystawił otwór piersiówki do ust...

- Yeeehaaa!!! - wrzasnął nagle kierowca, wbijając pedał gazu w podłogę i gwałtownie puszczając sprzęgło.

Koła zabuksowały na mokrym asfalcie i samochód wyprysnął spod nieczynnych świateł. Powietrze z otwartego szyberdachu podniosło włosy kierowcy i pasażerowi. Oblany alkoholem grubasek kurczowo złapał się uchwyty nad drzwiami. Obejrzał się przez ramię: pozostałe samochody zostały w tyle.

Przecięli Furmańską. W bocznej szybie błysnęła oświetlona wieża Zamku Królewskiego. Wskazówka szybkościomierza szybko zbliżała się do setki. Pojazd zaczął pokonywać wzniesienie, a jednocześnie pierwszy, ostry zakręt w lewo. W drugiej bocznej szybie pokazały się wozy rywali, które szybko nadrabiały straty ze startu. Golf jechał blisko, siedział im na ogonie, natomiast srebrne subaru pokonywało kolejne metry trasy pasem przeznaczonym dla pojazdów jadących z naprzeciwka.

- Do budy, psy!!! - ryknął znów Damian, widząc, jak wyłaniają się zza jego lewego ramienia, podczas gdy pasażer jęknął z przerażenia albo bólu spowodowanego

ściśnięciem trzewi przez pasy bezpieczeństwa.

Początek kolejnego ostrego zakrętu w prawo oznaczał jednocześnie koniec drogi asfaltowej. Poczuli to natychmiast. Mokra, śliska i jak żadna inna nawierzchnia niebezpieczna - kostka brukowa. Wozem od razu zarzuciło. Latarnie uliczne zawirowały jak światła karuzeli. Damian gwałtownie zakręcił kierownicą, śmignęli może pół metra od filaru Wiaduktu Markiewicza...

Tymczasem ścigający ich golf wpadł do krótkiego tunelu jak torpeda. W ciemnościach błysnęły tylko jego tylne światła, w tej samej chwili zza drugiego filaru wystrzeliło subaru. Wściekły Damian z całej siły nadepnął na gaz. Wgniotło ich w fotele, jednocześnie rzuciło na boki. Gruby Olek niemal wisiał uciepiony uchwytu nad drzwiami. Twarz miał nieruchomą, bladą, oczy powiększone z przerażenia.

- Nie pękaj, brachu! Będzie dobrze! - krzyknął Kłosowski.

Droga wyścigu wciąż wiodła ku górze i zakręcała w prawo.

Zrobili pełne koło, rozpoczęli kolejne. Wjechali na wiadukt, równając się z subaru.

W pewnej chwili srebrny samochód braci Kozińskich odbił gwałtownie w bok i zarył bokiem w kamienną, barokową balustradę z rzeźbą kobiety ze skrzydłami, rybim ogonem i mieczem w dłoni. Zazgrzytał przeraźliwie metal, na jezdnię posypało się szkło ze zmiążdżonego bocznego lusterka.

Nagle stało się to, czego najbardziej się obawiali: z naprzeciwka, od Krakowskiego Przedmieścia, nadjeżdżał prawidłowo postronny samochód!

Damian i Olek zeszywnieli z przerażenia. Tamten kierowca musiał być w nie mniejszym szoku, gdyż minąwszy się na przysłowiową grubość lakieru z subaru, stanął jak wryty na środku swojego pasa jezdni i zaczął przeciągle trąbić.

- Jeden do zera - zaśmiał się Damian, a następnie zmienił bieg i szarpnął do przodu.

Nie było już szans dogonić golfa, ale znając ten sport, można było się spodziewać pościgu pokierowanego auta. Skończyła się kostka, opony zamlaskały znów na gładkim asfalcie. Krótki odcinek prostej, niezmiennie pod górkę. Zakręt w lewo i prosta wzdłuż hotelu Bristol. Pisk hamulców. Uśmiechnięte twarze zwycięzców w otwartych oknach golfa, przygryzione do krwi wargi przegranego.

Nadjechało uszkodzone subaru. Ze środka wyjrzał jeden z braci, chudy brunet. Drugi, zupełnie różniący się od brata pucułowaty blondyn, podobny raczej do Olka, wyskoczył z drugiej strony i jął wstępnie szacować straty.

- Ojciec w warsztacie wyklepie, a lusterko się dokupi, nie ma problemu - machnął ręką, choć ręce i nogi trzęsły mu się jak w delirium.

- Tak, dupę ci najpierw wyklepie - zaśmiał się Grzesiek Jaworski, a towarzysząca mu Marzena zaśmiała się niskim, mało kobiecym głosem.

- To co, na drugą nóżkę? - zawołał Damian.

- Żeby tylko tamten frajer nie zadzwonił po drogówkę - zaniepokoił się któryś z braci.

- Bez obaw, już pewnie poturlał do domu i strzelił setę - uspokajała herod-baba.

Po chwili stanęli znów w jednej linii. Tor na lewym, skrajnym pasie tym razem przypadł Damianowi. Olek siedział sztywno w fotelu pasażera, ssał zapamiętane zmoczony alkoholem rękaw koszuli.

Damian Kłosowski spojrział na towarzysza: twarz grubaska pokrywały grube krople potu, mamrotał coś spieczonymi wargami, a na ściśniętym pasami bezpieczeństwa,

wydatnym brzuchu pojawiły się plamy potu. Kierowca postanowił, że już go nigdy więcej ze sobą nie zabierze.

Żadnego pożytku, tylko przeszkadza - pomyślał. I znów, tak jak w tej chwili, przesypia moment startu...

- Yeeaaa!!!

Wskazówka dobiegła setki w kilka sekund. Tym razem szli łeb w łeb, jednak to żółty ford Damiana pierwszy wszedł w zakręt i potoczył się z górki. Silnik zagrał jak najpiękniejsza orkiestra. Wibracja silnika wspinała się po plecach jak najdelikatniejsze ręce masażystki. Hamulec, sprzęgło, redukcja biegu, zakręt...

- Nie pękaj! Będzie dobrze! - zawołał Damian do Olka i na ułamek sekundy oderwał wzrok od drogi i przeniósł go na towarzysza.

Wtem coś stuknęło głucho. Podłużny cień wyprysnął spod prawej strony maski samochodu jak zabłąkany ptak. Przednie koła zagruchotały o nierówność, brzęknęła boleśnie jedna z biegnących pod podwoziem rur.

W jednej chwili gorący pot zalał Damianowi twarz. Nacisnął ze wszystkich sił na hamulec. Zarzuciło ich, zatrzymali się w poprzek jezdni. Olek, jakby obudzony z letargu, wyswobodził się z pasów, zadziwiająco sprawnie otworzył drzwi i wyskoczył na ulicę. Spory kawałek przed nimi zatrzymali się pozostali uczestnicy wyścigu. Bracia Kozińscy i Grzesiek z dziewczyną już biegli pod górkę, coś krzycząc.

Damian siedział cały czas za kierownicą. Nie dochodziło do niego to, co się stało.

- Wybiegł wprost pod koła! - krzyczał nieludzkim głosem grubas, łapiąc się to za brzuch, to za głowę. - Przecież widzieliście. Wybiegł nam wprost pod koła!

Nachylili się. Przed samochodem leżał mężczyzna. Kozińscy złapali go za stopy i możliwie najostrożniej zaczęli ściągać ciało z mokrej jezdni. Ktoś próbował protestować, ale już położyli na chodniku. Mężczyzna był ubrany w wyświechtaną, ortalionową kurtkę, na jego twarzy szarzał kilkudniowy zarost, choć człowiek ten nie wyglądał na kłoszarda. Nigdzie nie było widać żadnego zadrapania. Oczy zamknięte; wydawało się, że tylko śpi...

Olek przyłożył ucho do klatki piersiowej potrąconego. Pokręcił z rezygnacją głową. Wszyscy obecni spoglądali na kierowcę żółtego forda z przyciemnianymi szybami. Damian wciąż siedział z głową opartą o zagłówek, palcami kurczowo zaciśniętymi na małej, skórzanej kierownicy. Usta zaciśnięte w wąską kreskę i zamknięte do bólu oczy. Wiedział już, że kiedyś będzie musiał je otworzyć...

- O kurwa, mendo! - krzyknął nagle Grzesiek Jaworski.

Na skrzyżowaniu Karowej i Krakowskiego Przedmieścia pojawił się radiowóz na sygnale. Po chwili drugi, wraz z innym samochodem jadącym obok, jak jeszcze przed paroma chwilami uczestnicy wyścigu, nadjechał od strony Wiaduktu Markiewicza.

Wszyscy stali, jakby skamienieli. Wśród nich także i Damian Kłosowski, który w międzyczasie wyszedł z samochodu.

Nagle rozległ się dziwny dźwięk. Na twarzy Olka, który pochylał się nad zwłokami potrąconego człowieka, wyraz ulgi mieszał się z zawstydzeniem.

- Zesrałeś się - skomentował sytuację któryś z braci Kozińskich, na co reszta, mimo całego tragizmu sytuacji, dostała ataku śmiechu.

- On żyje - rzekł cicho grubas.

- Co? Co ty mówisz?! - Damian Kłosowski miotał się, patrząc to na swojego

towarzysza, to na leżącego na chodniku bez życia człowieka.

Trzasnęło kilka par drzwi. Czterech funkcjonariuszy w mundurach i dwóch po cywilnemu podeszło do uczestników nielegalnego wyścigu. Damian, jako jedyny skuty od razu kajdankami i prowadzony do radiowozu, ani na chwilę nie przestawał się oglądać za leżącym na ziemi człowiekiem, nad którym pochylali się teraz policjanci.

8

Warszawa-Śródmieście, około północy.

- Ostatni raz zrobiłem z wami ten numer! - oświadczył Tymon Nowak; aspirant twarz miał czerwoną ze złości i głos mu drżał. - Chłopak mało zawału nie dostał.

- I dobrze - syknął Kostek, wrzucając czwarty bieg. - Mógł kogoś zabić naprawdę, a tak będzie miał nockę na dołku, żeby przemyśleć to i owo.

Skoda z policjantami mknęła Krakowskim Przedmieściem w stronę Nowego Światu.

- Lepiej pomyślałbyś o Bronku. Nery można sobie załatwić od takiego leżenia na ziemi, w dodatku zimą - rzucił Podbiał, zezując na kolegę.

- Kiedyś ktoś się wkurzy i poda cię do sądu - odgryzł się aspirant.

Komisarz tylko się uśmiechnął.

Nie do śmiechu mu było, kiedy kilka godzin temu wracał z wytwórni filmowej. Z jednej strony, był spokojny, że nie chodziło o jego Kaśkę, tylko serialową Kitty, której rolę odgrywała niejaka Laura Minz. Wiedział, że ludzie bardzo często myślą nie tylko świat realny z wykreowaną w serialu rzeczywistością, ale też zwracają się do aktorów, używając ich filmowych imion i nazwisk, czego zresztą ci ostatni bardzo nie lubią. Tej

Laury nie znał. Szkoda dziewczyny. Sprawą zajmie się ktoś inny. Jadąc Wolską w kierunku Pałacu, rozmyślał o zachowaniu swojej byłej. Nie, nic się nie zmieniło od wczoraj, choć naiwnie wierzył, że wszystko da się jeszcze odkręcić. Przecież nadzieja, jak mówią mądrzy ludzie, zawsze umiera ostatnia...

Najlepszym sposobem było zawsze zagłuszanie. Kiedy nie można było zrobić tego przy pomocy alkoholu, wyjściem okazywała się praca. Dlatego z wdzięcznością przyjął propozycję Nowaka, żeby zająć się kolejnym z listy zwolnionych z Uniwerteksu. Udali się z wizytą pod adres, który był zapisany w kwestionariuszu osobowym Damiana Kłosowskiego. I, oczywiście, nie zastali tegoż w domu, choć adres się zgadzał. Tak jak w poprzednim przypadku, na posterunku tkwiła kobieta - tym razem leciwa już matka Kłosowskiego, która na widok policyjnych odznak i poważnych min funkcjonariuszy niemal się popłakała. Z miejsca też udzieliła drobiazgowych informacji, gdzie jej kochany synalek może w tej chwili przebywać. Widać od dawna nie potrafiła sobie poradzić z tym problemem.

Nielegalne, nocne wyścigi samochodów były w Warszawie prawdziwą plagą. W kilku miejscach lepiej było nie pojawiać się po zmroku. Do najbardziej znanych należały jezdnie ulicy Jana Kazimierza, niedaleko trasy Prymasa Tysiąclecia, na Woli, no i właśnie ulica Karowa w samym centrum, gdzie legalnie organizowano jedynie wyścig w ramach Rajdu Barbórki.

Z problemem nie potrafiły sobie poradzić władze. Owszem, patrole drogówki wyłapywały pojedynczych delikwentów, były słone mandaty, a nawet wyroki sądów grodzkich. Czasem, gdy ktoś miał szczególnie niefart, pogotowie wiozło go do szpitala, a lekarze mieli zajęcie. Ale dzięki temu był bohaterem. No i następnej nocy znów na linii startu pojawiali się nowi amatorzy ekstremalnych wrażeń.

Kiedy policjanci poszukujący Kłosowskiego zorientowali się, gdzie i jak delikwent spędza bardzo późne wieczory, Kostek Podbiał przypomniał sobie kolegę, którego poznał na jakimś planie filmowym, kiedy jeszcze byli razem z Kaśką. Kolega ów był

kaskaderem i do tego takim, któremu mało było wrażeń, jakie dostarczała mu codzienna praca, szczególnie w filmie polskim. Rodzima kinematografia dawała niewiele szans na realizację tego typu pasji, seriale były nie lepsze. A za granicę Broniek Cieleś, bo tak się nazywał ów kaskader-świrus, wyjeżdżać nie zamierzał. Kiedyś zwierzył się Kostkowi, chyba po kielichu, że najbardziej lubi grać ofiary wypadków drogowych. Pieszę ofiary. Trochę gorzej było z treningiem. Te odbywane z kolegami nie dawały tyle adrenaliny, a w mieście, z warszawskimi, z natury dość nerwowymi kierowcami, raczej nie należało pogrywać w podobny sposób.

Ale od czego jest fantazja! Szczególnie wtedy, gdy istnieją przepisy interpretowane przez cwane papugę. Trzeba było mieć haka na kogoś, na kogo oficjalnie żadnego haka nie można było znaleźć. Ktoś wpadł na pomysł, żeby podłożyć świnię. Jak? Pornografia dziecięca, lewe programy w komputerze, torebka białego proszku podrzucona podczas rewizji - to wszystko już było. Co więcej, nie działało jak trzeba, powodując co najwyżej głupawy uśmieszek zamiast pożądanego strachu.

Kostek Podbiał szybko wymyślił, jak połączyć problem niewyżycia fizycznego Bronka Cieleśa z działaniami operacyjnymi stołecznej policji. Trochę było strachu, nikt się przecież nie umawiał z kierowcą, że za chwilę kogoś potrąci. Z drugiej strony, Cieleś nie był samobójcą - miał na sobie specjalne zabezpieczenia, sprytnie ukryte pod wierzchnim okryciem. Efekt był taki, że podejrzany o ciemne interesy cwaniak z Mokotowa wychodził ze swojej beemki z mokrymi spodniami. A kiedy widział stygnące zwłoki przed swoim autem (Broniek był też wcale dobrym aktorem), miękł już zupełnie.

Dziś też się udało: kaskader był wniebowzięty (choć chyba nadwreżył sobie prawe ramię), Kłosowskiego czekała noc przemyśleń, a była też spora szansa, że następny wyścig na ulicy Karowej prędko się nie odbędzie.

- Spać mi się chce - ziewnął Tymon, nie zasłoniwszy ust; w swoim gronie nie silili się nigdy na przesadne grzeczności.

- Daj spokój - Kostek z dezaprobatą pokręcił głową. - Ile ty masz lat, brachu?
Młodość ci ucieka. Spójrz, jak Warszawa się bawi...

Jakaś postać zamajaczyła na chodniku ciągnącym się wzdłuż Mostu Poniatowskiego, by za chwilę zniknąć w jednym z zagłębień kryjącym ławki, znajdujące się nad filarami przeprawy. Gdy mijali to miejsce, Nowak kątem oka dostrzegł, że człowiek ten wchodzi na kamienną balustradę.

- Chyba mamy problem! - zawołał.

- Komuś nie wyszły Walentynki? - zdążył jeszcze skomentować Podbiał, zanim z całej siły nacisnął pedał hamulca.

Skoda wpadła w poślizg, zatrzymując się kilkanaście metrów dalej, szczęśliwie na pasie, choć w jego poprzek. Komisarz wrzucił wsteczny bieg, wyrównał koła auta i po chwili stali vis-?-vis charakterystycznej kamiennej ławeczki Poniatoszczaka. Nie było na niej nikogo, tak samo, jak na półkolistej obudowie, zwieńczonej czymś w rodzaju herbowej tarczy.

- W prawo, na balustradzie! - krzyknął Nowak, szarpiąc wewnętrzną zawleczkę drzwi.

- Tylko spokojnie - powiedział Podbiał.

Zastygli obaj przy samochodzie, z uniesionymi jak do poddania się rękami i jakby zmrozeni oddechem pustoszącego miasta monstrum ze starego japońskiego filmu. Kilka metrów od nich samotna postać bez twarzy, ubrana w ortalionową puchową kurtkę czerwonego koloru, postać o ewidentnie kobiecych gabarytach balansowała na metalowej, śliskiej od dżdżu balustradzie mostu.

- Spokojnie, proszę się nie ruszać - powiedział możliwie głośno i możliwie łagodnie

Tymon Nowak.

Dziewczyna odwróciła głowę, poruszyła bezgłośnie wargami. Uwagę obu mężczyzn przykuły jej oczy - pełne przerażenia. W tej samej sekundzie wyrzucone w bok ramiona samobójczynie wyrysowały w powietrzu dwie nieregularne figury. W głośnikach samochodowego radia wybiła północ.

DZIEŃ TRZECI

1

Warszawa-Bielany, policyjny areszt przy ul. Żeromskiego, kilka minut po północy.

Nie mógł się pozbyć tego uczucia. Miał wrażenie, że jego twarz płonie. Jakby trzymał ją blisko, bardzo blisko ogniska, jak w dawnych latach. Albo przykładał doń gorący, dopiero co wyjęty z pralki ręcznik. Policzki, czoło, nos, broda, nawet uszy. A jakby wszystkiego było mało, te jeszcze szczypały. Pamiętał bardzo dobrze to uczucie. Działo się tak zawsze wtedy, kiedy coś nabroił. Ale przecież to było dawno, kiedy jeszcze chodził do podstawówki, no, najwyżej w pierwszej klasie ogólniaka, gdy pod koniec semestru ukradli z kumplami dziennik lekcyjny. I jeszcze raz, niedawno, kiedy zwolnili go z pracy. Wtedy bał się. Bał się jak nigdy wcześniej. Ale, jak widać, można jeszcze bardziej.

Godzinę temu Damian Kłosowski zabił człowieka.

Był tego pewny. Jak na mordercę patrzyli na niego policjanci, którzy prosto z Karowej, gdzie doszło do wypadku, zabrali go do suki. Siedział w niej po raz pierwszy. W środku było dość zimno, ale już wtedy twarz zaczęła go palić. Jak na zabójcę spoglądali na niego również funkcjonariusze w komendzie, do której został przywieziony.

Nie wiedział nawet, gdzie dokładnie jest. Musiał oddać pasek od spodni, sznurowadła, dokumenty, pieniądze, telefon. Jak prawdziwy przestępca, których dotąd widywał tylko w telewizji lub w kinie.

Jezus Maria! Jak na to wszystko zareaguje matka?! - myślał z przerażeniem, czując że brakuje mu tchu, zaczyna palić także przelyk, zupełnie jak zgaga. Na to jednak nie było skutecznego antidotum. Na początku usiłował mrugać oczami, szczypać się w rękę, wreszcie uderzył się boleśnie kilka razy pięścią po głowie - wszystko po to, żeby obudzić się z tego koszmaru. Wszystko na próżno. To nie był sen, choć z początku wiele na to wskazywało. Ile by teraz dał, żeby znaleźć się w swoim domu, we własnym łóżku. Chyba nigdy więcej nie usiadzie za kierownicą. Nie tylko dlatego, że pewnie sąd zabierze mu prawo jazdy...

- Tu podpisać - sierżant, który przyjął od niego rzeczy osobiste, wskazał palcem rubrykę w jakimś dokumencie; Damian posłusznie wpisał tam swoje imię i nazwisko.

Po chwili szedł długim korytarzem, następnie schodził w dół, może nawet kilka pięter. Wreszcie prowadzący go policjant w czarnym uniformie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Zazgrzytał klucz w zamku, rozległ się rumor przesuwanego metalu. Dźwięk był naprawdę dobry, wręcz doskonały. Lepszy niż w kinie domowym. Tylko że zarówno tego dźwięku, jak i obrazu nie można było wyłączyć jednym naciśnięciem przycisku na pilocie.

- Dobranoc - rzucił policjant przez szparę w drzwiach.

Kłosowski dałby głowę, że zrobił to z cieniem uśmiechu na twarzy!

Cela nie była duża. Wysoko pod sufitem ledwo jarzyła się żarówka w szklanej, brudnej obudowie, zabezpieczonej dodatkowo przez metalową klatkę. Nieco niżej i w bok było chyba okno, przez wąską szczelinę wpadało nieco światła ulicznych latarni. Damian opuścił wzrok jeszcze niżej. Stojąca pod ścianą prycza była pusta.

Nagle poczuł się nieludzko zmęczony, nogi ugięły się pod nim, jakby właśnie przebiegł maraton. Powoli dowlókł się do leżyska, usiadł na nim, a potem położył się. Żar na twarzy zdawał się być już nieco słabszy. Ilekroć jednak mężczyzna zamykał oczy, od razu powracał moment wypadku, z najdrobniejszymi szczegółami. Odgłos uderzającego o blachę ciała był też niezwykle wyraźny, bolesny. Nie do zniesienia.

Mimo to, chyba Damianowi udało się przysnąć...

Kiedy się ocknął, nie był w stanie stwierdzić, jak długo trwał w tym stanie. Nagle jego nozdrza pochwyliły zapach dymu. Ktoś palił papierosa! Kto? Gdzie? Czyżby jednak nie był sam w celi?! Duszne przerażenie nie pozwoliło mu nawet drgnąć. Wstrzymał oddech.

- Mam nadzieję, że potrafisz być dyskretny? - rozległ się głos; był bardzo blisko, męski, nieco chrapliwy.

Leżący na pryczy nie odpowiedział na pytanie.

- Wiem, że nie śpisz - odezwał się znów głos. - Pierwszej nocy nikt nie przesypia.

Pierwszej? To znaczy, że będzie ich więcej?! - w głowie Damiana zaczynało się od nowa kotłować.

- No, to jak? Pogadamy?

- Ja... Ja nie chciałem - wyjąkał Kłosowski, nie zmieniając jednak pozycji; otworzył tylko oczy, dzięki czemu widział czerwony ogieniek papierosa, w odległości trudnej do oszacowania. - To była tylko zabawa, fun. Chyba każdy potrzebuje adrenaliny, nie?

- Widzę, że się nie rozumiemy - powiedział tamten, a ogieniek papierosa na chwilę

rozżarzył się jaśniejszym światłem.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz. Tak naprawdę nie jesteś tu w sprawie wypadku.

- Nie? - w głosie Damiana zagrała nadzieja, a on sam aż usiadł.

- Lepiej będzie, jak pozostaniesz na swoim miejscu - gość asekuracyjnie zahamował zapędy Kłosowskiego.

Damian tylko kiwnął głową. W tej samej sekundzie poczuł, że coś na niego spada. Coś niewidzialnego, miękkiego, ale znów nieznośnie gorącego. Nagła duszność ścisnęła gardło, plecy smagnęła seria zimnych dreszczy. Tak. Już wiedział. Tajemniczy gość chyba też to wyczuł.

- Pewnie oglądasz telewizję, czytasz prasę i wiesz, że samobójstwa w polskich więzieniach czy aresztach śledczych stały się ostatnio prawdziwą plagą. Czyżby wszystkich zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia? A może ktoś chciał wyręczyć polskie prawo, ostatnio wręcz denerwująco liberalne? Być może. Tym bardziej nikt nie będzie zbyt długo dociekał, czemu zrobił to drogowy zabójca. Rozumiemy się?

- Tak jest - jęknął Damian.

- Teraz kładź się i wypoczywaj.

- Tak jest.

- Czekaj cię ciężki i długi dzień. Ten Podbiał, komisarz, tylko wygląda na gwiazdora z telewizji, ale to jednak prawdziwy pies. O tyle groźny, że z prowincji. A taki zawsze chce się wykazać...

Aresztant skrupulatnie wykonał polecenia. Położył się na deskach, starał się nie ruszać. Był w tym na tyle sumienny, że zamknął też oczy. Postanowił również nie słyszeć ani nie myśleć. Tylko oddychać musiał. Nie był do końca pewien, czy wszystko, co wydarzyło się przed chwilą, wydarzyło się naprawdę.

2

Warszawa-Bielany, mieszkanie komisarza Podbiała, ostatnia sobota karnawału.

Konstantego obudziła głośna muzyka. Ledwo kilka taktów, ale skutecznie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Za oknem szarzało. Śladu po wczorajszym słońcu. Chwilę trwało, zanim uzmysłowił sobie, jaki jest dzień tygodnia i co ma dalej robić. W ciągu kilku następnych sekund wróciły też wydarzenia minionej nocy.

Miała dwadzieścia pięć lat i na imię Ala. Alicja. I wszystkiego najzwyczajniej w świecie dość. A najbardziej chyba właśnie tego świata. Postanowiła zobaczyć, czy ten pod drugiej stronie - po drugiej stronie tafli wody - jest lepszy. Przecież i tam palą się światła, chodzą ludzie, jeżdżą samochody. Każdy to widzi, choć już nie każdy zauważa. A już prawie nikt się głębiej nad tym nie zastanawia. Wystarczy jeden krok, zamknąć oczy, objąć się rękoma albo wyrzucić je w bok - to już bez większego znaczenia. Ból jest chwilowy, a sława wieczna - jak ktoś kiedyś powiedział. Tylko że wtedy, często w ostatniej chwili, gdy nie można już się cofnąć, przychodzi pytanie: czy wykorzystałem(am) wszystkie możliwości? Naprawdę wszystkie?

Wracający z nocnej akcji Kostek Podbiał i Tymon Nowak nie musieli przekonywać samobójczyni, żeby zeszła z barierki. To już było załatwione i bez nich. Problem polegał na tym, żeby zdążyć złapać dziewczynę, zanim ta straci równowagę i runie w przepaść. Ułamki sekund, prawa fizyki, wreszcie zwyczajne szczęście.

Miała dwadzieścia pięć lat i na imię Alicja. Tak się przedstawiła swoim wybawcom.

Zanim zemdląa. Zawieźli ją szybko do pobliskiego szpitala na Solcu, nieprzytomną przekazali lekarzom. Przez tę historię Podbiał wrócił do domu grubo po drugiej w nocy.

Mimo że w kalendarzu była sobota, miał dziś sporo zajęć. Po śniadaniu wziął komórkę i wybrał numer Tymka.

- Nooo? - usłyszał w słuchawce głos partnera; ton i siła tego dźwięku mogły świadczyć tylko o jednym: Nowak leżał jeszcze w betach.

- Żyjesz? - zapytał Podbiał.

- Jeszcze.

- Pamiętasz, że za pół godziny bierzemy w obroty naszego Kubicę?

- Pamiętam. Będę.

W drogę do komisariatu na Żeromskiego, gdzie kazali zawieźć Kłosowskiego, Kostek ruszył spacerkiem. Na pobliskim bazarku kotłowały się baby z siatkami w rękach, a także coraz powszechniej używanymi torbami na zakupy na kólkach. Podobnie rzecz się miała w osiedlowym, spółemowskim blaszaku.

Zdążył już przyzwyczać się do tej okolicy, może nawet trochę ją lubił. Rozpoznawał już przedstawicieli okolicznej żulii, która w porównaniu z innymi dzielnicami była oddziałem przedszkolnym z samymi prymusami. Jednakowe, czteropiętrowe bloki przy ulicy Jana Kochanowskiego, na oko mieszczące same klitki, robiły jednak pozytywne wrażenie, a podwórka, mimo że wyasfaltowane, były zawsze dokładnie zamiecione, także ze śniegu. Tej nocy napadało nieco świeżego.

Mieli tu mieszkać z Kaśką całe lata, tak przynajmniej Kostek planował. Ich dwupoziomowe mieszkanie na ostatnim piętrze wysokiego bloku u zbiegu ulic

Kochanowskiego i Rudnickiego, w którym Podbiał najbardziej lubił ogromne okna, miało się wkrótce wypełnić, jakkolwiek znów banalnie to brzmi, tupotem małych nówek.

Tymczasem w ostatnich miesiącach wypełniały je krzyki, płacz kobiety (choć daleko im było do standardowych polskich awantur), a potem już tylko cisza. Żona komisarza Podbiała wyprowadziła się, zostawiając mu należące do siebie lokum. On na razie nie zastanawiał się, jak je utrzyma. Uważał całą sytuację za przejściową. Zagłuszał się pracą. Sobotnie przesłuchanie podejrzanego było elementem tej terapii.

Droga na ulicę Żeromskiego zajęła mu niespełna kwadrans. Kiedy zjawił się na podjeździe przed głównym wejściem, akurat zatrzymywała się na nim srebrna skoda z Tymkiem w środku. Nowak lubił prowadzić, ale i zatrzymywać się z fasonem, często powodując pisk opon. Teraz jednak zajechał cicho i potulnie. Istniało prawdopodobieństwo, że młodszy aspirant jeszcze do końca się nie obudził.

- Cześć pracy! - zawołał wesoło Podbiał, nachyliwszy się nad uchylonym okienkiem samochodu.

- Mam nadzieję, że nie czekasz zbyt długo - Nowak wydawał się rzeczywiście niezbyt przytomny.

- Oddychajcie nosem, aspirancie - uspokoił go komisarz. - Idziemy.

W myśl obowiązującej zasady: pod latarnią najciemniej, Tymon pozamykał starannie auto, po czym obaj funkcjonariusze zniknęli w drzwiach komendy, w której podziemiach od lat działała przechowalnia dla szczególnie kłopotliwych klientów. Czy Damian Kłowski będzie sprawiał kłopoty, tego jeszcze nie wiedzieli. Mieli tylko nadzieję, iż noc spędzona na dołku spowodowała, że amator nocnych wyścigów i były pracownik Uniwerteksu zmiękł i będzie rozmowny.

Zaprowadzono ich do piwnic. Nie umawiali się co do strategii przesłuchania, ale, co

było pewne, nie zamierzali też grać ról dobrego i złego gliniarza, na co zresztą mało kto, w dobie konkurencji na rynku telewizyjnych seriali kryminalnych, jeszcze się nabierał. Delikwenta należało od razu i mocno przycisnąć - jak nie za jedną sprawę, to na pewno za nocne szczeniackie wybryki na Karowej.

Pełniący służbę sierżant otworzył przed nimi drzwi celi. Kłosowski leżał na pryczy, twarzą do ściany. Nie ruszał się. Weszli do środka.

- Wstawaj, Kłosowski! - huknął Nowak, który nie wiadomo kiedy odzyskał wigor.

- Śniadanie z Sheratona - dorzucił Kostek z poważną miną.

Leżący na pryczy ani drgnął.

- Chwileczkę, Zbyszek - Podbiał powstrzymał sierżanta, który już chciał zamknąć drzwi celi. - Co z nim?

- Jak nie robi za brelok pod sufitem, to chyba wszystko jest dobrze, nie? - rzucił półgębkiem sierżant imieniem Zbyszek, zbliżając się wolnym krokiem do pryczy. - Eee, ty! Wstajemy. Mama z tatą przyszli po ciebie!

- Wal się - dobiegło spod koca.

Cała trójka spojrzała po sobie.

- Jednym słowem: postęp jest - skwitował sierżant Zbyszek, by po chwili kolegom z Pałacu skłonić się przesadnie nisko. - Zostawiam zatem panów śledczych z tym uroczym młodym człowiekiem.

Filut zniknął na korytarzu. Huknęły zamykane drzwi. Policjanci usiedli na drewnianych zydlach, które wnieśli z korytarza.

- Damian Kłosowski, syn Edmunda, lat dwadzieścia pięć, zamieszkały w Warszawie i tak dalej - Nowak udawał, że kartkuje jakieś dokumenty. - I co tu jeszcze mamy? Ostatnio zatrudniony w firmie Uniwertex, ulica Puławska 17. Zwolniony pod zarzutem defraudacji...

- No, no - dobiegło znów spod koca, ale już groźniej. - Tylko nie defraudacji!

- Ale tak mamy napisane - rzekł z udawanym zakłopotaniem aspirant.

- Napisać to oni sobie mogli! - rzucił buńczucznie Kłosowski, wystawiwszy nieco głowę; włosy miał w nieładzie, oczy podkrążone, więzienne warunki chyba mu nie posłużyły.

- A ten człowiek na Karowej mógł żyć - wtrącił Konstanty Podbiał.

Kłosowski popatrzył na oficera, mrużąc oczy. Kostek wyczuł w tym spojrzeniu coś ewidentnie cwaniackiego. Czyżby wiedział o ich mistyfikacji? Niby skąd?

- Jakie stosunki łączyły cię z byłym szefem? - zadał pytanie Tymek.

- Jak to jakie? Służbowe. Zresztą jego zapytajcie. On był najlepszym specjalistą od stosunków. „Co ty mi tu pierdolisz? Nie pierdol” - to jego ulubione słowa. A najczęściej używane to: „wypierdołę cię z roboty, nawet nie będziesz wiedział kiedy”. No i miał rację, nie wiedziałem.

- Powiedziałeś, że był - rzekł powoli Kostek.

- Tak powiedziałem? - skrzywił się Kłosowski.

- Dokładnie tak. Czyli wiesz, że trzy dni temu człowiek ten został zamordowany?

- To małe miasto.

- Nie wydajesz się tym zmartwiony.

Damian Kłosowski zmarszczył czoło.

- Twój kolega z pracy - naciskał dalej Nowak - to znaczy były kolega z pracy, Karol Lech, trochę szybciej od ciebie zrozumiał, że sytuacja jest naprawdę poważna. I był o wiele bardziej rozmowny.

- Nie widziałem tych panów od dnia, w którym skończyła się moja umowa o pracę z Uniwerteksem. Od tamtej pory przebywam w domu, chodzę regularnie do urzędu pracy i na rozmowy rekrutacyjne - wyrecytował bez mrugnięcia okiem, by po chwili dodać: - Ja, proszę pana, codziennie zakładałem do pracy białą, świeżą koszulę. Mam dwa fakultety, kurs MBA, znam języki obce. Czy miałbym uciekać się do tak prymitywnych metod zemsty?

Tymon udawał, że coś notuje. A Kostek, że słucha.

- A czy ścigając się po nocach, nie dajesz czasem upustu najniższym instynktom? - drążył uparcie Nowak.

Tak jak przed chwilą na Kostka, Kłosowski popatrzył na Tymona. Podbiał zauważył to.

Coś tu nie gra - pomyślał. Ten kutas coś wie, dlatego gra na twardo.

- W takim razie to wszystko - powiedział młodszy aspirant Tymon Nowak, segregując na kolanie papiery.

Obaj z Podbiałem wstali z zydeków. Kłosowski podniósł na nich wzrok, jego spojrzenie z kpiąco-cwaniackiego stało się pytająco-błagalne.

- A co ze mną? - jęknął, prostując się na pryczy, kiedy byli już przy drzwiach, a Nowak dał umówiony znak sierżantowi, uderzając kilka razy kostkami palców o blachę.

- Sprawę bada prokuratura Warszawa Śródmieście - odpowiedział Tymek. - Zdaje się w poniedziałek... Tak, panie komisarzu? - z atencją zwrócił się do Podbiała, na co ten skinął głową. - W poniedziałek prokurator wraca z nart w Alpach.

Złowróźnie zazgrzytała zasuwa. Drzwi celi otworzyły się i stanął w nich uśmiechnięty od ucha do ucha sierżant.

- Jakbyś coś sobie jednak przypomniał, tu jest mój numer - powiedział Podbiał, po czym wsadził wizytówkę w szczelinę między ścianą a futryną.

3

Warszawa-Centrum, kilka minut przed 10.00.

Koniec karnawału. Właśnie zaczynała się jego ostatnia sobota. U jej kresu zaludniają się kluby, te modne i te mieszczące się często w prywatnych mieszkaniach, otwarte jedynie dla wybranych, choć wcale przez to nie bezpieczniejsze. Większy ruch będzie w kawiarniach, dyskotekach. Śródmiejskie trotuary wypełnią tabuny młodych ludzi, dla których nie stało miejsca pod dachem, co jednak nie spowoduje, że będą oni trzeźwi. Jednak z roku na rok data ta, może dlatego, że ruchoma, traciła na znaczeniu. W Warszawie pierwszego dziesięciolecia nowego wieku bowiem zabawa trwała bez względu na wszystko, tym bardziej na kalendarz. Także liturgiczny.

Kostek i Tymon mknęli aleją Jana Pawła II. Od wyjazdu z Żeromskiego nie zamienili słowa, co było trochę dziwne. Zawsze przecież dosłownie przerzucali się pomysłami,

hipotezami, na które wielkie oczy zrobiłby nie tylko ich szef, ale nawet poszukiwany przez nich złoczyńca. Bywało też, że prowadzący akurat auto, rozgestykulowany jak włoski restaurator, puszczał nagle kierownicę samochodu, narażając obu na niechybne guzy. Dziś jednak coś najwyraźniej szwankowało. Włączone cicho radio odliczyło ostatnich pięć sekund do pełnej godziny.

- Dziesiąta - mruknął do siebie Tymek, chowając starannie zegarek pod mankietem koszuli. - Do Greenwaya jeszcze za wcześnie...

Podbiał popatrzył na kolegę. Aspirant był blady, oczy miał podkrążone.

- Nie jadłeś śniadania? - zapytał, na co Nowak, miast skinąć lub pokręcić głową, tylko wzruszył ramionami. - Pewnie zaaplikowałaś jogurcik owocowy dla niemowlęcia i chcesz góry przenosić. Jogobela, Jogobela... - zanucił melodię znaną z telewizyjnej reklamy.

- ...to bardzo dobre śniadanie dla... cwela! - dokończył Tymek.

- Otóż to! Ja nie mówię o schabowym z kapustą, ale mógłbyś zjeść przynajmniej jakiegoś konkretnego „Araba”.

Odpowiedzią tym razem był nieartykułowany dźwięk, przy czym Kostek nie był w stanie stwierdzić, czy dobiegł on z ust partnera, czy już z jego trzewi. Nie doczekawszy się innej odpowiedzi, komisarz minął na żółtym świetle skrzyżowanie z ulicą Nowolipki, gdzie mieli skręcić, chcąc dostać się do bazy, i bez słowa wyjaśnienia pomknął dalej. Tymek przyjął to z zahaczającą wręcz o trupi marazm obojętnością.

Kilka minut później obaj siedzieli w niewielkim, zagubionym pośród gmaszysk Muranova barze, serwującym specjały kuchni arabskiej.

Wielki strateg, ojciec narodu, król Jan III Sobieski, ostatni polski koronowany

władca, którego nie można się dziś wstydzić, chyba w najśmielszych snach nie przewidziałby, że kilka setek lat po rozgromieniu przez jego skrzydlatą husarię Turków pod Chocimiem i po wiedeńskiej odsieczy, w kraju będącym od zawsze przedmurzem chrześcijaństwa, jak grzyby po deszczu powyrastają bary, w których smagli mężczyźni serwować będą specjały kuchni wyznawców Mahometa. I że owe specjały o charakterystycznym zapachu będą miały takie wzięcie!

- Uważam, że każdy facet, który wykonuje męskie zajęcie, powinien od czasu do czasu zjeść „Araba” - rzekł z przekonaniem Konstanty Podbiał. - Zobacz, od tylu lat ktoś ich gnębi, a oni nadal trzymają się na powierzchni. Właśnie dzięki jedzeniu. I powiem ci jeszcze więcej: wbrew temu, co ostatnio serwują nam media, uważam, że tylko oni i Chińczycy byliby w stanie przetrwać nawet największą katastrofę na ziemi. To inteligentna rasa, choć robią z nich dzikusów, którzy biją swoje żony i każą im zasłaniać twarze.

- Ciekawie to brzmi w ustach obrońcy prawa w katolickim państwie wyznaniowym - zauważył Tymek. - Ślub kościelny brałeś?

- Tylko cywilny. Z kościelnym chcieliśmy poczekać - odparł komisarz.

- Ale święconym radiowozem jeździsz - naciskał dalej Nowak.

- Nie. Słyszałem, że dopiero w poniedziałek albo wtorek mają je skrapiać.

Chwilę milczeli.

- A o tych barach z kebabem mówią w mieście, że to lokale dla gliniarzy - powiedział Nowak.

- Może dlatego, że jest ich najwięcej i są w miarę tanie... - Kostek wzruszył ramionami.

Tymczasem podano im jedzenie. Podbiał otrzymał kebab na grubym cieście i dużą colę, Tymon zaś, nie chcąc (przynajmniej nie tak gwałtownie) zmieniać swych kulinarnych przyzwyczajeń (w pewnych kręgach nazwano by to wręcz zdradą, zaś namawiającego do zjedzenia mięsa oskarżono o próbę... zabójstwa!) - falafel w cieście cienkim, do którego zażyczył sobie ostry sos. Czy smak tego ostatniego, czy fakt, że jedzenie było smaczne i gorące, a może podziałała tu muzyka: trudna wprost do zniesienia, coś w rodzaju arabskiego disco, połączonego z motywami etnicznymi - grunt że po kilku chwilach obu funkcjonariuszom jeszcze bardziej rozwiązały się języki.

- Chyba trzeba będzie potrzymać gościa do niedzieli - powiedział Podbiał, a gdy przełknął kęs, dodał: - Albo i lepiej.

- Myślisz, że nie zmięknął? - zastanawiał się głośno Tymek.

- Widziałeś, jak reagował, gdy tylko wspominałem o Karowej? Ja cwaniactwo w oczach zawsze zauważę. A ten kutas musiał coś wiedzieć!

- Skąd niby?

- Nie wiem. Może się któryś z orłów na Żeromskiego ulitował. Może nawet Zbyszek. Przecież to nie przestępstwo. Robili nam tylko grzeczność, a Kłosowski, mimo że chwilowo bezrobotny, do biednych nie należy...

- Nie jestem do końca przekonany, czy to zwolnieni mają coś za uszami. Chyba bardziej należałoby nacisnąć na obecnych pracowników firmy.

- Mają wezwania na jutro i pojutrze.

Zamilkli na dłuższą chwilę.

- A powiedz mi coś więcej o tym, co się stało na planie filmowym? - zapytał zniecierpliwiona Nowak.

Kostek popatrzył na kolegę spod zmarszczonych brwi. Wyszarpnął kęs baraniny, przeżuwał przez dłuższą chwilę. Potem zapił to colą.

- Ktoś potraktował dziewczynę kwasem - powiedział niegłośnie. - Wiedział dokładnie, gdzie celować, żeby nie uszkodzić oczu. Chodziło o to, żeby mogła patrzeć, jak inne aktorki święcą triumfy. To wszystko.

- Czyli że to ktoś stamtąd? Z ekipy? - drażył temat Nowak.

- Możliwe. Do zdarzenia doszło w kiblu na planie serialu, ale z zeznań ekipy wynika, że do hal zdjęciowych można było się, przy odrobinie sprytu, dostać także z zewnątrz. Kilka razy złapali natrętnych fanów, raz pospolitego złodzieja, który nie wzgardził wyposażeniem serialowych mieszkań. Zajmują się tym chłopaki z Włoch. Ich dalej pytaj, jak cię to interesuje.

Młodszy aspirant Nowak bez problemu pojął aluzję.

- Wracając do naszego snajpera - ciągnął dalej po chwili - wspomniałeś, że skądś znasz widok przedstawiony na filmie.

Słomka w ustach Kostka zafurkotała groźnie.

- To prawda - rzekł. - Chodzi o zdjęcie, zwykłe, czarno-białe, ale bardzo znane, bo swego czasu obiegło cały świat. Było to w grudniu 1981 roku. Dziś, po latach, można powiedzieć, że to chyba najszlachetniejsze zdjęcie stanu wojennego. W momencie jego wprowadzenia miał być akurat wyświetlany film Czas Apokalipsy Forda Coppoli.

- Znam - wtrącił Tymek. - Z ojcem chrzestnym w roli tego pułkownika, co go miało

załatwić komando na motorówce.

- Zgadza się. Na ścianie kina wisiał sobie baner z reklamą filmu, a przed gmachem stanął akurat wojskowy skot. Idealny komentarz do sprawy! Zdjęcie zrobił Chris Niedenthal, Anglik od lat mieszkający w Polsce. Jest nawet znane miejsce, skąd się wychylił.

- No?

- To ta sama kamienica, w której byliśmy. Sprawdziłem to wczoraj w Internecie.

- Tyle że tego kina już nie ma - zauważył aspirant, zgniatając w kulkę ociekający sosem pergamin, w który zapakowana była kanapka.

- Dokładnie od 1996 roku. To pierwsze kino, które poległo w walce z nowym strojem.

- To raz. A dwa, zbieżność miejsca, z którego zrobiono fotkę i z którego potem ktoś strzelał, może być czystym przypadkiem.

- Może - bąknął Podbiał, również zgniatając swój papier po kebabie. - A tak z innej beczki: bawisz się gdzieś w ostatki?

- Pewnie posiedzę w domu z siostrą - odparł Tymek. - Ma być przyszły szwagier ze swoją kuzynką, więc może być miło. A ty?

- Mam zaproszenie na jakiś firmowy raut, zdaje się w Hotelu Sobieski. Przyszło jeszcze na nazwisko Kaśki, pewnie nie po raz ostatni. Ale chyba dam sobie spokój. A wcześniej muszę zajrzeć w jeszcze jedno miejsce...

Zadzwoiła komórka Tymka. Mężczyzna niechętnie odebrał połączenie.

- Dzięki - powiedział po dłuższej chwili i rozłączył się.

- Co jest?

- W to miejsce, co mówiłeś, to zajrzesz raczej później niż wcześniej.

- Bo?

- Mamy tego gościa od butelki.

- Zapominalskiego?!

- Zgadza się. „Czarni” czekają na rozkaz.

- A gdzie to jest?

Tymek podał adres. Kostek zamyślił się.

- Lepiej poczekajmy, aż się ściemni - powiedział po chwili.

4

Warszawa, szpital na Solcu, około południa.

Kostek stał przed automatem wydającym jednorazowe foliowe ochraniacze na buty i bił się z myślami. Nie, to nie to, że żał mu było złotówki. Tak nisko jeszcze nie upadł. Chodziło raczej o zasady. Zarządzenie wydane przez nie wiadomo kogo, polegające na obowiązku używania przez gości chodzących po szpitalnych salach i korytarzach foliowych nakładek na buty, niby w celu ochrony przed bakteriami, stosowało już coraz mniej placówek. Widać ktoś w porę pojął, że to głupota. Może dostrzegł, że baby, które,

nawet kilka razy dziennie, odwiedzają swoich bliskich, używają tych nakładek aż do zdarcia. Polak wszak zawsze kombinował, kombinuje i będzie kombinował.

Z przekory, a także zwabiony przez inny stojący obok automat, z gorącymi napojami, Kostek nie nabył ochraniaczy. Wypił w spokoju kawę, wysłuchał awantury przed okienkiem rejestracji, spowodowanej przez kogoś, kto nie miał w swojej legitymacji ubezpieczeniowej aktualnej pieczętki, po czym, trzymając w pogotowiu odznakę (choć nie wiadomo było, czy podziała na zażywną salową lub srogą przełożoną pielęgniarek), ruszył na oddział.

- Dzień dobry, jestem z policji - powiedział do pielęgniarki urzędującej przy małym stoliku na oddziałowym korytarzu. - Szukam kobiety. Wczoraj została przyjęta.

- Nazwisko? - zapytała siostra, nie podnosząc wzroku.

- Nie wiem.

Teraz już musiała podnieść głowę. Przez krótką chwilę czoło kobiety szpeciły poziome bruzdy: zniecierpliwienie jednak szybko minęło, a pielęgniarka nawet się uśmiechnęła.

- Sala numer pięć - powiedziała. - Niedawno się obudziła.

- Dziękuję.

Komisarz Podbiał nie cierpiał szpitali - i to od najmłodszych lat. Wszechobecny zapach lizolu, zmieszany ze smrodem podłego żarcia i niesprząniętych spod łóżek basenów z odchodami czy kaczek. Do tego nie dające się już zmyć niczym i przez nikogo ludzkie cierpienie, strach, wreszcie to, co ostateczne - śmierć, którą, wraz z pochlipującą rodziną, odgradzano od reszty przy pomocy białych parawanów.

Kostek znalazł właściwą salę i już miał przekroczyć jej próg, kiedy zdał sobie sprawę, że nie pamięta, jak... dziewczyna wygląda. Ala. Alicja. Lat dwadzieścia pięć. Nidoszła samobójczynie, ściągnięta przez Kostka i Tymona z balustrady Mostu Poniatowskiego zeszłej nocy - niestety, trochę pechowo, bo upadła na ziemię i trochę się poobijała. Czy ma wejść i szukać nazwiska na blaszanych tabliczkach, które zawsze wiszą w nogach chorego?

- Panie komisarzu, halo!

Drgnął. Głos dobiegł z sali. Mężczyzna wychylił się i dyskretnie zajrzał do środka. Na ostatnim łóżku, po lewej stronie, pod oknem siedziała czarnowłosa, ładna dziewczyna i machała do niego ręką. Nie widząc innego pola manewru, policjant wziął głęboki oddech.

- Dzień dobry - rzucił przez ściśnięte gardło, po czym wszedł do środka energicznym krokiem.

Chyba nikt, kto widziałby teraz Alę, nie pomyślałby, że kilkanaście godzin wcześniej chciała odejść z tego świata w sposób gwałtowny. Zresztą gdy tylko Kostek wrócił w rozmowie do wczorajszej nocy, dziewczyna zaczerwieniła się, ściszyła głos, rozglądając się z obawą po sąsiednich łóżkach, gdzie, otoczone wianuszkami bliskich, leżały lub siedziały inne rekonwalescentki.

- A u pani pewnie już byli? - zapytał Podbiał.

Ala zaczerwieniła się, opuściła głowę.

- Są daleko i o niczym nie wiedzą - odpowiedziała. - Nie jestem z Warszawy.

- Mało kto jest - zaśmiał się, ale to nie rozweseliło dziewczyny.

Nagle Kostek wstał, jakby o czymś sobie przypomniał, przeprosił Alę, po czym wyszedł z sali, zbiegł do znajdującego się w podziemiach szpitala sklepiku, gdzie kupił kilogram pomarańczy, jakiś sok i dużą czekoladę z orzechami. Kiedy wrócił z tym wszystkim na górę, Alicja miała łzy w oczach.

- Wyobrażałam sobie nie wiadomo co - zaczęła po dłuższej chwili. - Warszawa, nowe życie, nowa praca, pieniądze. Mówili, że znów wróciły czasy, że można znaleźć robotę dosłownie w ciągu jednego dnia. Tylko że ja jakoś nie mogłam. Wciąż coś było nie tak. Zatrzymałam się kątem u znajomej i dalej cierpliwie szukałam. Udało mi się znaleźć pracę w hipermarkecie, tak na przeczekanie. Chciałam wynająć jakąś kawalerkę. I wtedy zaczął się koszmar...

Kiedy godzinę później Konstanty Podbiał wychodził ze szpitala, po znajdującym się w pobliżu wiadukcie przejeżdżał z hukiem pociąg dalekobieżny. Na placyku, który tworzyło kilka uliczek, w tym Solec, padał śnieg. Białe płatki wirowały na wietrze, a w głowie mężczyzny kotłowały się różne myśli. Przede wszystkim jednak rozsadzała go złość. Najchętniej osobiście powyrywałby nogi z dupy wszystkim tym, którzy skrzywdzili dziewczynę. Musiał jednak odłożyć te plany i powściągnąć emocje. Za kilkadziesiąt minut czekała go niebezpieczna akcja.

5

Warszawa-Czerniaków, ul. Iwicka, godzina 15.30.

Dwie butelki czystej, jakiś większy sok na zapitkę. Dobry będzie pomarańczowy, może być bez cukru. Powinno wystarczyć, bo to i lata już nie te, żeby wlewać w siebie bez opamiętania. Kiedyś kobieta zrobiłaby jakieś zgrabne, pożywne kanapki na zakąskę, ale teraz... Trudno. Ważne, że coś do wypicia będzie i chłopaki powinni być zadowoleni.

Dzisiaj przecież ostatki! Warszawa będzie się bawić. A Czerniaków będzie się bawić, jak zwykle, najlepiej.

Mężczyzna powoli i ze szczególną ostrożnością pakował szkło do torby z grubego materiału, z plastikowymi rączkami w kształcie kół. Torba była stara, mało kto już takie nosił na zakupy. Ale była naprawdę mocna i wiele się w niej mieściło.

- Pięćdziesiąt dwa czterdzieści - zażądała kasjerka.

Wydobył z kieszeni portfel z wytartej skóry, z jednej z przegródek wyciągnął banknot pięćdziesięciozłotowy. Lubił ten kolor, chyba nawet bardziej od zielonej stułotówki z królem Władysławem Jagiełłą, która przypominała niektórym dolary. Jemu przywodziła na myśl starą pięćdziesiątkę z łysym (pod czapką) generałem Walterem, zaś niebieska była wtedy dwustuzłotówka, na której widniała twarz innego generała, Jarosława Dąbrowskiego. Po jej drugiej stronie był napis ZA WASZĄ WOLNOŚĆ I NASZĄ i jakaś kobieta. I to często tam po raz pierwszy chłopcy mogli obejrzeć, jak wygląda... naga kobieca pierś. Często, kiedy nie mógł zasnąć, usiłował przypomnieć sobie po kolei, kto był na starych polskich banknotach - od dziesięciu złotych do dwóch milionów. Zawsze wtedy łapał się na niewiedzy, ale nie wstawał, żeby sprawdzić, tylko męczył umysł dopóty, dopóki sobie nie przypomniał. Albo wcześniej nie zasnął.

Uzpełnił bilonem. Po chwili wyszedł ze sklepu na powietrze. Było chłodno, jak to zimą, ale on nie poprawiał szalika ani nie dopinał kurtki. Coś go rozpałało, od środka. Ciekawe co? Może właśnie była to obietnica wieczoru, innego niż wszystkie, który uświetnią zakupy trzymane oto z pietyzmem w ręku.

Jakieś dwie kobiety rozmawiały głośno na skrzyżowaniu Iwickiej i dwóch wewnętrznych uliczek osiedla. Między zaparkowanymi ciasno, po obu stronach ulicy samochodami bardzo wolno przeciskała się niebieska „ambasada” z dwoma śmieciarzami. Kiedy był mały, zawsze lubił patrzeć, jak śmieciarze jadą na wysuniętych stopniach, z tyłu pojazdu. Gdzieś szczekał pies. W otwartych szeroko drzwiach jednego z garaży, ciągnących się po prawej stronie uliczki, tyłem do Podchorążych, zabudowań wojskowych i Parku Łazienkowskiego, Malinowski grzebał jak zwykle w swoim

motorze. Gość ma już dobrze po pięćdziesiątce, nigdy się nie ożenił. Niedawno zmarli mu rodzice, więc ten motor to właściwie chyba jedyna miłość, która mu została.

To był Czerniaków, zwany też, niesłusznie zresztą, Dolnym Mokotowem. Jaki tam Mokotów! „Dół” po prostu! Tu się wychował, chodził do szkół, poznał wszystkie kąty. Tu mieszka do dziś, choć tamtego świata dawno już nie ma. Na jabłka chodziło się na Siekierki, ogniska paliło się na zwałce, tam gdzie dziś ustawili kotwicę i palą ogień, ale tylko w kolejne rocznice wybuchu powstania. Lubili z chłopakami oglądać autobusy przez bramę zajezdni na Chełmskiej. Dziś budują tam nowe, strzeżone osiedle. Dla bogatych.

- Dzień dobry - mężczyzna ukłonił się sąsiadce wychodzącej z klatki schodowej.

- Dzień dobry, sąsiedzie - odpowiedziała kobieta, uprzejmie przytrzymując mu ciężkie drzwi wejściowe.

Jeszcze te domofony pierdolone - pomyślał ze złością, doskoczywszy do drzwi; butelki w torbie zadzwoniły ostrzegawczo.

Zapach klatki schodowej. Nie, on się nie zmieni nigdy: ziemniaczane wyziewy z piwnicy pomieszanie z zapachem starości bijącym z niemal wszystkich mieszkań, grzyba tu i ówdzie kwitnącego na dawno niemalowanych ścianach, a także wszelkich woni dochodzących z kuchni na wszystkich kondygnacjach.

Mężczyzna ze starą siatką o pobrząkującej zawartości wspiał się na ostatnie, czwarte piętro kamienicy. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, największy z nich wsunął do szczeliny zamka, przekręcił dwa razy. Drzwi ustąpiły. Wszedł do środka, następując stopą na próg. Drewniana, wyślizgana i odarta z farby deseczka zatrzeszczała głośno.

Kiedy się ocknął, za oknem było już ciemno. Poczul w ustach kwaśny smak. Popatrzył na stół; jedna z butelek była już napoczęta. Bolały go plecy, serce waliło.

Powoli zaczęła do niego dochodzić bolesna prawda.

Oni nie przyjdą.

Tak jak nie przyszli przed tygodniem, przed rokiem. Nigdy. Całe życie czekał, a tu nic.

Oto zobaczył siebie stojącego na rogu Czerskiej i Chełmskiej. Było upalnie, letnie popołudnie (ktoś kiedyś powiedział, że lato najlepiej jest wyobrazić sobie w środku zimy). Sobota. Powietrze nieruchome, wszędzie cisza, jak nie w mieście. Z rogu Czerniakowskiej i Gagarina dobiegł zgrzyt skręcającego tramwaju do albo z Wilanowa, przez Sadybę. Dwójka, a może trzydzieści sześć - to bez znaczenia.

Gdzieś bliżej, w warsztacie stolarskim, chodziła piła tarczowa, ciszę co chwila przesywał długi zgrzyt. Z otwartego na parterze bloku okna dobiegały nawoływania kobiet. Wiatr przywiał skądś strzęp melodii popularnej piosenki Czerwonych Gitar. „Nie możemy pójść dzisiaj do kina, dozwolone od lat osiemnastu”... - śpiewali chórem chłopcy, których twarze zdobiły słomianki w milionach dziewczęcych pokoików w tym kraju.

Stojący na rogu Czerskiej i Chełmskiej chłopiec był sam i czekał nie wiadomo na co.

W pewnym momencie zrobiło się ciemniej. Chłopak podniósł wzrok. To ogromna chmura złowroźnie zakryła słońce. Momentalnie zrobiło się też chłodniej, nagły powiew wiatru smagnął nagie ramiona, łydki i pokryte strupami kolana. Zamilkły głosy, radio, nawet piła. Stojący na rogu ulic czuł (choć zawsze mówi się, że takie zdolności mają tylko starsi, doświadczeni ludzie), że coś niedobrego się wydarzy.

I przecucie go nie myliło.

Wyrosli jak spod ziemi. Czterech, a każdy o głowę wyższy od niego. Uśmiechali się

łobuzersko, jeden splunął z pogardą na popękane płytki chodnika.

- Kasa! - rzucił naraz drugi, rudawy, ze śmiesznie odstającymi uszami, z których jednak, jak również z koloru włosów nastolatka, nie można było się śmiać.

- Nie mam - jęknął osaczony.

- Jak to nie masz?

- Nie dostałem jeszcze kieszonkowego.

- W takim razie wszorujemy cię w chodnik. Chłopaki, brać go!

Obrazek jakich wiele, setki, tysiące innych, znany aż nazbyt dobrze ze szkół, podwórka, boiska. Unoszący się w górę kurz i krew kapiąca na ziemię. Tym razem jednak historia potoczyła się zupełnie inaczej: napadnięty chłopak uchodzi wyciągniętym po niego rękoma, choć ich żółte od papierosów palce już zaciskały się na jego ramionach, przegubach, sterczących na wszystkie strony włosach. Daje nura w bok, znika między kamienicami. Słyszy za sobą tętent ośmiu stóp, wrogie nawoływania, groźby i przekleństwa, co powoduje, że przyspiesza jeszcze bardziej. Gna przez chwilę Czerską, by po chwili znów zniknąć na jakimś podwórku. Odgłosy nagonki cichną, jednak uciekinier wie, że to tylko ułuda. Nie zwalnia ani na chwilę. Jest coraz bardziej zmęczony, dyszy głośno, nogi zaczynają omdlewać mu z wysiłku.

Wybiega z bramy wprost na ruchliwy chodnik. Na przystanku właśnie zatrzymuje się zatłoczony autobus do centrum. Chłopiec zwalnia, udaje mu się wmieszać w tłum. Ogląda się za siebie i wtedy widzi, że tamci wcale nie zrezygnowali z pościgu i wciąż nie jest bezpieczny. Tłum rzędnie, ludzie znikają w rozpalonym wnętrzu czerwonego jelicza. Uciekinier gna w kierunku przejścia dla pieszych, bez namysłu wbiega na jezdnię, kilka metrów obok pasów. Jest już w połowie, kiedy słyszy za sobą pisk opon i krzyk kierowcy. W kilku susach dopada krawężnika. Jeszcze kilkanaście metrów chodnika.

Zapominając o najważniejszej zasadzie wszystkich uciekinierów, wbiega do otwartych drzwi jakiegoś budynku. Wprost przed nim schody. Niewiele myśląc, dopada poręczy i rusza w górę. Nie ma już sił, czuje, jakby szyjne tętnice za chwilę miały zostać rozerwane, przed oczami wirują mu czarne koła. Mimo to, prze naprzód.

Ile jeszcze pięter przed nim? Ile ich ma ten budynek? - zaczyna się zastanawiać.

Wtem zatrzymuje go w miejscu kobiecy krzyk.

- Hej, mały! A bilet kto kupi?!

Obraz odzyskuje kontury. Jakiś korytarz o odrapanych ścianach, okienko w murze. Ręka machinalnie sięga do kieszeni, palce wyławiają monetę. Brzęk metalu na blaszanej podkładce. Po chwili w tym samym miejscu szelest skrawka papieru, oderwanego przez sprawne palce kobiety ze zrolowanej, zadrukowanej taśmy.

W tym samym momencie zza ciemnej kotary dobiegły pierwsze takty znajomej skądś melodii. Zaraz po nich głos mężczyzny.

- „Sierpień to szczególny czas w życiu każdego rolnika. Polska Kronika Filmowa odwiedziła z kamerą gospodarstwo Jędrzeja Dyducha we wsi Wolnica powiat Kutno”...

Nagle czujne ucho uciekiniera pochwyciło dobiegający z dołu tupot nóg. Wstrzymał oddech, ruszył do przodu, by zagłębić się w ciemność, kurz i zapach potu. Po kilku chwilach z korytarza dobiegł wrzask bileterki:

- Wynocha mi stąd, gnoje, bo milicję zawołam!

Wiedział już, że jest bezpieczny. I że zaczął się zupełnie nowy etap w jego życiu.

Mężczyzna drgnął. Otworzył oczy. Wstrzymał oddech i nadstawił uszu. Mimo że dźwięk nie powtórzył się, był pewny, że ktoś jest na korytarzu. Lata ćwiczeń.

Wstał i powoli, jak tylko najciszej potrafił, otworzył szafę i wyjął z niej broń. Przeładował. Potem ruszył w kierunku drzwi...

6

Warszawa-Czerniaków, ul. Sielecka, około 17.00.

Młodszy aspirant Tymon Nowak siedział w kącie policyjnej furgonetki, wtulając twarz w podniesiony kołnierz kurtki. Kierowca kilka minut temu wyłączył silnik, a wraz z nim ogrzewanie, wskutek czego w parę chwil zrobiło się zimno.

W sumie trudno się dziwić, luty - pomyślał ze smutkiem, wsuwając dłonie w kieszenie dzinsów, co w pozycji właściwie półleżącej nie było rzeczą łatwą. Zima zawsze działała na niego dołująco: krótkie dni, zamglone poranki, konieczność brodzenia w nieuprzątniętym, pośniegowym błocie - tego nie cierpiał najbardziej. Jedyne plus tej pory roku był taki, że wcześnie zapadające ciemności pomagały w kamuflażu. Tak jak teraz. Wszyscy byli już gotowi. Czekali tylko na Kostka Podbiała.

- Jebany zatrask! - zaklął jeden z „czarnych”, mocujący się z zapięciem kamizelki kuloodpornej.

- Spokojnie, Zdzisiu - mruknął Tymon. - Tylko spokojnie.

Siedzieli w ośmiu czy dziewięciu w nieoznakowanym volkswagenie transporterze i czekali na rozkaz do ataku. Wywiadowcy donieśli przed chwilą, że podejrzany jest w domu. Na podwórku był spokój, wszyscy siedzieli w ciepłych domach. Tylko jakiś emeryt z psem na smyczy ciekawie zajrzał do środka samochodu. Cicho grało radio.

- Ja to bardziej wolę poranki - stwierdził siedzący obok kierowcy Zenek Mąka, komisarz, szef grupy. - Po ciemku się trzeba zwlec z koja, to prawda, ale za to masz większą szansę, że gość będzie zdziwiony, często nawet na ciężkim kacu, że nie zdąży nawet małym palcem kiwnąć. Ostatnio jak zdejmowaliśmy Fabiana. Pamiętasz, Paweł?

- Przecież Pawła już nie ma, panie komisarzu - odpowiedział niegłośnie policjant nazwany Zdziśkiem.

- Zupełnie zapomniałem, cholera - zaklął komisarz Mąka. - Bardzo mi go brakuje, wiecie, chłopaki...

Ktoś westchnął, inny tylko coś burknął po nosem. Zimna stal zastukała o nie mniej zimną szybę samochodu.

Tymon spojrzął na zegarek. Podbiał spóźnił się już dziesięć minut. Rzadko brali udział w podobnych akcjach, Tymek nie wiedział też, czy wcześniej, w swoim mieście, komisarz w ogóle wahał proch. Żaden z nich się nie przechwalał wyczynami. Właściwie wiedzieli o sobie niewiele. Poza tym, o czym trąbili wszyscy, mianowicie że Podbiał został ściągnięty do Warszawy dzięki swojej żonie aktorce, Nowak wiedział tylko o dwóch epizodach z wcześniejszej służby swojego partnera. Niezbyt zresztą chwalebnych.

Kilka lat temu, kiedy Podbiał był jeszcze sierżantem, konwojował podejrzanego z sądu w Olsztynie. Przez nieuwagę, a może z litości skuł gnoja nie z tyłu, jak wymagały przepisy, tylko z przodu. Kiedy wyszli z sądu, bandyta zaczął uciekać. Kostek złapał za „klamkę”, przeładował, wykrzyczał, zgodnie z przepisami, czyli dwa razy, formułkę ostrzeżenia. Uciekinier nie posłuchał, więc policjant pociągnął za spust. Niestety, chybił. Podejrzanym zaczął uciekać, Kostek za nim. W końcu, po kilku minutach dorwał drania na jakimś płocie, ale tylko dlatego, że trafił go w piętę.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pierwsza kula, którą wystrzelił sierżant Podbiał. Trafiła w stopień schodów, odbiła się rykoszetem i poszybowała sobie dalej. Niestety, na

jej drodze stanął młody chłopak, kilkadziesiąt metrów dalej, idący sobie spokojnie zatłoczonym trotuarem wzdłuż głównej arterii miasta. Poczul coś w rodzaju ukłucia. Ból nie mijał, więc chłopak pojął, że coś jest nie tak. Wszedł do pierwszego z brzegu baru i poprosił o pomoc. Tam popatrzyli jak na idiotę i dopiero kiedy padł w kałuży krwi, otrzymał bowiem postrzał dokładnie w nerkę, zaczął się raban. Kostek nic o tym nie wiedział. Napisał spokojnie raport o wydarzeniu i dopiero później ktoś skojarzył te dwa fakty. Zaczęło się ciągnięcie sierżanta, drobiazgowe wyjaśnianie, wizje lokalne, śledztwo. Solidarni koledzy szumieli, że to wina broni i domagają się pistoletów z amunicją antyrykoszetową. Sprawa ciągnęła się wiele lat, by zakończyć się całkowitym uniewinnieniem Podbiała. Ile jednak chłopak nerwów przez ten czas stracił, nie policzy nikt.

Kilka lat później znów dał o sobie znać niefart. Podbiał był już oficerem, został awansowany na zastępcę komendanta powiatowego w jednej z mazurskich miścin. Nowak nie pamiętał jej nazwy. Komisarz nie chciał się tam przenieść, więc był zmuszony codziennie dojeżdżać do pracy kilkadziesiąt kilometrów, któregoś dnia nawet nie wyrobił się na zakręcie, a może przysnął za kółkiem, po czym wpadł autem do rowu i nieźle się poobijał. Jednak nie to okazało się najgorszym doświadczeniem z tamtego czasu. Któregoś dnia bowiem, a raczej nocy, kilku funkcjonariuszy urządziło sobie na komendzie libację alkoholową. Paliwo szybko się skończyło, nikomu nie chciało się wychodzić, więc wezwali taksówkę z dostawą. A Polakom, których dziś wychowują kolorowe gazety, nie wiele trzeba. Taksówkarz zakapował, gdzie trzeba, rozpętała się porządna afera, w wyniku której Kostek i jego szef polecili ze stołków.

Niektórzy mówili, że Podbiał przynosi po prostu pecha. Mimo wszystko, Tymek nie chciał w to wierzyć.

- No, jest wreszcie - mruknął z przyganą komisarz Mąka.

Tymek podniósł głowę. W szybie zamajaczyła znajoma sylwetka.

- Kwadrans akademicki - rzekł wesoło Podbiał, wchodząc do środka furgonetki. -
Dajcie mi się chwilę ogrzać.

Kilka minut później stali na schodach. Spojrzenia Tymka i Kostka spotkały się. Twarz tego ostatniego była spokojna. W tym samym momencie rozległ się trzask wyważanych drzwi, po sekundzie powietrze rozdarł huk rzuconych granatów.

- Policja! Na ziemię!!!

Do środka lokalu wtargnęła grupa antyterrorystów. Chwilę po tym, jak za drzwiami zniknęła ostatnia czarna postać, ruszyli także Podbiał i Nowak. Obaj mieli na sobie kamizelki kuloodporne, każdy dwoma rękami ścisnął skierowanego lufą ku dołowi glocka.

Mieszkanie było pełne dymu, jednak, mimo tej zasłony, można było z łatwością stwierdzić, że jego właściciel nie dba o nie zbyt przesadnie. Brudne ściany, stare meble, żyrandol z gazety, wszędzie wałały się butelki - również w rodzaju tej, za sprawą której policjanci się tutaj znaleźli.

Na środku dużego pokoju leżał na podłodze mężczyzna ubrany tylko w spodenki i koszulkę (obraz jakże powszechny w dziennikarskich newsach telewizyjnych). Nic nie mówił. Może dlatego, że jego głowy dotykała lufa pistoletu maszynowego. Jeden z „czarnych” właśnie łączył na plecach przy pomocy kajdanek nadgarstki podejrzanego: niemłodego chłopiny z siwym zarostem, o którego przynależności zawodowej mówiły liczne tatuaże, pokrywające jego ręce i nogi.

- Czysto. Nikogo - zameldował komisarzowi Mące inny podwładny.

Podbiał pochylił się nad leżącym.

- Marian Ziobro syn Stefana? - zapytał.

- Tak - jęknął tamten.

- Nie słyszę!

- Tak! O co chodzi?

- Dowiesz się wkrótce - odparł Kostek, a do antyterrorystów rzucił krótkie: - Zabrać.

Wtedy Ziobro jakby się obudził ze snu.

- Ale panie inspektorze, to jakaś pomyłka! - zaczął krzyczeć, kiedy podnosili go z podłogi. - Co ja zrobiłem?

- Do niewinnych ludzi strzelasz, Ziobro - powiedział Tymon, któremu, nie wiadomo czemu, zrobiło się nagle żal tego człowieka.

- Co?! - w oczach mężczyzny pojawiło się autentyczne przerażenie. - Ja? Strzelam? Kiedy ja ostatni raz kałacha w rękę w Orzyszu miałem.

- Nie obchodzi nas, gdzie spędzasz wakacje, Ziobro.

- Dwadzieścia osiem lat temu, inspektorze! To jakieś nieporozumienie, kurwa!

Krzyki i jęki Mariana, potęgowane przez echo klatki schodowej cichły, słabły, by w końcu zgasnąć zupełnie. Zza okna dobiegł warkot silnika volkswagena i rumor zamykanych drzwi. Dym w mieszkaniu opadał powoli.

- No co się patrzysz?! - Kostek nie wytrzymał i fuknął na partnera.

- Nic - odparł Tymon, wzruszając ramionami.

- Poszukaj kluczy od tego chlewu. Trzeba pozamykać, bo mu jeszcze wszystko wyniosą. I pogadaj z nim tak na gorąco, zanim polecisz na chatę. Wrócimy do sprawy w poniedziałek. Może przynajmniej on zmięknie...

7

Warszawa-Ochota, plac Zawiszy, godzina 19.00.

Nad miastem była już ciemna noc, kiedy Konstanty Podbiał wysiadł z tramwaju numer 22 jadącego w stronę Pragi i wraz z grupką innych przechodniów ruszył w kierunku przejścia dla pieszych. Chwilę poczekał na zielone światło, pokonał jezdnię, potem następane przejście.

Godzinę wcześniej, wróciwszy do domu, umył się, przebrał w świeżą koszulę i marynarkę, użył wody toaletowej, tej na specjalne okazje. Czuł się jednak niezbyt komfortowo. Miał nadzieję, że kilka drinków, które za chwilę zaaplikuje, postawi go z powrotem na nogi.

Po kilku chwilach zatrzymał się przed oświetlonym gmachem z charakterystyczną kopułą z chorągwią wieńczącą fronton. Litery nad wejściem, wykonane z neonowych lamp, układały się w słowa: HOTEL SOBIESKI.

- Dobry wieczór, panu - uklonił mu się człowiek w czerwonej liberii i takiegoż koloru kepi, spod daszka którego zerknęły oczy nieufne i cwaniackie, oczy handlarza z targowiska po drugiej stronie Jerozolimskich.

Wnętrze z miejsca owionęło przybysza zapachem eleganckich wód kolońskich, tytoniu, a przede wszystkim ciepłem. Panowało tu nerwowe ożywienie. Ciemnoskórzy goście szarpali się z ogromnymi walizami, podczas gdy inni, jeszcze ciemniejsi, skupieni w małych grupkach, rozmawiali głośno w dziwnym narzeczu, gestykułując przy tym jak

na targu w Mogadiszu. Człowiek w czerwonej marynarce, oddzielony od reszty pomieszczenia drewnianym kontuarem recepcji, podniósł wzrok na przybysza. Ten jednak nie zatrzymał się. Minął szatnię ze znudzonym obliczem szatniarza, kolejną recepcję i kolejną parę czujnych oczu.

Ściany długiego korytarza zdawały się falować; migotały dziesiątkami świateł, twarzą na obrazach i zdjęciach, oszklonych pomieszczeń, w których mieściły się kawiarnie, sklepiki, kioski z prasą i zakłady fryzjerskie. Kostek nie zatrzymywał się, szedł coraz szybciej, jakby był tu po raz setny. Szlak ów oznaczały dodatkowo specjalne stojaki, na nich zaś strzałki wskazujące odpowiednie drzwi i hasła, których znaczenie mogli odgadnąć tylko wtajemniczeni. Zza kolejnych drzwi dobiegały różne dźwięki: raz były to oklaski, za chwilę muzyka i znów brawa, i znów monotony głos mówcy.

- Dobry wieczór, panu - blondynka w białej bluzce z identyfikatorem znieca zastąpiła mu drogę, tak że mało na nią nie wpadł.

Bąknął coś pod nosem, ona zaś dygnęła po pensjonarsku.

- Na jubileusz? - zapytała.

Tylko skinął głową, jakoś nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Jednym ruchem wydobył z zanadrza zaproszenie.

- Proszę.

Już miał przestąpić próg sali, kiedy zwrócił jego uwagę głos drugiej z kobiet.

- Godność pana poproszę - szatynka w podobnej bluzce, dodatkowo uzbrojona w długopis z napisami i groźnie pobłyskujące szklami okulary, posługiwała się zachrypniętym, męskim niemal głosem.

Przed stolikiem stał jakiś jegomość. Najwyraźniej nie miał zaproszenia. Dziewczyna marszczyła czoło, koniec firmowego pisaka wędrował po liście, dobiegł do dołu, hostessa przewróciła stronę, jej sztucznie opalona skóra pofałdowała się jeszcze bardziej.

- Niestety, ale... - powiedziała bardziej do siebie niż do niego, mężczyzna zaś dalej uparcie, wyniośle milczał, jakby nic go to nie obchodziło.

Zza uchylonych drzwi dochodziły śmiechy, męski głos sprawdzał działanie mikrofonów, licząc do trzech. Hostessa z listą spojrzała pytająco na koleżankę. Tymczasem za pechowym gościem zaczęła tworzyć się kolejka. Dziewczyna jeszcze raz rozpoczęła poszukiwania, cierpliwie, od góry do dołu, przewróciła kilka stron.

W tym momencie Kostek, który wciąż stał w drzwiach, rzekł z udawaną pretensją:

- Ale przecież ten pan jest ze mną!

Rzeczywiście, zaproszenie, które Podbiał trzymał w dłoni, było dwuosobowe.

- Zapraszam i życzę panom miłej zabawy - powiedziała mechanicznie owa sroga hostessa. - Dobry wieczór, państwu, państwo na jubileusz? - przywitała kolejnych gości, a jej koleżanka znów dygnęła grzecznie i szerokim, wyćwiczonym w wielu hipermarketach gestem wskazała drzwi sali.

- Dzięki - mruknął do Podbiała gość na gapę.

- Drobiazg - odparł Kostek.

Weszli do środka. Duże pomieszczenie dopiero wypełniało się publicznością. Każdy nowy gość witany był kieliszkiem szampana, serwowanym przez długonogie hostessy, niczym świeżo wybrane miss przepasane szerokimi, jedwabnymi szarfami z niewiele mówiącym napisem. Stukot obcasików na podłodze wygłuszały grube, czerwone

dywany.

Rozmawiano w małych grupkach i mało kto zajmował miejsca na krzesłach, które ustawiono w kilkunastu rzędach, na środku, przodem do zaimprovizowanej sceny. W bok od niej instalował się właśnie zespół muzyczny; był to kwartet jazzowy, nad którym górował gryf kontrabas, a na samym przodzie zasiadał pianista z bródką przystrzyżoną w szpic.

Goście snuli się pod ścianami obwieszonymi sztychami przedstawiającymi starą Warszawę na przemian z banerami reklamowymi. Pod przeciwległą ścianą ugięły się pod ciężarem jedzenia długie stoły; na fantazyjnie marszczonych obrusach szeroki wybór dań ciepłych w specjalnych, niklowanych naczyniach, i zimnych na przykrytych jeszcze folią półmiskach. Pilnujący swego zakłętego rewiru młody kelner dwoił się i troił, zgiął w pół i gestykulował z uśmiechem, by możliwie jak najgrzeczniej wytłumaczyć gościom, krążącym wzdłuż stołów parami lub w pojedynkę niczym wygłodniałe sępy wokół padliny, że czas żeru jeszcze nie nadszedł, choć z każdą chwilą sztuka ta stawała się coraz trudniejsza.

Kostek przysiadł z kieliszkiem wina na krześle i zaczął mimowolnie nasłuchiwać.

- Chyba żeberka będą, powiem pani, chyba żeberka. W zeszłym tygodniu w Holidayu też serwowali żeberka. Pod beszamelem! - starszy mężczyzna w pachnącej naftaliną i krzywo zapiętej marynarce czujnie uniósł głowę, a jego nozdrza poruszały się niespokojnie jak u starego jelenia-byka.

Towarzyszyła mu przesadnie umalowana kobiecina ubrana w beżową, robioną na drutach suknię i takież toczek na głowie; ona również rozglądała się czujnie jak matka-lania i uwadze jej nie uchodził żaden ruch w okolicy stołów z jedzeniem.

W pewnej chwili od strony drzwi dało się wyczuć poruszenie. Najpierw rakiem i na zgiętych pokraccznie nogach szli fotoreporterzy, następnie w świetle trzaskających fleszy

dumnie kroczył starszy mężczyzna o nalanej, czerwonej twarzy, na widok którego zaczęły przycichać rozmowy, ten i ów trącił łokciem interlokutora, nachylił się do ucha, komuś pusty kieliszek wypadł z rąk, lecz szczęśliwie nie potłukł się. U boku mężczyzny zwiślało urodziwe dziewczątko lat około szesnastu, może siedemnastu, z natapiowaną fryzurą i w sukni z głębokimi, obustronnymi wycięciami. Zatrzymali się łaskawie, mrużąc oczy od mrugających świateł aparatów, następnie ruszyli dostojnie ku pierwszemu rzędowi krzeseł.

- Łosoś chyba też będzie. Zaszкодził mi ostatnio w Intercontinentalu - skrzywiła się kobiecina w beżowym toczku, bo właśnie któryś z kelnerów zdjął pierwszy arkusz folii z półmisków.

Tymczasem na podwyższenie wskoczył rączo znany prezenter telewizyjnego programu informacyjnego, stuknął kilka razy w sitko mikrofonu, odchrząknął, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobry wieczór, państwu. Jest mi niezmiernie miło powitać drogich gości, dziennikarzy, na tradycyjnym, trzecim już, jubileuszowym spotkaniu, organizowanym przez warszawski oddział firmy BNC International Polska. Witam prezesa BNC International Polska, pana Józefa Kielbasę, brawo!

Z pierwszego rzędu ciężko podniósł się łysy mężczyzna ubrany w smoking i... krawat w grochy, obrócił się do pozostałych i ukłonił. Zaklaskało kilka osób, które w tym akurat momencie nie trzymały kieliszków z trunkami. Potem na mównicę wstąpił rzeczony dyrektor Kielbasa, przeczytał z kartki rozdział podręcznika do marketingu dla klas pierwszych, czemu towarzyszyło wzmagające się z każdą chwilą gruchotanie lodu w shakerach, którymi potrząsali barmani przygotowujący drinki dla gości, formujących się już w karne kolejki przed barami na kółkach.

Następnie, z towarzyszeniem szczęku sztućców i talerzy, zabrał głos zastępca dyrektora, by po kilku chwilach oddać pole dyrektorowi marketingu firmy, który, chcąc

nie chcąc, wydukał swoje skutecznie zagłuszany już przez gwar rozmów, dzwonienie szkła i niekończące się trzaskanie fleszy aparatów. Część nieoficjalną rozpoczął występ kwartetu jazzowego. Pianista ze szpiczastą bródką potoczył po sali wściekłym wzrokiem, ale szybko przymknął oczy. Widać było, jak uspokaja się z każdym taktem.

- Chyba jednak spróbuję tego łososia - machnęła ręką paniusia w beżach.

I już przepychała się przez ciżbę broniącą dostępu do stołu. Jej naftalinowy towarzysz, który właśnie skończył nakładać sobie pełen talerz parujących potraw, usiłował przekrzyczeć gwar rozmów i muzykę.

- Niech pani nie zapomni spróbować żeberek. Żeberka spróbować!

Kostek rozejrzał się po sali. Dyrektorzy firmy w najlepsze pałaszowali już sałatki, hostessy roznosiły wino na tackach, ktoś w tumanach szarego dymu rozpałał gigantyczne cygaro. Obok Podbiała usadowili się dwaj starsi panowie. Każdy z nich przyniósł po dwa talerze z jedzeniem i po dwa kieliszki wina. Ledwo zajęli miejsca, zaczęli pracować widelcami zapamiętane, choć wcale nie mieli zamiaru rezygnować z miłej rozmowy.

Pierwszy, noszący w klapie marynarki jakieś znaczki, poszczególne zdania przedzierał głośnymi, wodnistymi siorbnięciami, jego sąsiad zaś, odziany w wyciągnięty sweterek góralski, czekał bez skrępowania, choć próbował pozbyć się tej przypadłości, pociągając z lampki spore łyki bordeaux.

- Wczoraj była konferencja prasowa tej nowej telefonii komórkowej i uwierzysz, że tylko słone paluszki, chipsy paprykowe i wodę mineralną do popicia dali?

- Każdy teraz oszczędza, nawet debiutanci - odparł z pełnymi ustami ten w swetrze. - Mówiłem ci, żebyś szedł ze mną do Bristolu. Prywatna telewizja zawsze lepiej karmi, a jeszcze byś na ładne aktorki mógł popatrzeć. Rawska była.

Kostek drgnął.

- Sama czy z dobiegaczem?

- Sama.

- Nie może być!

- Też się zdziwiłem. Wszyscy się dziwowali, nie było innego tematu! Odkąd puściła kantem tego gliniarza...

Podbiał poczuł w ustach kwaśny smak. Odstawił kieliszek na tackę, niesioną przez kelnera, którego zadaniem było zbieranie brudów. Wstał z krzesła, ale zakręciło mu się w głowie, więc klapnął z powrotem. Szczęściem żaden z siedzących obok pismaków nie zauważył tego ani tym bardziej nie rozpoznał „tego gliniarza”.

- A tego tam widziałeś, pajaca? - człowiek ze znaczkami w klapie skinął głową w kierunku starszego mężczyzny, którego triumfalne wejście na przyjęcie zostało uwiecznione w pamięci aparatów fotograficznych i pewnie zapełni szpalty kolejnych pism kolorowych w nadchodzącym tygodniu. - Do filmu go nie chcą brać, ale „skórki” to ma coraz młodsze. Ta mogłaby być jego wnuczką.

- Może jest - ciamknął drugi, wydłubując sobie przydługim paznokciem rybią ość ze szpary między zębami. - Na poniedziałek coś mamy?

- Przed południem pokaz prasowy tego pawia, co to niby nowy nurt polskiego kina.

- Rano siedzę w redakcji. Bardziej chodzi mi o wieczór.

- Kanał krajoznawczy we włoskiej trattorii, ale podobno tylko na zaproszenia. Zadzwoń do nich z rana, może jeszcze uda ci się wcisnąć.

- Włoska kuchnia mi szkodzi.
- Tyle tam włoszczyzny co w budce z sajgonkami.
- A nie ma czegoś w jakiejś ambasadzie?
- Też lubię powspominać.

Towarzystwo zaczynało się powoli przeredzać. Hostessy dyżurujące przy drzwiach rozdawały wychodzącym gościom plastikowe torby z symbolem firmy i tajemniczą zawartością. Dyrektor Kielbasa rozmawiał z kimś na stronie przez telefon komórkowy i co chwila chwycił się za serce, domniemana wnuczka starego amanta filmowego szczebiotała z wicedyrektorem BNC International Polska, jej mistrz zaś wybrzydzał przy barze.

W pewnej chwili podszedł do niego niepozorny człowieczek w wyciągniętej marynarce w jodełkę, zaszurał nogami, o coś zapytał. Aktor zmarszczył czoło, niechętnie odwrócił się od baru, tymczasem człowieczek zbliżył się do jego boku i wyszczerzył żółte zęby w uśmiechu naiwnego pastuszka. Błysnął flesz automatycznego aparatu, trzymanego przez stojącą niedaleko towarzyszkę łowcy: niemłodą, otyłą kobietę w złachmanionym od deszczu kapeluszu z piórkiem na głowie.

- Co za buc - mruknął człowiek w marynarce w jodełkę, wróciwszy do swojej towarzyszki, a zarazem asystentki.

- Straszny! - zgodziła się ona i bardzo ostrożnie oddała idioten-kamerę właścicielowi.
- A tego znasz? - pokazała palcem inny kierunek. - Czy on nie gra czasami w tym serialu...

Kelnerzy zbierali ze stołów brudne talerze i, nauczeni widać doświadczeniem, już

zaczynali się rozglądać za elementami wyposażenia kuchni, porzuconymi w najmniej spodziewanych miejscach: za kotarą, pod krzesłem, na fortepianie. Kostek mimowolnie szukał wzrokiem znajomych twarzy, jednak oprócz gapowicza, którego wziął pod skrzydła, a który teraz szalał przy stołach z ciepłym jedzeniem, nikogo nie dostrzegł. Nie liczył oczywiście bywalców, których spotykał wiele razy na podobnych imprezach i o których wiedział, że w środowisku zyskali sobie oczywistej konotacji zbiorowe przezwisko: „torbiarze”.

A Podbiał chciał, najnormalniej w świecie, z kimś pogadać. Wiedział, że przy takiej rozmowie będzie musiał mieć się na baczności, żeby nie uderzyć w płaczliwy ton, właściwy porzuconemu - niemal publicznie - mężczyźnie. Jeszcze kilka tygodni temu taka rozmowa z przypadkowo spotkanym znajomym mogła się w istocie skończyć smarkaniem w rękaw; teraz czuł się już nieco pewniej.

W pewnym momencie mignęła mu w tłumie znajoma twarz.

Ej, ale to nie może być prawda. On tutaj? - pomyślał Kostek, po czym wstał z miejsca, aby upewnić się co do prawdziwości swojego odkrycia. Po kilku metrach wiedział już, że się nie myli. Niestety.

- Cześć, Andrzej.

Tym razem podkomisarza Andrzeja Rudzkiego nie chroniła żadna skorupa ani inne kretyńskie przebranie. Policjant miał na sobie białą koszulę, czarną muchę, przepasany był długim fartuchem, w rękach trzymał tacę z brudnymi kieliszkami, talerzykami i popielniczkami, która w tej chwili zakołysała się niebezpiecznie.

Podbiał stał i oczom nie wierzył. Nie wypił za wiele.

- Cześć - syknął Rudzki, po czym spojrzał na Kostka w sposób, który tłumaczył wszystko.

- Dobra, nic nie mów - rzekł Podbiał, udając, że nie zna kelnera. - Na razie.

Andrzej Rudzki rozplynął się w tłumie, Kostek zaś wsunął ręce w kieszenie, wrócił na dawne miejsce i po raz kolejny rozejrzał się po sali.

Tłok przy stołach nie zmniejszał się. Paniusia od nieświeżego łososia właśnie uformowała z czekoladowych ciastek zgrabną piramidkę, owinęła ją serwetkami, po czym zapakowała do torebki. Ktoś inny upychał po kieszeniach butelki piwa, inny w spokoju pogryzał jabłko, zdjawszy bez najmniejszego skrępowania pantofle; obok spoczywała plastikowa reklamówka, wyładowana owocami. Znany prezenter przejawiał coraz większe zainteresowanie młodocianą partnerką leciwego aktora, spychając dziewczynę w kąt między ścianą a tablicą z wykresem wzrostu sprzedaży obchodzącej jubileusz firmy. Grupka fotoreporterów oblegała spóźnionego byłego wicemistrza Europy w wyścigach samochodowych. Pianista zastygł z zamkniętymi oczami nad klawiaturą fortepianu, więc wydawało się, że śpi; wciąż jednak poruszał palcami.

- Przepraszam pana - kolekcjoner zdjęć osób znanych, a raczej siebie w towarzystwie tychże, nieśmiało nachylił się nad siedzącym samotnie Konstantym; zaszurał przy tym nogami, odchrząknął, jak petent w biurze, próbując dodać sobie odwagi albo zamaskować swoją natarczywość, jednocześnie zerknął w bok, gdzie gotowa do strzału czekała jego pomocnica. - Czy mogę zrobić sobie z panem zdjęcie?

- Ze mną? - zdziwił się Kostek.

- Tak - potwierdził gość, by zaraz dodać: - Bardzo pana lubię.

- Nie rozumiem. Chyba wziął mnie pan za kogoś innego.

- A gdzie tam! Rozpoznałem pana. A ta rola w serialu na Polsacie, majstersztyk! Oboje z żoną uwielbiamy pana oglądać. Chwileczkę, tylko aparat przygotuję. A wie pan,

że z pańską żoną też mam zdjęcie?

- Z moją żoną?

- No, z panią Jolą. Wiele się wycierpiała przez pana, ale już teraz wszystko będzie dobrze. Wyjść z alkoholizmu wcale nie jest tak łatwo, jakby się komu zdawało. Ale my wierzymy w pana. Oboje z żoną.

Zrezygowany Podbiał wskazał ręką wolne krzesło obok siebie, facet przycupnął na brzeżku, ze złączonymi jak u kobiety kolanami i wyszczerzył się do wycelowanego obiektywu. Przez sekundę chciał nawet objąć swojego idola ramieniem, taki przyjacielski, choć świadczący o dużej zażyłości gest, ale szybko cofnął rękę. Kobieta z aparatem pochyliła się, nacisnęła przycisk migawki...

- Uwaga! Cyk! Dziękuję.

- Proszę - chrząknął Kostek.

- Kręci się coś teraz. Nie wie pan? Wajda, Zanussi. Robią, nie?

- Dużo się kręci.

- To do widzenia. Dziękuję. Proszę pozdrowić żonę!

Dziesięć minut później Podbiał siedział w pustawym autobusie i pił piwo z puszki. Pił zachłannie, jak ofiara długotrwałej i wyniszczającej suszy, ale nie przejmował się tym: kieszenie płaszcza wypychały mu jeszcze dwie.

Srał was wszystkich pies, skurwysyny! - lżył w myślach ludzi, z których towarzystwa zrezygnował przed paroma chwilami, zresztą bardzo gwałtownie, potrącając kelnera z pełną tacą szkła. Znad talerzy spojrzęło wtedy kilku zaciekawionych gości, nawet

perkusista zapomniał wybić jednego taktu. Ktoś w głębi sali zaśmiał się przeciągle. Ale Konstantego Podbiała nie było już w sali hotelu Sobieski.

To nie był jego świat. Nigdy. Wiedział to od początku. I od początku czuł się nieswojo, gdy razem z Kaśką wychodzili na uroczyste premiery, rauty, gale rozdania nagród. Raziły go światła, trzaskające flesze aparatów, pokrzykiwania fotoreporterów w rodzaju: Kasia, tu, do mnie, w lewo, w prawo, wyżej! - wydawały mu się co najmniej niegrzeczne. Z czasem jednak przyzwyczyił się do tego, a nawet, brany na celownik, zaczął uśmiechać.

Mimo to, czuł, że nie pasuje do tego towarzystwa. Podczas gdy Kaśka brylowała w gronie znajomych, jego stać było tylko na nieme potakiwanie. Mieli swoje tematy, plotki, wyrzekali wspólnie na reżyserów, producentów i dyrektorów teatrów. A najczęściej na siebie nawzajem - w zależności od składu ekipy plotkującej. Początkowo go to bawiło, z czasem czuł coraz większy niesmak i złość. Zastanawiał się, co mówią o nich, chwilę po tym, jak się z Kaśką oddalą. Ona się tym nie przejmowała, tak przynajmniej twierdziła.

Z wierzchu cały ten świat wyglądał pięknie: błysk fleszy, czerwone dywany (bo i takie bywały, czemu nie?!), eleganckie kreacje, fryzury, przyprawiające o zawrót głowy zapachy. Ale świat aktorów, sławy miał i inną stronę. Kiedy pierwszy raz Kasia opowiedziała mu o jednym z castingów, w którym uczestniczyła, nie miał wątpliwości, z czym go porównać: targ niewolników to było najdelikatniejsze skojarzenie, które mu się nasunęło. Innym, o którym już nie powiedział żonie, był moment, kiedy zapijaczony, rozwalony na sofie klient z szeregu kurew wybiera tę jedyną. Najmniej straszną...

A srał was wszystkich pies, kurwy, gotowe dać dupy każdemu, od którego zależy cokolwiek, co wiąże się z filmem, telewizją czy reklamą. Mózgu używa taka tylko do liczenia kasy i po to, by nie pomylić się, gdy reżyser na planie serialu każe przejść z punktu „a” do punktu „b”. Modrzejewskie, jedna z drugą, co jeszcze wczoraj srać chodziły za chałupę, a dziś nie przestają odgrywać tragedii nawet w domu przy obieraniu ziemniaków, nie zdejmują ciemnych okularów nawet w metrze, zresztą rzadko korzystają

z tego środka transportu, bo to dobre dla szaraków, tłumu, całego tego tałatajstwa. Oczy wokół głowy, uszy jak anteny i tylko kombinuje jedna z drugą, jak tu trafić promocyjne zakupy, darmowe SPA czy sponsorowany wyjazd na narty w Alpy - dobra dostępne tylko dla gwiazd!

Przecież wiadomo, czemu tak naprawdę służy mizdrzenie się do obiektywów fotoreporterów, chodzenie na każdy, najpodlejszy nawet raut, organizowany przez hurtownię skarpet, ocieranie się w tłumie o znanego reżysera, wciskanie papuzich wizytówek, posyłanie kuszących uśmiechów do śliniących się buców z grubym karkiem i jeszcze grubszym portfelem czy inne metody godne Maty Hari, żeby tylko, żeby w końcu, żeby zawsze...

Kiedy Kostek ocknął się, autobus stał na pętli. Mężczyzna spojrzął w okno. Na ulicy świeciło się blado kilka latarni. Chwiejnym krokiem, potrącając trzy puste puszki po piwie, ruszył w kierunku drzwi.

- Dobranoc - powiedział jeszcze do kierowcy, niewidocznego w ciemnej kabinie.

Zimne powietrze i parcie na pęczek przywróciło mu odrobinę świadomości. Podbiał doszedł do najbliższych krzaków i rozpiął rozporek. W tym samym momencie autobus ruszył z pętli, więc zrobiło się jeszcze ciemniej.

Kostek szedł w stronę nieodległych zabudowań. Znał drogę na pamięć. Choć obiecywał sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobi, znów, również za sprawą wypitego alkoholu, ulegnie nałogowi: stanie w cieniu drzew i będzie wypatrywał Kasi wychodzącej z hali przy ulicy Noteckiej na warszawskich Włochach. Potrafił tak stać i stać, nawet kilka godzin, bez względu na pogodę i późną porę. Jak sztubak jakiś, gówniarz bez czci i honoru.

Ciekawe, czy wygląda dziś równie źle jak trzy dni temu, gdy zamiast Rawskiej spotkał inną młodą aktorkę. Bardzo ją wtedy przestraszył...

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 21.35.

Tymon Nowak upił łyk herbaty i odstawił kubek na biurko. Mimo późnej pory, nie czuł się zmęczony. Sytuacja nie wymagała też kolejnej dawki pobudzającej kofeiny; chodziło tylko o to, żeby się pokrzepić i rozgrzać.

Kilka minut temu wrócił z aresztu, gdzie dostarczył zatrzymanego Mariana Ziobrę. Rozmowa, której odbycie polecił Podbiał, miała być krótka, więc odbyła się na dołku. Delikwent przeznaczony był do zmiękczenia, przynajmniej do poniedziałku, jednak Tymek już teraz wiedział, że coś w tym wszystkim nie pasuje. Przed akcją wydobyl kartotekę Ziobry i przeczytał ją uważnie. Marian był dobrze znany mokotowskiej policji, głównie jako sprawca drobnych kradzieży, włamań, kilku oszustw. Wszystko to jednak za cholere nie pasowało do tego, o co go podejrzewali - do wykonania egzekucji przy pomocy broni palnej, najpewniej wysokiej klasy, nie żadnego obrzyna, a tym bardziej do sfilmowania wszystkiego i umieszczenia w sieci!

A zatem co? Odciski palców i DNA ze śliny nie pozostawiały wątpliwości: z butelki znalezionej na klatce schodowej kamienicy na rogu Rakowieckiej i Puławskiej, przy oknie, z którego strzelano, pił piwo Marian Ziobro syn Stefana. Kiedy się tam znalazła, też można było określić w miarę dokładnie. Ale już jak się tam znalazła, tego nie było wiadomo. Sam zainteresowany kłął się na rany matki rodzonej, Zbawiciela i wszystkich świętych, że nie ma z tym nic wspólnego. Nowak wysłuchał go, po czym wyszedł z celi.

- Panie inspektorze, Jezus Maria, co się dzieje?! - wołał za nim Ziobro.

Tymek miał zamiar się zagłuszyć, a okazja, której było na imię ostatki, bardzo temu sprzyjała. Dopił herbatę i już miał zgasić lampkę na biurku, kiedy zadzwonił stojący obok niej telefon stacjonarny. Nowak bardzo się zdziwił, ale po dwóch sygnałach

podniósł słuchawkę.

- Halo - rzucił niepewnie.

Odpowiedziały mu jakieś trzaski, takie same, jakie pamiętał z dawnych lat. Nie miał w zwyczaju powtarzać w takich przypadkach dwa razy. Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy przez zakłócenia przedarł się czyjś głos.

- Halo. Dobry wieczór - przywitał się mężczyzna, sądząc po głosie, niezbyt stary. - Nazywam się Leszek Kasprzycki...

Tymon zmarszczył czoło. Skądś znał wymienione nazwisko!

- Tak.

- Pański numer przekazała mi koleżanka z Uniwerteksu - wyjaśnił człowiek po drugiej stronie drutu. - Właściwie była koleżanka...

W głowie aspiranta zapaliła się lampka: Leszek Kasprzycki był trzecim, po Karolu Lechu i Damianie Kłosowskim człowiekiem na liście zwolnionych przez zamordowanego dyrektora. Nie zdążyli jeszcze z Kostkiem do niego dotrzeć. Teraz zgłaszał się sam. Dlaczego?

- Słucham - powiedział Nowak.

- Muszę się z panem koniecznie zobaczyć. To bardzo ważne...

Po kilkudziesięciu sekundach młodszy aspirant Tymon Nowak odłożył słuchawkę telefonu. Spojrzał na zegarek. Wiedział, że zanim dotrze dzisiaj do mieszkania, po miłym towarzystwie i alkoholu mogą już być tylko wspomnienia. Nie czuł jednak z tego powodu żalu.

Warszawa-Śródmieście, tyły Nowego Światu, kilka minut po 22.00.

Mężczyzna w zimowej kurtce z kapturem, którego brzeg zdobiło modne w tym sezonie futerko w kolorze burym, skręcił z Nowego Światu w ulicę Ordynacką. Po kilku krokach przełożył powoli niesiony futerał z prawej ręki do lewej. Co prawda droga wiodła wprost ku siedzibie Uniwersytetu Muzycznego imienia Fryderyka Chopina, a niesiony przedmiot był dość długi, jednak jego kształt nie przypominał żadnego znanego instrumentu.

Z jednej z eleganckich knajp po prawej stronie ulicy wysypało się jakieś mniej eleganckie, za to bardzo wesołe towarzystwo. Im ten widok również skojarzył się jednoznacznie.

- Hej, panie muzyk! - zawołał za idącym jeden z podchmielonych już dobrze mężczyzn. - Eine kleine Nachtmusik!

Mężczyzna w kapturze nie zareagował na tę niewinną skądinąd zaczepkę. Przyspieszył za to kroku. Po kilku chwilach skręcił w prawo, w ulicę Kopernika, minął nieczynną już niewielką stację benzynową. Z otwartego okna na parterze kamienicy dobiegły odgłosy kłótni pijaczków.

Ostatnia sobota karnawału powoli zmierzała do finału. Jeszcze nikt nie wiedział, że finał ów odznaczać się będzie mocnym akordem. Dla jednych będzie to dur, dla innych moll. Ale dla wszystkich jednakowo forte!

Zwarta zabudowa po prawej stronie idącego skończyła się gwałtownie i zaczął się płot, za którym rozpościerał się najprawdopodobniej placu budowy. Samotny przechodzień przystanął, zapalił papierosa. Od niechcienia zaczął wczytywać się w treść

plakatów, które nalepiono na ogrodzeniu. Futerał cały czas trzymał w ręku. Najwyraźniej na kogoś czekał.

Po upływie może trzech minut kilkadziesiąt metrów dalej, u wlotu prostopadłej ulicy zamajaczył inny cień. Wysoki mężczyzna miał na sobie rozpięty płaszcz, a na głowie zsunięty nieco w tył kapelusz. W półmroku lśkała biel koszuli, przedzielona na pół kreską krawata. Elegant, bez wątpienia niezłe zawiany, rozejrzał się dokoła, by po chwili wtargnąć skosem na jezdnię; jego chód przywodził na myśl rozjuszonego byka. Gość kierował się niechybnie ku palącemu papierosa przechodniowi z futerałem w ręku.

- Cześć - rzucił elegant, ledwo wspiął się na krawężnik.

Człowiek z kapturze tylko wyciągnął rękę do powitania.

- Chciałeś się spotkać, tak? - zaczął przybyły; jak na pijanego zdania składał wyjątkowo sprawnie. - Skąd ci przyszło do głowy to miejsce, co? Ale dobra, mów, o co biega, bo mam naprawdę bardzo mało czasu.

- Zawsze go miałeś mało.

- Taka praca. O co więc chodzi?

- Chciałem się z tobą zobaczyć... - zaczął nieśmiało ten z futerałem.

- To już wiem.

- Chcę...

- Kasy pożyczyć?

- Nie, skąd! Coś ci tylko chcę pokazać. Ale nie tutaj.

- Słuchaj, stary - mężczyzna w płaszczu popatrzył na zegarek. - A może byś wpadł do mnie do biura. W poniedziałek o dwunastej by ci pasowało, co? Kawki się napijemy albo skoczmy potem na lunch...

Spod kaptura patrzyła para przenikliwych, zimnych oczu.

- No, ale jak bardzo chcesz, to chodźmy... - wyjąkał po chwili elegant.

W odpowiedzi człowiek z futerałem odwrócił się bez słowa i zaczął iść wzdłuż ogrodzenia, ciągnącego się prostopadle do ulicy Kopernika. Jego towarzysz poprawił kapelusz, zapiął dwa guziki w płaszczu, jakby poczuł nagły chłód, po czym ruszył śladem pierwszego.

Po kilku krokach obejrzał się za siebie, potem popatrzył w niebo. Było czyste i rozgwieżdżone. Wyjątkowo nisko mrugały białe i czerwone światła dużego samolotu. Człowiek ten opuścił głowę, wciągnął w płuca potężny haust powietrza, wydając przy tym dziwnie bolesny jęk.

Zupełnie jakby robił to po raz ostatni...

DZIEŃ CZWARTY

1

Warszawa-Bielany, mieszkanie komisarza Podbiała, niedziela, 8.00.

Kostek obudził się bez kaca. Bardzo go to zdziwiło, ale jeszcze bardziej ucieszyło. Może stało się tak dlatego, że pił alkohol na świeżym powietrzu (miejski autobus na peryferia doskonale się kwalifikował), a nie w jakimś zadymionym klubie, co niechybnie skończyłoby się koszmarnym bólem głowy. Przed położeniem się spać miał jeszcze siłę

łyknąć zapobiegawczo trzy tabletki witaminy C. Usnął niemal natychmiast. Spał bez snów, tylko nad ranem wydawało mu się, że słyszy kobiecy głos. Znajomy. Bolesnie znajomy. Teraz leżał z rękoma splecionymi za głową. Za oknem świeciło słońce, a Podbiał zastanawiał się, co zrobić z kolejną niedzielą - jednym z najpodlejszych, jeżeli nie najpodlejszym dniem w tygodniu.

Nie zawsze taka była. Dopiero odkąd Podbiał musiał spędzać ją sam. A wcześniej? Wcześniej było inaczej, zupełnie inaczej. Z Kaśką nigdy się nie nudził, a tym bardziej w dwa weekendowe dni. Jakoś nigdy nie brakowało im fantazji. Wyjazdy samochodem za miasto, do lasów-miasteczek Konstancina (czy Konstantego byłoby stać na domek w Konstancinie - to był pierwszy tekst, żart, chwilę po tym, jak minęli tabliczkę z nazwą miejscowości) czy Podkowy Leśnej, latem nad Zalew Zegrzyński, który co prawda nie umywał się do Kostkowych jezior mazurskich, ale zawsze pobudzał wyobraźnię i sprawiał, że Podbiał nie tęsknił za rodzinnymi stronami.

W inne pory roku zaliczali razem warszawskie parki i ogrody, zawsze w połączeniu z oryginalnymi restauracjami. To właśnie te pierwsze, mijane właściwie każdego dnia, najbardziej przypominały mu o Kaśce, gdy ta odeszła; przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie rzucić wszystkiego w cholerę i nie wracać do siebie na północ... Nie, nigdy nie brakowało im fantazji. W każdy sobotni wieczór obowiązkowo kino, rzadziej teatr. Początkowo Kaśka miała wątpliwości, czy pozwolić się oglądać mężowi na scenie - tym bardziej, że w jednej ze sztuk występowała w... samej bieliźnie. Potem jednak doszła do wniosku, że ta konfrontacja jest nieunikniona.

Wybrali się razem na spektakl, Kostek wszedł na widownię od kulis i zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Widząc w drugiej części spektaklu żonę niekompletnie ubraną, poczuł się trochę dziwnie. W pierwszej chwili zrobiło mu się gorąco, nie znał treści sztuki i bał się, że to zrzucanie kolejnych elementów garderoby przed starym, śliniącym się satyrem nie skończy się na biustonoszu i majtkach. Na szczęście się skończyło. Odetchnął z ulgą, jednocześnie wypatrując reakcji swoich sąsiadów. Ta była, mówiąc oględnie, neutralna. Czasy, gdy zapychano spektakle śmierzącym wojskiem, na

szczęście dawno już minęły.

Nie, nigdy się ze sobą nie nudzili w weekendy. Nawet gdy zmuszeni byli, przez pogodę albo inne okoliczności, do siedzenia w domu. Takie wypadki zazwyczaj powodowały wybuch kulinarnego szału. Czy to ze starych, czy z nowych kucharskich książek, czy z licznych telewizyjnych programów tego typu - inspirację potrafili czerpać całymi garściami. Gotowali na zmianę, przygotowując sobie nawzajem niespodzianki. Problem zawsze był po wszystkim, mianowicie ze zmywaniem (zakup cudownego urządzenia, wyręczającego człowieka w tej niemiłej czynności, był dopiero w planach). Bywało, że się o to pokłócili.

Teraz Kostek musiał zmywać sam: w zlewku leżała cała góra brudnych naczyń z kilku dni. Lada chwila mogła zainteresować się nimi niezawodna pleśń. Szkoda tylko, że ostrym zmywakiem i miętowym ludwikiem nie można było potraktować także wspomnień.

Ale może to i dobrze z tym zmywaniem - pomyślał, zwlekając się powoli z łóżka. Będzie miał zajęcie na kilkanaście minut. Tylko co potem?

Odpowiedź (czy również wybawienie?!) nadeszła wraz z dzwonkiem komórki.

- Podbiął, słucham - wychrypiął do słuchawki.

- Kostek, śpisz? - po drugiej stronie odezwał się Tymon.

- Tak. Ale możesz nadawać. Co jest?

- Sztywny jest.

- Nie pierwszy i nie ostatni.

- Ale ten do ostatniego właśnie pasuje - Tymek, jak na niedzielną wczesną porę, wykazywał wiele cierpliwości dla swojego partnera. - Czekamy na ciebie. Samochód wysłałem kwadrans temu, więc powinien już być.

2

Warszawa-Śródmieście, tyły Nowego Świata, godzina 9.10.

Pół godziny później policjanci uścisnęli sobie dłonie na miejscu zdarzenia, którego tym razem nie musiała chronić przed ciekawskimi policyjna plastikowa taśma - robił to pomalowany żółtą farbą płot z falistej blachy, którym ogrodzono plac budowy; tak naprawdę placem budowy miejsce to miało zostać dopiero za jakiś czas, teraz bowiem było placem rozbiórki, mówiąc jeszcze ściślej - jednym wielkim pobjowiskiem.

- Co tu było? - zapytał Kostek.

- Nie wiesz?

- Nie. Ze wsi jestem.

- Kino - odparł Tymek półgębkiem.

Podbił o mało nie podskoczył.

- Co?!

- Nazywało się Skarpa i swego czasu było bardzo popularne - wyjaśnił ze spokojem Nowak. - Po jego zamknięciu, przez ostatnie lata był tutaj klub muzyczny, a teraz ma stać się apartamentowiec.

- Jak wszędzie w tym mieście - mruknął komisarz. - Jeżeli jeszcze mi powiesz, że

denatem jest gość w białym kołnierzyku...

- ...dobrym krawacie, drogim garniturze, butach i płaszczu za dziesięć pensji pielęgniarki - wyliczył bez mrugnięcia okiem Tymek.

Kostek potarł ręką czoło i oczy.

- Przyczyna śmierci? - zapytał.

- Chodź i sam zobacz.

Weszli za płot. Rozbiórka musiała mieć miejsce całkiem niedawno. Wszędzie ścieliły się gruzy, z których wystawały poskręcane, metalowe pręty, fragmenty blachy. Tu i ówdzie oparły się sile niszczenia pojedyncze ściany, całość zaś, niczym pianka na świeżej ranie po oparzeniu, otulał świeży śnieg. Dokładnie na środku tej ruiny uwijali się policyjni technicy.

- Znalazł go, a raczej zobaczył z okna domu, o tam - aspirant Nowak wskazał palcem stojącą obok kamienicę - jakiś starszy facet, emeryt. Już go Konieczko wstępnie przepytał na okoliczność. Morderstwa dokonano tej nocy, około godziny... - ostatnie słowa Tymek wypowiedział celowo nieco głośniejszym głosem, dochodzili bowiem do policyjnego patologa, doktora Stańczaka.

- ...między dziesiątą wieczorem a drugą w nocy - dokończył lekarz, uzupełniając coś w trzymany w rękach notatkach. - Przyczyną śmierci było wykrwawienie po...

- ...postrzale - zgadł Kostek Podbiał.

- W brzuch - uściślił Stańczak półgębkiem.

Podeszli bliżej. Policyjny technik strzelał ostatnią serię pamiątkowych fotografii.

Zwykle nieboszczycy nie robili większego wrażenia na komisarzu Podbiale, zdążył się przyzwyczaić do ich widoku. Również i teraz układ trawienny Kostka pozostawał bezpieczny, nie tylko dlatego, że mężczyzna nie zdążył zjeść śniadania. Co innego zastanawiało w leżącej postaci - mianowicie pozycja ciała.

- Tak leżał? - chciał się upewnić Podbiał, co jednak spowodowało zbiorową reakcję pozostałych w postaci pełnych pretensji spojrzeń „spod dacha”.

- A co? Masz jakiś pomysł? - zainteresował się Nowak, na co jego partner skinął głową.

Mężczyzna o nieustalonych dotąd personaliach (dokumentów nie znaleziono), mający na sobie drogą odzież (prawdopodobnie niczego mu nie zabrano, co wstępnie wyłączało motyw rabunkowy i konieczność użerania się z okoliczną żulią) leżał na boku. Na prawym boku, w pozycji, która w fachowym języku nazywa się pozycją prenatalną, czyli właściwą nienarodzonym jeszcze dzieciom: podwinięte wysoko nogi, ręce blisko ciała, zgięte w łokciach, dłonie niemal dotykające twarzy.

- Co ci przypomina ta pozycja? - zapytał Tymka komisarz.

- Co? Sam nie wiem.

- Wysil się.

- Ojciec lubił tak czasem spać. Pod warunkiem, że miał miejsce...

Podbiał westchnął boleśnie.

- Kiedy będzie analiza balistyczna? - rzucił kolejne pytanie w przestrzeń między kilkoma innymi funkcjonariuszami.

- Rano - odpowiedział mu któryś.

- A raport z sekcji?

- Na dziesiątą - odparł bardzo powoli wciąż stojący w pobliżu lekarz.

Wszyscy sprawiali wrażenie zaspanych, za to w komisarza Konstantego Podbiała - przeciwnie - nagle wstąpiła werwa. Poczul szybsze bicie serca, powietrze nabrało specyficznego smaku. Wszystko za sprawą niewidocznego końca sznurka, który trzymał w garści. Trzymał mocno. Po jego drugiej stronie było prawdopodobnie rozwiązanie zagadki - i to obu zabójstw, którymi się z Tymkiem od dwóch dni zajmowali.

- Chyba trzeba będzie przeprosić pana Ziobrę - mruknął po chwili.

- Zajmę się tym - zaoferował się Nowak. - Nie mówiłem ci jeszcze o tym, ale wczoraj wieczorem miałem dziwny telefon.

- No?

W kilku słowach Tymek streścił swojemu partnerowi treść rozmowy. Kostek słuchał, pocierając ręką nieogolone policzki. Byli blisko. Czuł to intuicyjnie, ale Podbiał, człowiek trochę przesądny, postanowił się tym głośno nie chwalić.

- Dobra. Ty spotkaj się z tym Kasprzyckim, wcześniej wypuść Ziobrę na powietrze, niech przynajmniej nie straci niedzielnej mszy, jak już jest taki święty. Ja muszę pogadać z jednym znajomym. Niech ustalą personalia tego gościa. Może coś łączy go z tym zabitym z Uniwerteksu...

Od strony wejścia na budowę doszedł ich harmider. Spojrzeli w tamtym kierunku. Najpierw zobaczyli idących tyłem i bokiem funkcjonariuszy, za nimi zaś dwóch facetów, z których jeden dźwigał pokaźnych rozmiarów kamerę, drugi mikrofon na długim

wysięgniku. Na czele pochodu maszerowała kobieta w ciemnych okularach, w ręku trzymała jakieś papiery.

- Co jest?! - zdenerwował się jeden z mundurowych, trzymających pieczę bezpośrednio nad miejscem zdarzenia.

- Mówiliśmy, że nie wolno - tłumaczył jeden z policjantów, próbujących bezskutecznie powstrzymać zapędy dziennikarzy. - Ale nie chcieli słuchać. Mówią, że mają na to papiery.

- O co chodzi? - Podbiał zwrócił się do kobiety.

- Dzień dobry, redaktor Pokojka - kobieta przestawiła się, nie zdjawszy okularów. - Od dziś będziemy panu towarzyszyć w pracy.

Bywało, że Kostek reagował bardzo ostro i gwałtownie, może nawet w sposób chamski. Bywało tak zazwyczaj wtedy, gdy ktoś szedł w zaparte albo zgrywał twardziela. To, co teraz zobaczył i usłyszał, przerosło jego wyobrażenia. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

3

Warszawa-Saska Kępa, ul. Francuska, godzina 10.00.

Katarzyna Rawska leżała w łóżku i patrzyła w sufit. Był doskonale biały i gładki. Żadnego pęknięcia, wybrzuszenia ani zacieku. Człowiek, od którego wynajęła mieszkanie przy ulicy Francuskiej, nie wcisnął jej byle czego, choć wyglądał na cwaniaka. Z drugiej strony, nie zachwalał jak Cygan skradzioną kobyłę - wszystko zdawało się mówić samo za siebie: trzy pokoje, duża kuchnia, garderoba, wszystko urządzone gustownie i funkcjonalnie, bez zbędnych fanaberii - w sam raz dla samotnej kobiety. Dla żony, która wyprowadziła się od męża, choć nie wiadomo, na jak długo...

Kobieta podniosła się na łokciu i spojrzała za okno. Miała wrażenie, że na bocznej ścianie budynku widzi słoneczny blik. Strasznie tęskniła już za słońcem, ciepłem, za wiosną, a jeszcze bardziej za latem, kiedy można chodzić tylko w klapkach. Te marzenia w połączeniu z dość późną już porą obudziły w niej wilczy apetyt.

Kuchnia przywitała ją sterylną czystością. W zlewie nie walał się nawet jeden brudny widelec.

- Przynajmniej jest zmywarka - mruknęła sama do siebie.

W kilka chwil przygotowała i zjadła pyszne i pożywne śniadanie. Musiała mieć dziś dużo siły: przed południem czekały ją zdjęcia w plenerze, wieczorem zaś spektakl w teatrze. Od kilku miesięcy, odkąd zaczęto przebąkiwać o niepewnej przyszłości serialu, niedziele były dla niej normalnymi dniami pracy. Przestała zauważać bieg dni, nawet tygodni. Przestała zauważać, że mijają pory roku. Przestała zauważać, że ma rodzinę...

Teraz wszystko miało być inaczej. Nowy start. Drugie otwarcie. Za kilka dni wyjedzie na narty do austriackiego Zell am See Kaprun, na coroczne „Szusowanie z gwiazdami”. W zeszłym roku nie była, bo Konstanty był chory. Teraz nie zamierzała sobie odpuścić.

Z zamyślenia wyrwał ją sygnał domofonu. Nie od razu skojarzyła ów dźwięk, gdyż od czasu, kiedy się tu sprowadziła, nikt jej jeszcze nie odwiedził. Wolą zresztą nie mówić nikomu o rodzinnych kłopotach, a tym bardziej nie podawać nowego adresu.

Kto to może być? - zastanawiała się. O tej porze. Może lepiej nie podnosić słuchawki? Ciekawość jednak zwyciężyła.

- Słucham?

- Cześć, Kaśka! - mimo zniekształceń, jak to w tego rodzaju urządzeniach, od razu rozpoznała głos Roberta, kolegi aktora. - Jesteś gotowa?

- Na co?

- Wiedziałem, że tak będzie - mężczyzna westchnął głośno. - Przecież umawialiśmy się, że cię dziś zabiorę na plan. No to jestem!

Usiadła na podłodze i zaczęła się śmiać.

- Hej! Jesteś tam? - zaniepokoił się Robert.

- Jestem, jestem.

- To może mnie wpuścisz do środka? Przynajmniej na klatkę schodową, bo zmarzłem jak jasna cholera...

Kilka chwil później, ubrana naprędce, ale z rozwianym włosom, otwierała drzwi spodziewanemu-niespodziewanemu gościowi. Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy zamiast uśmiechniętej, przystojnej twarzy Roberta ujrzała ogromny bukiet czerwonych róż.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - dobiegł zza kwiatów głos mężczyzny.

I znów ugięły się pod nią kolana. Byłaby usiadła z wrażenia, gdyby nie szorstka wycieraczka przed progiem, z którą styczność nie byłaby chyba przyjemna. Nie, nie zapomniała o swoich urodzinach. Myślała o nich zaraz po przebudzeniu. Z przerażeniem, że to już tyle. Potem jednak strach przed przemijaniem wyparły miłsze myśli. Pewnie ktoś zadzwoni: rodzice, jakaś koleżanka. Takiej niespodzianki jednak się nie spodziewała.

- Wejdz, proszę - powiedziała przez ściśnięte gardło.

Przedpokój z miejsca wypełnił się zapachem róż. A Kasia Rawska uwielbiała róże.

- Skąd wiedziałaś? - zapytała cicho, przyjmując bukiet.

- Internet to medium niezastąpione - zaśmiał się mężczyzna; podczas gdy dziewczyna wyszła w poszukiwaniu jakiegoś naczynia, które mogłoby zastąpić wazon, Robert z zainteresowaniem rozglądał się po mieszkaniu. - Całkiem ładnie się urządziłaś.

- To wszystko prowizorka - zawołała z kuchni.

- Jak będziesz kupowała coś nowego, to zgłoś się do tego programu o wnętrzach. Przyjdą, zrobią ci wszystko ładnie i nowocześnie, sfilmują, a ty tylko się uśmiechniesz na koniec i powiesz: ła! I najważniejsze, że wszystko to za friko. Potem pewnie rzucą się na ciebie pismaki z podobnych miesięczników, ale ich łatwo zbyć.

Kasia wyszła z sypialni. Była już ubrana do wyjścia i uczesana.

- Przepraszam, że tak długo to trwało - bąknęła.

- Nie szkodzi.

- Napijesz się czegoś?

- Z chęcią bym się napił, ale chyba już powinniśmy jechać. Korków przy niedzieli nie będzie, ale spadł świeży śnieg, a znając służby drogowe...

W samochodzie Roberta było dość chłodno, jednak pojazd szybko wypełnił się gorącym powietrzem; nim dojechali do ronda Waszyngtona, trzeba było redukować temperaturę. Kasia poluzowała szalik i rozpięła guziki płaszcza. W minutę znaleźli się po

drugiej stronie Wisły.

- Ale historia z tą Laurą, co? - odezwał się Robert.

Rawska spojrzała na kierowcę nieprzytomnym wzrokiem.

- Zamyśliłam się - powiedziała z przepaszającym uśmiechem. - O czym mówiłeś?

- O Laurze i tym, co ją spotkało.

- Tak, to straszne.

- Straszne - powtórzył Robert, krzywiąc się. - Ale pewnie nie słyszałaś, że miała cię zastąpić?

- Nie rozumiem.

- Wiesz, ja na sto procent niczego nie wiem, ale nasze fryzjerki mówiły, że twoja bohaterka ma wyjechać tam, skąd ona przyjechała. Czyli do Londynu, a tak naprawdę do Pierdziszewa Dolnego, skąd się, jak sama wiesz, już nie wraca. Za to jej rola miała zostać rozwinięta przez scenarzystów. Teraz to już po ptakach. Musiała komuś nieźle zależeć za skórę, skoro tak ją potraktował. Słyszałem o jakichś długach. Albo to ten sam, o którym mówiła nam wtedy na papierosie, pamiętasz?

Kasia słuchała tego wszystkiego, nie wierząc własnym uszom. Faktem było, że to, co mówiły fryzjerki, sprawdzało się w mniej niż pięćdziesięciu procentach. Nie to jednak najbardziej zdumiało dziewczynę, tylko sposób, w jaki mówił o tym Robert. Zupełnie jakby Laura pośliznęła się na skórcie od banana i skręciła nogę!

Kaśka poczuła zapach róż, nie wiadomo właściwie skąd. Może z tego odświeżacza powietrza dyndającego pod wstecznym lustrem?

Na szczęście do miejsca, gdzie mieli realizować dziś zdjęcia, nie było daleko. Zrobiło jej się niedobrze. Poczula skurcz w gardle. Z irytacją spoglądała w okno samochodu, za którym przesuwały się szare kamienice. Miała dosyć tego miasta. Marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej stąd wyjechać.

Zadzwoiła komórka. Kasia spojrzała na wyświetlacz telefonu.

Matka, pewnie dzwoni z życzeniami - spekulowała w myślach. Trzeba będzie znów być miłą, małą dziewczynką. I dobrze. Gdyby nie to, pewnie do końca drogi nie odezwałyby się ani słowem...

4

Warszawa-Ochota, ul. Grójecka, godzina 11.30.

Redaktor Tomasz Horn nie potrafił powstrzymać się przed ziewaniem. Jednak zarówno w miejscu - redakcji stołecznej ogólnopolskiego dziennika, jak i czasie - było to niedzielne przedpołudnie, takie zachowanie nie należało do rzadkości. Nikt się nie krępował tak ziewać, jak i przeciągać. Byli tu jak w rodzinie, poza tym wczoraj była ostatnia sobota karnawału, którą niektórzy z dyżurujących dziennikarzy uczcili jak należy.

- I znów napiszemy, że warszawiacy bawili się świetnie na dyskotekach i prywatkach - wyliczał z sarkastycznym uśmiechem redaktor Andrzej Strzelecki. - Policja interweniowała czterdzieści dwa razy, pogotowie siedemdziesiąt trzy. Pracownicy izby wytrzeźwień przy ulicy Kolskiej mieli pełne ręce roboty. Na temat kaca warszawiaków danych brak.

Tomasz leniwymi ruchami palców kończył pisać notatkę na temat zwężenia jezdnii w Alejach Jerozolimskich, spowodowanego pęknięciem rury ciepłowniczej. Zamknął

dokument, sięgnął po kubek z kawą, pociągnął spory łyk ciepłego jeszcze płynu. Kilkanaście minut temu zadzwoniła jego komórka. Po drugiej stronie odezwał się Kostek Podbiał, znajomy gliniarz i krajan Tomka. Chciał pogadać. Zapowiedział się za pół godziny. Właściwie już powinien być.

- Dzień dobry - rozległo się w drzwiach redakcji. Według Podbiała można regulować zegarki - pomyślał Horn.

I nawet rodzinne niepowodzenia nie są w stanie tego zmienić.

- Cześć, Tomek - Kostek wyciągnął rękę do powitania, dziennikarz uścisnął ją, po czym wskazał miejsce na obrotowym fotelu.

- Siadaj. Napijesz się czegoś ciepłego?

- Nie, dzięki. Wystarczy ciepłe słowo. Chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Uprzedzając pytanie: co u ciebie słychać, odsyłam pana redaktora do Internetu i kolorowych tygodników - zaśmiał się krótko Podbiał.

- Przynajmniej to mamy z głowy. Co cię sprowadza? Komisarz w kilku prostych zdaniach zreferował prowadzoną przez siebie sprawę dwóch morderstw. Celowo nie powiedział, co może je łączyć. Nie musiał. Na to szybko wpadł sam dziennikarz. Kostek znał go jako świetnego varsavianistę (choć przyjeźdnego). Teraz oczekiwał fachowej pomocy.

- Warszawskie kina - powiedział Tomasz Horn i popatrzył za okno. - Dzisiejsze młode pokolenie zna tylko multipleksy, mieszczące się w wielkich centrach handlowych. A kiedyś swoje kino miała każda dzielnica, a nawet osiedle! Na przestrzeni półwiecza było ich kilkadziesiąt. No i nie mówimy tu oczywiście o kinach przedwojennych.

- Chyba nie. Gościowi najwyraźniej o coś chodzi, ale nie sędzę, by był człowiekiem urodzonym przed wojną. W końcu to zabójca, który potrafi utrzymać w ręku karabinek snajperski i być skutecznym...

- Nie znasz naszych powstańców! - zaśmiał się Horn. - Niektórzy potrafiliby jeszcze sobie poradzić z niejednym młokosem. Szczególnie gdy idzie o zajmowanie miejsc dla osób uprawnionych w warszawskich tramwajach.

- Mam wrażenie, ale to tylko wrażenie - zastrzegł Kostek - że ten dzisiejszy truposz, którego nazwiska jeszcze nie znamy, leżał w pozycji, w której skonał Zbyszek Cybulski w ostatniej scenie Popiołu i diamentu.

- To bardzo ciekawe.

- Ale przepraszam cię, mów dalej.

- W ostatnich latach wiele kin poszło pod kilof - ciągnął Horn. - Jako pierwsza poległa, i to w sensie dosłownym, właśnie Moskwa, jako ostatnie, na razie, Skarpa. Wiele budynków kinowych na szczęście zaadaptowano na inne cele, bez konieczności równania ich z ziemią. W Pierwszym Maju na Grochowie masz supermarket, tak samo w niedawno zamkniętym Relaksie. W Syrenie na Pradze działa studio filmowe, a w Przędownicy na Mokotowie, w Ochocie, Capitolu, Bajce i Polonii - prywatne teatry. Zresztą te trzy ostatnie pod takimi samymi nazwami. Kino Praha co prawda zostało zburzone, ale na jego miejscu powstał nowy budynek, gdzie też są sale kinowe. Pod kilof miał iść Wars na Nowym Mieście, ale został w porę uratowany wpisaniem do rejestru zabytków. Są lub były też kluby muzyczne, działające w byłych kinach. Oprócz Skarpy do dziś w byłym kinie Barbara działa klub Ground Zero, a w kinie W-Z był kiedyś legendarny klub Fugazi. Kiedy zaczynałem robotę w Warszawie, sam siedziałem w kinie, bo redakcja „Życia Warszawy”, gdzie na początku pisałem, mieściła się w dawnym Klubie przy Trasie Łazienkowskiej. I tak dalej.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Kostek kręcił głową z niedowierzaniem, ale przede wszystkim z podziwem.

Tomasz Horn tylko wzruszył ramionami.

- Na co dzień, jak widzisz, zajmuję się cenami pietruszki na bazarku, więc trzeba ten mózg czymś zapęłnić. Nie zawsze masz okazję na przeżycie prawdziwej przygody - odparł cicho, z wyczuwalnym żalem, ale szybko dodał z niedawnym zapałem: - Poza tym jestem chory, kiedy mam wybrać się do kina, gdzie hołota zje popcorn, siorbie jakieś ciecze i gada głośno przez telefony komórkowe. Wolę przeczekać, aż film przestanie być nowością albo dadzą go do jakiegoś normalnego, starego kina. Niestety, jest wciąż duża ilość sal kinowych, które zamknięto na cztery spusty i teraz stoją zupełnie bezużytecznie. Niewielka sala na kilkadziesiąt miejsc, znajdująca się na terenie jakiegoś zakładu pracy, miała w owym czasie swoją nazwę i była normalnym kinem. Nikt nie wymagał kilku klimatyzowanych sal i bufetu właśnie z colą i popcornem. Jeżeli więc mamy w mieście psychola...

- Tylko proszę cię... - Kostek zmarszczył brwi.

- Spokojnie, stary. Nikt nic nie wie i niczego się nie dowie, zanim nie wyrazi na to zgody komisarz magister Konstanty Podbiał.

- Nabijasz się, a sprawa jest poważna.

- Jak wszystkie, które prowadzisz.

- Acha! Powiedz to ekipie telewizyjnych hien, którą zostawiłem na dole, a którą mam na karku od kilkunastu minut.

- Nie rozumiem.

- Ktoś zapragnął zrobić serial dokumentalny o mojej pracy, ale, i to chyba już jakiś nowy światowy trend, bez mojej zgody.

- Nieźle - bąknął Horn. - A wracając do naszego psychologa. Jeżeli rzeczywiście mamy takiego w mieście, a pod tym względem doganiamy już Amerykę, psychologa, który lubi zabijać w byłych kinach, to...

- No właśnie.

Zapadło obopólne milczenie. No bo co? Zamknąć teatry, sklepy, wykwaterować ludzi z mieszkań? Sprawa zaczynała być coraz bardziej poważna. A jednocześnie, póki co, zbyt niedorzeczna, żeby przedstawić ją, wraz ze wszystkimi sugestiami działań profilaktycznych, zwierzchnikom. Czekać, aż szalowiec uderzy po raz kolejny?

- Pomogłem ci choć trochę? - zapytał Tomasz.

- Jasne - odparł Kostek z uśmiechem, wstając z obrotowego fotela. - Jak zwykle wiem, że nic nie wiem.

- Ale dasz cynk, jak będziecie go zdejmować?

Komisarz Konstanty Podbiał, będący już w drzwiach redakcji, uniósł do góry prawą rękę. Tomasz Horn nie był jednak pewny, czy miał być to znak aprobaty dla jego prośby, czy tylko pożegnania.

5

Warszawa-Praga, Dworzec Wschodni, godzina 12.05.

Młodszy aspirant Tymon Nowak zatrzymał służbową skodę na parkingu przed dworcem kolejowym Warszawa Wschodnia. Zdziwił się, że miejsca do parkowania jest

tutaj aż nadto, w dodatku żaden nieświeży jegomość nie podszedł do niego z propozycją „popilnowania samochodziku”, co było tak nagminne w innych punktach metropolii. Jednak po krótkim namyśle wytłumaczył sobie tę jakże komfortową sytuację dniem tygodnia i dość jeszcze wczesną porą. Czy podobnie myślał Leszek Kasprzycki, wyznaczając spotkanie właśnie tutaj? Umówili się pod kasą międzynarodową. Do godziny spotkania pozostawało jeszcze kilkanaście minut, więc Nowak postanowił pokręcić się chwilę po dworcu.

Nie pamiętał właściwie, kiedy ostatni raz był na Wschodnim. Chyba jeszcze w latach studenckich, kiedy właśnie na tym dworcu, sposobami komandosów, czyli przez okna, bądź szturmem piechoty zdobywało się przedziały w wieczornym pociągu jadącym w Bieszczady. Miejsce to nie zmieniło się jednak ani trochę - gmach dworca może tylko jeszcze bardziej poczerniał od kurzu i brudu, a w środku, przede wszystkim w tunelu, którym przechodziło się na perony, pojawiło się więcej sklepów i stoisk handlowych, głównie z tandetą, słodkimi bułkami i przecenioną prasą kolorową.

- Pociąg ekspresowy z Bielska-Białej do Gdyni przez Iławę, Malbork, Tczew, Gdańsk, Sopot odjedzie z toru piątego przy peronie trzecim. Planowy odjazd pociągu godzina dwunasta piętnaście - z megafonów popłynął głos dworcowej lektorki.

Tymek wtulił uszy w kołnierz kurtki.

A gdyby tak wsiąść do jednego z tych pociągów i ruszyć dokądś, choćby właśnie nad morze i zasypane śniegiem plaże, bez żadnego celu? - pomyślał, uśmiechając się do marzeń, jakże dziś nierealnych.

Wszedł po schodach na jeden z peronów, przy którym stał pociąg międzynarodowy, składający się z samych wagonów sypialnych. Na każdym wisiała tabliczka, informująca o trasie, która niemal dla każdego wagonu była inna; wszystkie wiodły z Moskwy, ale do różnych miast na zachodzie Europy. Przy drzwiach każdego ze sleepingów stali konduktorzy w wielkich okrągłych czapach i długich płaszczach z obszytymi szarym

futerkiem kołnierzami. Tylko przy niebieskim wagonie, należącym do kolei białoruskich i jadącym z Mińska, dyżurowała dziewczyna. Była bardzo piękna, choć jak na gust Tymka, odrobinę za mocno umalowana.

Zrobiwszy rundkę wzdłuż składu, Nowak ruszył na miejsce spotkania. Zostały mu trzy minuty, a wołał być wcześniej, ażeby tradycyjnie rozejrzeć się w sytuacji.

Kiedy dotarł do kasy międzynarodowej, nikogo przy niej nie było. Oparł się łokciem o marmurowy parapet, ciągnący się wzdłuż rzędu kas, i zaczął wypatrywać człowieka ze zdjęcia otrzymanego trzy dni temu z działu personalnego firmy Uniwertex. Ruch na dworcu nie był wielki; jakaś dziewczyna szarpała się z ogromnych rozmiarów walizą, młody chłopak z plecakiem wertował czasopisma przy stoisku znajdującym się na samym środku hali, po posadzce chodziły gołębie. Mijały minuty, jednak nikt do Tymka nie podchodził.

- Cholera - zaklął pod nosem.

W tym momencie wyrósł przed Nowakiem jakiś brodaty obdartus. Tymek popatrzył na niego z niechęcią. Zawsze współczuł chłopakom z kolejowych komisariatów, którzy musieli użerać się z trollami.

- Czego? - fuknął policjant.

- Przesyłka dla pana - powiedział bywalec dworca, po czym wyciągnął przed siebie brudną rękę, w której w istocie była biała koperta.

- Żarty sobie robisz?! - zdenerwował się Nowak. - Dawno nie byłeś z wizytą na posterunku?

- Pan jest nieprzyjemny, ale przyzwyczailem się do takiego traktowania - rzekł bez złości brodac. - Nie wszyscy jednak są tacy. Tamten pan dał mi pięć złotych i polecił

przekazać panu ten list.

Policjant rozejrzył się dookoła.

Ktoś robi sobie ze mnie jaja! - pomyślał ze złością, po czym wyrwał przesyłkę z rąk obdartusa, który natychmiast się oddalił.

Koperta nie była zaklejona. Tymek bez trudu znalazł w niej złożoną na cztery kartkę papieru. Był to komputerowy wydruk. Rzuciwszy okiem na list, mężczyzna szybko umieścił go z powrotem w kopercie.

Ponownie wydobył go dopiero w samochodzie.

Panie Aspirancie! - brzmiał napisany odręcznie nagłówek.

Niestety, nie mogłem się z panem spotkać osobiście, za co serdecznie przepraszam. Bez urazy, ale już nie ufam nikomu. Nikomu! Od kilku dni w moim życiu dzieje się bowiem coś bardzo dziwnego, więc uznałem, że lepiej będzie, jak wyjadę na jakiś czas z Warszawy. O tym, co spotkało mnie jakiś czas temu, muszę jednak komuś opowiedzieć.

Jak pan pewnie wie, kilka miesięcy temu, razem z dwoma kolegami, Karolem Lechem i Damianem Kłosowskim, zostaliśmy zwolnieni z firmy „Uniwertex”. Trudno było nam się zgodzić z uzasadnieniem tej decyzji, wiedzieliśmy, że za sprawą stoi nasz szef, a właściwie były szef. Jest powszechnie wiadome, że kryzys ekonomiczny był, jest i będzie bezwzględnie wykorzystywany do pozbywania się ludzi niewygodnych, a takimi niewygodnymi była właśnie nasza trójka. Do chwili zwolnienia znaliśmy się słabo, rozmawialiśmy ze sobą może z kilka razy. Ale niedola zbliża. W dniu, w którym wręczono nam wypowiedzenia, spotkaliśmy się w niedalekim barze. Chcieliśmy zapisać smutek.

Po kilku piwach rozkręciły nam się języki. Na dyrektorze nie zostało suchej nitki,

któryś z nas w pewnym momencie powiedział nawet (byliśmy pijani), że ten człowiek powinien zapłacić za to głową. Nieopatrznie padło jego nazwisko, ale nie przejmowaliśmy się tym. W pewnej chwili dosiadł się do nas jakiś człowiek i zaproponował, że za tysiąc złotych jest w stanie rozwiązać nasz problem. Jaki problem? - zapytaliśmy. Cofniesz pan czas, ubłagasz zarząd, żeby przyjął nas z powrotem i może jeszcze dał premie? Na to on ze spokojem wyjaśnił, że jest w stanie problem, a nazwisko tego problemu padło na tej sali, rozwiązać. Rozwiązać ostatecznie. Żeby już nikt przez niego nie płakał. Wyrzeźwiliśmy w ciągu jednej sekundy. Stało się jasne, co proponuje nam ten człowiek. Podziękowaliśmy, ale był natrętny. Postawił wszystkim kolejkę. Próbowaliśmy zejść na inny temat, ale się uczepił, nawet opuścił trzysta złotych za, jak to określił, usługę. Na szczęście udało nam się stamtąd szybko wydostać.

Więcej tego człowieka nie widziałem. Kiedy jednak dowiedziałem się, że dyrektor został zastrzelony, przeraziłem się. Czyżby ktoś z naszej trójki jednak zdecydował się na ten krok. Tylko kto?! Zacząłem mieć głuche telefony. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Na wszelki wypadek, jak już wspomniałem we wstępie mojego listu, zdecydowałem się wyjechać. Mam nadzieję, że moja historia okaże się Panu Aspirantowi przydatna i prędko znajdziecie mordercę.

Z poważaniem.

Leszek Kasprzycki

Tymon Nowak jeszcze raz przeczytał list, po czym starannie schował go do koperty. Nie wiedział za bardzo, co o tym wszystkim myśleć. Sprawa wydawała się w miarę klarowna. Tylko czy można było wierzyć człowiekowi, którego nawet nie widziało się na oczy? Analiza grafologiczna? Pewnie tak. I czemu się z nim nie spotkał, skoro wczoraj się umówił? Może ze strachu? Tak, smród czuć było, mimo że rozmowa odbywała się przez telefon. W każdym razie kolejny krok w śledztwie jest. Za godzinę skonfrontuje to z tym, co przyniesie Kostek. Mimo niedzieli, umówili się w Pałacu.

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 13.35.

Kiedy Tymek wszedł do gabinetu, zastał Kostka w dziwnym stanie. Mężczyzna, który nie zwrócił najmniejszej uwagi na wejście swojego partnera, chodził po pokoju w tę i z powrotem, gadał coś szeptem do siebie, co chwila zatrzymywał się przy biurku, zapisywał coś na luźno leżących kartkach, stukał na klawiaturze komputera i operował myszą. Nowak usiadł za swoim biurkiem i przez dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu przyglądał się tym zagadkowym poczynaniom komisarza Podbiała.

- Mamy analizę balistyczną - komisarz pomachał z zadowoleniem jakimś zadrukowanym karteluszkiem. - Użyta w obu przypadkach broń to Sako TRG, fiński karabin wyborowy, skonstruowany na początku lat dziewięćdziesiątych. Bardzo fajne cacko, w dodatku łatwe do transportowania. Można w nim zamontować tłumik, a także strzelać nabojami z pociskami poddźwiękowymi, co daje gwarancję całkowitej niesłyszalności.

- Jednym słowem mamy do czynienia z zawodowcem, choć co do ceny, jak widać, można się dogadywać - mruknął Tymek.

Podbiał przystanął.

- Mów jaśniej.

Nowak pokazał komisarzowi list, który, prawdopodobnie, otrzymał od Leszka Kasprzyckiego. Podbiał czytał z uwagą, wciąż stojąc. Dopiero teraz Tymek zauważył, że jego partner jest bez butów.

- Manewr ubiegający? - zapytał po chwili Konstanty.

- Biorę to pod uwagę.

- Nie wiesz, dokąd mógł pojechać.

- Równie dobrze do Gdańska, co na Ursynów.

- Ale trop ciekawy. Zapytasz jeszcze raz tego pancura ze squatu?

Nowak skrzywił się na wspomnienie niedawnej przygody, potem jednak przytaknął.

- A ty pogadaj z naszym mistrzem kierownicy - zrewanżował się szybko. - Wciąż jeszcze siedzi w pensjonacie na Żeromskiego, biedaczysko. Oczywiście trzeba ich będzie także pociągnąć o jakiś rysopis pana „cynгла”. Może nie byli aż tak pijani...

- Kto to może być? - zastanawiał się głośno Kostek. - Wiesz, chyba by trzeba jeszcze sprawdzić wśród notowanych maniaków broni. Może któryś przestał być nieszkodliwy. To chyba cienka granica. Wypada jeszcze zajrzeć do sklepów z bronią. Takiej flinty nie kupuje się przecież jak bułki i masła, codziennie.

Tymek usiadł na parapecie i wyglądał przez okno. Podbiał tymczasem znów coś notował na pierwszej z brzegu kartce.

- A jak tam współpraca z ekipą filmową. Będzie Oskar? - zapytał Nowak po chwili.

- Spierdalaj, tak? Pogoniłem ich.

- Ale chyba nieskutecznie.

- Bo?

- Bo właśnie męczą „Gwiazdora”.

Podbiał podszedł do okna. Przed frontonem Pałacu Mostowskich, służącym od zawsze za tło wszelkich telewizyjnych wypowiedzi, w istocie stał wyprężony jak struna, umundurowany rzecznik prasowy komendy, świeżo upieczony nadkomisarz, zwany na pałacowych korytarzach „Gwiazdorem”. Biedak nie znał nigdy dnia ani godziny, kiedy będzie musiał stanąć i z kamienną twarzą i elokwencją uniwersyteckiego profesora tłumaczyć telewizyjnym reporterom, tylko pozycją stojącą różniącym się od hien, czemu stało się tak, a nie inaczej, zapewniać, że wszystko pod kontrolą, policja jest na tropie, nie ma powodów do obaw i warszawiacy mogą spać spokojnie.

O czym mówił teraz? Z tego, co było wiadomo Kostkowi i Tymonowi, nic się nie działo. No i najważniejsze: to była zupełnie inna ekipa telewizyjna, z jakimś facetem w roli głównej hieny z mikrofonem.

- Mówiłem ci: posłałem ich na drzewo - rzekł z zadowoleniem Kostek.

Ledwo wypowiedział to zdanie, rozległo się pukanie do drzwi. Jedno uderzenie zakrzywionym palcem, a potem zaraz atak na klamkę - znaczy swój.

W drzwiach pojawił się dyżurny. Trzymał w wyciągniętej ręce niewielką foliową torebkę. Mężczyzna stał jednak w dziwnej poświacie; dopiero po chwili znajdujący się w pokoju policjanci dostrzegli, że pada na niego światło jupitera, zamontowanego na telewizyjnej kamerze. Żaden jednak nie zareagował; co innego było teraz ważne.

- Panie komisarzu, znaleźli to w koszu na śmieci niedaleko miejsca zdarzenia - wyrecytował sierżant, przekazując przesyłkę. - Jest już po daktyloskopii.

- Dzięki - rzucił Podbiał.

Ledwo funkcjonariusz wyszedł, obaj niemal rzucili się na torebkę. Był w niej portfel, ale bez pieniędzy, za to z dowodem osobistym, zdjęciami dzieci. W przegródkach, gdzie

zwykle umieszcza się karty kredytowe lub płatnicze, pozostały tylko znaki odcisnięte na skórze.

- Więc jednak rabunek - zasepił się Tymek. - Ciekawe tylko, czemu zostawił osobiściak? Też się mógł do czegoś przydać. Na przykład do wzięcia kredytu w banku...

Kostek zatarł ręce.

- Najważniejsze, że mamy nazwisko denata - powiedział. - Teraz musimy sprawdzić, czy się znali z panem dyrektorem.

To powiedziawszy, usiadł przed monitorem komputera, wszedł do sieci i wpisał odpowiedni adres. Po chwili na ekranie pojawiła się główna strona popularnego portalu.

- Chyba nie myślisz, że... - Nowak przerwał, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- A czemu nie?

Od kilkunastu miesięcy rej w polskiej sieci wodził portal, dzięki któremu Polacy mogli odnaleźć swoich kolegów i koleżanki ze szkolnej ławy. W krótkim czasie na stronie zarejestrowało się kilka milionów ludzi, chcących sprawdzić, czy ich szkolna miłość z ósmej B wciąż jeszcze jest tak piękna, albo pragnących pochwalić się mężem, domem, samochodem, pracą, wycieczkami, a przede wszystkim (zdjęcia liczyło się już w milionach!) potomstwem. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i w ciągu krótkiego czasu zaczął przynosić kolosalne zyski.

Nie obyło się też bez rozczarowań, kiedy szkolna miłość publikowała na swoim profilu zdjęcie z plaży w Łebie, a także patologii, polegających na przykład na opisanii ze szczegółami i fotograficznym udokumentowaniu całej misji w Afganistanie męża, żołnierza, przez jego dumną żonę. Kilka razy portal pomagał policji i dziennikarzom, choćby w przypadku jakiegoś polityka, który zapierał się, że pana X nie spotkał nigdy w

życiu, podczas gdy zdjęcia ze wspólnych wakacji w Egipcie mówiły co innego.

Teraz komisarz Konstanty Podbiał miał zamiar znaleźć tu potencjalnych zagrożonych atakiem szaleńca.

- Szukaj dalej, stary. Najlepiej w domu - powiedział do aspiranta, wzuwając buty.

- A ty?

- Nie ma mnie do jutra rano - oznajmił Kostek twardo, czemu towarzyszył sugestywny dźwięk zapinanego szybko zamka błyskawicznego kurtki. - Jeśli oczywiście uda mi się pokonać tę przeszkodę za drzwiami...

Ledwo wyszedł, odezwał się telefon. Tymek podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, mówi Rudzka - odezwał się miły kobiecy głos.

- Dzień dobry.

- Szukam męża.

- Niestety, nie ma go.

- Dzwoniłam na komórkę, ale nie odpowiada. Myślałam, że może jest w pracy...
Przepraszam.

Rozłączyła się. Tymek odłożył słuchawkę. Miał dziwne odczucia.

7

Warszawa-Centrum, ul. Nowy Świat, godzina 17.05.

W barze Piotruś było pusto i cicho. Wieczór zrobił się chłodny i drzwi były zamknięte. Za szynkwasem, umiejscowionym dokładnie naprzeciwko wejścia, krzątała się kobieta w średnim wieku, z włosami upiętymi w kok. Za nią znajdowały się półki z trunkami, obok wywieszono menu: królowała tu fasolka po bretońsku, z drugiej zaś strony - czerniło się niewielkie okienko z napisem DZIEKUJEMY ZA ZWROT NACZYŃ.

Salka składała się z dwóch części: kącik dla palących oddzielony był od reszty wielką ladą chłodniczą, za szybą której latem znajdowały się najpewniej głębokie pojemniki z lodami. Na środku stało kilka okrągłych stolików z krzesłami, pod oszklonymi ścianami, powiększającymi optycznie wnętrze, i witryną wbudowano zaś półki, przy których czekały na klientów wysokie barowe stołki. Pod sufitem obracały się śmigła wentylatora, powietrze lekko wzdymało szare od dymu firanki, zawieszzone w witrynie, na wysokości pasa dorosłego człowieka.

Drzwi skrzypnęły, przez szparę wpadł do środka powiew zimnego, lutowego powietrza, a wraz z nim młody człowiek. Był niezbyt wysoki, lekko przegięty w krzyżu, o ruchach trochę nieskoordynowanych, zdradzających nerwowość, wynikającą z cech wrodzonych bądź też trybu życia i, co powszechne, niespokojnej pracy. Chłopak zamknął za sobą dokładnie drzwi, ogarnął wnętrze lokalu jednym spojrzeniem. Podeszedł do baru, coś mruknął, po czym zajął miejsce przy stolicku w kącie kawiarni.

Zapalił papierosa. Trzęsły mu się ręce; dopiero kiedy zaciągnął się dymem i wypuścił go z płuc, znikając na chwilę w gęstym tumanie, jakby się uspokoił, może nawet rozchmurzył. Barmanka postawiła przed gościem wysoką szklankę piwa bez piany. Już odchodziła, kiedy chłopak chrząknął i odezwał się nieco piskliwym głosem:

- Józek był, pani Irenko?

- Nie - odparła kobieta, nie patrząc na rozmówcę, tylko na zapocone szyby i drzwi.

- A „Szósty” był? - drążył gość, kręcąc przy tym kółka szklanką, która pozostawiała mokry ślad na blacie stolika.

- „Szóstego” też nie było.

- To może Ewald zaszedł dzisiaj?

- Nie.

- Tamara?

- Niestety...

- Bernard?

Kobieta tylko wzruszyła ramionami. Smutno szczęknięły naczynia ukryte pod pulpitem kontuaru.

- A wczoraj? - niemal jęknął chłopak.

- Przecież pan wie, panie Jarku - barmanka, pani Irenka, najwyraźniej zmęczona już tą dziecięcą wyliczanką, westchnęła ciężko i spojrzała smutnymi oczami na siedzącego w kącie salki mężczyznę.

- Wiem, wiem - westchnął i on, wbijając tępe spojrzenie w szklankę ze złocistym płynem i odrywającymi się od dna bąbelkami powietrza.

Wiedzieli oboje. Wiedzieli, choć może do końca nie chcieli uwierzyć. Że nie można już było w barze Piotruś na Nowym Świecie spotkać pana Józka, który lubił długie spacerować Traktem Królewskim, a kiedy się zmęczył, wsiadał zwykle do któregoś z

nadjeżdżających od strony Placu Zamkowego bądź Placu Trzech Krzyży autobusów.

Lubił Józek tłok, bliskość innych ludzi. Często usłużnie pomagał wejść do środka pojazdu starszej kobiecie, wysiadał na przystankach, by ułatwić wyjście innym pasażerom, przepuszczał kobiety, uśmiechając się przy tym jakby trochę zawstydzony; czasami kraśniał na twarzy, a na czole zapalały mu się perełki potu. Oczy miał smutne, ukryte za szklami okularów, włosy siwiejące nad skroniami, lekko falujące, zadbane.

Ciężko teraz intelektualistom - myślały pewnie pasażerki i pasażerowie, patrząc na pana Józka ze zrozumieniem i sympatią, na co on czerwienił się jeszcze bardziej. Ot, skromny człowieczek, spolegliwy, kruchy. Człowieczek ów przeciskał się w tłoku, jednak starał się nikogo nie potrącić ramieniem ani skórzaną torbą, kryjącą zapewne książki czy skrypty, na stopę nie nadepnąć; krzywił się przepraszająco, wreszcie opuszczał autobus. Przeproszeni zaś, prędzej czy później, z przerażeniem stwierdzali... brak portfela, telefonu komórkowego czy innego drogiego cacka w wewnętrznej kieszeni marynarki czy niekoniecznie rozpiętej kurtki, tylnej kieszonce spodni, przewieszanej przez ramię damskiej torebce. Ale było już za późno...

O ile uboższe były autobusy linii 175, wiozące zagranicznych turystów z centrum miasta i znajdujących się tam hoteli do portu lotniczego, bez Grzegorza S. z Wołomina, zwanego „Szóstym” z racji nazwiska, a także pewnego drobnego szczegółu anatomicznego, jakże przydatnego w pracy, czyli sześciu palców przy lewej dłoni.

Ten czterdziestoletni mężczyzna nie nosił co prawda łowickich pasiaków ani krakowskiej czapki rogatej z pawim piórem, nie śpiewał ludowych pieśni w akompaniamencie akordeonu, rozstrojonej gitary i jęków pasażerów, nie handlował polską wódką ani czekoladkami Wedla w blaszanych pudełkach z wizerunkiem pomnika Chopina. Mimo to, zapisywał się na długo w pamięci zagranicznych turystów odwiedzających Polskę i jej podźwigniętą z ruin stolicę, w której zostawały ich ciężko zarobione dolary i euro, karty kredytowe, tudzież złote zegarki lub, co gorsza, komplety kluczy do apartamentów w Berlinie, Rzymie czy innym mieście.

I on nie wyróżniał się z tłumu, jeśli nie liczyć zatykającej wręcz woni wody kolońskiej marki Old Spice, którą Grzegorz lubił się skrapiać każdego ranka obficie, a także postury miotacza młotem, jakże przydatnej przy robieniu sztucznego tłoku, umiejętnym odcinaniu namierzonych wcześniej ofiar od reszty pasażerów, a tym samym ułatwianiu działania współnikom, sięgającym w tym czasie do kieszeni, podróżnych saszetek przy pasku czy podręcznych toreb, ich wnikliwej penetracji.

Pracować z „Szóstym” lubił Ewald J. z podwarszawskich Marek, niepozorny, nierzucający się w oczy, z wyglądu uczeń szkoły przyzakładowej albo szewski czeladnik jadący po odbiór świadectwa w białej koszuli łyskającej z trójkątne wycięcia sweterka koloru kolejarzkiego granatu.

Ewald opiekował się pasażerami wieczornych tramwajów i nocnych autobusów zasypiających na pętach po trudach pracy. Nie lubił, gdy ktoś zwracał mu uwagę, pryskał w jednej chwili cały czar prymusa. Lubił Ewald nadwiślańskie, wiosenne wieczory i koronę Stadionu Dziesięciolecia o każdej porze roku, gdy ten jeszcze istniał; tamże chadzał zwykle w komplecie dresów, baseballówce, gdy ciepło, czapce z włóczki zaś w czas zimowych chłódów. Rozglądał się nerwowo, szukając zapewne sportowego sprzętu, często torował sobie drogę przez tłuszcze kupujących płócienną sportową torbę z napisami. Przepuszczali go bez słowa, może nawet z ochotą, wszak sportowcy, a na takiego przecież J. wyglądał, wciąż dostarczali narodowi wzruszeń, tym bardziej cieszących na tle braku sukcesów na niwie gospodarki czy kultury. Zatrzymywał się przy stoiskach z kasetami i płytami, nogą tupał, łokciami robił na boki w takt przebojów tanecznych.

Również Tamara lubiła muzykę, a przepadała wprost za włoskimi przebojami, może więc z tego powodu swoje jasne, długie, lekko kręcone włosy farbowała zawsze na czarno. Zaczynała od... śniadania: bułka z serem i sałatą albo chleb z kielbasą, jabłko, pomarańcza jeszcze z paczek, czasem pół czekolady - zależy co komu rodzice zrobili do szkoły. Pod koniec ósmej klasy potrafiła już rozpinać tornistry dzieciom niemal w biegu,

jednym dotknięciem klamerki z plastikowym, odblaskowym szkiełkiem, jeszcze w drodze na lekcje, na które sama coraz częściej nie docierała.

Kolejne szczeble wykształcenia zdobywała w osiedlowych supersamach, piwnicach, na działkach, a latem nad rzeką, gdzie najchętniej wypoczywali warszawiacy. Potem praktykowała jako czujka, by po jakimś czasie osobiście zacząć okradać z naukowych stypendiów, pensyjek hostess i telefonów komórkowych młode kobiety, studentki wsiadające na Krakowskim Przedmieściu w okolicach uniwersytetu - zaczytane, nieobecne bądź przeciwnie: rozszczebiotane w wesołej grupce. Upodobała sobie też Dworzec Centralny, gdzie jej ofiarami padali zdezorientowani w labiryncie korytarzy i peronów poszukiwacze pracy, a także szkolne wycieczki, choć plecaki, które nosiły dzieci, już nie otwierały się tak łatwo, jak kiedyś.

- A Bernard? - powtórzył jeszcze raz chłopak popijający piwo w kącie baru Piotruś, ale powiedział to bardzo cicho, jakby do siebie.

Bernard Ł., zwany Benkiem, zamieszkały w Łomiankach, rozpoczął praktykę na praskim bazarze Różyckiego i bielańskim Wolumenie. Widywano go także na giełdzie elektronicznej na ulicy Batorego, między niegdysiejszymi budami pod Pałacem Kultury i Nauki, no i na wspomnianym już Stadionie Dziesięciolecia. Był ani postawny, ani mały, ani gruby, ani chudy - po prostu zwyczajny mężczyzna w średnim wieku, jakich tysiące przemierzają to miasto wzdłuż i wszerz.

Tym, co go jednak wyróżniało, było złoto: gruby łańcuch noszony na wierzchu, takiegoż samego wzoru, lecz większego kalibru na przegubach obu rąk, na palcu zaś wielki sygnet z czarnym oczkiem zamiast szlacheckiego herbu.

Choć często działał w pojedynkę, był raczej małomówny i rzadko się uśmiechał, tak naprawdę to on wodził prym wśród warszawskich doliniarzy, również za sprawą najdłuższego stażu. Wiedział zawsze, jak szybko i bez zbędnych pytań upłynnić gorący i nietypowy towar, miał cynki o planowanych nalotach policji, z których większość

okazywała się prawdziwa. Zaszczycem było dla terminujących w fachu chłopaków wyjście z Benkiem w miasto, już to na „linię”, już to na któryś z zatłoczonych bazarów.

Wpadał Benek kilka razy, najczęściej na solowych występach, szybko jednak ponownie meldował się w pracy, jak po zwolnieniu lekarskim czy urlopie, pełen sił i nowych pomysłów. Za każdym razem, kiedy udawało mu się skroić komuś portfel, strasznie czerwieniły mu się uszy, a miał je dość duże i odstające, tak że przypominały dwie dorodne papryki. Lubił kraść przy wchodzeniu do pojazdu, na „podsiadkę”, a rękę, którą to robił, zwykł maskować przewieszoną przez ramię kurtką lub plastikową reklamówką. Lubił też patrzeć na ludzi, siedząc zawsze przy samym oknie w barze Piotruś. Bywały dni, że siedział tak całymi godzinami.

- Przecież pan wie, panie Jarku - powtórzyła barmanka, znów westchnęła ciężko i spojrzała na siedzącego w kącie salki chłopaka, kończącego swoje piwo w kłębach tytoniowego dymu.

Wiedzieli to oboje, choć może do końca nie chcieli uwierzyć. Że nie spotkają już wszystkich tych ludzi, jak słonecznego poranka, po zjedzeniu śniadania, wychodzą roześmiani z Piotrusia w stronę zatłoczonego przystanku autobusowego przy Nowym Świecie. Bo pewnego dnia, wieczorem, całkiem niedawno, Józkowi ktoś przestrzelił kolano z pistoletu, „Szóstemu” zaś ktoś inny, a może ten sam człowiek, odrąbał siekierą obie ręce z jedenastoma palcami. Kilka dni później Ewaldowi wyłupano oczy, a Tamarze połamano ręce. W trzech miejscach każdą.

Lecz najgorsze miało dopiero nastąpić. Któregoś dnia jeden z czeladników z branży, nikt jakoś nie pamiętał jego imienia, wyrwał neseser jakiemuś gościowi właśnie na Nowym Świecie. Już miał skrócić w pierwszą z brzegu bramę, by tam wstępnie oszacować wartość łupu, kiedy tamten coś za nim krzyknął. Ale kto by się przejmował, zawsze krzyczeli: baby piskliwie, faceci z kurwami. Że niby ktoś miałby się przestraszyć, dobre!

Nie zdążył chłopak jednak nawet otworzyć teczek, jak huknęło, aż szyby poszły w jakimś sklepie. Rękę z resztkami nesesera odrzuciło na dobrych pięćdziesiąt metrów... Pułapka, sterowany zdalnie mechanizm - mówiło potem całe miasto, a pomysłowy producent musiał się wiele napocić, żeby sprostać kolejnym zamówieniom, nawet z zagranicy!

Najgorsze jednak spotkało Bernarda. Zniknął po prostu, nikt nie wiedział, gdzie się podziewa, ale też nikt nie przeczuwał najgorszego. Aż do tamtego dnia, kiedy go, a raczej to, co z niego zostało, znaleziono na śmietniku, na jednym z nowych osiedli Białołęki. Tylko złoto, które tak kochał, oparło się niszczycielskiej sile ognia. Błady strach padł wtedy na całą warszawską „rodzinę”. Nawet po telefon komórkowy dyndający prowokująco u paska małolaty czy do rozpiętej torebki albo marynarki, z kieszeni której prowokowała skóra portfela, pozostali przy życiu i zdrowiu bali się już sięgać, a ręce przy jedzeniu im drżały.

Młody człowiek, nazwany Jarkiem, wstał gwałtownie od stolika, aż krzesło zazgrzytało nogami o podłogę, a szklanka z niedopitym piwem zakołysała się niebezpiecznie. Rzucił na blat baru kilka monet i wybiegł na ulicę, zostawiając otwarte drzwi i barmankę z otwartymi ustami.

Szedł szybkim krokiem, co chwila podbiegał, niesiony jakąś trudną do nazwania siłą. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymał ukryte głęboko w kieszeniach, co raz potrącał ramieniem idących z naprzeciwka przechodniów; rzucali za nim pełne wzgardy spojrzenia, padały nawet wyzwiska, jednak on nie zwracał na to uwagi.

- Niedoczekanie wasze, kimkolwiek jesteście! - powtarzał sobie na głos. - Koniec, po prostu koniec! Nie damy się zastraszyć, o nie!

Zatrzymał się w miejscu, szczęściem stało się to na skraju jezdni, pod czerwonym światłem dla pieszych. Splunął na mokry asfalt, pod koła przejeżdżającego autobusu. Światło zmieniło się na zielone.

- Niedoczekanie wasze!

Na wysepce tramwajowej stało kilka osób. Od strony mostu Poniatowskiego nadjeżdżał tramwaj, ale był jeszcze dość daleko; szyny odbijały światła. Ktoś przebiegał przez pasy na czerwonym świetle, pędzący lewym pasem samochód trąbił, ale nie zwalniał.

Jarek zatrzymał się przy ławeczce. Stąd uważnie obserwował oczekujących na przyjazd tramwaju, ich ruchy i odruchy, z pozoru nic nieznaczące, ot, wyciągnięcie lub schowanie portfela, telefonu, nawet czytanie gazety w świetle ulicznej latarni. W jego kalendarzu, tym bardziej w sytuacji zagrożenia, nie było wolnego dnia.

Na ławce siedziało dwóch obdartusów w starszym wieku o nabrzmiałych twarzach. Coś mamrotali do siebie, pokaszując przy tym. W pewnej chwili jeden z nich wstał i trochę chwiejąc się na nogach, podszedł do Jarka.

- Przepraszam pana - rzekł z chrypką.

- Czego? - warknął nagabywany, nie odwróciwszy głowy.

- Bardzo przepraszam - powtórzył jeszcze raz tamten, jednocześnie skłonił się nisko. - Przepraszam, czy mógłby pan... powąchać, czy to prawdziwa wódka?

- Co takiego?

- Zakupiliśmy z kolegą tu niedaleko, ale coś za tanio wyszło. Tyle się słyszy o tych płynach hamulcowych i borygo, a to przecież wzrok można przez to, panie, stracić! No, poniuchaj, szefie!

I dziadek rzeczywiście podsunął mu pod nos butelkę z przezroczystym płynem, ale

bez etykiety. Jarek chciał ją wziąć do ręki, ale sprytny żuł szybko cofnął szyjkę, po czym znów ją podsunął.

- I co? I co?

- W porządku, to wódka - stwierdził krótko i cicho, by nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi; prawda była jednak taka, że nie poczuł absolutnie nic, a już na pewno trwogi o wzrok amatora mocnych trunków.

Tymczasem na przystanek przy Muzeum Narodowym wtoczył się tramwaj. Jarek od razu zrezygnował ze zbiórki „na podsiadkę”; przez chwilę zastanawiał się nawet, czy w ogóle wchodzić do środka. W rześście oświetlonym wnętrzu wagonu nie było wcale tłoczno.

Motorniczy zadzwonił, chłopak skoczył na pomost, zamykane drzwi dmuchnęły mu za plecami. Siódemka szarpnęła, podjechała kawałek, aby znów się zatrzymać, a to przed blokującym przejazd samochodem osobowym. Motorniczy zaczął dzwonić, z kabiny gruchnęły bluzgi. Wreszcie zawalidroga usunął się i ruszyli w stronę Marszałkowskiej.

- Następny przystanek: dom towarowy Smyk - pruknął z głośników mechaniczny głos.

Jarek, terminator w doliniarskim fachu, jeden z ostatnich po tej stronie Wisły, bezradnie rozejrzał się po wnętrzu wagonu. Większość siedzących patrzyła w okna lub czytała gazety, rzadziej książki.

Nie, nic z tego nie będzie - pomyślał z rezygnacją.

Odwrócił się w kierunku jazdy. Naraz coś twardego i ostrego dotknęło jego pleców. Zaciśnął pięści i już miał się odwrócić, by zwymyślać przeciwnika (a potrafił to zrobić, że skóra cierpła, a za uszami robiły się żylaki!), kiedy ten odezwał się głosem starszej

kobiety:

- Czy pan teraz będzie wysiadał?

Potwierdził skinieniem głowy. Próbował się nawet uśmiechnąć, ale szyba odbiła tylko zaciętą twarz, zmrużone oczy patrzące nieufnie.

Wskoczył na chodnik. Jakieś czarne cienie szły spod domu towarowego, maszerowały ławą, jak najprawdziwsza nagonka. Podbiegł kilka kroków, wskoczył do drugiego wagonu.

- Następny przystanek: metro Centrum.

W drugim wagonie - jakby w zupełnie innym świecie - paliło się słabo tylko kilka żółtych świateł. Pusto! Na końcu podróżowali dwaj mężczyźni: jeden drzemał, drugi zaś, siedzący dwa krzeselka dalej, był niewidomym akordeonistą z długą, siwą brodą, który od jakiegoś czasu „uprzyjemniał” swą grą podróże tramwajowe warszawiakom, szczególnie na trasie Plac Zawiszy-Rondo Wiatraczna. Teraz jednak nie grał.

Ten pierwszy spał albo udawał tylko, że śpi. Dziwny był: ubrany w płaszcz, teraz rozpięty, pod którym widać było ciemny garnitur i białą, rozpiętą pod szyją koszulę.

Korporacyjny wyrobnik, jak dwa razy dwa. Dla nich nie ma niedzieli. Ale czemu bez teczki albo choćby aktówki, nie wspominając już o futerale z laptopem? - zastanawiał się w myślach Jarek.

Tymczasem tramwaj zaczął hamować. Zza biurowca Uniwersalu wyłonił się oświetlony korpus Pałacu Kultury. Jarek nachylił się nad śpiącym. Nie poczuł jednak woni alkoholu. Wagony zatrzymywały się już na kolejnym przystanku przy rondzie Dmowskiego.

Chłopak wstrzymał oddech, szybkim, jednocześnie delikatnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Twardo.

- Jasia! - mruknął z tłumioną radością, co w slangu kieszonkowców znaczyło triumf.

Jednak dopiero w chwili, gdy drzwi otworzyły się, Jarek lekko wyszarpnął zdobycz, w sekundę doskoczył do wyjścia i wyprysnął z wagonu wprost na betonową wysepkę. Sprytnie skrył się za oklejoną plakatami wiatą przystanku. Do drugiego wagonu weszło kilka osób. Nie mogli go widzieć, a jeśli nawet... Nad jezdnią zabłysło zielone światło. Siódemka ruszyła spod świateł. Z wagonu dobiegły dźwięki akordeonu.

- Szefie, kochany, pan sprawdzi, powącha, czy to jest wódeczka? - dobiegło z przystankowej ławeczki.

Jarek ruszył szybkim krokiem w stronę schodów do podziemnego przejścia pod rondem. Czuł się lekko. Zdobycz, wsunięta za spodnie, przyjemnie uwierała. Już postawił stopę na pierwszym stopniu schodów, kiedy poczuł, jak coś spada mu na kark.

Po chwili jego głowa leżała tam, gdzie przed chwilą znajdowała się stopa - na zabłoconym kamieniu. Przyciskał ją do niego czyjś but...

8

Warszawa-Włochy, przystanek kolejowy, godzina 17.30.

Kolejka SKM zatrzymała się na stacji. Drzwi pociągu otworzyły się niemal bezszelestnie. Tymon stanął na peronie i rozejrzał się dookoła. Po chwili skład ruszył w dalszą drogę do Pruszkowa. Wąż z prostokątów światła padającego na chodnik peronu urwał się gwałtownie. Gdzieś w ciemności zastukały kobiece obcasy. Ruch był niewielki. Cały świat łapał oddech przed jutrzejszym porankiem, kiedy wszystko zacznie się od nowa. Następnym razem, następny tydzień, byle do piątku.

Odkąd Tymek zaczął służbę w policji, przestał zauważać poszczególne dni tygodnia. Niekiedy miał problemy z nazwaniem wtorku wtorkiem czy soboty sobotą. Bez skrępowania pytał o to znajomych lub kogoś z rodziny - kto akurat był blisko. W tym momencie najbliższym znajdował się jakiś facet podpierający nosem ścianę rdzewiejącej wiaty. Tymek zbliżył do niego na odległość dwóch metrów.

- Która godzina? - zapytał.

- A kto pyta?

- Swój.

- No to chuj.

- Święta prawda - zgodził się Tymon. - To która godzina?

- Skoro aż tak ci zależy, to powiem: godzina jest dobra, a dzień szczęśliwy - odpowiedział gość, odrywając się powoli od kolejowej budowli. - Siemano, Tymek.

Uścisnęli sobie ręce. Dziwny był człowiek, rozmawiający z Tymonem na peronie stacji Warszawa Włochy wczesnym, zimowym wieczorem: twarz szarzała od zarostu, ubranie, przypominające robociarski drelich najgorszego gatunku, pozostawiało wiele do życzenia, choć jego zapach był obojętny, a ten z ust wręcz przyjemny, świeży, miętowy. Podobnych osobników spotkać można w wielu miejscach nie tylko na polskich dworcach. Kaleki życiowe bez fartu, rozłożeni już na starcie, z opuchniętymi od wódki twarzami, proszący przechodniów o skromny datek. Ale u tego dziwnego człowieka jedna rzecz, prócz zapachu, nie pasowała do całości: jego wzrok był żywy, badawczy, przenikliwy, jakby pod tą plugawą powłoką krył się ktoś zupełnie inny.

- Wychodziła? - zapytał w pewnym momencie Tymon, na co jego zagadkowy

rozmówca pokręcił zdecydowanie głową.

- Tylko koło południa, do sklepu - powiedział po chwili. - Może z jakiś kwadrans jej nie było w domu, nie dłużej.

Nowak odetchnął z wyraźną ulgą.

- Dzięki - rzekł cicho.

- Nie ma sprawy - odparł z uśmiechem obdartus.

Kilka minut później aspirant siedział przed komputerem w swoim pokoju. Zza ściany dobiegały dźwięki telewizora; wiedział, że okutana w ciepły koc Ewa, jego rodzona siostra, ogląda jakiś program, a może serial. Rodzice rodzeństwa Nowaków mieszkali po drugiej stronie miasta. Dzięki grze na giełdzie udało im się kupić mieszkanie dla dwójki swoich pociech. Na okres przejściowy, jak wszyscy zainteresowani zgodnie podkreślali, czyli zanim jedno albo drugie nie założy rodziny. Okres ten trwał już długo i nic nie wskazywało na to, żeby cokolwiek miało się w tej kwestii zmienić.

Tymek otworzył piwo, wlał do szklanki i wszedł do sieci. Nie planował pracować długo, czuł się zmęczony. Walczył z sennością, jednak już pierwszy łyk pobudził go. Szukanie otoczenia delikwenta na szkolnym portalu rozpoczął jednak od wizyty na własnym profilu. Nie miał ani nowych wiadomości, ani zaproszeń, co jednak przyjął z obojętnością. Nie był maniakiem tej strony, a tacy się bardzo często zdarzali. Nie miał też potrzeby chwalenia się swoją pracą, dziećmi czy zagranicznymi wycieczkami, bo raz, nie miał za bardzo czym, a dwa - chyba nie mógł. Służbowe uregulowania nie określały dokładnie, co funkcjonariuszowi wolno pokazać, a czego nie; pytani o tę konkretną sprawę przełożeni zazwyczaj odwoływali się do poczucia przyzwoitości i roztropności swoich podwładnych.

Nowak bez trudu odszukał profil znalezionej dziś rano denata. Był dość bogaty:

zdjęcia dzieci, dziś płaczących sierot, żony, która oto stała się wdową. I pomyśleć, że wszystko może się zmienić w ciągu zaledwie chwili: dom i samochód zmienia właściciela, w pracy powstanie vacat, na który pewnie z miejsca rzucą się inni, a dawni szkolni koledzy będą wzdychać, że oto z ich półki też już biorą...

- Blisko, blisko - mruknął Tymek, klikając na ikonkę przedstawiającą ludzkie postaci, pod którą kryła się lista znajomych, w tym wypadku lista potencjalnych uczestników pogrzebu, a może nawet stypy. - Jest!

Nowak opadł plecami na oparcie krzesła. Właśnie zrobił następny ważny krok: mężczyźni znali się! Co dalej? Czy wśród znajomych jest morderca? A może tylko dalsze ofiary? Czy i kiedy znów uderzy szalenciec?! - te i inne myśli kotłowały się w głowie młodszego aspiranta Tymka Nowaka, gdy sporządzał listę mężczyzn, którzy mogli być celem dla zabójcy. Za kryterium uznał płeć, zbliżony wiek i aktualne miejsce zamieszkania. W ten sposób powstała sześciuosobowa lista. Dwóch z niej już nie żyło.

Czy wśród pozostałych jest ten, który pociąga za spust fińskiego karabinka wyborowego Sako TRG? - zastanawiał się Nowak, ale szybko sam siebie ściągał na ziemię. To by było zbyt łatwe i oczywiste...

- A jeśli tak? - wyrwało mu się znów.

Wpisał adres strony, gdzie znajdował się film z pierwszego morderstwa. Na monitorze ukazał się dobrze znany widok. W pewnym momencie Tymek usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z komputerowych głośników. Oto uzmysłowił sobie, że dotąd przecież przez cały czas oglądali ów film bez włączonego dźwięku!

Podkreślił gałki potencjometru w jednej z kolumnenek. W tej samej chwili, jakby w odróżnieniu do tego, co usłyszał, przeszedł go lodowaty dreszcz.

Warszawa-Powisłe, ul. Jaracza, godzina 18.50.

Konstanty Podbiał stał przed lustrem w łazience i wiązał krawat. W jego przypadku czynność ta, skądinąd powszechna i raczej prosta, wymagała jednak dość dużego skupienia. Na co dzień ubierał się dość luźno: dzinsy, jeśli już koszula, to rozpięta pod szyją. Jednak o to skupienie było trudno; mężczyzna bowiem znajdował się nie we własnym domu, a w teatrze. Za kilka chwil miało rozpocząć się niedzielne, wieczorne przedstawienie.

Wychodząc z domu, Kostek włożył krawat do kieszeni marynarki z zamiarem zawiązania go dopiero na miejscu. Za każdym razem coś było jednak nie tak: a to wychodził za długi, po jaja emeryta, a to krótki śledź, a to węzeł zbyt gruby, dawno już niemodny. Poza tym ktoś ciągle wchodził i wychodził z łazienki, drzwi trzaskały jak w starej stodole, woda w pisuarach szumiała, a jakiś facet nawet w takim miejscu nie potrafił powstrzymać się od głośnej, nawet bardzo głośnej rozmowy przez telefon komórkowy.

Korzystających z pisuarów, tak jak kierowców, powinien obowiązywać zestaw słuchawkowy albo głośnomówiący! - zaśmiał się w duchu Kostek Podbiał.

Wreszcie się udało. Komisarz z ulgą odwinął rogi kołnierzyka, przyglądał węzeł, poprawił klapy i zapiął guzik jednorzędowej marynarki. O to chodziło. Teraz może iść na widownię, zająć przypisane sobie miejsce. I spokojnie cierpieć.

W wieczornym przedstawieniu grała Kaśka. Podbiał bardzo chciał ją zobaczyć, przynajmniej w ten sposób. Poza tym miała dziś urodziny. Pamiętał o tym. Wysłał jej kwiaty. Zostaną wniesione na scenę przez panią bileterkę tradycyjnie po zakończeniu spektaklu, podczas ukłonów i braw.

- Przynajmniej tyle - rzekł cicho do swojego odbicia w lustrze, po czym wyszedł z

łazienki.

Foyer teatru było już pełne widzów. Przeważali ludzie w starszym wieku, choć było też sporo młodzieży, studentów czy licealistów. Ci (posiadał taką wiedzę) byli posiadaczami tak zwanych wejściówek, sprzedawanych za śmiesznie niską cenę, bo też uprawniających do zajęcia zaszczytnego miejsca na schodku lub pod ścianą; praktyka była jednak taka, że zwykle zdarzało się, iż ktoś kupił bilet i nie przyszedł na spektakl, a wtedy bileterki same zapraszały do zajęcia wolnego miejsca siedzącego.

Warszawskie teatry. W ciągu kilku lat życia w tym mieście Konstanty Podbiał zdążył odwiedzić wszystkie, nie tylko ten, w którym grała Kasia. Ten zresztą chyba najmniej mu się podobał: budynek był stary, raziło podniszczone gumoleum w foyer, toalety też pozostawiały wiele do życzenia. I choć od lat wieszczono instytucji teatru rychły koniec, spektakle wciąż były grane przy pełnych bądź prawie pełnych widowniach. Pierwszym i chyba najważniejszym powodem zadowolającej frekwencji była wciąż przemożna chęć obejrzenia sław na żywo. Ludzie chodzili po prostu, aby oglądać aktorów znanych z telewizyjnych seriali i telenowel. Treść sztuki była tu tak naprawdę sprawą drugorzędną - byle tylko doktor z ciągnącego się od dziesięciu z hakiem lat tasiemca pojawiał się na scenie jak najczęściej.

Drugim powodem, który przyciągał ludzi na spektakle, były skandale. A to aktorka grała bez stanika, a to ze sceny leciały bluzgi, przy których stara „Żyleta” na stadionie Legii to Wersal. Na przykład o warszawskim Teatrze Rozmaitości mówiło się, że tam aktor najpierw... zdejmuje spodnie, a potem dopiero zaczyna recytować nieśmiertelne „być albo nie być”. Kiedyś, na samym początku, trafili z Kaśką na sztukę pod tytułem Shopping and fucking. Mogło to oznaczać wszystko, ale równie dobrze nic. Ale oznaczało. Lizania się po męskich tyłkach i członkach, a także lecących ze sceny bluzgów nie wytrzymał najtwardsi miłośnicy Melpomeny.

Prawdę mówiąc, Podbiał nie wiedział, o co chodzi w dzisiejszym przedstawieniu. Nie pamiętał nawet nazwiska autora. Mogli śpiewać, tańczyć, gadać wierszem, nawet

odstawiać pantomimę - nieważne! Liczyło się tylko jedno: będzie mógł zobaczyć na żywo Kaśkę.

Wtedy, zaraz po spotkaniu w Mikołajkach, po powrocie do domu i prozy życia, Kostek zaczął oglądać serial, w którym grała. Emitowano go codziennie o szóstej po południu, więc obejrzenie każdego odcinka wymagało od policjanta, który miał nienormowany czas pracy, nie lada sprytu. Ale udawało się. Patrząc na nią, przywoływał tamte letnie chwile. Jak jakiś gówniarz. Podkochiwać się w aktorce filmowej? Gdyby chłopaki się dowiedzieli, nie daliby mu spokoju. Ale na początku września ona zadzwoniła.

To było nierealne, trochę jak sen. Kaśka miała być w Olsztynie z gościnnym spektaklem w miejscowym teatrze. O zdobyciu biletów można było pomarzyć; wszak kwiat miejscowej przedsiębiorczości (jak przyznawali się sami przed sobą jego przedstawiciele, pokonując w wieczorowych kreacjach schody teatru) „szedł się odchamić”. Kostek czekał na Kaśkę przed teatrem, kilka godzin później. Bał się tego; jakże często bowiem spotkania po wakacyjnym zauroczeniu okazywały się rozczarowaniem. Kiedy ukazała się w drzwiach, zabrakło mu tchu. Zbiegła po schodach jak nastolatka, uśmiechnięta. Chodzili po Starym Mieście do północy.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: raz on przyjeżdżał do Warszawy, raz ona na północ. Kombinował, jak umiał, żeby dostać jakiś kurs do komendy głównej albo przynajmniej do szkółki w Legionowie. Myślał o przeniesieniu się do stolicy, ale to było nierealne, graniczyło wręcz z cudem. Nie miał aż takich pleców, w dodatku wciąż ciągnął się za nim smrodek dwóch afer, w które był kiedyś zamieszany.

A jednak cud się stał. W stołecznej był vacat, a propozycję dostał Kostek. Kaśka uparcie twierdziła, że o niczym nie wie, choć wiele razy ją o to pytał. Nie wierzył jej, ale też nie drążył długo tematu. W ciągu niespełna miesiąca przeniósł się z Olsztyna do Warszawy. Zamieszkali razem. Po roku wzięli ślub cywilny.

Kiedy Podbiał ocknął się, na widowni paliło się światło, ludzie wokół wstawali z miejsc przy akompaniamencie trzaskających ruchomych siedzisk. Antrakt.

Jakim cudem przespał cały akt? Nic, zupełnie nic nie pamiętał. Czy w pierwszym akcie pojawiła się Kasia? Tego nie był w stanie stwierdzić...

Wstał i powlókł się do foyer. Do teatralnego bufetu utworzyła się długa kolejka, podobnie jak do toalety damskiej. W męskiej było jednak w normie. Ten sam facet wykrzykiwał coś do telefonu. Kostek odkręcił kran, przemył twarz letnią wodą. Popatrzył na swoje odbicie w pokrytym liszczami lustrze. Nie wyglądał dobrze. Czuł się zmęczony.

Może lepiej będzie wrócić do domu i wyspać się przed poniedziałkiem? - pomyślał.

Z drugiej strony, była przemożna potrzeba zobaczenia swojej, póki co, żony.

- Szlag by to... - zaklął pod nosem.

Zakręcił kurki, wytarł twarz w papierowy ręcznik pachnący, nie wiedzieć czemu, morską bryzą. Maniak w głębi toalety wciąż nadawał przez telefon. Wychodząc z łazienki, Podbiał ze złością huknął drzwiami. Ściągnęło to uwagę jakiejś paniusi w latach i różach, stojącej w towarzystwie nieopodał. Kobieta zmierzyła Podbiała pełnym dezaprobaty wzrokiem, po czym coś szepnęła towarzyszącemu jej mężczyźnie. Po chwili cała grupka spoglądała na Kostka. Ten poczuł, jak się czerwieni. Ile razy miał okazję zrobić widowisko w samym środku wsi, choć pewnie wszyscy zobaczyliby w tym wieś w samym środku widowiska.

Ale to przecież Kaśka potrafiła zawsze wybuchnąć w najmniej oczekiwanym momencie, tak totalnie, z choleraми i krzykiem. Tylko talerzami nie rzucała. Potem płacz. A on nigdy nie wiedział, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie. Kumple, ci najbliżsi, ostrzegali: uważaj, bo nigdy nie będziesz wiedział, kiedy ona gra. Chciała w nim widzieć supermana. W ogóle nie dopuszczała do siebie myśli, że on może mieć

chwile słabości. Kiedyś upuściła mu na nogę jakiś ciężar, niechcący. Syknął wtedy, skrzywił się z bólu. A ona uznała takie zachowanie za niemęskie, porównywalne chyba tylko ze sfajdaniem się w spodnie! I gdyby mogła, zrobiłaby mu to jeszcze raz. Za karę! Nie kończyły się utyskiwania, że Kostek nosi... za duże buty. Jak sobie dziś o tym pomyśli... Niedorzeczność, cyrk, kpina. A jednak tak było.

Żona Konstantego Podbiała, Katarzyna Rawska (pozostała przy swoim nazwisku ze względów marketingowych) w pewnym momencie zaczęła wychowywać męża jak swoje dziecko. Przed posiadaniem tego prawdziwego nie przestawała się zabezpieczać.

- Zapraszam na salę - powiedziała bileterka, uśmiechając się szeroko do Kostka.

Popatrzył na nią, jakby nie rozumiał języka, w którym mówi. Kobieta uczyniła szeroki gest, pokazując mu drzwi na widownię. Za chwilę zaczynał się drugi akt. Tylko czy on miał w ogóle ochotę na to, żeby to oglądać?

- Dziękuję - szepnęła tylko, po czym odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku szatni.

Kiedy minutę później opuszczał gmach teatru, przed drzwiami zauważył dziwną postać. Była to stojąca w towarzystwie dwóch wyliniałych psów kobieta. Nie była to jednak matka, babka, żona ani siostra jakiegoś teatromana, tylko ubrana schludnie, lecz bardzo skromnie, starsza żebraczka. Na ziemi, u jej stóp, stała blaszana puszka.

Kobieta się pospieszyła. Przyszła za wcześnie. Zaczął się dopiero drugi akt sztuki. Dopiero za kilkadziesiąt minut, kiedy ludzie wyjdą tłumnie z teatru, zobaczą ją i zaczną omijać - dopełni się katharsis. Póki co, przytłumionym echem niedalekich, ruchliwych arterii, dochodzącą jakby spod ziemi, pulsującą muzyką, cicho rzeźbiło miasto.

DZIEŃ PIĄTY

Warszawa, gdzieś pod Żoliborzem, nazajutrz, poniedziałek, godzina 8.30.

Metro Warszawskie informuje. Na każdej stacji jest telefon alarmowy. W każdym wagonie jest żółty przycisk alarmowy. Dla wspólnego bezpieczeństwa zawiadom o nietypowej sytuacji w metrze.

Komisarz Kostek Podbiał przeczytał informację naklejoną na ścianie wagonu i zaśmiał się w duchu. Na Marymoncie były jeszcze wolne miejsca siedzące - przypomniał sobie. Tak, to bardzo nietypowe, bo zwykle metro atakuje tam największy tłum. Ludzie z Bródna i Tarchomina. Chyba ktoś coś wie, czego nie wiedzą inni, większość. To tak jak żaden Żyd nie przyszedł do pracy w budynkach World Trade Center rankiem 11 września 2001 roku. Bo prawdopodobnie wiedzieli, co się stanie. Tak ludzie mówią.

Nietypowe sytuacje. Mnóstwo takich! Rozwalona vis-?-vis dresiara w słuchawkach na uszach dzwignęła się, by ustąpić miejsca staruszce. Jakiś gość, trzymający w ręku futerał z ubraniami, próbował przez dobrych kilka chwil powiesić go na jednej z metalowych rur-uchwytów. Na poziomej nie mógł, bo siedząca niżej osoba dostałaby w twarz, gdyby futerał rozkołysał się. Na pionowej też nie, bo hak nijak nie chciał się trzymać; w końcu facet zatknął go za framugę zawsze zamkniętych drzwi, prowadzących do sąsiedniego wagonu. Wcześniej, na stacji Słodowiec, do wagonu wszedł młody Murzyn i zaczął... śpiewać, pod nosem, ale dość wyraźnie i bez najmniejszego skrępowania, refren starego przeboju Michaela Jacksona.

To jak: naciskać, dzwonić? To przecież nie jest normalne zachowanie w metrze! Przecież w metrze warszawskim się śpi lub drzemie, w metrze patrzy się z nienawiścią na tych, co mają miejsca siedzące, lub na swoją twarz, odbitą w szybie, gdy nijak się obrócić - taki ścisk. Zatyka się wtedy nos lub wstrzymuje oddech, bo ktoś spożył wcześniej kebab lub chińszczyznę. W metrze odbiera się dzwoniący telefon, by powiedzieć, że się jest w metrze. W metrze czasami czyta się wcisniętą wcześniej na stacji darmową gazetę,

rzadziej tę kupioną, jeszcze rzadziej książkę (w metrze moskiewskim książki czytają ponoć wszyscy pasażerowie!), w metrze z nudów ogląda się uwieszone pod sufitem reklamy szkół policealnych tudzież czyta najświeższe ponoć wiadomości, emitowane na monitorach. Czasem te obrazki zaczynają się ruszać i wtedy dopiero reakcja obserwatora jest najbardziej pożądana: półotwarte usta, czasami mimowolnie układające się w wyrazy lub nawet całe zdania, ruszające się we wszystkich kierunkach gałki oczne, wypieki na twarzy, pomarszczone czoło - niewiele różni się to od ekstazy spowodowanej religijnym uniesieniem.

W metrze, jak już się gada, to się gada - żeby wszyscy słyszeli:

- A ja mu, chujowi jednemu: nie będziesz mi mówił, co mam robić!

- Tak powiedziałaś swojemu szefowi?

- A jak, kurwa. A jak!

Kostek Podbiał podkurczył nieco nogi. Prawą ręką sprawdził obecność dokumentów w wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie miał ku temu żadnych podstaw, był raczej niewolnikiem obsesji. Siedział na swoim ulubionym miejscu, przy końcu wyprodukowanego w rosyjskiej fabryce wagonu, miejscu niekrepującym i wygodnym.

- Następna stacja: Plac Wilsona.

Charakterystyczny głos lektora był nieco zniekształcony przez aparaturę, przez co brzmiał, jakby wypowiadał go człowiek jakieś dwadzieścia lat starszy i do tego bardzo schorowany; również poprzedzający tekst potrójny sygnał wybrzmiał, jak gdyby zagrał go początkujący puzonista. Nie można było się nie uśmiechnąć, słysząc taki duet. Z jakichś powodów działo się to jednak tylko w jednym konkretnym typie pociągów, z metalową tabliczką „Sankt-Petersburg, Wagonmasz, dzielano w Rasiji”.

Poniedziałkowy ranek przywitał Kostek Podbiał z prawdziwą wdzięcznością. Rozpoczynająca dzień jazda metrem oznaczała powrót do dawnego rytmu życia, zakłóconego przez weekendowe dni. Mężczyzna chciał oprzeć głowę o ściankę wagonu, jednak ta była zbyt daleko. Zaczęła ogarniać go senność, mimo że przespał niemal jedenaście godzin. Lampy jarzeniowe pod sufitem emitowały dziwnie mało światła.

Do końca podróży były jeszcze dwie stacje. Aby nie ulec senności, Kostek zaczął znów przypatrywać się współpasażerom.

Przeważały kobiety, a raczej młode dziewczyny. Więcej ładnych niż przeciętnych. Okutane ciepło, bo dzień znów chłodny, jak to w lutym, teraz zdejmujące czapki, rozpinające guziki płaszczyków i zamki kurtek, luzujące węzły szalików, zsuwające rękawiczki. Twarze stęsknione za słońcem. Oczy, na których, prócz tuszu do rzęs i cienia do powiek, widać jeszcze wyraźnie sen. Palce dłoni jakiejś kobiety zaciskające się na pionowej rurce, blisko. Na mankiecie płaszcz... nieodpruta metka. Nieco dalej, „na jedenastej” (choć jeszcze nie ma dziewiątej), jakaś panienska wcinająca już przygotowaną pewnie do pracy kanapkę. Pałaszująca, jakby tydzień nic nie jadła. Kawałeczek ogórka spadł jej na płaszcz, niezauważony.

Zima to zła pora - ocenił w myślach Podbiał. Nie ma mowy o zajrzeniu za dekolty czy podziwianiu zgrabnej nóżki. Człowiek, mężczyzna, którego zmysł wzroku zostałby zaspokojony, byłby w stanie łatwiej znieść wszystko to, na co skazany był jego słuch.

- Gdzie kupiłaś te buty?

- W Arkadii.

- Różowe były?

- Nie.

- A to szkoda.

Pociąg wtoczył się na oświetloną stację Plac Wilsona. Na peronie kłębił się tłum. Za chwilę wtoczy się do środka, walcząc o czterdzieści centymetrów kwadratowych podłogi. Jak wczoraj, jak jutro, w tym szczególnym momencie uwertury kolejnego dnia, pierwszym kontrapunkcie powtarzanego do znudzenia, ogranego, choć chyba nie do końca udanego dzieła. Ruchów paralityka i coraz bardziej wyczuwalnego działania porannej dawki kofeiny, tauryny i amfetaminy, wciąż jeszcze sennych, zamglonych spojrzeń. Pierwszych bolesnych ruchów trzewi. Mieszających się zapachów wód kolońskich, dezodorantów sukcesu, mydeł, szamponów, miętowej gumy do żucia, trawionej w mozole cebuli i kiełbasy. Nieodespanego kaca.

- Następna stacja: Dworzec Gdański.

Kostek jeszcze bardziej wtulił się w obszyte czerwoną materią miejsce. Jeździł już rozplaszczony na szybie jak ośmiornica, jeździł na jednej nodze albo uwieszony metalowej rury, przypominając skazańca przed karą chłosty. Jaką rozkoszą było rozsiąść się, tak jak teraz, wygodnie w kącie przedziału, obok zamkniętych drzwi z napisem PRZEJŚCIE SŁUŻBOWE.

Jeszcze dwie stacje. Nie mogę zasnąć - pomyślał Kostek.

Naraz wzdrygnął się, otworzył oczy. Jakiś staruszek przepychał się w jego stronę. Chciał najwyraźniej zająć wolną przestrzeń między miejscami, tę przeznaczoną na bagaże! Kostek ścierpł. Na szczęście siedząca obok młoda dziewczyna podniosła się z miejsca i ustąpiła miejsca starcowi. Ledwo ten klapnął na siedzenie, Podbiał poczuł ostry smród szczyny...

2

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 10.02.

Konstanty Podbiał dawno nie widział swojego młodszego kolegi tak podekscytowanego. Tymek chodził po pokoju zupełnie jak komisarz wczoraj, wymachiwał rękami i gadał do siebie. Kostek przez dłuższą chwilę stał w otwartych drzwiach i przypatrywał się tej dziwnej scenie; Nowak go nie zauważył. Zareagował dopiero na odgłos zamykanych drzwi.

- Kostek, ja pierdolę! - przywitał partnera.

- Też się cieszę, że cię widzę - odpowiedział ze spokojem Podbiał, wieszając starannie kurtkę.

- Dzwoniłem do ciebie kilka razy, ale miałeś wyłączony aparat.

- W metrze byłem, przecież wiesz.

- Jasne...

- Co jest?

Tymon zdołał opanować się na tyle, by usiąść za swoim biurkiem.

- Jest afera - odpowiedział.

- Nie pierwsza i nie ostatnia - skwitował zgodnie ze swoim zwyczajem Podbiał.

- Kostek! My nigdy nie oglądaliśmy nagrania z zabójstwa na Puławskiej z dźwiękiem.

- Nie?

- Nie! A ten film ma dźwięk. Dopiero wczoraj wieczorem to odkryłem!

Podbiał zmarszczył czoło.

- Ktoś coś mówi?

- Nie, ale jest muza. W tle całego filmiku leci piosenka. Zgadnij jaka?

Komisarz uniósł do góry obie ręce na znak, że się poddaje.

- Arabska - wycedził z satysfakcją Tymon. - Zupełnie taka sama, jaką słyszymy w naszym kebab-barze, tylko może odrobinę bardziej tradycyjna. Kostek! Ty wiesz, co to może oznaczać? Terroryzm w najczystszej postaci. Zamiast bomb powolne, ciche wykańczanie polskich ekonomistów, dyrektorów, całej klasy średniej. Czytelny komunikat džihadu: będziemy pozbawiać was głowy, kawałek po kawałku. Pamiętasz, co hitlerowcy zrobili z profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego zaraz po wybuchu wojny?

Podbiał zagłębił się w rozmyślaniach. W teorii aspiranta mogło być wiele racji. Tylko co teraz robić; szukać samemu czy od razu przekazać sprawę wyżej?

- Ale to jeszcze nie koniec - nadawał po krótkiej pauzie Tymek. - Znalazłem w necie jeszcze jedną ciekawą rzecz. Pamiętasz, sprawdzaliśmy, czy zabójca wrzucał do sieci coś jeszcze. I nic nie znaleźliśmy. Ale wczoraj chyba coś znalazłem. Nie jest to film z kolejnej brudnej roboty, a fragment filmu fabularnego, dokładnie kryminału.

- Co to za film?

- Cobra z Sylwestrem Stallone. Dokładnie jedna z pierwszych scen, kiedy porucznik Cobretti rozwała psychola, który napadł na supermarket.

Kostek spojrzał przeciągle na kolegę, po czym podrapał się po głowie.

- Sprawdziłeś, czy denaci się znali? - spytał po chwili.

W odpowiedzi Nowak zaszeleścił z triumfem kartką papieru, którą przed sekundą zdjął z drukarki.

- Znali. I mamy kilku następnych kandydatów na sztywnego. Dzięki uprzejmości portalu, zresztą nie pierwszy raz, mamy dokładne adresy wszystkich. Kazałem wysłać wezwania...

- Nie! - uciął Kostek, wstając gwałtownie z krzesła. - Nie mamy na to czasu. Trzeba ich wszystkich po kolei odwiedzić albo przywieźć na komendę. Pokaż - wyciągnął rękę.

- Nie mam dzisiaj kanapek - jęknął Tymek.

- Papier mi daj, a nie kanapki! - warknął komisarz. Ogarnął wzrokiem czarną listę. Nagle brwi Kostka uniosły się wysoko.

- Znasz któregoś? - zapytał aspirant.

- Ubieraj się, Tymek! - zaordynował Podbiał.

- Dokąd jedziemy?

- Na dziewczyny.

3

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, godzina 11.00.

Srebrna skoda pokonała kilkaset metrów odnowionej, ale zwężonej jezdni

Krakowskiego Przedmieścia i zatrzymała się przed szlabanem zagrządzającym wjazd na uniwersytecki kampus. Z okienka po lewej stronie wychylił się cieć w czarnej czapeczce baseballowej i niechętnym, zmęczonym wzrokiem zlustrował przybyszy. Już otwierał porośnięte siwą szczecina usta, żeby przegonić intruzów, których auto nie posiadało przecież za przednią szybą stosownego, uprawniającego do wjazdu identyfikatora, ale siedzący za kółkiem młody mężczyzna machnął odznaką, co spowodowało rychłe podniesienie szlabanu i głęboki ukłon, a raczej całą ich serię.

- Są jeszcze porządni ludzie na tym świecie - skwitował Kostek. Uliczki kampusu roily się od młodzieży, chłopców i dziewcząt, tych ostatnich zresztą było zdecydowanie więcej. Wymóg powolnej i ostrożnej jazdy sprzyjał obserwacji.

- Rzeczywiście, szyję sobie można skrócić - rzekł Nowak.

- Lepiej uważaj, żebyś któregoś w zamian nie posłał do ortopedy.

- Spoko, uważam.

W ciągu paru chwil dojechali do Pałacu Kazimierzowskiego, w okolicach którego zaparkowali samochód.

- Powiesz, skąd znasz tego doktora? - zagaił Tymek, gdy maszerowali dalej wąskimi uliczkami kampusu.

- Z czasów afery korupcyjnej w sprawie budowy wydziałowej biblioteki - odpowiedział Podbiał. - Pietrzak był w to zamieszany, choć nigdy nie udało mu się niczego udowodnić. Chodziło o to, że jako doradca rektora uniwersytetu pomagał przy organizowaniu przetargu na budowę nowego gmachu biblioteki. Zdaniem prokuratora był na garnuszku firmy, która podstawiała go władzom uczelni, dzięki czemu mógł wpływać na procedurę przetargową, tak aby zlecenie chapnęła ta, a nie inna spółka budowlana. No i tak się stało. Za całe sto dwadzieścia milionów, z czego pan Pietrzak miał wziąć złotych

osiemset. Tysięcy.

- Przynajmniej umiał się chłopina zakręcić, a nie zdychać z głodu jak jego koledzy naukowcy - podsumował Nowak. - Nie wiem tylko, co ty miałeś czy masz z tym wspólnego?

- O tym w swoim czasie.

Weszli do jednego z wydziałowych budynków. Na klatce schodowej i korytarzach było jak w ulu. Przed drzwiami do pracowni stały kolejki, ktoś głośno wyczytywał nazwiska z listy. To, co dla przypadkowego obserwatora było szokujące, stanowiło normę na uniwersytecie: tak wyglądał tutaj każdy dzień pracy.

- Zaczynam być wdzięczny swoim starym, że się ze mną tak pospieszyli - zaśmiał się aspirant Nowak.

Parli do przodu, torując sobie drogę przez cizbę łokciami, których jednak starali się używać jak najdelikatniej, nie był to wszak mecz piłki nożnej ani zatłoczony pub, tylko przybytek nauki. W dodatku w czasie zimowej sesji egzaminacyjnej.

Ech, studenci warszawscy początku trzeciej dekady ustrojowej transformacji, studenci studiów dziennych i zaocznych, magisterskich i licencjackich, wieczorowi i wolni słuchacze - niczym już nie różnicie się między sobą! Stojący w kolejkach od świtu, by dostać się na ćwiczenia bądź zerowy egzamin, pilnujący swoich miejsc na społecznej liście jak w ogonku po lodówkę, pralkę lub meble, które często znali z czasów niemowlęctwa. Duszący się w przepelnionych po dziurki od wentylatora salach wykładowych, biegający z obłędem w oczach po całym mieście, z lektoratu na kolokwium, z sali gimnastycznej na egzamin, z fakultetu na drugi fakultet, z drugiego na trzeci, z trzeciego do pracy, a stamtąd znów na lektorat angielski, niemiecki, francuski, hiszpański, włoski, niezbędne w każdej pracy, każdej firmie rodzaju kupno-sprzedaż.

Ech, zaczkowie mili, w myślach liczący już pieniądze, które ktoś zapłaci wam za świeżo wypisane, pachnące atramentem i półskórką ze złoconymi dyplomami, mieniące się tytułami i specjalnościami, dwujęzyczne certyfikaty umiejętności i uprawnień, ze znakiem wodnym i okrągłą pieczęcią. W marzeniach kłusujący boleśnie i wygryzający niezdolnych już do pracy i wysiłku, raptem rok starszych „emerytów”, których nie tak dawno mijali na uczelnianych korytarzach. Urządzający już ze szczegółami swoje biura, planujący rozstawienie na swoim biurku komputera, klawiatury, telefonu, ramki ze zdjęciem psa lub kota.

Kostek Podbiał i Tymon Nowak zatrzymali się przed drzwiami z numerem 205, które przed chwilą zostały zamknięte. Że gwałtownie, to mało powiedziane. Osoba, która to zrobiła, dziewczyna z czerwoną od złości twarzą i indeksem ścisiskanym w dłoni, została z miejsca otoczona przez wianuszek rówieśników. Posypały się pytania:

- I jak, i jak?

- Jaki ma humor?

- Co dostałaś?

Studentka zaczęła płakać.

- Uwalił ją - brzmiała diagnoza.

- Kutas! - to było potwierdzenie diagnozy.

Zapadła cisza.

- Kto następny? - odezwał się znów ten sam głos.

Nikt się nie odezwał, a nawet nie poruszył. Na taki właśnie moment czekał Kostek

Podbiał. Uśmiechając się, jak tylko pięknie i szeroko potrafił, przecisnął się przez tłumek ze słówkiem „przepraszam”, podszedł do drzwi, zapukał, po czym nacisnął klamkę, otworzył szeroko drzwi i wszedł do środka. Za nim wśliznął się Tymon. Dopiero kiedy za mężczyznami zamknęły się drzwi, ktoś jakby zwolnił filmową stop klatkę: studenci zaczęli się ruszać, rozmawiać, żywo gestykulować.

- Ktoś zna tych dwóch?

- Byli na liście?!

- Pewnie zaoczní...

Ale było już za późno, by zareagować. Jedyńa nadzieja, że wyczerpią limit ocen niedostatecznych na dziś. Bo na orłów nie wyglądali.

- Dzień dobry, panie doktorze - przywitał się wesoło komisarz Podbiał i bez zaproszenia zajął miejsce przy nakrytym zielonym sukniem stoliku, na którym leżały podłużne karteczki z pytaniami egzaminacyjnymi.

Doktor Juliusz Pietrzak nie podniósł wzroku znad zadrukowanych papierów, leżących z kolei na jego biurku.

- Indeks poproszę - powiedział.

- Niestety, zapomniałem - odparł Kostek niemal ze śmiechem, rozkładając przy tym ręce szerokim gestem i mrugając okiem do Tymka.

Egzaminator wydał z siebie dźwięk przypominający charknięcie dzika. Wciąż jednak nie raczył spojrzeć na siedzącego przed nim mężczyznę; prawdopodobnie nie zdawał sobie też sprawy, że jest ich dwóch.

- Pogrywajcie tak dalej, pogrywajcie, a nikt nie zaliczy! Będziecie mnie łapać na wakacjach - rzekł Pietrzak z groźbą, na co Kostek spojrział niecierpliwie na zegarek.

- Dobrze, może skończmy tę szopkę, Pietrzak, i przejdźmy do sedna sprawy - wypalił.

Dopiero teraz egzaminator podniósł wyżej głowę, błyskając przy tym groźnie szklami okularów.

- Kim panowie są? - zapytał przez ściśnięte gardło i nie czekając na odpowiedź warknął: - Jeśli myślicie, że przestraszę się pogroźek, to się mylicie. Wasze narzeczone są widać głupie i nie nadają się, ażeby studiować na uniwersytecie. Nie każdy w tym kraju musi mieć litery „mgr” przed nazwiskiem. A teraz proszę stąd wyjść, bo inaczej wezwę ochronę. Tu się odbywa państwowy egzamin!

- A to, że państwowy prokurator nic na ciebie nie znalazł, nie znaczy, że czegoś takiego nie było - wycedził Podbiał, nie zmieniając pozycji ani o milimetr.

Doktor popatrzył, tym razem znad szkieł, po kolei na każdego z mężczyzn. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Twardy koleś musi być - ocenił go w myślach Tymon. I do tego niezła piła. Lekkiego życia dzisiejsze studenciaki nie mają, o nie!

- I co? - prychnął doktor Pietrzak. - Już pan udzielił sobie informacji na ten temat. Prokurator niczego mi nie udowodnił, a to dlatego, że nie było co udowadniać. Sprawa jest zamknięta, a ja jestem uczciwym obywatelem, który płaci podatki. A teraz proszę łaskawie opuścić mój gabinet.

- Oczywiście, doktorze - rzekł Kostek, a jego głos był chyba odrobinę zmieniony. - Ale zanim to nastąpi, chcielibyśmy jeszcze chwilę panu zająć. Zresztą pana studenci są

tak wystraszeni, że chyba nieprędko ktoś zapuka do tych drzwi. Tymek, daj obrazki.

Nowak wydobył z zanadru kolorowe fotografie dwóch zamordowanych mężczyzn i rzucił je na biurko naukowca.

- Nie pytam, czy pan ich zna, bo to już wiemy - kontynuował znów wcześniejszym, nieco monotonnym głosem komisarz Kostek Podbiał. - Pytanie, które zadamy w najbliższym czasie także pozostałym trzem pana kolegom, bo tyłu wstępnie zaliczyliśmy do grupy ryzyka, brzmi: Czy w ostatnim czasie mieli panowie jakieś pogróżki, dziwne telefony, anonimowe listy, a może maile? Czy może w waszym gronie doszło do jakichś nieporozumień? Może ktoś komuś groził?

Doktor Pietrzak zdjął powoli okulary i dotknął palcami gałek ocznych. Nie spojrzął nawet na zdjęcia, jakby doskonale wiedział, kogo przedstawiają. Funkcjonariusze spojrzeli po sobie.

Może rzeczywiście trzeba było czekać, aż wezwani stawią się na komendzie, i tam ich przyciskać? - pomyślał ze złością Podbiał. Zawsze był w gorącej wodzie kąpany. I czasami trzeba było za to płacić.

Wtedy Pietrzak zaczął mówić.

- Nie, to na pewno nikt z nas - powiedział cicho. - Było nas sześciu kumpli z jednego podwórka, jeden za drugiego poszedłby w ogień. Każdy inny, a wszyscy trochę do siebie podobni. Niełatwo było dostać się do naszej paczki, o nie. Różnie też bywało w młodości, ale końcem końców każdy do czegoś w życiu doszedł, proszę panów. Każdy!

Ciekawe, czy tak jak on, na skróty? - pomyślał Podbiał.

- Mieliśmy się spotkać jakoś tak wiosną - ciągnął doktor - iść razem na piwo, powspominać dawne dzieje. Tak, słyszałem o śmierci Lubskiego. Nie mam pojęcia, kto

to mógł zrobić. Może to tylko przypadek, że akurat oni dwaj zginęli w tym samym czasie, co? To nie jest bezpieczne miasto.

- Czy pan się kogoś boi? - ni to zapytał, ni to stwierdził milczący dotąd Tymek.

- A mało to wariatów po ulicach chodzi?! - zdenerwował się naukowiec. - Kilka razy do mnie przychodzili różni tacy, którym rzekomo skrzywdziłem narzeczoną, stawiając niedostateczny z egzaminu. Grozili, chwalili się, że mają znajomości w Pruszkowie czy Wołominie. I wystarczy jeden telefon, a będę zęby z chodnika zbierać.

- Jakby coś się panu przypomniało, prosimy dać znać. Proszę też na wszelki wypadek nie wyjeżdżać z miasta - Kostek wypowiedział stosowną formułkę, choć sam dobrze wiedział, że jeśli coś ma się wydarzyć, to właśnie w mieście i, najprawdopodobniej, w kinie.

A gdy szli już w dół po schodach, Tymek odezwał się do partnera:

- Ten doktorek, jak mówiłeś, miał coś wcześniej za uszami.

- No.

- Ciekawe, czy pozostali dwaj byli kryształowi.

- Sprawdźmy to! - Podbiał kiwnął głową, która w tym samym momencie obróciła się na szyi niemal o sto osiemdziesiąt stopni. - Nie, nie mogę - jęknął.

- Co się stało? - przestraszył się Nowak.

- Jakie dupy tu chodzą...

- ? propos dup - chrząknął Tymek, otwierając przed Kostkiem drzwi budynku

wydziału. - Czy pan komisarz nie ma czasem dziś imienin?

Kiedy kilka minut później służbową skodą przejeżdżali przez bramę uniwersytetu, prócz ciecica, serdecznie machającego na pożegnanie ręką, odprowadzała ich jeszcze jedna para oczu. W oczach tych nie było już jednak tyle sympatii.

4

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, kilka minut po 13.00.

Katarzyna Rawska nigdy nie przepadała za kuchnią z filmowego cateringu. Serwowane jedzenie przypominało jej to ze szkolnej stołówki. W dodatku podane w pojemnikach z cienkiego styropianu z przegródkami i przykrywką zmuszało do mimowolnego pośpiechu. Zero celebrowania posiłku, o co zawsze tak się starała.

Inaczej jest, kiedy zdjęcia realizowane są w plenerze; wtedy ekipa ma do dyspozycji specjalny autokar, gdzie i wybór większy, i zjeść jak człowiek można. Nie na kolanie, z pojemników jak do chińszczyzny z budy. Cholera wie, czy ten, kto to gotował, a potem nakładał, miał czyste ręce. Czasami aż strach pomyśleć, więc może lepiej szybko zjeść, zapchać brzuch, zaspokoić łaknienie, które po tylu godzinach wyętej pracy na filmowym planie i znoszenia humorów reżysera daje o sobie znać wyjątkowo mocno.

Te i inne myśli przepływały przez głowę Kaśki podczas przerwy w zdjęciach, ogłoszonej na lunch. Dzisiaj jadła szczególnie powoli, choć nie było się czym specjalnie delectować. Chodziło jej raczej o to, żeby uniknąć pójścia do palarni w towarzystwie Roberta. Od wczoraj patrzyła na niego zupełnie inaczej. Jak on w ogóle mógł tak wyrazić się o tym, co spotkało tę biedną Laurę?!

Wczoraj po południu Kasia odwiedziła ją w szpitalu na Lindleya. Dość miała tego typu miejsc jak na jeden tydzień, ale poczucie obowiązku zwyciężyło. Jak się okazało, była jedyną osobą, która to zrobiła nie tylko przy niedzieli, ale w ogóle! Twarz

dziewczyny wciąż była cała w bandażach. Chora cieszyła się jednak, bo lekarze powiedzieli jej o jakiejś nowej, podobno rewolucyjnej technice regeneracji skóry, którą już stosują specjaliści w znanej klinice leczenia oparzeń w Siemianowicach Śląskich.

Kaśka zapytała, możliwie delikatnie, czy Laura pamięta cokolwiek z chwili wypadku. Z początku młodzianka aktorka powiedziała, że nic, zupełnie nic. Po kilku chwilach jednak ciało leżące na szpitalnym łóżku zaczęło dygotać jak w febrze. Z początku Rawska chciała wołać lekarza, jednak Laura szybko się uspokoiła. Nie chciała już rozmawiać. Obróciła głowę na bok, twarzą, której nie miała, w stronę okna, w którym przez chwilę świeciło słońce. Katarzyna podniosła się z brzegu łóżka i już miała na palcach wyjść z sali, kiedy powstrzymał ją szept chorej:

- To był Putin.

- Kto? - Kaśka aż musiała znów usiąść na skraju szpitalnego łóżka.

- Putin. Rosyjski prezydent czy premier, już nie wiem. Ten łysawy.

- Nie rozumiem.

- Ktoś założył sobie na twarz taką gumową maskę...

Dopiero wtedy Katarzyna przypomniała sobie maskę, która straszyla na jednej z półek w gabinecie, gdzie pracowały filmowe fryzjerki i makijażystki. Czasami ktoś ją pożyczał, zakładał i pohukiwał, wzbudzając krzyki, a potem śmiech; z czasem jednak wszyscy przyzwyczaili się do tego widoku i nie można już było nikogo przestraszyć. Jak się jednak okazało, można było przy jej pomocy zrobić coś o wiele gorszego...

Rawska dokończyła w skupieniu drugie danie. Ostatnie ruchy widelcem musiały być spokojne, żeby nie spowodować zbyt mocnego zetknięcia styropianu z plastikowym sztućcem, co było źródłem drażniącego, niemożliwego wręcz do zniesienia dźwięku.

Chciało jej się palić, ale nie zaryzykowałyby teraz wyprawy do palarni. W grę wchodziło jeszcze wyjście na zewnątrz, przed halę zdjęciową, może nawet na parking, ale pogoda nie zachęcała do takich poświęceń.

Aktorka wyrzuciła pojemnik do kosza na śmieci, spojrzała na zegarek. Do końca przerwy obiadowej było jeszcze dwadzieścia minut. Postanowiła skorzystać z okazji i znajomości z operatorem kamery, Zbyszkiem Walickim, i obejrzeć kilka scen z zarejestrowanego przed południem materiału zdjęciowego. Czasami, szczególnie wtedy, gdy miała kiepski dzień, praktykowała tego rodzaju terapię, pozwalającą wychwycić błędy. Z drugiej strony, starała się robić to bardzo dyskretnie.

Walicki był na miejscu i był wolny.

- Cześć, Zibi - przywitała się.

- Widzieliśmy się dziś, co nie? - odpowiedział bez uśmiechu operator.

Wyglądał i zachowywał się trochę jak gbur z zakładu szewskiego, ale miał złote serce. Nigdy nie odmawiał też Rawskiej pokazania kilku zarejestrowanych kawałków.

- Chcesz polukać? - zapytał, a może już stwierdził.

- No.

- To siadaj.

Dziewczyna zajęła wygodne miejsce w starym fotelu, naprzeciwko niewielkiego monitora. Założyła podane jej przez operatora słuchawki, spojrzała na ekran. Obraz przedstawiał korytarz wytwórni, z rzędem drzwi po bokach, prowadzących między innymi do innych serialowych mieszkań i pomieszczeń gospodarczych. Nie były to dekoracje ich serialu, ale skojarzyła, że operatorzy pod koniec każdego etapu zdjęć

przekręcali kamerę, by umożliwić swobodne przemieszczanie się aktorów i obsługi.

I wtedy coś ją tknęło.

- Zbychu - powiedziała, zdejmując z uszu słuchawki. - Czy ta kamera jest włączona?

- Jak widzisz.

- Ale czy rejestruje obraz?

- Tak. Czasami zapisujemy wszystko cyfrowo, wiele miejsca to nie zajmuje, a i tak przy montażu...

Kaśce zrobiło się na przemian zimno i gorąco.

- A masz może płytę z zeszłego tygodnia? - zapytała słabym głosem, na co Walicki bez słowa wydobyl z jakichś zakamarków pudełko z płytą.

- Pokazać? - upewnił się.

- Pokazać.

Przez moment na ekranie widać było śnieg, ale szybko aktorka ujrzała nie kogo innego, a samą siebie, w scenie, którą rejestrowali pod koniec ubiegłego tygodnia.

- O to ci chodziło? - spytał Zbyszek.

- Przewiń do przodu - rzekła, uciekając wzrokiem w bok; w zeszłym tygodniu była naprawdę w kiepskiej formie.

Wszystkie postacie na monitorze zaczęły się śmiesznie poruszać, skakać i biegać

niczym w szalonej, czarno-białej burlesce z pierwszych lat kina niemego. Nagle wszystko się rozsypało, a w kadrze pozostały tylko dekoracje. Obraz gibnął w bok.

- Stop! - niemal krzyknęła Kaśka, a gdy przewijanie zostało zakończone, poleciała już nieco cichszym, choć nie mniej podekscytowanym głosem: - Do przodu, normalnie.

Na korytarzu nic się nie działo. Ktoś gdzieś wszedł, skądś wyszedł. Kaśka popatrzyła w róg ekranu, gdzie widniał dokładny czas zarejestrowanych wydarzeń. Nagle zza prawej krawędzi ekranu wyłoniła się znajoma postać. Szybki, dość charakterystyczny krok, kuferek z kosmetykami w ręku. Tak! To była ona, Laura Minz. Dziewczyna przystanęła przed drzwiami po lewej stronie korytarza, nacisnęła klamkę. Po chwili zniknęła z pola widzenia.

Katarzyna Rawska wstrzymała oddech. W kadrze zaczęli pojawiać się inni ludzie. W pewnym momencie dostrzegła znów samą siebie. Nikt jednak ani nie wszedł do tego samego pomieszczenia co Laura, ani nawet nie zwolnił przy nim kroku. Wkrótce korytarz opustoszał zupełnie. Kaśka podziwiała w duchu sklepowych detektywów, którzy muszą po kilka lub kilkanaście godzin dziennie spędzać nie przed jednym, a przed kilkoma takimi monitorami. Ją już po paru minutach zaczęła boleć głowa.

Wtem otworzyły się drzwi, umiejscowione dokładnie naprzeciwko łazienki, w której przebywała Laura Minz. Kaśka zbliżyła twarz do ekranu. Nie poznała tej osoby. Nie miała na to szans. Mężczyzna, bo tylko to można było stwierdzić, trzymał w ręku butelkę. Na głowie miał maskę. Maskę rosyjskiego premiera. Przez nikogo nie zauważony otworzył drzwi łazienki i zniknął w jej wnętrzu...

Kaśce zrobiło się słabo. Zupełnie jak przy zastrzykach lub pobieraniu krwi. Na szczęście w strzykawce było mało leku. Mało krwi.

Po chwili człowiek w masce pokonał tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Rawska wiedziała, że trzymana przez niego butelka jest już pusta.

Warszawa, plac Bankowy, godzina 13.40.

- Te prezesy jebane, menedżery złodzieje, japiszony w białych kołnierzykach, panienki na kant odprasowane, co jeszcze wczoraj świnię karmiły. Taka to nowa, zasrana, warszawska elita. Albo studenciaki z wioski, prątkujące na prawo i lewo cherlaki. Wiecie, co ich łączy? Wszyscy muszą mieć gdzie mieszkać, spać, pieprzyć się, chodzić do sracza. Przyjdzie w końcu taki w łachę i będzie płacił, oj, będzie! - siedzący za biurkiem mężczyzna z zadowoleniem zatarł ręce.

Miał około czterdziestki. Zwalisty, łysiejący, z policzkami czerwonymi jak u uwiecznionego na olejnym obrazie Chełmońskiego pastuszka i przekrwionymi białkami oczu. Właściciel firmy. Szef biura. Prezes.

- No powiedz, Lesiu, przecież każdemu prędzej czy później kopyto się powinie i pójdzie na wynajęte. Nie jest tak? No nie jest?! - zwrócił się do siedzącego najbliżej okna młodego chłopaka w niewyprasowanej koszulce z napisem Coca-Cola.

- Święte słowa, szefie - odpowiedział Lesio z obojętną miną, zezując za okno, na plac Bankowy, gdzie, dokładnie przed siedzibą prezydenta miasta, wymachując białoczerwonymi flagami i transparentami, zbierał się tłum kolejnych niezadowolonych.

Niewielka firma zaczynała kolejną godzinę kolejnego dnia pracy - dnia znaczonego sukcesami, zawartymi umowami, wychodzącymi z biura zastępami zadowolonych klientów i, co najważniejsze, wciąż zapelniającą się firmową kasą. Profesja, którą zajmowali się pracownicy firmy, stała się od jakiegoś czasu niemal tak popularna, jak uliczny handel kolorowo opakowaną tandetą, tuż po wybuchu wolności w kraju nad Wisłą. Było nią pośrednictwo w handlu nieruchomościami. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać agencje i agencyjki, biura i biurka... choć na dobrą sprawę nawet meble

nie były potrzebne, by interes kręcił się jak fryga czy, nie przymierzając, klamka drzwi „apartamentu” dwa na trzy, na dwudziestym piętrze drapacza chmur na warszawskim osiedlu Za Żelazną Bramą.

Najważniejszym narzędziem pracy agenta nieruchomości pozostawał genialny wynalazek Grahama Bella.

- Słucham. Interesuje pana Mokotów, tak? Dolny też, czy tylko Górny?
- Mieszkanie umeblowane, pralka, lodówka. Trzecie piętro bez windy.
- Marszałkowska, zaraz poszukam. Dwadzieścia cztery metry, ale za to z balkonem.
- Zgadza się, to nasze ogłoszenie. Już nieaktualne.

Na każdym stole i biurku leżało też po kilka telefonów komórkowych. Na każdym z nich naklejony był plaster opatrunkowy z wypisanym nań odręcznie numerem.

- Tak, mam mieszkanie do wynajęcia.
- Owszem, dodzwonił się pan do biura.
- Szczegółowe dane na temat mieszkania tylko po podpisaniu umowy.

Telefony nie przestawały dzwonić ani przez chwilę. Do tego mruczał faks, pojękiwała drukarka, stukały klawisze komputerów. Pozorny bezruch, wewnątrz pustego warsztatu tkackiego, przy którym uwijają się oszuści z baśni Andersena. Pozornie tylko banalne słowa, niczym zaklęcia, szły w eter.

- Praga, Praga... Północ czy Południe? Mieszkanie umeblowane, pralka, lodówka, telewizor.

- Czwarte piętro z windą. Jerozolimskie? Poszukam. Osiemnaście metrów, dla dwojga akurat!

- Coś tańszego? Proszę zadzwonić w piątek. Zapraszamy do naszego biura.

Odbieranie telefonów w firmie to bardzo przyjemna praca. Chociażby z tego powodu, że dane było człowiekowi reprezentować samych ludzi wielkiego serca, którzy oddadzą lokal w użytkowanie za symboliczną wręcz stawkę, a także wyjeżdżających - i to już następnego poranka! - za granicę i z tego powodu pilnie i za śmieszłą cenę przekażą klucze do mieszkania komuś odpowiedzialnemu. Aż czuło się tę lekkość i poczucie dobrze spełnionego obowiązku, mieszające się z zapachem lotniska i przygody!

Jednak każdy dzień pracy firmy zaczynał się na dobre dopiero wtedy, gdy próg biura przekraczał pierwszy klient. Rozmowy telefoniczne cichły wtedy, przechodząc w szmer, chwilami zamierając zupełnie.

- Dzień dobry. Dzwoniłem z samego rana - rzekł zziębnięty mężczyzna, po czym wydobyl z kieszeni zwiniętą w rulon dzisiejszą gazetę z ofertami. - Miałem przyjść i powołać się na panią Zytę.

- Pani Zyty nie ma - powiedziała bez mrugnięcia okiem... Zyta. - Ale w czym mogę panu pomóc? Proszę usiąść.

- Interesuje mnie to - palec wskazujący prawej ręki trafił bezbłędnie w gazetowy petit.

- To bardzo ciekawa oferta - oceniła z uśmiechem agentka imieniem Zyta, teraz anonimowa, dwudziestoparoletnia, niezbyt ładna, ale zadbana. - Mieszkanie jest odnowione, blisko metra. Właściciel będzie na miejscu dzisiaj o godzinie 17.30. Czy ta pora panu odpowiada?

- Tak - bąknął z dziwną obojętnością klient.

- Tu ma pan adres i telefon kontaktowy do właściciela, na wszelki wypadek, jakby coś było nie tak - kobieta wypisała na samoprzylepnej karteczce dane z równie tajemniczego co sfatygowanego, grubego brulionu.

- A czemu tu nie ma numeru mieszkania? - zauważył klient.

- Właściciel boi się nachalności klientów - odpowiedziała Zyta szybko i z radością, jak na dziecinnie łatwym egzaminie. - Będzie czekał przed klatką schodową...

- A ta cena? Naprawdę taka niska?

- Oczywiście. Właścicielowi bardzo zależy na szybkim wynajmie.

- Acha, to świetnie.

- Teraz podpiszemy umowę - zaordynowała agentka, szeleszcząc zadrukowanym formularzem. - Po jej podpisaniu przez miesiąc będzie pan otrzymywał kolejne oferty telefonicznie lub SMS-em. Gdyby ta się nie spodobała, na pewno znajdziemy inną.

Krzepiący uśmiech, pewne ruchy długopisu, zgrzyt przystawianej pieczętki. Słowem: pełen profesjonalizm!

- Dwieście złotych poproszę - rzekła Zyta, wciąż z tym samym uśmiechem na twarzy, wręczając papier mężczyźnie; ten, nieco ociężałe, jak na zwolnionych obrotach filmowej taśmy, sięgnął do tylnej kieszeni spodni, z poważną miną wydobył dwa zielone banknoty i starannie położył je na stole. - Dziękuję. To wszystko.

Ledwie trzy małe izby składały się na siedzibę firmy pośrednictwa. Kilka biur i

stołów, wytartych i wysłużonych, ze śmierdzącymi stęchlizną szufladami, ale gotowych nadal służyć wspólnej sprawie. Koślawe krzeselka, nie najnowsza wykładzina, z wytartymi do betonu szlakami wędrówek poprzednich wyrobników, ale za to świeżo pomalowane na biało ściany, z których jedną, w środkowym, głównym pomieszczeniu, zdobił plan miasta. Na stojącym na środku biurku leżał z kolei gruby zeszyt. To właśnie do niego, odpowiednio instruowany przez przebojowych zdobywców nieznanymi lądami, naprowadzany na właściwy trop dotyczący lokalizacji, metrażu, piętra, dzielnicy i w końcu ceny, zaglądał każdy pracownik firmy. Czasem trafiał od razu, czasem wertował brulion nerwowo, co chwila gubiąc właściwą stronę i zaczynając od nowa, czym przypominał poczciwego urzędnika magistratu, ze specjalnymi ochraniaczami na łokciach i w zapoconych okularach z posklejaną plastrzem oprawką. Jednocześnie coś zapisywał, czym wzbudzał zainteresowanie, a może politowanie petentów.

Ktoś zaszeleścił płachtą gazety. To też ważny element celebry każdego dnia. Jednak nikt tu nie zaglądał nigdy na strony z repertuarem kin, teatrów, dyżurami aptek i szpitali, spisem telefonów alarmowych, zaufania, dla gejów i lesbijek, tych z problemem alkoholowym i pochodzenia żydowskiego. Nikt nie czytał kolumn kulturalnych, gospodarczych ani politycznych, doniesień z kraju i ze świata, pogody i sportu. Lektura porannej gazety zaczynała się i kończyła w zupełnie innym miejscu.

- Aaaa - Lesio wydał z siebie dźwięk zwierzęcy i dramatyczny.

- Za mało „a” - rzucił zza biurka szef.

- Za mało?

- Dodaj z łaski swojej jeszcze kilka.

- Więc będzie: Aaaa i jeszcze: aa... atrakcyjne i umeblowane, Jelonki - zakończył z dumą małolat w pogniezionej koszulce.

I już można było być pewnym, że następnego dnia ogłoszenie dotyczące toczonej przez grzyb i robactwo klitki na peryferyjnych Jelonkach znajdzie się na czołowym miejscu wąskiej szpalty, zatytułowanej WYNAJME KAWALERKĘ. JEDNOPOKOJOWE.

Przy jednym ze stolików siedziała młoda dziewczyna. Na oko licealistka, może studentka. Jej narzędziami pracy nie był jednak ani telefon, ani gazeta, a... papier i nożyczki. Jak każdy nowy w firmie bowiem zaczynała od manufaktury, czyli kopiowania ogłoszeń o treści: „Samotny, pracujący, niepalący wynajmie kawalerkę w tej okolicy”. Potem przychodził czas na wycinanki, czyli nadawanie ogłoszeniom znormalizowanej wielkości przy pomocy nożyczek fryzjerskich i nacinanie prostokątów z numerem telefonu - stacjonarnego i komórkowego (oczywiście, oba do firmy) - w łatwe do oderwania żąbki. Wszystko to przypominało czas szkolnej bez troski.

Czasem jednak bywało, że na tym doskonałym obrazie pojawiała się rysa, pęknięcie...

- Kurwa mać! - ryknął prezes, czemu towarzyszyło huknięcie wielkiej pięści o blat biurka. - Kraść też trzeba umieć, jełopy! - sapnął jak niedźwiedź.

Spojrzeli na szefa, nie przerywając jednak prowadzonych przez telefony rozmów. Ktoś zgubił ofertę w morzu gazetowego druku. Dziewczyna z nożyczkami w dłoni krzywo przycięła ogłoszenie.

- O co panu chodzi? - nie wytrzymała znajdująca się najbliżej Zyta, przybierając przy tym wyzywającą pozę pyskatej, farbowanej na szmacyany blond dewizowy z ulicy Wspólnej róg Chałubińskiego.

- O to, jełopy, że stałe budy z zeszytu trzeba sprawdzać raz na jakiś czas, żeby się nie okazało, tak jak przed chwilą, że kamienicę przed dwoma miesiącami wyburzyli pod hipermarket czy poszerzenie jezdni. No i co miałem powiedzieć frajerowi, który tu z taką mordą dzwoni? Że ktoś już wynajął, że się spóźnił ledwo godzinę?

- Była sprawdzana - bąknęła dziewczyna.

Prezes aż wstał zza biurka i potoczył wściekłym wzrokiem po wszystkich obecnych.

- Chyba za świętego Jaruzela, przez esbecję! - zarechotał szyderczo. - Nie rozśmieszaj mnie, Zyta! Ale to nie wszystko. Kiedy wreszcie nauczycie się, do jasnej cholery, że nie daje się po raz drugi adresu tego samego mieszkania temu samemu frajerowi. Po chuja komputery kupowałem, żeby stały i się kurzyły? Za taki bank danych niejedna firma by mnie ozłociła, a wy co? Frajer frajerowi nierówny. Jak właściciel chce dziewięć stów za wynajem, to nie mówcie frajerowi, że trzysta. I zmieńcie płytę z tym wyjazdem właściciela za granicę, bo za chwilę sami zostaniemy w tym pieprzonym kraju!

Cisza. Wiedzieli jednak dobrze, że to jeszcze nie koniec. Ich szef się gniewał. Szef, gdy się gniewał za jedną rzecz, od razu poruszał też inne sprawy. Znali szefa.

- Następną rzecz - ciągnął niezmordowanie. - Dzwonił dziś znowu do mnie pan Gienio z Wilczej, z pretensjami. Mówiłem wam w zeszłym tygodniu, żeby mu już nie podsyłać chłopaczków. Pan Gienio ma już swoje lata i nie jest seksmaszyną.

Usiadł ciężko w fotelu. Objął głowę dłońmi. Nieliczni wiedzieli jednak, że nie oznacza to końca, że lista przewin może być jeszcze długa.

- A jak idziesz z frajerem na oglądanie budy, to się przynajmniej zainteresuj, czy nie ma tam akurat ludzi z innych agencji ze swoimi frajerami! Telefony są, znacie się nawzajem, a nie żeby wchodzić na siebie jak na odwiedzinach w szpitalu u cioci. I jak dajesz numer komory właściciela budy, to przynajmniej się postaraj, żeby się ktoś pod nią zgłosił, jak tamten frajer dzwoni i mówi, że czeka przed klatką...

- Czesiek miał być! - wzruszył ramionami Lesio w pogniecionej koszulce. - Może

dopadły go wyrzuty sumienia...

- Nagle go wyrzuty sumienia dopadły?! - zaryczał znów prezes, unosząc się z fotela. - Nie rozśmieszaj mnie!

- A własną babkę schorowaną, razem z mieszkaniem na Brzeskiej sprzedać jakoś nie miał oporów - wtrąciła się Zyta.

- O czym wy mówicie?! - sapnął szef. - Pierwszy raz słyszę o jakimś mieszkaniu na Brzeskiej!

- Nie słyszałeś, bo nie z nami sprzedał tę budę, tylko z agencją Groszkowskich - wyjaśnił ktoś inny. - Zgarnął za to całkiem niezłą działkę.

- Co za człowiek, co za człowiek! - wyjęczał, obejmując głowę grubymi palcami. - Toż to kanalia jakaś! Bydlę nie człowiek...

Prezes wstał, ciężko oparł się o parapet okna, za którym demonstrująca przed ratuszem grupa wznosiła coraz głośniejsze okrzyki. Jednym ruchem szarpnął guzik kołnierzyka koszuli, który wystrzelił jak pestka wiśni, drugim poluzował uciskającą szyję węzeł krawata.

W pewnym momencie kątem oka dostrzegł coś, co kazało mu przybrać pozycję zbliżoną do zasadniczej.

- Obsłużcie pana - rzucił do pracowników, po czym ciężko poczłapał do drugiego pomieszczenia.

Mężczyzna w skórzanej kurtce bezradnie rozglądał się po wnętrzu biura. Nikt nie zauważył jego przyjścia. Pierwsza była przy nim Zyta.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

- Ja z ogłoszenia - odpowiedział z powagą, po czym wydobyl z kieszeni zwinięta w rulon gazetę z ofertami. - Interesuje mnie to - palec wskazujący stuknął o złożony po wielokroć papier.

Zyta przybliżyła twarz do pachnącej drukiem powierzchni, zmarszczyła czoło.

- Ale to chyba nie jest nasze ogłoszenie - powiedziała powoli.

- Zgadza się - odparł mężczyzna, wciąż bez uśmiechu. - Bo to jest moje ogłoszenie, a gazeta, jak pani widzi - wskazał na paginację strony - sprzed dwóch dni.

- Nie rozumiem.

- Rozumie pani doskonale - warknął, by po krótkiej chwili zapytać, już nieco łagodniejszym głosem: - Czy mógłbym zobaczyć państwa licencję, uprawniającą do działalności na rynku nieruchomości?

- Taką licencję mają tylko biura, zajmujące się wynajmem mieszkań powyżej tysiąca pięciuset złotych miesięcznego czynszu - wyrecytowała bez mrugnięcia okiem powtarzaną wiele razy formułkę. - Nasza firma to biuro bazy danych. Ale myślę, że będzie pan zadowolony z naszych usług - ostatnie zdanie dziewczyna wypowiedziała już drżącym głosem.

Cisza. Nawet telefony przestały dzwonić. Zza okna dobiegło wyraźne skandowanie tłumu protestującego przed bramą ratusza.

- Tak jak powiedziałem - ciągnął dalej gość - ogłoszenie o wynajmie kawalerki na Piaskach jest moje. Ale, wie pani, dziwna rzecz: dziś rano kupuję gazetę i widzę, że przy tym samym ogłoszeniu, ale już z większą ilością szczegółów, jest inny numer telefonu.

Jak się okazuje, to wasz numer.

- No wie pan, podejrzewam, że nie pan jeden ma do wynajęcia mieszkanie na Piaskach - zachnęła się Zyta.

- Oczywiście. Ciekawe tylko, skąd ktoś, kto dał dzisiejsze ogłoszenie, miał takie dane? Wszystko się zgadza: metraż, wyposażenie, nawet ulica. Owszem, wczoraj dzwonił jakiś pan zainteresowany tą ofertą, więc przybliżyłem mu trochę zalet mieszkania. Ale to chyba nikt z państwa, prawda? Chyba nie dysponowalibyście moją ofertą jako... swoją? To by byłoby przecież nieuczciwe.

- Nieuczciwe - powtórzyła jak echo dziewczyna.

- W takim razie możemy chyba mówić o niefortunnej pomyłce.

Zyta tym razem nic nie odpowiedziała. Wciąż zerkiała na boki, jakby w oczekiwaniu nadejścia odsieczy. Ta jednak nie nadchodziła. Gdzie się podział jej „czar” przekupki z niegdysiejszego bazaru na Stadionie Dziesięciolecia? Przecież potrafiła tak odpyskować, kurwą rzucić, że gardłującemu klientowi aż w pięty szło!

- Ile wynosi państwa prowizja? - zapytał mężczyzna, rozglądając się po największym pomieszczeniu firmy.

- Dwieście złotych - wyjęczała Zyta.

Wzrok gościa padł na biurko, gdzie leżała akurat rzeczona suma; widać któryś z agentów zapomniał włożyć banknoty do firmowego sejfu.

- O, to się świetnie się składa! - ucieszył się gość. - Bo u mnie jest taka sama.

Mężczyzna podszedł do biurka. Banknoty w mgnieniu oka zniknęły w kieszeni jego

kurtki. I wtedy Zyta jakby wybudziła się z letargu.

- A co ty sobie myślisz, kutasie jeden! - bluznęła. - Porządnych ludzi będziesz nachodził? Wyskakuj z kasy, alfonsie, i won mi stąd, bo policję zawołam!

Kątem oka mężczyzna dostrzegł dwóch facetów, wstających zza swoich biurka. Błyskawicznie doskoczył do drzwi pomieszczenia, w którym się znajdowali, zamknął je, po czym jednym ruchem pociągnął za krawędź wąskiego regału, stojącego pod ścianą. Mebel przechylił się na bok i huknął na podłogę, uniemożliwiając otwarcie drzwi przez prezesa i Lesia, którzy zaczęli walić pięściami w drzwi i wygrażać napastnikowi. W głównym pokoju została tylko Zyta i smarkuła bawiąca się w kurpiowskie wycinanki. Tej pierwszej jakby mowę znów odebrało, druga nie śmiała nawet podnieść wzroku znad swojej robótki.

Mężczyzna jednym ruchem zrzucił z jednego z biurka wszystkie telefony komórkowe, złapał za stacjonarny, po czym zdecydowanym szarpnięciem wyrwał z niego przewód. Chwycił za zeszyt z adresami, wrzucił go do kosza na śmieci, do którego następnie wlał pół butelki wody mineralnej.

Potem wyjął z zanadru jakiś pojemnik, wykonał nim dziwny ruch. Chwilę potem cały pokój wypełnił się gęstym, czerwonym dymem. Kobiety zaczęły kasłać.

- To, że nie ma na was haków, nie znaczy, że możecie bezkarnie okradać ludzi - powiedział spokojnym głosem mężczyzna. - To jest pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Przy następnej mojej wizycie wszystko pójdzie z dymem, ale już nie takim. Radzę wam zawczasu odwiedzić dentystę, jeśli chcecie mieć godne pochówki.

To powiedziawszy, rzucił na podłogę świecę dymną, z której dobywało się coraz więcej czerwonego dymu, po czym, niezatrzymywany przez nikogo, opuścił biuro bazy danych.

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, godzina 15.00.

Trzecia po południu. Kiedyś o tej porze otwierały się bramy zakładów, pustoszały hale fabryk, a ponownie zaczynały zaludniać się ulice, trotuary, perony dworców. Wypełniały się tramwaje, autobusy, podmiejskie pociągi. Teraz to tylko uwertura popołudniowego szczytu, czasu powrotów do domów, początek schyłku powszedniego dnia.

Z bramy Uniwersytetu Warszawskiego, jak zwykle o tej porze, wysypywał się tłum. Nie mniejszy wcale parł w drugą stronę. Dwa wąskie przejścia po bokach bramy wjazdowej z trudem przepuszczały setki chłopców i dziewcząt: tych, którzy właśnie zwolnili sale wykładowe, i tych, którzy, ku udręce swoich narządów powonienia, za chwilę mieli je zaludnić. Tej wymiany wcale nie ułatwiali stojący po obu stronach wejścia rozdający ulotki i darmowe gazety, często studiujący w tej samej alma mater, teraz jednak zajęci zarabianiem na chleb z cienką warstewką margaryny, lżeni i potrącani.

Z tłumy opuszczającego teren kampusu zdecydowanie wyróżniała się jedna osoba: siwiejący mężczyzna w okularach, ubrany w brązowy trencz. Szedł niezbyt szybko, zamyślony, o czym świadczyły zmarszczone brwi i poorane bruzdami czoło. Tak mógł interpretować owe znaki na twarzy przypadkowy obserwator. Prawda była jednak zupełnie inna: doktor Juliusz Pietrzak bał się. Uczucie, o którym już, za sprawą pewnej pozycji zawodowej i materialnej, zdążył zapomnieć, teraz powracało i nie było wcale przyjemne. Trudno też było porównać je do tego z młodości czy nawet dzieciństwa, kiedy za jakąś przewinę groziła nieuchronna kara.

- Do widzenia, panu profesorowi - ukłonił mu się dyżurujący w bramie cieć w czarnej czapeczce baseballowej.

Pietrzak coś odburknął. Po sekundzie znalazł się na szerokim trotuarze Krakowskiego Przedmieścia. Skręcił w lewo, z zamiarem pokonania zwyczajowej poniedziałkowej trasy.

W tej samej chwili z tłuszczy, która wciąż gęstniała przed bramą uczelni, oderwała się postać w ciemnej kurtce, jej kaptur szczelnie zakrywał głowę, również twarz pozostawała w jego cieniu. Tak jak myśli...

Figura Jezusa dźwigającego krzyż, stojąca przed kościołem Świętego Krzyża po drugiej stronie ulicy, zawsze wzbudzała w nim strach. Jednocześnie zimna ręka postaci, wycelowana w jakiś punkt, pobudzała do myślenia za każdym razem, kiedy tędy przechodził. Jaką drogą iść, którędy, żeby nie zblądzić? Czy to, co teraz robi, jest dobre? Przecież Biblia, którą dopiero ostatnio zaczął czytać, na każdej niemal stronie mówi, że głądzone narody będą. I że ostatni będą pierwszymi. Dziś przyszedł na to czas.

Zawsze ci sami przechodnie na Nowym Świecie. Przy kawiarni i sklepie Bliklego od lat ta starowinka z chustką na głowie i wyciągniętą w prośbie ręką. Kawalek dalej przygarbiona, ubrana z wiejska babcia, sprzedająca wrzos bez względu na porę roku. Para młodych ludzi w nabitych ćwiekami, skórzanych kurtkach, molestująca przechodniów o pieniądze. Powłóczący nogą, osmolony brodac z wielkim tłumokiem na plecach, który to pakunek dopiero po dłuższej chwili obserwacji okazuje się owiniętym w szmaty dzieckiem. Pokrzykujący na ludzi wariat w kapeluszu, cały w czerni. Akordeonista jakby żywcem przeniesiony ze słonecznego nabrzeża Sekwany. Ostrzyżony do skóry mistrz jogi pytający, jak minął dzień, i oferujący książki o reinkarnacji i z przepisami kuchni wedyjskiej.

Sklepów tu narobili nowych, aż oczy bołą od patrzenia. Powyrzucali w pizdu stare butiki i kawiarnie, zastępując je nowymi, eleganckimi kafeteriami. Po wszystkim musi iść wreszcie do fryzjera. Zrobił porządek na ulicach, musi zrobić i na głowie. Za bardzo się zapuścił. Żeby tylko na jakiego pedała nie trafić. Tu, niedaleko, na rogu Nowego Świata i Ordynackiej, pewnie sami tacy robią!

Wreszcie skrzyżowanie z Chmielną. Skręć w prawo. Do punktu docelowego dziewięćset metrów - powiedziałaaby mechanicznym głosem panienka w GPS-ie. Ale przecież każdy warszawiak ma taki swój niewidoczny GPS. Niektórzy w mózgu, inni w żołądku, jeszcze inni dużo niżej. Zawsze trafi, gdzie trzeba. Nie zabłądzi. Nawet na ostrym fleku. Tym bardziej nie straci z oczu swojego celu, jeżeli go ma.

W tym wypadku tym celem był brązowy trencz.

7

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 15.20.

Komisarz Konstanty Podbiał z lekką zadyszka wdrapał się na drugie piętro Pałacu Mostowskich i ruszył w kierunku swojego gabinetu. Po drodze mijał pracowników przybytku. Mało kogo spośród nich zdążył poznać. Za to oni, niestety, kojarzyli bardzo dobrze, kogo mijają na korytarzach stołecznej. Wieść o ekipie filmowej, towarzyszącej komisarzowi, rozniosła się po komendzie lotem błyskawicy. Komentowano ten fakt na różne sposoby, włącznie z tym, iż to nie kto inny jak sam Podbiał postarał się o odpowiednie nagłośnienie swojej pracy. Do samego zainteresowanego na szczęście nie docierały te złośliwości. Minutę temu, po powrocie z miasta zastał hieny czatujące na niego przed Pałacem, szepnął słówko oficerowi dyżurnemu, dzięki czemu filmowców nie wpuszczono do środka, choć kobieta z mikrofonem machała jakimiś upoważnieniami, które podpisał ponoć sam komendant główny policji.

- Cześć pracy! - rzucił Kostek w przestrzeń między kolegami, po czym zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Byli wszyscy: Tymon Nowak, Konieczko, Rudzki, który na widok Podbiała nagle poczerwieniał, zagłębił się w lekturze jakichś papierzysek. Reszta właśnie jadła późny lunch albo może wczesny podwieczorek. Tymek tłumaczył Konieczce, na czym polega

wegetarianizm i ile jest jego odłamów.

- Laktowegetarianizm, laktovowegetarianizm - wymieniał Nowak, a jego starszemu koledze aż oczy powiększały się ze zdziwienia.

- Dobra, daj już spokój! - Konieczko machnął w końcu ręką, po czym odgryzł duży kawałek z pęta kielbasy zwyczajnej (do której zapachu wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić) i tak jak Rudzki, trzymając wędlinę malowniczo w dwóch palcach niczym najprawdziwsze kubańskie cygaro, wrócił do swoich raportów. - O, tu leży... PiS pogrzebany - mruknął, zaznaczając coś ołówkiem na papierze.

Komisarz tymczasem zajął swoje miejsce i zdjął kurtkę.

- Może ty się poczęstujesz, Kostek? - Tymek zwrócił się do partnera, podsuwając mu pod nos plastikowe pudełko z jakąś zieleniną.

- Co to jest? - zainteresował się Podbiał.

- Sałatka krabowo-kielkowa.

- A kraby to nie zwierzęta? - zaśmiał się Konieczko.

- Nie - oświadczył twardo Nowak. - Bierz. Wiem, że nic jeszcze nie jadłeś, a sałatka jest naprawdę pyszna. Kupiłem dziś w tych nowych delikatesach na Złotej. Tylko tam mają świeże...

Kostek Podbiał nagle wstał z krzesła i uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Że też wcześniej na to nie wpadłem! - zawołał.

- Na co?! - zapytali jednocześnie wszyscy pozostali.

- Wiem, gdzie zaatakuje morderca. Dzwon, Tymek, niech podwoją liczbę ochroniarzy i sprawdzą, czy mają sprawne kamery!

- Ale gdzie mam dzwonić? - Nowak bezradnie rozłożył ręce.

- Telefon masz na opakowaniu! - krzyknął Kostek, po czym wybiegł z pokoju; z korytarza dobiegło jeszcze: - A potem dawaj do mnie!

8

Warszawa, ul. Złota róg Marszałkowskiej, godzina 16.10.

Przewala się ten tłum, w jedną i w drugą stronę. Każdego dnia. Ciągną te siaty z zakupami. Biedota. Kto to wszystko zje? Skoro wszyscy są w tym kraju tacy biedni, to kto to wszystko, do cholery, kupuje? A inni tylko od sklepu do sklepu. Popatrzeć, pomacać, pogrymasić, skoro targować się nie da. Kto w tym kraju pracuje, co, jeżeli w biały dzień w sklepie są takie tłumy?

- Uwaga! Serwis sprząający proszony jest do alejki numer dwa - rozległ się kobiecy głos w megafonach. - Powtarzam: serwis sprząający proszony jest do alejki numer dwa.

Mężczyzna wzdygnął się. Zamrugnął oczami. Stał przed wejściem do sklepu. W środku, nieco na lewo, znajdował się rząd kas. Pachniało chlebem i jakimiś wędzonym specjałami.

Nieźle to wszystko urządzili, naprawdę - pomyślał z uznaniem, wchodząc do środka. Czysto tu i ludzi mało, nie to, co na osiedlach, gdzie nos zatyka, ledwo próg sklepu przekroczysz. I jakiś taki półmrok przyjemny, łagodne światła, nie wałą jarzeniówki po oczach, żebyś nie dostrzegł daty ważności na produkcie, a może po rękach, żeby widać było, czy czego nie wkładasz do kieszeni albo za pazuchę.

Mężczyzna wziął do ręki zielony plastikowy koszyk na zakupy i przeszedł przez bramkę. Cel był blisko, bardzo blisko, na wyciągnięcie ręki.

Brązowy trencz wychynął nagle zza półki z orientalnymi smakołykami. Same plecy. Wiadomo jednak, kto się kryje pod tym trenczem: to szaleniec z wykrzywioną nieludzko twarzą. Jednym ruchem zrzuca z siebie okrycie. Widać teraz, że w prawej ręce ściska karabin. Przeladowuje jednym ruchem, podnosi broń, biorąc na cel niewinnych ludzi, klientów sklepu. Wykrzykuje coś o nadejściu nowego świata i nowego porządku. I że za chwilę obróci wszystko w perzynę, zaczynając od tego supermarketu.

Nie zauważa jednak, że za jego plecami czai się szlachetny obrońca starego porządku i starego świata - człowiek, który, choć wzgardzony przez władze, zapomniany przez ludzi, nie wyjmując z ust zapalniczki ani nie zdejmując ciemnych okularów, niewiele sobie robi z wrzasków szaleńca.

- Rozwaliłeś tych ludzi bez powodu, teraz twoja kolej - mówił wtedy porucznik.

Szaleniec wrzeszczał dalej, wymachując bombą.

- Jesteś chorobą, ja lekarstwem - tłumaczył obrazowo Cobretti.

Po czym odrobinę niezdarnie (chora ręka) przykręcił tłumik do pistoletu i nie celując, szybko, kilka razy pociągnął za spust.

Tym razem tak to ma wyglądać - pomyślał. Właśnie tak.

Zrównali się w marszu jeszcze na korytarzu komendy. Kostek Podbiał w kilku słowach, starając się zapanować nad sapaniem, opowiedział partnerowi o swoich podejrzeniach. W głównych drzwiach policjanci niemal zderzyli się z filmowcami, którym, po interwencjach, udało się jednak wejść z całym swoim majdanem na teren

Pałacu Mostowskich.

- O, jak mi przykro - zażartował Podbiał, nie zatrzymując się jednak. - Właśnie wychodzimy. Jakby byli państwo uprzejmi wpaść kiedy indziej.

W kilku susach dopadli swojej skody. Ruszając, Kostek dostrzegł w bocznym lusterku, jak ekipa filmowa pakuje się w gorączce do swojego busa.

Wyjechali na Andersa. Niesieni szczęśliwie przez „zieloną falę”, co było dość dziwne w porze popołudniowego szczytu komunikacyjnego, dotarli aż do skrzyżowania z Królewską. W tym momencie odezwało się radio.

- Dwanaście zero trzy, zgłoś się. Dwanaście zero trzy, zgłoś się!

Kostek i Tymon popatrzyli na siebie.

- Kostek, odezwij się do cholery! - w głośniku odezwał się Musiał.

- Jestem - odpowiedział komisarz.

- Nie spiesz się już na te zakupy. Właśnie mieliśmy meldunek, że znaleźli tam sztywnego. To chyba kolejny z listy.

- Kurwa mać! - ryknął Podbiał, przycisnąwszy wcześniej sitko do piersi. - Przyjąłem - rzekł już spokojnie i odwiesił urządzenie.

Właśnie zbliżali się do skrzyżowania ze Złotą. Podbiał zerknął w lusterko, czy nie jedzie za nimi przecinak, jak pieszczotliwie nazywano tu tramwaje, po czym skręcił ostro w lewo, z zamiarem przecięcia torów. Samochodem zarzuciło; szyny były śliskie jak lód. Na szczęście z przeciwnej strony nie jechał żaden pojazd.

Kilka sekund później skoda wjechała pod prąd w ulicę Złotą, przecięła Pasaż Wiecha i zatrzymała się przed nowymi ekskluzywnymi delikatesami, urządzonymi w nieczynnym od kilku lat kinie Relax. Kinie, w którym po raz trzeci rozegrała się filmowa scena. I rozegrała się naprawdę.

Sklep był pusty. Przed głównymi drzwiami wartę trzymało dwóch rosyjskich ochroniarzy. Tymek machnął odznaką. Wpuścili ich bez słowa.

Główną alejką szła właśnie ubrana w czerwone kombinezony ekipa pogotowia ratunkowego, którą zapewne wezwano na miejsce chwilę po znalezieniu leżącego między półkami człowieka.

- Cześć - Kostek przywitał się z lekarzem. - Co z nim?

- Cztery rany postrzałowe serca. Zmarł od razu. To robota zawodowca - odpowiedział lekarz.

Przeszli dalej. W alejce z orientalnymi smakołykami montowała się już ekipa kryminalnych ze Śródmieścia. Kostek spojrzał w dół. Denat leżał na brzuchu, więc nie było widać jego twarzy. Dużo krwi.

- Kogo obstawiasz? - zapytał niegłosoś Nowak.

- Już wiem - mruknął komisarz. - Gadaliśmy z nim trzy godziny temu.

- Pietrzak?!

- Jak widzisz, nasz czyściciel świata jest coraz szybszy - warknął Konstanty, po czym zwrócił się do stojącego obok sierżanta w mundurze. - Kto go znalazł?

- Jedna kobieta - odpowiedział policjant, sięgając wprawnym ruchem po służbowy

notes. - Była na tyle opanowana, że nie narobiła krzyku na cały sklep, dzięki czemu uniknęliśmy paniki. Myślała, że gość zemdłał albo że pijany. Spisałem jej dane i pierwsze zeznania. Nikogo przy denacie nie zauważyła, ale podejrzewam, że minęła się ze sprawcą. W tym czasie tłok w sklepie nie był duży.

Komisarz Podbiał popatrzył w górę, mrużąc oczy od światła, których teraz paliło się o wiele więcej niż jeszcze kilka czy kilkanaście minut temu. Szlag trafił atmosferę eleganckiego sklepu. Kto wie, czy nie na zawsze? Praktyka mówiła jednak co innego: ludzie potrafili zażerać się w najlepsze dokładnie przy tym samym stoliku restauracji mieszczącej się w centrum handlowym, gdzie niespełna tydzień wcześniej ktoś wykonał przy pomocy pistoletu z tłumikiem wyrok na jakimś mafijnym bossie. Czyżby więc była to tylko kwestia użycia dobrych detergentów do wyszorowania podłogi z czerwonych plam i warszawiacy powinni się do tego przyzwyczajać jak do zawieszonych w różnych punktach miasta kamiennych tablic, upamiętniających miejsce kaźni Polaków podczas okupacji?

- Dobra, Tymek - rzekł wreszcie Podbiał. - Wypytaj dziewczyny na kasach i ochroniarzy, a potem wracaj do firmy i wydzwoń pozostałych ludzi z naszej listy. Nie ma co czekać, aż się dobrowolnie do nas zgłoszą.

- No - przytaknął Nowak.

- I zajrzyj jeszcze raz na portal, może coś ci wpadnie w oko. Ja idę na górę, do podglądaczy-emerytów. Na pewno mają jakieś nagrania.

Pomieszczenie sklepowej ochrony było niewielkie i śmierdziało potem. Kostek strzelał, że była to kiedyś kabina operatora; świadczyły o tym między innymi kwadratowe otwory w ścianie, zakryte teraz od strony hali sklepowej. Zamiast projektorów w kanciapie znajdowały się obecnie odbiorniki telewizji przemysłowej. Wiele razy zdarzało się, że ochroniarze montowali niewielkie kamery nie gdzie indziej, jak w... damskich przymierzalniach. Niektóre z takich wypadków kończyły się głośnymi

aferami, gdy jedna z drugą elegantka jakimś cudem odkrywały, że są obserwowane; kilkoma przypadkami zajęła się nawet policja.

Dziś jednak chodziło nie o podglądanie kobiet ani tropienie sklepowych złodziei, czym na co dzień zajmowali się siedzący w tym miejscu ochroniarze, tylko o znalezienie choćby klatki, na której zapisałaby się twarz mordercy.

- Do czego to podobne, panie! - gardłował gospodarz przybytku, jak się okazało, emerytowany podpułkownik Wojska Polskiego. - Żeby tak w biały dzień człowieka zabić? I to jeszcze w taki sposób. Dziki zachód, kurwa! Nic tylko dziki zachód.

- Niestety - mruknął Kostek, wpatrując się po kolei we wszystkie migające monitory.
- Takich dożyliśmy czasów, panie pułkowniku.

- Ale żeby tak nikt niczego nie widział, nie zauważył, a ten gnój tak po prostu nacisnął, panie, spust, jakby na ćwiczeniach walił do tarczy, i wyszedł przez nikogo nie zauważony! Jak to jest możliwe?

- Czy można powiększyć obraz? - zapytał komisarz, zatrzymawszy wzrok na jednym z monitorów.

- Tylko na żywo. Zarejestrowany materiał to pewnie tylko na jakimś komputerze.

- Rozumiem. Ale zatrzymać można?

W drgającej stopklatce widać było niewyraźną postać. Nie miała twarzy, a raczej kryła się ona w cieniu i niedoskonałościach obrazu. Dzisiejsza data i godzina w rogu ekranu były jednak wyraźne - ledwo trzy kwadransy temu. Osobnik mijający bramkę z napisem WYJŚCIE BEZ ZAKUPÓW. Nie pierwszy i nie ostatni, który, mimo wszystko, nie znalazł w ekskluzywnych delikatesach tego, co chciał. Albo zabrakło mu pieniędzy, wolnych środków na koncie, cierpliwości, żeby stać w kolejce, choć przecież w tym

momencie ruch w sklepie nie był wcale wielki.

- A ja znam tego gościa - Kostek usłyszał za plecami obcy głos.

9

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, godzina 17.30.

Zapadał zimowy zmierzch, na Krakowskim Przedmieściu paliły się już latarnie, jednak tłum przed bramą uniwersytetu wcale nie miał zamiaru zmaleć. Był teraz ciemniejszy, jakby bardziej zbity, ale też i głośniejszy. Zbliżał się wieczór, czas zabawy, mimo początku tygodnia, chwila najlepsza, żeby przed jutrzejszym „śledzikiem”, czyli końcem karnawału, oddać należyty hołd Bachusowi, który to bóg studentów - dziś narodek jak nigdy zapracowany - kochał przecież zawsze najbardziej.

Było jednak i coś nietypowego w tym codziennym obrazku: wjazd i wyjazd z terenu kampusu blokowały dwa samochody osobowe, zaparkowane byle jak, jakby w pośpiechu. Do tego szlaban był uniesiony, a w niewielkim pomieszczeniu, gdzie dyżurował ochroniarz, panowało dziwne zamieszanie, co chwila ktoś zeń wychodził i wchodził.

- Rzeczy osobiste gdzie trzyma? Szybko, bo nie mam zamiaru długo siedzieć w tym smrodzie! - krzyknął komisarz Podbiał, na co przestraszony mężczyzna w czarnej czapce wskazał ręką starą drewnianą szafkę.

Tymon Nowak szarpnął za gałkę drzwiczek, te jednak okazały się zamknięte.

- Klucz - rzucił do ciecia.

- Nie mam - jęknął tamten.

W odpowiedzi Podbiał wydobyl z kieszeni kurtki noz sprężynowy i kilkoma ruchami otworzył drzwiczki. W środku znajdowały się dwie szuflady. Oficer bezceremonialnie wysypał zawartość obu na stół. Niewiele tego było: jakieś stare spinacze do dokumentów, nieważne bilety komunikacji miejskiej, stwardniałe okruchy chleba.

- Nic - podsumował Nowak.

- Mówisz, że jak się nazywał ten pomocnik? - zapytał Podbiał ciecica.

- Jóźwiak Zbigniew.

- Jakies dokumenty jego widziałeś? Dowód osobisty, prawko, książeczka wojskowa?

- Wszystko załatwiał dział personalny uniwersytetu - dukał mężczyzna. - Przyszedł dwa miesiące temu, pokazał jakieś kwity i zaczęliśmy razem pracować. Mówił niewiele, skryty jakiś był, ale kłopotów z nim nie było żadnych. Nawet w największy ziąb wychodził i załatwiał gości, co się chcieli samochodami na uniwersytet pakować. Widać było, że potrafi postraszyć, kiedy trzeba. I dobrze.

Otworzyły się drzwi kanciapy i stanął w nich policjant. W ręku trzymał cienką kartonową teczkę.

- Panie komisarzu,teczka personalna - wyjaśnił, wyciągając do Podbiała rękę z przesyłką. - Kadrowa już wychodziła, udało się w ostatniej...

- Dzięki - Kostek uciął dalsze wynurzenia posterunkowego. - I nie zamykaj drzwi! - rzucił jeszcze za wychodzącym.

Zajrzeli z Tymkiem do dokumentów, choć nie spodziewali się znaleźć czegokolwiek, co mogłoby budzić jakieś podejrzenia. Ich przeciwnik, teraz to wiedzieli, był zawodowcem. Tylko ktoś taki potrafi przejść przez supermarket, nie dając się

zarejestrować żadnej kamerze. Prawie żadnej; ta, która „obcinała” wyjście bez zakupów, pokazała obraz dość niewyraźny, jednak jeden ze sklepowych ochroniarzy, w cywilu student geografii, rozpoznał w człowieku w filmowym kadrze kogoś, kto był podobny do jednego z uniwersyteckich cieciców.

Od razu poszli tym tropem, żywiąc też po cichu nadzieję, że może gość wróci po wszystkim do pracy. To się nie sprawdziło, jednak scenariusz ostatnich wydarzeń, którego punktem kulminacyjnym było kilka strzałów w plecy doktora Juliusza Pietrzaka, układał się w logiczną całość.

- Trzeba sprawdzić ten adres - mruknął Tymon i zaraz dodał, nieco już innym tonem:
- Pozostali goście z listy dostali ochronę. Będą u nas jutro rano. Wszedłem też na profile, które wszyscy mają na portalu.

- I co? - spytał Kostek.

- Jak wiesz, do swojego profilu można zapraszać znajomych, a także być zapraszany. Można również odrzucać takie zaproszenia. Wszyscy z naszej listy żywych i umarłych odrzucili tę samą osobę.

- Ale to nie jest Zbigniew Józwiak? - zgał Konstanty Podbiał.

10

Warszawa, plac Trzech Krzyży, godzina 18.30.

W klubie Szparka znajdującym się na północnej pierzei placu Trzech Krzyży było tłoczno i gwarno. Katarzyna Rawska przez krótką chwilę stała w drzwiach, przytrzymując jedną ręką ciężkie story, chroniące gości przez mroźnymi podmuchami, i rozglądała się po wnętrzu lokalu. Wreszcie ruszyła wzdłuż baru, ku schodom prowadzącym na antresolę i jeszcze jedno piętro. W kolejnej sali ujrzała kilku siedzących

przy stoliczkach znajomych aktorów, jeden z nich pomachał jej serdecznie ręką ponad głowami innych gości; dziewczyna odwzajemniła się uśmiechem, nie zwalniając kroku.

Miejsce to było wciąż modne, zwłaszcza latem, kiedy można było usiąść przy stoliku w ogródku. Teraz, zimą, pozostawały tylko trzy piętra lokalu pod dachem, ale to nie przeszkadzało, żeby Szparka wciąż była ważnym miejscem na mapie towarzyskiej stolicy.

- Cześć - przywitała się Rawska, podszedłszy do jednego ze stolików, stojących na antresoli.

Siedząca przy nim Anka rozmawiała akurat przez telefon, więc jedynie skinęła głową. Nie przerywając rozmowy, zabrała swoją torebkę z sąsiedniego krzesła, robiąc miejsce koleżance.

- Wie pan, na razie pracujemy nad naszym serialem, a co będzie potem, to się okaże - mówiła do aparatu. - Proszę powtórzyć. Z czym mi się wiosna kojarzy? Proszę pana, przepraszam, ale nie za bardzo mogę teraz rozmawiać. Czy mógłby pan zadzwonić jutro? O której? Może koło południa. Mam wtedy przerwę w zdjęciach, to będziemy mogli porozmawiać. Tak, dziękuję. Do usłyszenia.

- Wywiad? - zgadywała Katarzyna, przewieszając płaszczyk przez oparcie krzesła.

- Przyczepił się taki jeden dziennikarzyna z kolorówki - westchnęła boleśnie aktorka.
- Zawsze, jak czegoś potrzebują, to dzwonią akurat do mnie. Plany na ferie zimowe, z czym mi się wiosna kojarzy albo co ostatnio oglądałam w telewizji...

- Teraz modnie jest mówić, że się jej... w ogóle nie ogląda!

- A za chwilę pewnie przyjdzie czas na zwyczajne wielkanocne.

- No tak - westchnęła Rawska. - To chyba przyjemne, co?

- Ale upierdliwe!

- Ważne, że w ogóle dzwonią - uspokajała koleżankę Katarzyna. - Najgorsza jest anonimowość, przecież wiesz. Pomyśl o tych ludziach świeżo po szkołach. Im telefony służą tylko jako budziki i konsole do gier.

- Wiem, wiem... - Anka z rezygnacją machnęła ręką.

Do stolika podeszła kelnerka.

- Dobry wieczór - zwróciła się do nowo przybyłej. - Czy mogę przyjąć zamówienie?

- Ty co masz? - Kasia zapytała Ankę.

- Nawet nie wiem. Ale dobre.

- Może być to samo - zdecydowała Rawska.

Chwilę nic nie mówiły. Przez kakofonię głosów i szcęk szkła w bufecie przebiły się dochodzące z dołu dźwięki pianina. Melodia szybko się jednak urwała, po kilku sekundach zastąpiły ją miarowe pomruki basów. Ten krótki fragment starej melodii, strzępek zaledwie poruszył w Kaśce jakąś czułą strunę, wzbudził tęsknotę za czymś nieokreślonym, ale utraconym. Rawska zapatrzyła się w wysokie okno nad drzwiami wejściowymi, za którym pełgały kolorowe światła jej ulubionego placu w Warszawie.

Tymczasem kelnerka postawiła na stoliku wysoki kieliszek z kolorową zawartością i plasterkiem cytryny na krawędzi.

- Dziękuję - mruknęła Katarzyna.

W filmie, na małym bądź wielkim ekranie, zawsze wygląda to podobnie: w jednej klatce na stoliku stoi tylko jeden kieliszek, w następnej już kilka, a wszystkie puste. Taki trick. Twarz klienta, który je pochłoniął, też jest zupełnie inna: skrzywiona albo radosna, podniecona lub znamionująca człowieka, który za chwilę straci przytomność i legnie pod stołem.

Ale w przypadku Katarzyny Rawskiej, przed którą po godzinie stały już trzy jednakowe, puste kieliszki, nie zmieniło się nic. Zupełnie nic! Żadnego zamglonego spojrzenia, skrzywionych ust czy zmarszczek na czole i ściągniętych brwi, które powodowały trudności w wysławianiu się, co równie często dopadało pijaczków jak utrata pionu czy nagły atak torsji.

- Jak się trzymam? Dobrze się trzymam, sama widzisz! - Rawska wyprostowała się na krzeselku, rozkładając przy tym szeroko ręce. - Jeszcze raz ci dziękuję, że miałaś czas, żeby się spotkać. Choć z drugiej strony, powiem, Anka. Powiem ci tak: mam trzydzieści lat i nie mam zamiaru ryczeć w poduszkę jak jakaś gówniara. Za często to przerabiałam, wiesz. Dlatego to ja powiedziałam pierwsza: dość. Poza tym rozwód to nie koniec świata. A ja miałam dosyć, po prostu dosyć, rozumiesz?!

- Staram się - odparła Anka.

- Myślałam, że to przejdzie, ale nie. Przeciwnie: tylko się pogłębiało. Nagle zaczęło mnie w nim wszystko drażnić. Wszystko! To, że jak idzie, to wymachuje rękami. Że kupuje za duże buty i marynarki zbyt szerokie w ramionach. Albo że mówi „mje” zamiast „mnie”. Albo odwraca wzrok, gdy w telewizji pokazują zbliżenie igły zagłębiającej się w żyle.

- Zawsze pokazują, gdy mowa o służbie zdrowia - zauważyła aktorka.

- Ale żeby facet się tego bał? To ma być prawdziwy facet? Mój mąż, obrońca?! Jakiś

koszmar. To było ponad moje siły, rozumiesz? Poza tym, co to jest za życie z pensją gliniarza? Umówmy się. Zresztą najchętniej rzuciłabym to wszystko i wyjechała...

- Serial też?

- A jak! Chrzanię to. Spakowałabym dwie walizki i jutro obudziła się w Stanach. To moje największe marzenie.

Rozmowa toczyła się w tym klimacie jeszcze długo. Przez cały czas obu aktorkom, a zwłaszcza Kasi, przypatrywała się uważnie para oczu.

11

Warszawa, plac Powstańców Warszawy, godzina 20.30.

- Co ci właściwie strzeliło do głowy, żeby żenić się z aktorką?

- A co powoduje ludźmi, którzy biorą za żony księgowy? Albo manikiurzystki?

- Eee tam - Tymek machnął ręką z rezygnacją. - To nie to samo. Przecież ona mogła nigdy nie mówić szczerze. Grać mogła! Nie pomyślałeś o tym?

- Idź lepiej po piwo.

- Albo nawet orgazm udawać...

Lokal wypełniała głośna, ale możliwa do wytrzymania muzyka. Tymon Nowak po chwili postawił dwie wysokie szklanki z piwem przed Kostkiem siedzącym przy stoliku w rogu sali.

- A tak w ogóle to wszystkiego najlepszego, panie komisarzu!

- Dziękuję, aspirancie. Spocznicie - zaśmiał się Podbiał. Stuknęli się szklankami, wypili po kilka łyków. Siedzieli naprzeciwko siebie, wciąż jednak popatrując z zaciekawieniem na boki. Charakter lokalu bowiem nie pozwalał nie mieć przysłowiowych oczu naokoło głowy. Nie, nie działo się tak z powodu zagrożenia niespodziewanym atakiem krzesłem zza pleców czy niebezpieczeństwem utraty portfela. Powodem, dla którego nawet największy amator alkoholu musiał przynajmniej od czasu do czasu oderwać się od kieliszka czy kufła, były atrakcje serwowane przez lokal.

- Już za chwilę zatańczy dla was Weronika! - rozległ się z głośników męski, podekscytowany głos.

- Popatrz, tyle lat tu mieszkam, a jeszcze tu nie trafiłem - powiedział Kostek, po raz kolejny rozglądając się dookoła.

- Może dlatego, że byłeś żonaty - odparł Tymon.

- Nie sądzę. Dam głowę, że większość tych gości jest żonatych i dzieciatych - zachnął się komisarz.

Tymczasem muzyka zmieniła się i na bar weszła zapowiadana wcześniej tancerka imieniem (a może to był tylko pseudonim artystyczny) Weronika. Ubrana była w pantofelki na bardzo wysokich obcasach oraz czarne, koronkowe, bardzo skąpe majteczki. Nic więcej. Po chwili dziewczyna zaczęła tańczyć, rozglądając się na boki kuszącym wzrokiem. Już pierwsza ręka z zielonym banknotem zbliżała się ku rozkołysanym biodrom dziewczyny, by zatknąć go za niewidoczną gumką majteczek.

Nie była to jedyna tancerka na sali. Inna odstawiała taniec brzucha dla czterech grubych facetów, tłoczących się przy na stoliczku ledwo dwa metry od Kostka i Tymona. Kolejne kręciły się, zaczepiając co chwila gości.

- Ty, a chyba widziałem tu Andrzeja Rudzkiego - powiedział w pewnej chwili Nowak, starając się przekrzyczeć spadające z góry decybele.

- Rudzkiego? - zdziwił się Podbiał. - Świeża żona, dziecko. Nie sądzę. On po pracy szoruje zawsze prosto do domu.

- Mówię ci, to był on - upierał się aspirant. - Wydaje mi się, że miał na sobie garniak. I to taki sam, jak noszą tutejsi ochroniarze...

Kostek przelknął piwo, skrzywił się.

- Na pewno ci się wydawało - zakończył temat.

Do ich stolika podeszła młoda dziewczyna. Patrząc na twarz, można było jej dać najwyżej szesnaście lat. Wszystko, co było poniżej, robiło z niej jednak kobietę.

- Zatańczyć dla was? - zapytała.

- Ile? - rzucił półgębkiem Tymek.

- Pięćdziesiąt.

- To za chwilę. Zmykaj.

Dziewczyna odeszła niezrażona. Długo odprowadzali ją wzrokiem.

Wyszli około północy. Byli głodni, kilka piw wypitych na pusty żołądek pobudziło soki trawienne, powodując jednocześnie szum w głowie. W niedalekim, otwartym całą dobę barze z kebabem zjedli po specjale orientalnej kuchni.

- A o tych barach z kebabem, wiesz, mówią w mieście, że to lokale dla gliniarzy... -

powiedział Nowak nieco bełkotliwie, na co Kostek tylko się uśmiechnął.

Po kilku chwilach, pokrzepieni, choć niekoniecznie bardziej trzeźwi, pożegnali się na środku trójkątnego placu u zbiegu Szpitalnej i Chmielnej. Chwilę później Tymon machnął na przejeżdżającą taksówkę, ta zatrzymała się i partner Kostka odjechał w stronę Alej Jerozolimskich.

Podbiał został sam. Czuł się źle. Zaczął padać drobny śnieg. Mężczyzna wsunął ręce w kieszenie kurtki i ruszył w stronę Marszałkowskiej. Lekko zarzucało go na boki, jednak starał się trzymać fason. Na rozhuśtanych pijaczków patrzył zawsze z największą przyganą, jak, nie przymierzając, dewota z pierwszej mszy, gdy więc sam zaaplikował ponad miarę, ze wszystkich sił starał się zachować pion. W razie czego był w stanie nawet natrzeć sobie gębę śniegiem. Pod warunkiem wszak, że jakiś by znalazł, a tutaj, w ścisłym centrum, było szczególnie trudno o czystą, białą pryzmę.

W bramie po prawej stronie obściskiwala się jakaś parka. Popatrzył na nich z sympatią, a może i nawet z nutką zazdrości. Dziewczyna w Sofii w końcu dla nich nie zatańczyła. Byłby to zresztą jakiś nędzny ersatz. Z otwartego okna na pierwszym piętrze dobiegły dźwięki hucznej zabawy; ludzie najwyraźniej nie zamierzali się oszczędzać, wyciskając z karnawału, co tylko się da. Tak samo Warszawa i większa część Polski bawić się będzie jutro, w przeddzień środy popielcowej, ale też i w najbliższą sobotę, i w następną sobotę, i w następną...

Przecinając Pasaż Wiecha, Kostek Podbiał starał się nie patrzeć w prawo, gdzie w odległości około dwustu metrów jaśniało wejście do delikatesów w byłym kinie Relax. Przyspieszył kroku; nowe kafle trotuaru były śliskie, więc musiał uważać, żeby nie wywinąć orła, choć podobno pijany zawsze wychodzi cało z podobnych opresji. Wolał jednak tego nie sprawdzać. Po kilku chwilach znalazł się na Marszałkowskiej. Arterią przemykały taksówki, a chodnikiem pojedynczy przechodnie. Było już za późno, aby złapać jakiś tramwaj.

Stać go było na taksówkę, to nie podlegało kwestii, nigdy. Czemu więc nie łapał jej przykładem kolegi ani nie wzywał przez telefon, który miał w kieszeni? Tego nie wiedział. Właściwie wiedział już coraz mniej. Za to odczuwał przemożną potrzebę przemieszczania się. Tak zwany „kręciołek” już nie raz okazywał się zgubą pijaczków. Człowiek przestaje wtedy kontaktować, rusza na poszukiwanie nie wiadomo czego, przypomina sobie o dawno zapomnianych adresach, pod które warto by było się udać. Często też wsiada za kółko. Nic takiego jednak nigdy nie zdarzyło się Kostkowi w Warszawie.

- Ciekawe, o której jedzie ostatnie metro? - zapytał sam się siebie na głos, po czym skierował się ku podziemnemu przejściu.

Ledwo jednak zszedł po schodach, zakręciło mu się w głowie. Wydawało mu się, że alkohol za chwilę rozerwie mu żyły w przedramionach. Rozluźnił węzeł szalika wokół szyi, ale niewiele to pomogło. Chciał się złapać ściany, ale wyciągnięta ręka zapadła się w nicość.

Uderzenia serca zaczął słyszeć w uszach, jakby miał na nich lekarskie słuchawki. Przed oczami zamajaczyła mu skośnooka, kobieca twarz. Jej usta poruszały się, ale w tym filmie, który za chwilę i tak miał się zerwać, szwankowała fonia. Potem, po raz kolejny w ciągu kilku dni, Kostka ogarnęła ciemność.

DZIEŃ SZÓSTY

1

?

W głośnikach rozległ się potrójny sygnał ostrzeżenia, drzwi zamknięto. Pociąg ruszył. W nikłym świetelku z zachlapaną farbą lampy jarzeniowej samotny mężczyzna badawczo przyglądał się innym pasażerom. Siedząca w kącie starsza kobieta dyskretnie

zarysowała znak krzyża, przez środek zaś przepychał się jakiś facet - olbrzym z wielką plastikową torbą objającą się o nogi w drelichowych spodniach. Towarzyszące rodzicom dzieci przypominały bardziej lalki niż żywe istoty.

Podziemna kolejka mijala kolejne stacje, o których istnieniu pasażer mógł wnioskować tylko z przesuwających się za grubą warstwą farby światła oraz z coraz bardziej wyczuwalnego luzu dookoła siebie. Po kilku minutach można było nawet spocząć: miejsca do siedzenia nie miały jednak materiałowego wykończenia - były twarde i zimne.

Mężczyzna rozejrzał się w poszukiwaniu umieszczonej zwykle obok drzwi mapki-schematu sieci metra. Zamiast tego jednak ze ścian zwisały tylko strzępy jakichś papierów, pewnie ogłoszeń. Nie było też regulaminu użytkownika środka lokomocji, chociaż jego rolę mógł odgrywać... widok, jaki panoramicznie roztaczał się wokół pasażera. Czego nie można było robić w wagonie metra - tu można było zobaczyć: młodzi mężczyźni stojący wzdłuż miejsc do siedzenia w równym szeregu niczym przy pisuarach i popijający jak na komendę z butelek bez etykiet; smrodek przetworzonego chmielu panował w całym podłużnym przedziale. Na przeciwległym jego końcu siedziała kobieta o zniszczonej, pociemniałej twarzy, zaś na jej kolanach leżało bezwładne ciało chudego mężczyzny, przez co oboje przypominali odrapaną, zniszczoną piętę. Ktoś siedzący pod drzwiami słuchał głośnej muzyki z niewielkiego, srebrnego urządzenia.

Kostek Podbiał oddychał z coraz większym trudem. Prawym łokciem dotknął boku. Broń była na swoim miejscu. To go nieco uspokoiło. Nie na długo jednak.

Oto bowiem spojrzął w bok i zmartwiało. Naprzeciwko niego, trochę na lewo, siedziała jego Katarzyna. Próbował uspokoić oddech. Łzawienie oczu, częste w takich chwilach, utrudniało obserwację. Kobieta siedziała nieruchomo, wzrok miała wbity w jeden nisko położony punkt. Zaskoczony spotkaniem, Kostek nie zauważył nawet, że na kolejnej stacji wyszli prawie wszyscy pasażerowie pociągu.

Z zapatrzenia i zamyślenia wyrwał go trzask otwieranych kopniakiem drzwi prowadzących do następnego przedziału - drzwi, które zawsze były zamknięte!

- O, patrzcie, jaka milutka! - rozległ się tubalny głos.

Odziany w czarne skóry i wytatuowany gdzie tylko można kudłacz ogromnych rozmiarów, jeden z kilkusobowej bandy, chwiejnym krokiem podszedł do znieruchomiałej Kaśki i wypiął przed nią biodra.

- Jak ci na imię, księżniczko? - zapytał.

Kostek poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Powoli podniósł się z miejsca. Wyprostował się, zacisnął pięści. Od napastnika dzieliło go może pięć, sześć kroków. Od kolby pistoletu ledwo dwadzieścia centymetrów. Nie ruszając się, spojrział z pogardą prosto w twarz troglodycie, po czym... odwrócił się i ruszył w stronę otwartych drzwi.

- Stój! - usłyszał naraz za plecami.

Czuł, że nawet gdyby chciał, nie potrafiłby iść dalej. Nawet ruszyć nogą.

- Pozwoliłem ci odejść?! - ryknął wytatuowany.

Kostek skądś wiedział, że nikt nie czeka na jego odpowiedź. Od drzwi dzielił go niespełna krok. W tym samym momencie powietrze przeszył huk wystrzału jak bliski trzask gromu. Pocisk świsnął tuż obok głowy Podbiała, rozplątał drewnianą framugę drzwi, z ramy prysnęły drzazgi. Miał dokładnie tak uderzyć. Mimo że komisarz wiedział to, uskoczył w bok, skulił się jak pod spadającym razem. Pulsujący ból membran i dzwonienie w uszach. Ostre, przeciągłe. Drugi huk. Teraz to już nie ostrzeżenie. Sekunda: przed oczami kwiat mrozu na szybie drzwi i dziura jak splunął. Jakaś siła kazała mu się odwrócić. Dostrzegł twarz prześladowcy. Pięć, może sześć metrów. Jedna, tuż za nim druga, trzecia. Mgła.

Przetarł oczy. Nagle wszystkie twarze zlały się w jedną wielką, ociekającą zgniłozielonym śluzem, przerażającą twarz, przerażająco znajomą...

- Giń, mendo! - wycharczał troglodyta przez zamknięte, nieruchome usta, po raz trzeci unosząc rękę z ogromnych rozmiarów obrzynem.

Kątem oka Kostek dostrzegł czerwoną dźwignię nad drzwiami. W tym samym ułamku sekundy rozległ się kolejny huk wystrzału. Z grubej lufy bluznął język ognia. Powiew. Fala gorąca. Ciemno przed oczami, drugie uderzenie w plecy.

To ściana. Tępy, promieniujący ból. Dotknął rany. Lewe ramię. Szczepionka przeciwko gruźlicy w pierwszych latach podstawówki...

Kostek Podbiał jednym ruchem skoczył w bok, kryjąc się za ścianką przedziału. Szybko dopadł wyjścia. Pociągnął dźwignię. Zasyczało, ale płaty drzwi tylko lekko się uchyliły. Wczepił się palcami w obite gumą krawędzie. Z głębi przedziału dobiegły przekleństwa i coraz głośniejszy stukot kilku par ciężkich, podkutych buciorów. Mężczyzna zaparł się mocno o podłogę, wytrzymał wszystkie siły. Puściło.

Poczuł zimny powiew tunelu. Jeszcze raz odwrócił głowę. Tuż za sobą ujrzał przekrwione oczy wroga, a pomiędzy nimi ogromną, dymiącą jeszcze i doskonale okrągłą czelusć lufy obrzyna. Odepchnął się...

Ostre światło, prosto w oczy. Mimo to, musiał je otworzyć.

Gdzie ja jestem i co się stało? - pomyślał z trwogą. - Czy to znowu szpital? Nieznośna suchość w ustach i ból głowy. Może lepiej, że szpital. Jakiś proszek dadzą. I już z niego nie wyjdzie przedwcześnie...

Leżał na wznak, w nie do końca wygodnej pozycji: nogi nie mieściły się i musiał je

trzymać podkurczone. To, na czym leżał, było... Tak, było tylną kanapą samochodu.

Wywieźli mnie gdzieś - to była pierwsza przerażająca myśl, jaka przyszła mu do głowy po podniesieniu powiek; kolejna wspomagana była już obrazem: Podbiał pod lufą pistoletu, kopiący łopatą dół gdzieś w głuchym lesie. Dół dla siebie. Ziemia jest miękka. Drzewa są zielone.

Hola! Przecież jest sam środek zimy!

Z największym trudem uniósł się na łokciu. Poznał wnętrze auta. To była jego służbowa skoda, dzięki czemu nieco się uspokoił. Podniósł się nieco wyżej i wyjrzał przez okno samochodu. Było zaparowane. Przetarł szybę ręką. W tej samej chwili poczuł, że nadchodzą torsi. Dotknął ręką ust, starał się oddychać głęboko. Pomogło. Przycisnął nos do zimnej szyby. Niewiele jednak dostrzegł, za to więcej usłyszał.

- Wierzę, że te nowoczesne samochody będą służyć naszym funkcjonariuszom długo i bez kłopotów - perorował ktoś podniesionym, uroczystym głosem. - Ufam, że ten skromny wkład samorządu województwa podniesie poziom bezpieczeństwa w naszym mieście.

Rozległy się brawa. Po krótkiej chwili ucho komisarza pochwyciło inny głos, nieco cichszy, bardziej śpiewny, ale tak samo podniosły.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Po tych słowach braw już nie było. Podbiał precyzyjnie się między fotelami i przetarł ręką tym razem przednią szybę skody. Wszystkie te czynności kosztowały go sporo wysiłku. Dyszał jak starzec, głowa przestawała mieścić się w kabinie auta. Spojrzał w okno, mrużąc oczy.

To, co ujrzał, z początku bardzo go zdziwiło: wszędzie aż roiło się od mundurowych,

ale nie tylko - było też trochę elegancko ubranych dżentelmenów, wśród których wyróżniała się znana z mediów postać marszałka województwa, a także jeden książdz.

Ten ostatni nie próżnował - właśnie kończył rundkę wzdłuż zaparkowanych jak pod sznurek samochodów - radiowozów i pojazdów nieoznakowanych - i traktował je kropidłem. W tej samej chwili Kostek uprzytomnił sobie, w jakiej uroczystości, mimo woli (i wciąż jeszcze niewidoczny), uczestniczy. Oto samorząd przekazywał policji nowe samochody służbowe, w tym i ten, którym od pół roku poruszali się Kostek i Tymon.

- Mam zaszczyt i przyjemność wręczyć te oto kluczyki od samochodu - odezwał się oficer, w którym Podbiał rozpoznał samego komendanta stołecznego; naprzeciwko niego stał jakiś sierżant z drogówki i z głupim uśmiechem potakiwał.

- Ku chwale ojczyzny, panie generale - wyrecytował wreszcie niegłośnie, odbierając z powrotem swoje kluczyki.

Migały flesze aparatów fotograficznych, znów odezwały się brawa. Komendant stołeczny w otoczeniu skromnej świty już miał przemieścić się ku następnemu pojazdowi i czekającemu na zaszczyt funkcjonariuszowi, kiedy nagle tuż przed nim otworzyły się drzwi jednego z samochodów. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, z auta wychyliła się głowa mężczyzny. Rozległ się charakterystyczny, mało przyjemny dźwięk.

Komisarz Konstanty Podbiał puścił pawia, ledwo kilka centymetrów od wypastowanych galowych pantofli generała...

2

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 10.22.

- Tu macie śledzie w śmietanie od mojej żony - Musiał przesunął półmisek ze smakowitościami na środek stołu, po czym dodał:

- Okazja jest znana, tradycja jest tradycja. Jednak, niestety, podejrzewam, że jest to ostatnia przyjemna sprawa, którą mam dziś szanownym panom do przekazania.

Zapadła zupełna cisza. Przerwał ją dopiero szcęk sztućców i dzwonienie talerzyków, przyniesionych przez jednego z młodych; Musiał potrafił zadbać o wszystko, a śledzie jego żony były już daniem kultowym. Nie można było sobie wymarzyć lepszego początku dnia. No, pomijając może ostatnie zdanie szefa...

- Częstoście się - zachęcił inspektor.

- Nałożyć ci? - zapytał Tymon Nowak swojego partnera. Kostek spojrzał tęsknym wzrokiem na talerz, z którego już zniknęły pierwsze ryby.

- Chyba nie dam rady - jęknął w odpowiedzi.

- Kostkowi jeszcze lufę do tego - zarechotał Konieczko, co reszta też skwitowała uśmiechami.

- Nie wracajmy już do tego, dobrze?! - uciął Musiał, marszcząc brwi.

- Pewnie - potwierdził Konieczko z jak najbardziej poważną miną. - Lepiej, że spał w gablocie, niż miałby jechać na fleku i rozpaździerzyć się na jakimś drzewie. Wszysey cię podziwiamy, Kostek.

Kilka osób przytaknęło pomrukami, choć równie dobrze mogły to być dźwięki wyrażające zachwyt nad kulinarnym kunsztem pani Musiał.

- Również za to - ciągnął dalej komisarz Konieczko - że odpowiednio podsumowałeś tę całą szopkę z uroczystym przekazaniem nowych samochodów przez pana marszałka. Aż dziw, że komendant na to poszedł. Wszyscy dobrze wiedzą, że to tylko kropla w...

moczu potrzeb.

Zarechotali głośno.

- Poza tym nie narzygałeś mi na buty, tylko obok. Powinieneś zresztą wycelować w polityka, a nie w starego...

- Wystarczy, komisarzu - rzekł znów Musiał, choć już nieco łagodniejszym tonem niż przed paroma chwilami. - Mamy poważny problem, z którym nie potrafimy sobie poradzić od kilku dni. Jak pewnie wiecie, wczoraj popełniono trzecie morderstwo, które łączy się z dwoma poprzednimi. Jest to działanie w podobnym stylu i, jak twierdzi aspirant Nowak, także miejsca ataków na tych ludzi mają ze sobą coś wspólnego. Dziś rano miałem w tej sprawie już kilka telefonów. Są naciski z góry, żeby sprawę szybko zakończyć.

- Boją się o swoje prezesowskie tyłki - podsumował ktoś niegłośno.

- Najprościej mówiąc - zgodził się Musiał. - Dlatego przyspieszamy sprawę. Podbiał i Nowak, dostajecie do pomocy Andrzeja Rudzkiego.

Słyszając swoje nazwisko, młody podkomisarz wzdrygnął się. Na jego twarzy widać było oznaki niewyspania; musiał położyć się do łóżka dużo później niż Kostek Podbiał. I tylko ten ostatni wiedział, z jakiego powodu.

- Tak jest - bąknął Rudzki.

- Cieszę się - powiedział Musiał bez uśmiechu. - Tymon, do tablicy.

Młodszy aspirant Tymon Nowak zaczął przedstawiać wyniki prowadzonego przez nich śledztwa. Kostek patrzył na białą tablicę, stojącą w kącie sali odpraw, na której jego partner kolorowymi mazakami wypisywał jakieś nazwiska, rysował figury geometryczne,

wektory. Wydawało mu się, że dzieli go od tych wszystkich ludzi szklana szyba. Gruba, choć przepuszczająca dźwięk. Czuł w środku pustkę. Objawy kaca minęły jak ręką odjął, może ze strachu przed konsekwencjami historii, do której doszło na parkingu. Jak się znalazł w swoim służbowym samochodzie w środku nocy, a może dopiero nad ranem, skoro ostatnia chwila świadomości - to akurat pamiętał bardzo dobrze - miała miejsce w centrum miasta? Tego też nie wiedział i nawet bał się pomyśleć. Wszystko było zresztą na miejscu: zegarek, portfel, komórka, klucze od mieszkania, no i, rzecz jasna, kluczyki do skody. Dupa też nie bolała. Tylko głowa, choć już nieco mniej...

- Wywiadowcy grupy antyterrorystycznej - nadawał niezmordowanie Tymek - sprawdzili już adres podany w kwestionariuszu osobowym Zbigniewa Józwiaka, zatrudnionego przed dwoma miesiącami przez Uniwersytet Warszawski w charakterze ochroniarza...

- Pewnie absolwent - zachichotał Konieczko, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Józwiak - myślał Kostek, czy jak się tam naprawdę nazywał morderca, jeżeli rzeczywiście ich trop jest tym właściwym, musiał mieć albo konkretne zlecenie, albo mocno na pieńku z kolesiami, żeby tak tłuc - konsekwentnie, z rozmysłem i, co nie bez znaczenia, pewnym kluczem. Stare kina. Kto by pomyślał?! Jaki będzie następny zamach? A może raczej należałoby zapytać - w jakim kinie? Byłem, nieczynnym albo takim, o którym pamięta już tylko garstka okolicznych mieszkańców i leciwi varsavianiści.

- Filmy wrzucane były do sieci w różnych kawiarenkach internetowych na terenie miasta - ciągnął Tymek. - Niestety, przepytывani pracownicy nie potrafili nic powiedzieć, tym bardziej, że wszystkie lokale, którymi byliśmy zainteresowani, reklamują się jako stuprocentowo niekrępujące, przytulne i tak dalej. Mimo że wiadomo, kto zwykle korzysta z takich miejsc, właściciele patrzyli i będą patrzeć na to przez palce.

- Czy pojawiły się jakieś następne filmy? - zapytał Musiał.

- Jeszcze nie - odparł aspirant. - Pilnujemy tej sprawy. Wciąż nie udało nam się ustalić, kim jest osobnik ukrywający się pod nickiem „Zielony-65”, którego wszyscy mężczyźni, znajdujący się na liście ofiar, także tych potencjalnych, zgodnie odrzucili jako znajomego na popularnym portalu internetowym.

Czarna owca - podsumował, znów w myślach, Kostek Podbiał. Człowiek ima się różnych sposobów, aby zaspokoić odwieczną potrzebę akceptacji, bycia w grupie. Podwórko w latach szczenięcych jest taką pierwszą próbą, kto wie, czy nie najważniejszą, bo decydującą o dalszych latach, samoocenie, stosunku do kobiet. Wysmagany pokrzywami czy obrzucany psim łajnem w godzinie próby przez inne dzieci - ten czy ów może nie wytrzymać, a drogi, którymi pójdzie, mogą być dwie: albo będzie jeszcze słabszy, wyrośnie na życiową łamagę, skamlącą o wszystko, włącznie z uczuciem kobiety, albo przeciwnie - wczesne przeżycia wzmocnią go, nawet bardzo, ale człowiek ten będzie teraz czynić zło, odpłacać się za niegodne traktowanie sprzed lat, mimo że te płyną i będą płynąć, i nikt już nie będzie pamiętał, jak było naprawdę. Ale wysmagany pokrzywami nie zapomni, kto i kiedy go wysmagał, a kto stał i się śmiał. Nie zapomni nigdy. Póki ostatni z prześladowców nie zapłaci za jego poniżenie...

- A sklepy z bronią? - zapytał, tym razem już poważnie, Konieczko.

- Nikt w ostatnim czasie nie kupował takiej broni ani amunicji do niej. Nie było też przypadków reperacji takiego karabinka. Problem jest jeszcze jeden - Nowak zawiesił na chwilę głos. - W trzecim przypadku użyto zupełnie innej broni. To walther P99. Oczywiście z tłumikiem.

Za oknami sali odpraw zawył rozpędzający się jak zwykle na Andersa tramwaj jadący w stronę Muranowa. Ostatni śledzik w śmietanie, przygotowany przez żonę inspektora Musiała, zniknął z półmiska.

- „Czarni” czekają na rozkazy. Powodzenia, panowie - podsumował krótko szef

dochodzeniówki.

3

Warszawa-Czerniaków, ul. Sielecka, samo południe.

Młodszy aspirant Tymon Nowak siedział w kącie volkswagena transportera, wtulając po swojemu twarz w podniesiony kołnierz kurtki. Kierowca wyłączył silnik auta, przez co ogrzewanie działało tylko przez kilka następnych minut, ale nie było zimno. Dzień był niemal wiosenny, świeciło słońce, miejscami nawet ostro, przez co w samochodzie w ciągu kilku chwil zrobiło się gorąco.

- Jak nie urok, to sraczka - podsumował szef „czarnych”, komisarz Zenek Mąka, siedzący, jak zawsze, obok kierowcy. - Ja to bardziej wolę poranki, wiesz, Tymek?

- Wiem, wiem - zgodził się aspirant.

- Po ciemku zwlekasz się z koja, ale za to pewny jesteś, że gość będzie zdziwiony jak dziecko i że nie zdąży nawet małym palcem kiwnąć. Ostatnio, jak zdejmowaliśmy Fabiana...

Tymek Nowak wsunął dłonie w kieszenie dzinsów i ziewnął potężnie. Miał coś w rodzaju déj? vu. Za chwilę któryś z antyterrorystów zacznie mocować się, tak, z zapięciem swojej kamizelki kuloodpornej, dowódca upomni go, tak, dobrotliwym głosem ojca, że złość piękności szkodzi. Cicho nastawione radio zagra, tak, te same piosenki, a do środka samochodu będzie starał się zajrzeć jakiś emeryt z psem na smyczy. No i, tradycyjnie, tak jak przed paroma dniami, trzeba będzie też odczekać swoje na Podbiała.

Było jednak inaczej: samochodem zainteresowały się jakieś dzieci idące do szkoły, radio było wyłączone, a w drzwiach volkswagena pojawił się nie kto inny jak Kostek Podbiał - uśmiechnięty, ogolony, świeży. Nie było już po nim zupełnie widać, że miał za

sobą ciężką noc. Właściwie nawet nie zdążyli o tym porozmawiać.

- Panowie na Olsztyn? - zażartował komisarz.

- Ładuj się, chłopcze! - odparł Mąka.

Podbiał trzasnął drzwiczkami. Półgłosem wymienili z Mąką jakieś uwagi. Mówili chyba coś o karetce pogotowia i wsparciu snajperskim. Że będą. Albo ich nie będzie. Tymek złapał się na tym, że jest mu właściwie zupełnie obojętne, co się za chwilę stanie, jak potoczy się akcja, czy szaleniec jest w domu, czy jest uzbrojony i będzie próbował odpowiedzieć ogniem. Myślami był zupełnie gdzie indziej. Kilkanaście kilometrów stąd. Choć uważał, że przecucia to jest coś dobrego dla kobiet, ale na pewno nie dla facetów, szczególnie w tym zawodzie, coś go męczyło od samego rana. Coś dziwnego. Ocknął się dopiero, gdy podeszwy ciężkich buciorów zagrały na podłodze transportera sygnał do natarcia.

- Idziemy, Tymek! - zawołał Konstanty; jednak głos partnera dobiegał jakby zza grubej ściany.

Nowak jak w transie podniósł się z siedzenia. Ruchem łokcia upewnił się, że pistolet znajduje się na swoim miejscu. Po chwili aspirant policji o twarzy smarkacza i myślach smarkacza szedł szybkim krokiem ramię w ramię z komisarzem. Czy ten coś mówił? Być może...

Postacie w czarnych kombinezonach przesuwają się jak w kadrze telewizyjnego newsa lub szkoleniowego filmu dla słuchaczy szkoły policyjnej: otwarte drzwi, czerni klatki schodowej, zanim oczy przyzwyczajają się do ciemności i zaczną odróżniać szczegóły. Stopnie schodów, po dwa. Jeden, dwa, trzy, cztery, półpiętro. Błysk słońca w wąskim oknie. Dalej.

Jeden, dwa, trzy, cztery. Piętro.

Stop. Odgłos sapania w uszach, jakby na twarzy umieszczona była maska przeciwgazowa. Ręce antyterrorysty na uchwytach specjalnej „baby” do wyważania drzwi. Jeden zamach. Huk. Tupot butów. Krzyki.

Rozłożone ręce, jak przy przeistoczeniu.

- Pusto, panie komisarzu.

- Sprawdźcie dokładnie - warknął Mąka. - Okna i dach. Przecież miał, kurwa, być!

- Przecież wiesz, że teraz trzeba najpierw zadzwonić - rzekł Kostek, nachylając się nad stołem w największej izbie mieszkania. - Chodź do mnie, Tymek.

Nowak dopiero po dłuższej chwili zareagował na głos komisarza.

Kilka minut później oddział pod dowództwem komisarza Mąki pakował się z powrotem do transportera. Nikt się nie odzywał, funkcjonariusze zaczęli zdejmować hełmy i kominiarki. Ich twarze też nic nie mówiły. Kierowca uruchomił silnik.

- Poczekaj - powstrzymał go Mąka, po czym ponownie opuścił pojazd.

Ścieżką między blokami nadchodził jakiś człowiek. W jednym ręku trzymał starą siatkę z pobrzękującą zawartością, w drugim pęk kluczy.

- Kogo moje oczy widzą! - ucieszył się komisarz, podchodząc do mężczyzny. - Jak się masz, stary?!

Przechodzień, z początku zaskoczony spotkaniem, uśmiechnął się.

- Cześć, co tu robisz? - przywitał się; jego prawa ręka najpierw schowała z powrotem

do kieszeni kurtki pęk kluczy, potem wyciągnęła się do powitania; Mąka uściśnął ją niezwykle delikatnie.

- A, mieliśmy do pogadania z jednym takim, ale nie zastaliśmy go w domu - odparł.

- Miło cię widzieć, komisarzu - rzekł mężczyzna nieco słabym głosem, popatrując z uwagą w stronę klatki schodowej, z której wychodziło dwóch mężczyzn. - Muszę lecieć.

- Ciebie też było miło zobaczyć - powiedział Mąka. - Trzeba się będzie kiedyś umówić na jakieś piwko, nie?!

Ale mężczyzna z siatką już go nie słyszał. Dowódca grupy antyterrorystycznej wsiadł z powrotem do volkswagena, zatrzasnął za sobą drzwiczki. Nie zastanawiał się nawet, dlaczego jego stary, dawno niewidziany druh maszeruje szybkim krokiem dokładnie w tym samym kierunku, z którego przyszedł.

4

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 13.52.

Szef stołecznej dochodzeniówki, podinspektor Bronisław Musiał, rzadko występował w mundurze. Nie za bardzo przepadał zresztą za jego wkładaniem, całym tym zamieszaniem z odpowiednim zawiązaniem krawata, podopinaniem wszystkich guzików mundurowej marynarki czy nałożeniem czapki tak, żeby spod daszka było widać oczy. Czasami jednak było to koniecznością. Taki dzień przypadał właśnie dzisiaj. Rano trzeba było wziąć udział w uroczystym przekazaniu samochodów przez władze samorządowe, po której to szopce - szef dochodzeniówki podzielał pogląd większości kolegów - a także po porannej odprawie z myciem głowy podwładnym miał nadzieję poluzować krawat i zdjąć górę od munduru. Niestety, nie dane mu to było, choć kołnierzyk uwierał coraz bardziej.

- Nie rozumiem - rzucił do słuchawki. - Jak to chcą rozmawiać tylko ze mną?

Ktoś po drugiej stronie telefonicznego przewodu tłumaczył wszystko cierpliwie i powoli; to jednak nie uspokoiło podinspektora Musiała.

- Ale przecież to jest sprawa Podbiała i Nowaka! - zawołał znów do plastikowego sitka. - Zresztą dałem im do pomocy...

Dokładnie na te słowa do gabinetu weszli Konstanty Podbiał i Tymon Nowak. Funkcjonariusze zajęli miejsca u podnóża biurka.

- Dobra, rozumiem - warknął zrezygnowany Musiał, po czym odłożył słuchawkę na widełki. - Całe życie walczyłem o to, żeby nie musieć wysługiwać się skurwysynom. Ale widać nie można inaczej.

- Stało się coś, szefie? - zapytał Kostek.

- Ci wasi rzekomo zagrożeni, z listy Tymka - odparł inspektor.

- Wzywaliśmy ich na dzisiaj - wtrącił się Nowak. - A co?

- A to, że wśród nich są same zasrane szychy i życzą sobie rozmawiać tylko z kierownictwem sekcji. Początkowo próbowali dostać się do komendanta stołecznego, ale pani Basia jest nie do przejścia, jak wiecie, więc i tym razem dała radę. Skończyło się na tym, że ja muszę z nimi pogadać. Uspokoić znaczy, że robimy wszystko, co w naszej mocy i tak dalej.

- Przecież pan to umie najlepiej, szefie - uśmiechnął się Podbiał.

Musiał spojrzał krzywo na komisarza.

- A robimy? - zapytał po krótkiej chwili. - Co z akcją na Czerniakowie?

Partnerzy spojrzeli po sobie.

- Dobrze - odparł Podbiał. - Wszyscy są cali i zdrowi...

- Nie pierdol mi tu, Kostek! O tego psychola pytam. Macie coś konkretnego czy znów adres okazał się trefny?

- Adres był dobry, ale gościa nie było - zaczął relacjonować Tymek w zastępstwie kolegi. - To zresztą chyba jakaś meta, bo mieszkać tam nie sposób. Tylko gołe ściany, jakby świeżo po wyprowadzce. Trochę butelek, jakiś materac. Dużo śmieci. Ustaliliśmy, że właścicielem mieszkania, podanego w kwestionariuszu osobowym na uniwersytecie, jest niejaki Zięba Józef, nienotowany, na co dzień przebywający za granicą, w Anglii, najpewniej w pracy. Daktyloskopia będzie znana za dwie godziny...

- Dobra już, dobra - zniecierpliwiał się Musiał, wstając gwałtownie zza biurka, na białej, mundurowej koszuli widać było ciemniejące plamy potu. - Podrzuc mi lepiej jakiś pomysł, co mam powiedzieć tym złodziejom z pełnymi portkami, którzy tu zaraz będą.

- Może „Gwiazdor” by się nimi zajął? - podrzucił nieśmiało Konstanty Podbiał.

- Już próbował - zachnął się przełożony. - Nie chcieli nawet o tym słyszeć. Kto to w ogóle jest?! Chyba nie ministrowie jacyś!

Tymon Nowak niespiesznym ruchem sięgnął w zanadrze, po chwili zaszeleścił kartką, przebiegł oczami po zapiskach, pokiwał głową.

- Ministrowie to może nie, ale blisko, blisko - wyjaśnił. - Szychy to też mało powiedziane. Dyrektor finansowy jednej z trzech największych sieci telefonii komórkowych w Polsce. Wiceprezes banku. Właściciel hurtowni spożywczej i lekarz

wydają się przy nich kopcuszkami.

- Może rzeczywiście nasz zabijaka to jakiś trybun ludowy albo Janosik czy Robin Hood, który zabiera bogatym, a daje biednym - zastanawiał się głośno Musiał.

- Tylko że na śmierci jednego z drugim pożywią się tylko firmy pogrzebowe, a nie szeregowi pracownicy korporacji - zauważył Tymek, składając starannie kartkę.

- Też fakt - bąknął inspektor. - I co? I wszystkich skojarzyliście tak po prostu przez stronę internetową?

- To tylko nasza hipoteza - rzekł Kostek. - Niestety, sprawdziła się w przypadku doktora Pietrzaka, więc istnieje duże prawdopodobieństwo...

- I właśnie to im mam powiedzieć, tak? - wycharczał Musiał, po czym ciężko usiadł w fotelu. - Dzięki, Kostek. Umiesz pocieszyć człowieka.

Na szefowskim biurku zaterkotał jeden z telefonów. Bronisław Musiał nerwowym ruchem sięgnął po słuchawkę.

- Tak?

Podbiał dyskretnie odchylił mankiet koszuli i spojrzał na zegarek. Dochodziła czternasta.

- Jeszcze tego brakowało! - rzucił Musiał do słuchawki, po czym rzucił ją, aż zadzwoniło.

- Co jest, szefie? - zapytał znów Kostek, starając się pohamować uśmiech, który każdy, nawet zupełnie przypadkowy obserwator, określiłby jako kpiarski; w duchu aż chichotał, bo nie wiedział, co go czeka.

- Ty masz ten nowy mundur? - Musiał zwrócić się właśnie do Kostka.

- Dali do testowania - potwierdził Podbiał. - A co?

- A to, że pójdziesz pogadać w zastępstwie „Gwiazdora” do telewizji.

- Co?!

- To, co słyszałeś - odpowiedział inspektor.

- Przecież ja jestem zwykłym kryminalnym!

- Stary orzekł, że się nadasz - zakończył Musiał. - Temat też masz łatwy: bezpieczeństwo dzieci podczas ferii zimowych.

Tak oto Konstanty Podbiał dowiedział się, co to jest zemsta.

5

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, godzina 14.15.

- Co ty masz zamiar zrobić?! - krzyknęła kobieta. W odpowiedzi stojący naprzeciwko niej mężczyzna tylko się roześmiał; jakże przerażający był to dźwięk, jakby chichot szaleńca lub diabła, do tego stłumiony, jak gdyby w istocie dobiegał spod grubej warstwy ziemi. Nie doczekawszy się innej odpowiedzi, a miała na taką nadzieję - człowiek ów bowiem był osobą dobrze jej znaną - kobieta zaczęła powoli cofać się ku wyjściu. Napastnik jednak był szybszy: jednym susem dopadł drzwi, odcinając drogę ucieczki, czym do końca osaczył swoją ofiarę.

- Nie wygłupiaj się, Andrzej... - jęknęła, próbując się jednocześnie uśmiechnąć,

jednak jej siniejące ze strachu usta ułożyły się w podkówkę.

Kobieta znieruchomiała pod ścianą pokoju. Kątem oka ujrzała uchylone okno. Parter.

Spokojnie wyskoczę - pomyślała. Tylko żeby dostać się do tego okna. To najwyżej cztery, może pięć metrów. Byle się nie zdradzić z tym zamiarem. Czekać też nie...

- To już koniec - wycedził przez zęby człowiek nazwany Andrzejem: - Byłaś pewna, że ciebie to nie dotyczy, ale skończysz jak pozostałe.

W jego dłoniach zajaśniała szeroka, biała szarfa, której oba końce napastnik zaczął bardzo powoli okręcać na palcach dłoni. Część materii, pozostająca między rękami, ani na chwilę nie przestawała być napięta.

A więc to o tej jedwabnej taśmie, jako narzędziu zbrodni, mówiono od kilku tygodni - skonstatowała w myślach, mimo że te pędziły dokądś z zawrotną prędkością. Towarzyszyły im obrazy, jednak nie była to błyskawiczna projekcja całego życia, którą ponoć ogląda się na chwilę przed końcem, tylko ona sama, oglądana z boku, jakby oczami innej osoby: rusza w kierunku okna, już jest na parapecie, kiedy chwytają ją ręce złoczyńcy, powalają na ziemię, zaciskają się na jej szyi. I to samo od początku, i znów.

- Porozmawiajmy - wydusiła przez ściśnięte przerażeniem gardło. - Wydaje mi się, że... Że ty potrzebujesz pomocy.

- Zamknij się.

- Uczucia...

- Zamknij się! - ryknął bandyta. - Tylko to potraficie, ścierwa: gadać! To wam zawsze wychodzi najlepiej. Ale z tym koniec, rozumiesz? Koniec!

W głębi domu coś stuknęło. Napastnik spojrział w kierunku, skąd dobiegł dźwięk. W tym samym momencie kobieta rzuciła się w stronę okna. Przewracała stołki i krzesła, objając nogi, ale nie czuła bólu. Jeszcze dwa metry. Jeden. Dopaść krawędzi parapetu, wspiąć się, szarpnąć za futrynę...

Już jej nozdrza wypełniał świeży powiew, kiedy poczuła z tyłu szarpnięcie. Dłonie mężczyzny zacisnęły się u nasady jej szyi, zgniatając po obu stronach boleśnie wrażliwy mięsień trapezoidalny. Wyciągnięte palce napadniętej nie dostały parapetu. Zabrakło ledwo kilku centymetrów. Kobieta jeszcze raz rozpaczliwie szarpnęła się do przodu. Opuszki palców jednak ledwo tylko musnęły zimną krawędź parapetu. Jakaś okrutna siła pociągnęła ją do tyłu. Przed oczami zawirowało całe pomieszczenie wraz z sufitem.

Runęła na podłogę, na plecy. Jęknęła z bólu. Po sekundzie ujrzała nad sobą wykrzywioną niehumanie twarz napastnika. Obraz ten przecinała ukośnie biała, szeroka kreska, która powoli zaczęła się zbliżać do jej szyi. Z gardła kobiety dobiegł długi, spazmatyczny krzyk...

- Mamy to! Bez dubla - rozległ się wyczekiwany tak długo przez wszystkich głos reżysera; po chwili dodał jeszcze z ulgą, którą również chcieli poczuć wszyscy: - Dziękuję. Bardzo wam dziękuję. To było dobre! Przerwa.

Katarzyna Rawska otworzyła oczy, wstała z podłogi i rozejrzała się wokół siebie. Oddychała szybko. Mężczyzna siedzący obok niej ocierał pot z czoła przy pomocy jedwabnego szala - niedawnego narzędzia zbrodni.

- Teraz to już na pewno nie zaproszą mnie do Tańca z gwiazdami - zaśmiał się, kręcąc głową.

Kilka minut później Kasia siedziała w pokoju makijażystek. Wolała posłuchać najnowszych plotek niż przebywać z Robertem w palarni. Choć chciało jej się papierosa, jakoś się przemogła. Uraz do tego faceta był wciąż świeży. Nie przeszło jej, przeciwnie:

po odkryciu sprzed dwóch dni podejrzenia jeszcze bardziej się pogłębiły, choć z drugiej strony, brakowało jasnych dowodów. Tak, Kostek wiele razy jej to powtarzał - najważniejsze są dowody. Bez nich nie ma sprawy.

- A widziałaś ostatnią sesję tej Petroneli w „Playboyu”? - zaćwierkała jedna z makijażystek do drugiej. - Mój chłopak, który pracuje w gazecie, wiesz, to on mówi, że heble musiały chodzić, że hej!

- Jakie heble? - zdziwiła się druga.

- Oni w ten sposób mówią o takiej operacji, rozumiesz, jak się obrabia komputerowo zdjęcie. I wtedy można gołą babkę odchudzić o dwadzieścia kilogramów. Zmarszczki zdjąć z twarzy, a nawet cellulit wygładzić.

- Photoshop najlepszym przyjacielem kobiety - podsumowała milcząca dotąd, trzecia z pracownic obsługi planu.

- No, w każdym razie wygląda panna na dziesięć lat mniej - podsumowała ta pierwsza, porządkując zestaw pędzelków do pudrowania.

- A dużo musiała pokazać? - zainteresowała się trzecia, a i Kaśka w tym momencie nastawiła uszu, czekając z odwróceniem kolejnej strony kolorowego, wyświechtanego już nieźle czasopisma dla eleganckich pań.

Nie doczekały się jednak odpowiedzi. Rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś, kto za nimi stał, nie czekał na wezwanie, tylko nacisnął klamkę, może nawet zbyt mocno, bo wpadł do środka razem z drzwiami, niczym pijany.

- A, to tylko Emil - stwierdziły wszystkie trzy dziewczyny niemal jednocześnie, a w ich głos zabrzmiał wyraźnie zawód, jakby spodziewały się co najmniej wizyty Bogusława Lindy.

- Dzień dobry - przywitał się mężczyzna. - Przyniosłem farby.

Mówili na niego Emil, bo prawie nikt nie znał jego nazwiska.

Miał około trzydziestu lat i był niepełnosprawny intelektualnie, opóźniony w rozwoju. Na skutek jakichś koneksji rodzinnych czy towarzyskich, pewnie także w ramach terapii i z racji niedalekiego miejsca zamieszkania, mężczyzna odgrywał na planach zdjęciowych, które zorganizowane były w hali produkcyjnej na Noteckiej, zaszczytą rolę przynieś-wynieś. Nawet go tu lubili.

Bywało jednak, niestety, że ludzie z ekipy, rzadziej byli to aktorzy, robili sobie z kaleki niewybredne żarty. Wysyłali go na przykład z rzekomo ważną przesyłką, paczką, pustym pudełkiem po butach - i to akurat w chwili, gdy aktorki przebierały się w swoim pokoju. Albo do reżysera w momencie, gdy ten był w wyjątkowo podłym nastroju i właśnie skończył ślać joby wszystkim naokoło. Mimo to, Emil nie potrafił się gniewać na żartownisiów. Do aktorów zwracał się, używając ich serialowych imion. Prawdopodobnie nie potrafił odróżnić fikcji od rzeczywistości.

- Dziękuję. Połóż je tam - jedna z makijażystek wskazała chłopakowi pustą półkę w rogu pokoju.

Chłopak bez słowa wykonał polecenie. Przez cały czas nie odrywał wzroku od siedzącej w kącie pomieszczenia Katarzyny. Kobieta poczuła, że jest obserwowana, ale nie podnosiła wzroku, żeby zgromić nim intruza. Nie patrzyła też na żadną ze stron trzymanego wciąż na kolanach czasopisma. Spoglądała nieco dalej i w bok. Na buty, które miał na sobie Emil. Tak, już je gdzieś widziała. Zanim jednak uświadomiła sobie, gdzie i kiedy mogło się to zdarzyć, mężczyzna opuścił pracownię.

Mimo że miejsce nie należało do przesadnie ogrzewanych, Rawskiej zrobiło się gorąco...

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 14.30.

Młodszy aspirant Tymon Nowak wrócił ze spotkania u podinspektora Musiała wprost nieprzytomny z głodu. Choć zapobiegliwa sekretarka szefa sekcji zadbała, by na stole nie zabrakło kawy, herbaty, wody gazowanej i niegazowanej, a także kruchych ciastek, Tymek nie tknął nic ze słodkości. Starał się nie podjadać między posiłkami, tym bardziej słodczy; problem w tym, że spotkanie z ludźmi z listy sporządzonej przez Tymka ciągnęło się i ciągnęło, jak przesłuchanie jękały. Zagrożeń kulka szaleńca, być może nawet znajomego szaleńca, mieli mnóstwo pytań. I choć każdy z nich wypowiadał się, jakby siedział w telewizyjnym studiu, a nie w gabinecie szefa stołecznej dochodzeniówki, choć ubrany był w dobre ciuchy i pachniał najlepszą wodą toaletową, Tymek wyraźnie czuł charakterystyczny smrodek, który wydaje tylko jedna rzecz na świecie - strach.

Zapytani, czy podejrzewają, kto może stać za trzema morderstwami, zgodnie i energicznie kręcili głowami. „Zielony-65”, nick odrzuconego przez wszystkich kandydata na znajomego w klasowym portalu, też z niczym i z nikim im się nie kojarzył. Wielu ludzi zresztą chciało się do każdego z nich z osobna zbliżyć, wykorzystując wspomnianą witrynę WWW - i nie był to nikt z dawnych klas szkoły podstawowej, średniej ani studiów.

Tymon siedział w kącie gabinetu i skrętnie sporządzał notatki. Musiał, wbity znów w policyjny mundur i zapięty na wszystkie guziki, dwoił się i troił, by wyjść z twarzą z całej tej sytuacji. Biorący udział w spotkaniu Konieczko, swoim zwyczajem, próbował obrócić wszystko w żart, ale kilka znaczących, ciężkich spojrzeń gości starczyło, żeby się zamknął i położył uszy po sobie.

Po godzinie i pięciu minutach goście opuścili gabinet podinspektora Musiała i Pałac

Mostowskich, Nowak i Konieczko wrócili zaś do swojego pokoju.

- Chcesz? Mam kanapkę z krakowską - zaproponował Konieczko, podsuwając Tymkowi pod nos wyjętą właśnie z teczki paczuszkę z pieczywem, ten jednak zdecydowanie podziękował. - A może pizzę zamówimy? - zapalił się komisarz. - Wchodzisz, Andrzej? - zwrócił się do siedzącego cicho jak trusia Rudzkiego.

Ale i w nim, oszczędzającym zwykle na wszystkim oficerze, nie znalazł poplecznika, więc zrezygnowany usiadł za swoim biurkiem. Po chwili po pokoju rozniósł się charakterystyczny zapach.

Ciszę przerwał telefon terkoczący na biurku Tymka.

- Młodszy aspirant Nowak, słucham - rzekł do słuchawki.

Po drugiej stronie zameldował się dyżurny komendy.

- Masz gościa. Czeka tu na dole - poinformował oficer.

- Kto to?

Dyżurny wymienił nazwisko. Na jego dźwięk Nowak przełknął ślinę.

- I w ogóle to jakiś dziwny jest - dorzucił jeszcze policjant z dołu; ale aspirant już go nie słyszał.

W ciągu minuty znalazł się przy bramie. Stojący w cieniu gość rzeczywiście mógł wzbudzać wiele obaw: twarz osobnika szarzała od zarostu, ubranie zaś przypominało robociarski drelich najgorszego gatunku. Tylko ten jego wzrok - żywy, badawczy, przenikający. Zdziwiłby dalece każdego, kto tylko zaryzykowałby spojrzenie temu człowiekowi prosto w oczy. Tymona Nowaka nie dziwił jego wygląd, ale sam fakt, że

widzi tutaj tego osobnika. Oznaczać to mogło tylko jedno: coś się musiało stać.

- Co się dzieje? - zapytał Tymek drżącym głosem. - Coś z Ewą?

- Zniknęła - odpowiedział mężczyzna.

- Jak to zniknęła?! Kiedy?

- Dzisiaj po obiedzie. Wyszła do spożywczego. Szedłem za nią, jak wiele razy, czekałem pod sklepem, ale ona już stamtąd nie wyszła.

Tymon Nowak z całej siły uderzył pięścią o pobieloną ścianę.

- Cholera, znów się zaczęło.

7

Warszawa, stacja metra Centrum, godzina 16.40.

- Maszeruj! - syknął pod nosem, zbliżając się do starszej kobiety, blokującej przejście na jadących w górę, ruchomych schodach. - Przepraszam - powiedział już głośniejszym głosem, ale babsko tylko coś fuknęło przez ramię.

Mężczyzna jeszcze raz i głośniejszym głosem powtórzył jedno z trzech magicznych słów, których uczy się już małe dzieci, a gdy to nie poskutkowało, napał na zawalidrogę ramieniem i zaczął przeciskać się ku górze. Jęknął przy tym z bólu, wykrzywił twarz, bo wykonując tych kilka ruchów, nadwreżył bolącą rękę.

- Co za chamstwo! - zatrajkotała kobieta, rozglądając się w poszukiwaniu sprzymierzeńców; jednak ani miejsce, ani pora nie sprzyjały drace.

Już miał na końcu języka krwiste przekleństwo, ale w ostatniej chwili udało mu się opanować.

Nigdy się nie nauczy, że lewa jest zawsze wolna - myślał ze złością. Nawet parki zakochanych, nieprzystające się obściskiwac, pojęły, że na ruchomych schodach jedno musi być na górze. Nie obok. To nawet bardzo inspirujące, jak do domu wróca... No, ale te stare próchna za chuja się tej prostej sztuki nie nauczy, o nie!

Dochodząc i jadąc jednocześnie ku wyjściu z podziemnych korytarzy stacji metra Centrum, uniósł głowę. Zawsze lubił ten widok: rysujący się za szkłem półkolistej wiaty szarobury korpus Pałacu Kultury. Po kilku sekundach znalazł się na powierzchni. Rozejrzał się dookoła, jakby w poszukiwaniu drogi. Tak naprawdę jednak było to spojrzenie, jakim ogarnia się miejsce bliskie sercu. Znów hulał tu wiatr; właśnie zburzono halę handlową, podobny los czekał następną. Mało kto pamiętał, że to właśnie tutaj, jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu, było najżywiej handlowe serce stolicy.

Bazar pod Pałacem Kultury! Stare śmieci. Ile to już razy zaglądał tutaj, nawet bez konkretnego celu. Ot, żeby się pokręcić chwilę. Co to był za szok, kiedy pierwszy raz zagubił się w wąskich uliczkach, między dopiero co postawionymi, prowizorycznymi budami i metalowymi szczękami. Takiej ilości towaru i takiego ruchu, popytu nie widział nigdy wcześniej i nigdzie indziej. Dopiero później dowiedział się, że to targowisko, chyba jedno z największych na kontynencie i w dodatku umiejscowione, jak nigdzie, w samym sercu stołecznego miasta, na jego centralnym placu, określane jest pogardliwie mianem „tandety”.

Dwukasetowy magnetofon na pierwszym z brzegu stoisku z kasetami i płytami CD ryczał ile sił w głośnikach, miarowo popierdując membranami basów. Ustawione gęsto stragany oferowały wszystko, co tylko mogli sobie zażyczyć Polacy, których od niedawna przekonywano, że wyglądać dobrze trzeba: amerykańską odzież dzinsową Made in China, Indonesia lub Malaysia, spodnie we wszystkich kolorach i fasonach, proste, rurki, dzwony, kurteczki biodrówki z wyszyciem, skórzanymi wstawkami i

błyszczącymi guzikami. Jak zawsze, zatrząsienie butów, na koturnach i płaskim obcasiku, wąskich i szerokich, dla kobiet starych i podlotków, z cholewką i bez, sznurowanych, na zamek i mokasynów zdobnych w skórzany kutasik.

Kilka sklepików oferujących odzież z demobilu, żołnierskie hełmy, pasy, szelki, blaszane menażki i manierki, kurtki z Pustynnej Burzy w 1991 roku i tysiąc jeden rodzajów noży i bagnetów. Dużo sprzętu sportowego, głównie ubrań. Nowości stanowiły wówczas stragany oferujące telefony komórkowe i usługi łamania kodów do nich, niezbędne akcesoria, futerały.

Gdzie indziej oferowano garnitury ze skrzącego poliestru w kolorze zgniłej zieleni i czarne ze srebrnymi suwakami; krawaty we wszystkich kolorach tęczy, białe koszule wizytowe, stuprocentowo bawełniane - przynajmniej jeśli chodzi o... nić, którą przyszyto guziki. Ze zbiegających się ku środkowi ścieżki, krytych eternitem i blachą dachów w zimowe dni, jak teraz, kapiała woda, tworząc na asfalcie dwa podłużne, mokre i nierówne ślady. Oznaczenie szlaku. Dla wszystkich błądzących.

Błądzących jak on. Bo i nie umiał się odnaleźć, przez całe lata. No nie umiał! Kiedyś wszystko było inne: w radiu cztery programy, w telewizji dwa, a w partii jeden, za to będący jednocześnie programem narodu. Nigdy się zresztą do niej nie zapisał. Nie zdążył. Może nawet gdyby jeszcze żyła, nikt by od niego tego nie wymagał. Miał przecież fach w rękach. To, co robił, starał się robić dobrze.

Nigdy nie skrewił sprawy.

Nigdy nie chybił celu.

Nigdy nie spóźnił się z naciśnięciem spustu.

Nigdy nie pytał: dlaczego?

Kazali mierzyć w głowę, żeby nie było szans na przeżycie. Gorąco jak jasna cholera, jakieś plus pięćdziesiąt stopni, żar leje się z nieba, przez co broń zaczyna nagrzewać się jak najzwyklejsze żelazko. Chłopaki od pierwszej zmiany nauczyli się owijać wszystkie metalowe elementy szmatami, a i tak kilku doznało poważnych poparzeń. W dodatku dach domu, na którym leżał, nagrany jak patelnia. Brakowało tylko tłuszczu, a zaskwierczałby jak kiełbasa na kolację. Szczęściem ten dach nie był kryty blachą.

Wtedy, leżąc tam i czekając, aż Ahmed ukaże się w drzwiach miejscowego posterunku milicji - nowo powstałej formacji, mającej współpracować z siłami okupacyjnymi, przypomniał sobie inny dach: dach swojego domu. Wiele razy dawał schronienie przed pościgiem. A im nigdy nie chciało się czekać za długo pod wjazem, czasem tylko drabinę dla kawału odstawili, ale i tak nie bał się skoczyć. Na pewno nie wysokości, już prędzej reakcji sąsiada nerwusa z czwartego piętra.

Z dachu jego domu zawsze było lepiej widać; nawet szare i brudne podwórka nie były tak straszne, gdy patrzyło się na nie z wysokości. Nieco dalej, za Czerniakowską, szarzała „zwalka”, powstańcza góra. Po drugiej stronie był Park Łazienkowski, choć z sąsiedniej kamienicy widziało się tylko czubki najwyższych drzew. Za to dochodzący stamtąd, charakterystyczny krzyk królewskich pawi najlepiej słyszałeś właśnie na dachu.

W dole jakieś zamieszanie. Krzyk przekupek handlujących na targu.

Wzdrygnął się. Jeszcze raz przyłożył oko do lunety. Lubił zapach smaru, którym była konserwowana. W tym upale był on szczególnie intensywny, a przez to pobudzający. Okrągły obraz z krzyżem podziałki przedstawiał drzwi wejściowe posterunku milicji w Bagdadzie. Ruch w okolicach posterunku trwał bez przerwy, przez cały czas ktoś wchodził albo wychodził. O tym, że Ahmed, wiceszef irackiej milicji, kieruje się już ku wyjściu, miał poinformować zaufany człowiek znajdujący się w środku. Znak rozpoznawczy - zasunięcie czerwonej zasłanki w oknie na pierwszym piętrze.

Jedno spojrzenie w bok. Tak jak przed kilkunastoma sekundami.

- Jest! - szepnął sam do siebie.

Mimo koszmarne upału, przeszedł go lodowaty dreszcz. Wstrzymał oddech, choć palec wskazujący prawej dłoni jeszcze nie oplótł języczka cyngla. Krawędź lunety połaskotała rzesę. Skupić się, uspokoić oddech. Nie skrewić sprawy, nie chybić celu, nie spóźnić się. Nie pytać...

- Dlaczego?

Śniada twarz z wąsami wypełnia oto okrągłe pole. Środek skrzyżowanych linii podziałki, niczym znak dominacji chrześcijańskiego wojownika w muzułmańskim kraju. Po chwili to tylko niewielki czarny punkt. A tak naprawdę - czerwony. Kolejny punkt dla nas. Argument, że zło wciąż może być groźne, demokracja zagrożona, a spadkobiercy i mściciele Saddama - silni. To wszystko.

- To wszystko?

- Słucham?

- Czy tylko to pan bierze?

Kasjerka otaksowała go pogardliwym wzrokiem. Zaciśnięte zęby. A niby co jeszcze miał kupić? Pewnie pyta, bo nad głową ma jeszcze specjalny odchylany w dół pojemnik z pleksiglasu, gdzie trzyma pudełka papierosów.

- Tak. To wszystko - odpowiedział cicho.

Kobieta przesunęła towar nad czytnikiem.

- Trzydzieści dziewięć złotych dziewięćdziesiąt groszy.

Zapłacił, odebrał resztę. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od swojego nowego zakupu: pięknej, oksydowanej, osadzonej przy pomocy metalowych wkrętów na lekko wygiętym trzonku i bardzo ostrej siekiery.

8

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, godzina 17.05.

Katarzyna stała na parkingu przed halą zdjęciową i paliła papierosa. Wyjątkowo jej nie smakował, choć przecież zawsze lubiła palić na zewnątrz. Usiłowała się uspokoić przy pomocy nikotyny, jak już wiele razy wcześniej, jednak i to się nie udawało. Mimo że dzień zdjęciowy powoli zmierzał ku końcowi, samochodów jakoś nie ubywało. W którymś momencie Kaśka mimowolnie usłyszała, jak ktoś z ekipy szukał chętnych do spożycia, a wcześniej do zrzutki na tradycyjną flaszkę i coś na ząb - jeszcze na terenie hali, w jakichś jej zakamarkach. Może znalazł chętnych, kto wie...

W przypadku Rawskiej dzień można było uznać za udany. Scena ataku szaleńca, której się bała, wyszła wyjątkowo dobrze. Ludzie wyrażali się o niej w samych superlatywach, reżyser też, co nie zdarzało się znów tak często. Powinna być więc zadowolona.

A jednak nie. Nie dawał jej spokoju jeden szczegół, który zauważyła, siedząc w pokoju makijażystek: tym szczegółem były... buty, które miał na nogach Emil - znoszone, przybrudzone trampki koloru niebieskiego, charakteryzujące się jednym szczegółem - sznurowadła w jednym bucie były białe, w drugim zaś czerwone. Niby nic wielkiego, tym bardziej, że rzecz dotyczyła człowieka, za którego decyzje, nawet te dotyczące tak banalnej sprawy jak codzienne ubieranie się do pracy, nikt by nie poręczył.

Tylko że ktoś, kto miał na nogach takie buty, kilka dni wcześniej miał na twarzy także gumową maskę Władimira Putina...

- Możesz mi pokazać jeszcze raz ten kawałek, wiesz, o co mi chodzi... - prosiła pięć minut później, uśmiechając się, jak tylko potrafiła najpiękniej.

Operator Zbyszek Walicki zmierzył ją, jak zwykle, obojętnym wzrokiem.

- Chcesz znów polukać? - zapytał niepewnie.

- No.

- Ale dziś było naprawdę dobrze...

- Nigdy nie jest dobrze - stwierdziła twardo, by po sekundzie dodać poprzednim, przymilnym tonem: - Proszę.

- No dobra, siadaj - odparł nieco zrezygowany, wskazując dziewczynie miejsce do siedzenia.

Typowy szum filmowego planu był w tym momencie zupełnie inny niż zwykle. Było cicho. Można powiedzieć, że Katarzyna Rawska nie słyszała nic prócz bicia własnego serca.

- Co chcesz obejrzeć? - zapytał Zbyszek.

Tym razem nie trzeba było szukać długo: konkretny dysk, godzina i minuta, którą dobrze zapamiętała.

- Ale magik! - zaśmiał się Zbyszek, wskazując brodą na postać, podchodzącą na ekranie do drzwi, za którymi za chwilę miała rozegrać się dramatyczna scena.

- Zatrzymaj - powiedziała nagle Rawska, po czym zbliżyła twarz do ekranu. - Można

to powiększyć?

- Na tym etapie nie bardzo. Dopiero w fazie montażu.

Dziewczyna jeszcze bardziej zbliżyła wzrok do monitora, aż poczuła ciepło na twarzy, a nawet lekkie łaskotanie w nos. W migającym kadrze, u jego dołu, wyraźnie rysował się obraz przedstawiający, no właśnie - buty. Jedna noga właściciela butów była w powietrzu, robiła już krok do przodu, podczas gdy druga wciąż pozostawała złączona z podłożem. Dzięki temu można było dokładnie rozróżnić kolory sznurówek.

- Nie wiesz, gdzie można złapać Emila? - zapytała.

- Tego niepełno... tego? - Walicki nerwowo potarł czoło krawędzią prawej dłoni.

- Właśnie tego.

- Zwykle, jak nie ma czegoś do roboty, to przesiaduje w kotłowni, z palaczami.

- Gdzie jest ta kotłownia?

Chwilę później Katarzyna Rawska szybkim krokiem maszerowała w kierunku wskazanym jej przez operatora. Nie zastanawiała się za bardzo, co zrobi czy powie, gdy stanie twarzą w twarz z Emilem. Nie potrafiła też nazwać siły, która ją tam pchała. W podziemnych korytarzach panował półmrok i roznosił się zapach wilgoci, który dziewczyna pamiętała z dzieciństwa, kiedy to razem z kolegami z podwórka często bawiła się w chowanego i do ulubionych miejsc należały właśnie piwnice - cały niezwykle labirynt, płaczący się pod blokiem, w którym mieszkała.

Trafiła bez błędzenia. Drzwi do kotłowni atelier były uchylone. W dość jasnym świetle, o wiele jaśniejszym niż na korytarzu, dostrzegła dwóch mężczyzn. Siedzieli przy niewielkim stolczku i grali w karty. Żaden z nich nie był jednak Emilem.

- Dzień dobry - rzucił jeden z palaczy, zerkając kątem oka na gościa, po czym od razu krzyknął: - Emil, robota dla ciebie!

Lodowaty dreszcz przebiegł Kaśce przez plecy. Oddychała coraz ciężiej. Zrobiła nawet pół kroku do tyłu, ale w tym samym momencie zza rogu wychynęła głowa Emila.

- Już idę - odpowiedział.

Nie zdążyła nawet pomyśleć, kiedy stał przed nią, wpatrując się jej prosto w oczy nieruchomym, nieco przymglonym wzrokiem.

- Słucham, pani Donato?

W pierwszym momencie nie wiedziała, o co chodzi, do kogo zwrócił się chłopak; dopiero po chwili dotarło do niej, że użył on jej serialowego, nieprawdziwego imienia.

- Chciałabym porozmawiać - wykrztusiła.

Zawsze miała kłopoty z rozmową z takimi ludźmi. Pokrzywdzonymi przez los. Jak się wobec nich i nieszczęścia, które ich dotknęło, trzeba zachować? Czy mówić normalnie, jakby rozmawiało się ze znajomym, a może przyjąć ton, jakim ludzie zwracają się do malutkich dzieci czy obłożnie chorych starców? Przez cały czas uważać, żeby czegoś nie palnąć - choćby do człowieka bez rąk nie powiedzieć, że wszystko będzie dobrze i żeby... wziął się garść. Albo chwycił życie pełnymi garściami.

Zawsze podziwiała koleżanki aktorki, które chwilę po zakończeniu zdjęć pędziły do szpitali czy hospicjów, by spotkać się z chorymi lub ciężko chorymi dziećmi. Część ludzi co prawda twierdziła z przekonaniem, że rzadko które z takich spotkań odbywało się bez towarzystwa dziennikarzy pism kolorowych, fotoreporterów bądź kamer telewizyjnych, a cała rzecz miała podwójne dno. Tak czy inaczej, Katarzyna Rawska, dość popularna

aktorka teatralna i serialowa, do żadnego szpitala w ostatnim czasie nie trafiła. No, może pomijając odwiedziny u męża i Laury.

- Słucham panią? - Emil uśmiechnął się, ukazując krzywe i rzadkie uzębienie.

Kaśka czuła w głowie pustkę. Zupełnie jak na jakimś egzaminie. Postanowiła improwizować. Tak, to zawsze przychodziło jej najłatwiej. Stali niemal na środku kotłowni, choć nigdzie nie było widać czegokolwiek, co przypominałoby piec. Grający w karty mężczyźni nie zwracali na nich uwagi.

- Wiesz, kim jestem? - ni to zapytała, ni to stwierdziła.

- Pani jest panią Donatą - odpowiedział bez mrugnięcia okiem Emil.

Dobrze, oby tak dalej - pocieszyła się w myślach. Można spróbować pójść tym tropem.

- Ale tak naprawdę to ma pani na imię Katarzyna - dorzucił po chwili.

Co teraz?

- Tak, zgadza się - rzekła z uśmiechem. - Donata to wymyślone imię, którego używam tylko tutaj, na planie serialu, a Kasia to imię prawdziwe.

- A wie pani, że ja też ostatnio zagrałem w filmie? - pochwalił się naraz chłopak.

Katarzyna nie powiedziała nic, zrobiła tylko wielkie oczy. Świetnie zagrałyby w reklamówce truskawkowego jogurtu o jeszcze niższej cenie. Albo proszku, po którego użyciu próżno wypatrzeć plamę na obrusie. Tylko że oczy Kaśki zrobiły się okrągłe i wielkie bez pomocy komputerowych efektów. Emil jakby tylko na to czekał, bo aż oblizał wargi z emocji.

- No tak! - rzekł z zapalem. - To bardzo prosta scena była, a jednocześnie bardzo trudna. Miałem wejść do jednego pomieszczenia, tak żeby nikt mnie nie zauważył, i wylać płyn z butelki na jedną panią. Zna ją pani, Kasia na nią mówią. Kitty znaczy. W buteleczce była tylko woda, ale ta aktorka miała udawać, że ją to bardzo boli. Wszystko się udało bardzo dobrze, pani Donato. Nawet reżyser mnie pochwalił.

Rawska czuła, jak ktoś wylewa jej na plecy wodę, lodowatą wodę. Wzięła głęboki oddech, spojrzała Emilowi prosto w oczy i najspokojniej jak tylko potrafiła, zapytała:

- Jak się nazywa ten reżyser?

9

Warszawa-Praga, ul. Inżynierska, godzina 17.35.

Mundur miał kolor granatowy. Podobno znawca potrafi odróżnić granat kolejarzki od marynarskiego, a strażacki nigdy nie pomylił mu się z barwą uniformu, jaki noszą strażnicy miejscy. Dla komisarza Podbiała wszystkie te mundury miały jednakowy kolor - granatowy. Nazwa pochodzi od granatu. I nie był Kostek jedynym policjantem, który uważał, że bardziej każdemu funkcjonariuszowi w tym kraju przydałby się jeden, a najlepiej dwa granaty RG-42 (do użycia, dziennie) niż zmiana koloru i kroju mundurów. Na szczęście, mimo że decyzje już zapadły, nowym przyodziewkiem mogli pochwalić się tylko nieliczni. Podbiał był, niestety, jednym z nich.

Nowy mundur różnił się od starego nie tylko kolorem; był właściwie tylko bluzą zapinaną pod szyją przy pomocy kołnierzyka z białymi, kretyńskimi napisami POLICJA na obu jego różkach, a także na rękawach i patkach (szkoda, że nie na rozporuku! - śmiali się). I z pewnością wymagał mniej zachodu niż stary, w przypadku którego trzeba było prac i prasować koszulę, wiązać krawat, dopinać wszystkie guziki krępującej nieco ruchy marynarki, która tak naprawdę tylko brakiem osławionych, choć nic nie znaczących

„choinek” na kołnierzu i nakładanymi, granatowymi epoletami ze stopniem różniła się od marynarki dawnego milicjanta.

Kostek siedział zatopiony w myślach, w fotelu w telewizyjnej charakteryzatorni. Czekał na dziewczynę od make-upu. Z lustra spoglądał na niego jakiś gość w średnim wieku, chyba przystojny, choć z początkami siwizny na skroniach. Podkrążone oczy świadczyły o niespokojnej nocy, choć, na szczęście, głowa i żołądek już o niej zapomniały. Pod prawym okiem niewielka blizna, jeszcze z dzieciństwa. Poorane bruzdami czoło to już efekt trwających od dłuższego czasu problemów osobistych. Wszystko zresztą i tak za chwilę zniknie pod warstwą pudru...

- Już jestem - powiedziała z lekką sapką charakteryzatorka, dość korpulentna, choć młodziutka dziewczyna.

Kostek uśmiechnął się w odpowiedzi. Dziewczyna nałożyła mu foliową osłonę-pelerynkę, zupełnie taką samą, jakich używają fryzjerzy.

Nie miał być pierwszy raz na wizji; występować przed kamerą zdarzyło mu się, z różnych okazji, już dwa czy trzy razy. Wiedział więc, że zanim zostanie okablowany i usiądzie w studiu, musi zostać wprawdzie ucharakteryzowany. Przede wszystkim po to, żeby się nie świecić. Przy okazji można było zamaskować wszelkie niedoskonałości w postaci skaleczeń po goleniu lub pryszczu.

Miękki pędzelek przyjemnie połaskotał policzki i nos Podbiała. Potem przyszedł czas na już nieco mocniejsze ruchy wacika z pudrem. Kostek zawsze współczuł kobietom, że muszą paćkać się tak codziennie. A nawet kilka razy dziennie, czego najlepszym i najbliższym przykładem była jego żona, aktorka. Ona potrafiła to robić nawet półśpiąc! Jednak szczyt ekwilibrystyki Kaśka osiągnęła, kiedy w zeszłym roku jechali razem do Łodzi. Wstali bardzo wcześnie rano, wyjechali z miasta. Po półtorej godzinie znaleźli się w Łodzi. I tu zaczął się niezły cyrk: Rawska miała umówione spotkanie z dyrektorem jednego z teatrów, gdzie pojawiła się szansa zagrania znaczącej roli w ambitnej sztuce.

Czasu było coraz mniej, a dziewczyna była nieumalowana. W dodatku prowadziła samochód. Oczywiście, można było się przesiąść, ale Podbiał pechowo nie zabrał ze sobą prawa jazdy, w dodatku był nieco wczorajszy. W efekcie ona lewą ręką trzymała kierownicę, a prawą się malowała. Kostek zaś lewą przerzucał biegi, natomiast w prawej dłoni trzymał plan miasta, uważnie go studiując, no bo Łodzi też żadne z nich nie znało...

Komisarz ocknął się. W drzwiach charakteryzatorni pojawił się mężczyzna ubrany w elegancki garnitur, za nim zajaśniała blond szopa włosów innej specjalistki od makijażu.

- Proszę, to tutaj - powiedziała słodko dziewczyna, wskazując gościowi krzesło obok Kostka.

- Dzień dobry - przywitał się elegant.

- Dzień dobry - odparł niewyraźnie Kostek, dyskretnie zezując na sąsiada w lustrze.

Obraz na sekundę zniknął, gdyż makijażystka szerokim gestem nałożyła na gościa pelerynkę. Powiew rozniósł po pomieszczeniu woń drogiej wody toaletowej, której używał mężczyzna. Gdy Kostek po raz drugi spojrział na swojego sąsiada, wiedział już, że skądś go zna. Następne pięć sekund starczyło, żeby uświadomił sobie, skąd. Błogosławił w myślach folię, która osłaniała jego policyjny mundur. Tym, że za chwilę będzie musiał ją zdjąć i wyjść, jakoś jeszcze się nie martwił.

- Pan pierwszy raz w Super TV? - zagadnął Kostka sąsiad.

Podbiał kiwnął głową potakująco.

- Wcześniej bywałem w publicznej i TVN, ale tutaj pierwszy raz jestem - dodał, żeby nie wyjść na gbura.

- Ja też pierwszy raz - rzekł elegant. - Zadzwonili do mojego biura, że potrzebują

eksperta od finansów. Wie pan, kryzys. Ale w ogóle nie kojarzyłem tego adresu. Stara Praga, „trójkąt bermudzki”, gdzie tu stacja telewizyjna? Mój kierowca bał się zaparkować.

- Teraz wiele się zmieniło - wtrąciła zajmująca się mężczyzną makijażystka. - Jest o wiele spokojniej, niż było, a na Stalowej i Małej wybudowano nawet nowe apartamentowce.

- Dziękuję - zachnął się ekspert od finansów. - Chyba bym jednak nie kupił tutaj mieszkania, nawet na wynajem. Jakieś menty w bramach, butelki walające się po chodnikach. Za to policjanta żadnego.

Kostek poczuł, jak się czerwieni.

- Taki widok można równie dobrze zobaczyć na Marszałkowskiej - rzekł po chwili z lekkim przekąsem.

- Przesadza pan - ocenił elegant. - A tak właściwie, to co wcześniej tutaj było? Bo stacja telewizyjna to chyba od niedawna, prawda?

Podbiał wstrzymał oddech, jakby chciał pomóc swojej makijażystce, która właśnie skończyła charakteryzację i odwiązywała mu tasiemkę, mocującą pelerynkę na szyi. Przez chwilę miał nadzieję, że może nikt nie dosłyszał pytania.

- Od kilku lat działa tu studio telewizyjne, gdzie nagrywa się różne programy. Między innymi Familiadę - poinformowała z uśmiechem korpulentna dziewczyna zajmująca się Kostkiem.

Podbiał odetchnął z ulgą. Spokój nie trwał jednak długo.

- A wcześniej? - naciskał uparty gość.

A srał cię pies! - zaklął w duchu Konstanty. - Wnikliwy się znalazł. A przed chwilą nie podobali mu się zule w bramach i butelki na chodniku.

- Wcześniej było tutaj kino - odpowiedziała dziewczyna z jasną szopą.

W tym samym momencie cicho zaszeleściła folia pelerynki, którą okryty był nowiutki policyjny mundur komisarza Podbiała.

- Co?! - krzyknął finansista, zrywając się z fotela; zobaczywszy mundur, upadł jednak z powrotem na siedzenie, aż fotel zatrzeszczał. - Rozumiem. Wszystko pod kontrolą - rzekł po chwili, starając się poluzować pod pelerynką krawat i najwyższy guzik kołnierzyka.

W drzwiach charakterystorni pokazał się młody chłopak w słuchawkach na szyi, który kilka minut wcześniej przywitał Podbiała.

- Poproszę pana komisarza ze mną - powiedział.

- Jak to! A ja?! - finansista zaczął znów kręcić się na fotelu.

- Pan ma wejście za kwadrans, dokładnie za czternaście i pół minuty. Zaraz po panu komisarzu i reklamach - poinformował chłopak.

- Jak to? Przecież... A co z moją ochroną?!

Ale Kostek już nie słyszał krzyków mężczyzny, jednej z potencjalnych ofiar szaleńca, którego sprawą Podbiał się zajmował. Historia, jak widać, potrafiła dosięgnąć go swoimi mackami także i tutaj, w momencie, gdy miał wystąpić w innej roli - roli policjanta-wujka, przestrzegającego korzystające z uroków zimowych ferii dzieci przed wejściem na kruchy lód czy zjeżdżaniem na sankach w pobliżu ruchliwych ulic.

O tym wszystkim opowiadał przez następnych siedem, może dziesięć minut, podpytywany przez jasnowłosą i niczego sobie prezenterkę. Ani przez chwilę nie czuł tremy. Zdania składał sprawnie, logicznie i, co najważniejsze (wciąż opowiadało się dowcipy o policjantach), poprawnie.

Tak naprawdę jego myśli krążyły jednak wokół zupełnie innych spraw. Wiedział, że znajduje się w byłym praskim kinie Syrena, a więc w potencjalnym miejscu ataku. Może powinien, jeszcze przed wejściem do studia, wezwać tu kogoś z chłopaków lub przynajmniej znajdujący się najbliżej patrol? No, ale skąd miałby o tym wiedzieć zabójca? Śledzi ofiary, ma wtyki u ich sekretarek, a może w Pałacu Mostowskich?

Podbiał miał przeczucie, że jest już bardzo blisko rozwikłania zagadki serii morderstw - serii ułożonej według pewnego schematu: osobisto-historyczno-filmowego. Póki co, zabójca nie dał żadnych kolejnych wskazówek, nie zaanonsował w sieci kolejnego ataku, co jednak nie mogło oznaczać, że nie zaatakuje.

- Dziękuję państwu za uwagę. Gościem Super TV był komisarz Konstanty Podbiał z Komendy Stołecznej Policji - wyszczebiotała gospodyni popołudniowego pasma.

Rozległ się stłumiony sygnał czołówki, skądś dobiegły strzępy głośniejszej rozmowy. Nie byli już na wizji. Dziewczyna wstała, wyciągnęła rękę do Podbiała.

- Dziękuję, było mi bardzo miło.

- Mnie również - odparł Kostek; w tej samej chwili poczuł, jak ktoś wyciąga mu zza paska spodni niewielkie urządzenie nagłaśniające i usłyszał kolejne słowa podziękowania.

Ruszył ku wyjściu ze studia. W głównym foyer stacji, między dyżurką a bufetem, panował nerwowy ruch, ale Podbiał nie dostrzegł w tym nic nadzwyczajnego.

Pewnie kolejni goście z parciem na szkło - skonstatował w myślach. Gdy jednak dostrzegł czerwone uniformy ekipy karetki pogotowia, serce w nim podskoczyło. Zabójca uderzył znowu - to było jedyne, co przyszło mu na myśl. W dodatku stało się to...

Nie, z tego już się nie wytłumaczy. Jest zerem, totalnym zerem! Nic nie potrafi, to smutna prawda, o której trzeba powiedzieć w końcu głośno. Czym były sprawy w rodzaju kradzieży roweru albo bójki między przekupniami na bazarku, którymi zajmował się wcześniej, w porównaniu z tym wszystkim, co zaoferowała mu Warszawa? Nieraz zastanawiał się, czy podoła, czy przeprowadzka i podjęcie się nowych zadań zawodowych to najszcześniejszy wybór. Teraz, kiedy rozstał się z Kaśką, zaczynał rozumieć, że nie. Że się pomylił, wybrał złą drogę. Jednocześnie czuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg, rozpacz ściska za gardło, a przyszłość jawi się jako jedna wielka, czarna dziura.

Kostek przytrzymał się najbliższej ściany; mimowolnie przeczytał kilka zdań, zamieszczonych za szkłem na wiszącym na niej, niewielkim obrazku: DZIŚ KINO SYRENA ZAPRASZA NA FILM PT. „ADA”.

W progu charakteryzatorni pojawiły się nosze. Podbiał poznał nogi ekonomisty. Drogie spodnie od drogiego garnituru. Na swoich nogach, sztywnych ze strachu, podszedł do lekarza.

- Co z nim? - zapytał nieswoim głosem.

Medyk otaksował policjanta jednym spojrzeniem. Nie znali się.

- Z początku myśleliśmy, że to zawał, ale nie jest tak źle - powiedział po krótkiej chwili. - To chyba z przeciążenia. Dostał kroplówkę z glukozy i za dwie godziny będzie jak nowy. Wie pan, ten, kto nosi biały kołnierzyk, nigdy nie wie, kiedy

powiedzieć sobie: dość. A pan też - lekarz zbliżył twarz do Kostka i zmarszczył brwi - nie wygląda najlepiej...

10

Warszawa-Włochy, godzina 18.30.

Krótki skład pociągu Kolei Mazowieckich zatrzymał się na stacji Warszawa Włochy. Drzwi otworzyły się z głośnym rumorem. Wysiadło przez nie kilkoro pasażerów, którzy szybko ruszyli ku wyjściu. Tylko jeden z nich przez dłuższą chwilę stał na peronie, jakby nie potrafił się zdecydować, w którą stronę pójść. Rozległo się ostrzegawcze brzęczenie, drzwi zamknęły się z sykiem i kolejka pojechała w dalszą drogę do Sochaczewa.

- Pociąg Szybkiej Kolei Miejskiej z Pruszkowa do Sulejówka-Miłosnej wjedzie na tor przy peronie pierwszym - zaskrzeczał megafon.

Na peronie pojawiło się kilku nowych pasażerów. Tymon Nowak postawił kołnierz kurtki, schował ręce do kieszeni spodni. Zbliżał się już do prowadzących w dół schodów, kiedy dostrzegł wynurzającą się z pograżonej w półmroku czeluści postać. Na ułamek sekundy zrównali się dokładnie na pierwszym stopniu, który dla idącego z naprzeciwka był stopniem ostatnim. I jednocześnie pechowym. Stopa przyszłego pasażera nadjeżdżającej już eskaemki pośliznęła się na mokrej krawędzi. Stopa obuta była w kozaczek. Damski kozaczek.

- O Jezu! - jęknęła głośno dziewczyna, tracąc równowagę.

Nowak zareagował przytomnie i błyskawicznie: udało mu się wyrwać ręce z kieszeni i chwycić w pól zmierzającą już niechybnie ku dołowi dziewczynę. Rozległ się chrzęst miażdżonego podeszwami butów błota i piasku, obojgiem zakolebało, przez chwilę wydawało się, że razem runą w przepaść, jednak Tymkowi jakoś udało się złapać pion.

Weszli na peron, gdzie było już bezpiecznie. Dziewczyna głośno dyszała. Nowak puścił ją, wyraźnie zawstydzony. Ona dopiero po chwili zwolniła kurczowy uścisk swoich palców, którymi uczepliła się łokcia mężczyzny.

- O Boże, dziękuję panu bardzo... - powiedziała kobieta z nerwowym uśmiechem. - Te buty są strasznie śliskie.

Dopiero teraz ją rozpoznał. Aż zrobiło mu się gorąco.

- Nie ma problemu - zdołał wymamrotać.

Tymczasem na peron wtoczył się nowoczesny skład SKM. Kobieta, a była nią Katarzyna Rawska, żona komisarza Konstantego Podbiała, wydawała się czymś podekscytowana, choć nie było to chyba zażegnane przed chwilą niebezpieczeństwo upadku i połamania nóg w tunelu przystanku Warszawa Włochy. Zerknęła przez ramię Nowaka, jakby kogoś wypatrywała wśród pasażerów, podchodzących już do drzwi kolejki.

- Przepraszam - wymamrotała, ruszając w tamtą stronę; po kilku krokach rzuciła jeszcze przez ramię: - Dziękuję jeszcze raz.

Po chwili zniknęła w drzwiach kolejki. Tymon odprowadził ją wzrokiem. Przez chwilę wydawało mu się, że Rawska uzależnia swoje wejście do wagonu od tego, czy zrobi to ktoś spośród niewielkiej grupki, wsiadającej przez drzwi sąsiednie. A może było to mylne wrażenie...

Jutro powiem o tym Kostkowi - postanowił.

Pociąg odjechał w kierunku Warszawy, Tymon Nowak zaś zszedł w dół, po schodach, jak powinien uczynić już dobrych kilka chwil temu. W miarę jak zagłębiał się w ciemności, barwiły się na czarno także jego myśli.

Miał nadzieję, że - mimo wszystko - zostanie Ewę w domu. Że jej zniknięcie okaże się tylko nieporozumieniem, wartym natychmiastowego zapomnienia. Siostra Tymka bowiem była narkomanką, ale, jakkolwiek absurdalnie to brzmi, narkomanką... nowoczesną. Obraz ćpuna, który zaczęły przedstawiać media w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, na dobre wpisał się w świadomość społeczeństwa. Że brudny, obszarpany, zarażony HIV, najpewniej żyjący pod mostem lub na dworcu kolejowym. Dziewczyna musiała mieć rozwichrzone włosy, brzydką, ziemistą cerę, cienie pod oczami i mętne spojrzenie. Przedramiona pokłute igłą to była najważniejsza, a jednocześnie wspólna cecha polskich narkomanów.

Mało kto jednak wiedział, że z chwilą nastania kapitalizmu pojawili się także narkomani w białych kołnierzykach. Żaden z nich nie miał w rękach strzykawki ani nie był bezdomny, co jednak nie znaczyło, że spustoszenie, które wyrządzały w ich organizmach zażywane narkotyki, było mniejsze. Amfetamina, kokaina i podobne im dragi, aplikowane z klasą (do wciągania nie wypadało użyć innego banknotu niż ten koloru zielonego, a do dzielenia proszku na „ścieżki” innego „plastiku” niż złoty MasterCard!) - dawały „kopa”. System zaopatrywania, czyli popularna dilerka, również musiał mieć swoją klasę. Biały kołnierzyk nie szedł na dworzec kolejowy, żeby uzupełnić zapasy lub dokonać zakupów na sobotnie party przy świecach. To zapas przyjeżdżał do niego, ukryty w bucie albo ramie rowerowej, ale zawsze na czas. Na liście klientów dilerów znajdowały się już nie tylko szkoły czy wyższe uczelnie, ale i całe firmy, a nawet... teatry. Ceny musiały być w miarę stałe i podobne, bossowie mieli wydzielone rejony i starali się nie wchodzić sobie w drogę.

Stres, wyścig szczurów, praca po dwadzieścia godzin na dobę - wielu ludzi nie potrafiło obejść się bez wspomaganie, bez dopalaczy. Ewa nie potrafiła. Pierwszy raz wzięła na próbę. Czowała się świetnie, miała doskonały, wręcz euforyczny nastrój. Potem dopiero przyszły doły, uczucie wewnętrznego rozbicia, dziewczynie zaczęły się trząść ręce.

Tymon Nowak nie zdawał sobie sprawy, że jego siostra, absolwentka zarządzania, pracownica korporacji, może mieć tego rodzaju problem. Skąd mógł wiedzieć, że, by utrzymać się w siodle, trzeba pracować po dwanaście, czternaście godzin na dobę. I że same siły witalne, jogurty dla aktywnych i sycące obiady u mamusi nie wystarczą. Nie wiedział, że siostra bierze. Dopóki chłopaki z wydziału do walki z handlem narkotykami nie zapytali, na razie nieoficjalnie, czy nie ma czasem siostry Ewy, zamieszkałej we Włochach, ulica Chrościckiego. Od dawna mieli na widelcu gościa zaopatrującego firmę Ewy. Wydawało się, że rozmowa, jaką przeprowadziła z dziewczyną cała rodzina, przyniosła oczekiwany skutek.

Ale wtedy w firmie poleciały głowy. Nie wiadomo było, czy miało to jakiś związek z dragami. Ewa przeżyła wówczas gwałtowne załamanie nerwowe. Lekarz zalecał daleko idące zmiany w życiu codziennym, włącznie ze zmianą klimatu. Mieli jechać w góry, tak żeby jeszcze załapać się na jakiś śnieg - w tradycyjnym tego słowa znaczeniu! Tymon pilnował siostry, jak tylko mógł. Wiedział dobrze, że tego nie rzuca się ot tak, z dnia na dzień. Znalazł adres jakiegoś ośrodka leczącego podobne schorzenia i trzymał go na wszelki wypadek. Kontrolował jej rzeczy osobiste, rozmawiał. „Zatrudnił” nawet „Krzywego”, byłego narkomana, z tych gorszych, któremu kiedyś uratował tyłek. Ale nie upilnowali, cholera...

Pogrążony w myślach, brodząc w świeżo spadłym śniegu, pokonał park i kilkaset metrów chodnika ciągnącego się wzdłuż ulicy Chrościckiego. Spojrzał przed siebie, gdzie w świetle jodowych latarni różowiła się nowa fasada ich domu. W oknach mieszkania nie paliło się jednak światło.

- Szlag by to trafił! - zaklął głośno, kopiąc ze złością śniegową kulę wielkości piłki do koszykówki, utoczoną pewnie przez dzieciaki, która znalazła się na jego drodze.

Żywiąc jeszcze resztkę nadziei, że może Ewa śpi już albo po prostu siedzi po ciemku, przyspieszył kroku. Minął straszącą od lat ruderę na rogu ulicy Łuczek, przeskoczył przez kilka ścinanych wieczornym przymrozkiem kałuż i po chwili był już w domu.

Drzwi zastał jednak zamknięte, a mieszkanie puste. Za bardzo się tym nie zdziwił ani nie zdenerwował. Przyjął to raczej z tępą obojętnością. I ze smutkiem.

- Kurwa jego mać - podsumował już ciszej i spokojniej, jakby mówił „dobranoc”.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Mieli linię stacjonarną, ale prawie nikt prócz rodziców i telefonicznych akwizytorów jej nie używał. Nowak odczekał jeszcze zwyczajowo dwa sygnały, po czym podniósł słuchawkę.

- Słucham.

Odpowiedziała mu cisza, a raczej jakiś szum.

- Czego?! - rzucił ze złością.

- No i po co te nerwy, kolego? - odezwał się czyjś głos; był dudniący, jakby dochodził spod ziemi.

- Czego, pytam?! - warknął znów Tymon.

- Słyszałem, że siostra ci poszła w tango...

Nowak wstrzymał oddech. Do szumu w słuchawce dołączył odgłos bicia jego własnego serca.

- Dobrze słyszałeś - rzekł przez ściśnięte gardło, by zaraz dodać hardo: - I co?

- I gówno. Myślałem, że ci na niej zależy.

Tymek nic nie odpowiedział.

- Jesteś tam? - zapytał tajemniczy rozmówca.

- No.

- To spójrz w okno.

Nowak podniósł wzrok, odsunął firankę, ale niczego szczególnego nie dostrzegł. W pewnym momencie pośród światła, widocznych z okna zawsze, pojawiło się nowe, zielone. Mrugało miarowo.

- No i co? - rzucił do słuchawki aspirant.

- Lubisz kino?

- Co to ma do rzeczy?

- Jak lubisz, to chodź. Mają grać niezły thriller.

- Ale dokąd?!

- Światło cię poprowadzi.

W słuchawce rozległ się przerywany sygnał. Nowak odłożył ją na miejsce, po czym wyłączył dyktafon. Spojrzał ponownie w okno. Światło nadal mrugało. Skąd płynęło? Jedyne, co znajdowało się w tym miejscu, to była ta opuszczona rudera. Kilka razy nawet zastanawiał się, co się tam wcześniej znajdowało. Naraz przypomniał sobie rozmowę sprzed kilku dni, rozmowę z Kostkiem.

- Kino - powiedział na głos i zrobiło mu się zimno.

Walcząc z rękawami kurtki, zbiegł po schodach. W kilku susach pokonał podwórko i znalazł się na ulicy. Od razu dostrzegł dziurę w płocie, okalającym zdewastowaną budowlę. Przez cały czas mieszkania we Włochach nie wiedział, że przed laty mieściła w sobie kino o nazwie Olsztyn, a jeszcze wcześniej, przed wojną, kino Ada. Czy ten telefon miał coś wspólnego z prowadzoną przez nich sprawą. I z Ewą?!

Ostrożnie przeszedł przez dziurę w drewnianym ogrodzeniu. Nogi od razu zapadły się w głęboki śnieg. Nie dostrzegł innych śladów. Idąc krokiem bociana, dotarł do głównych drzwi dawnego kina. Były uchylone.

Pchnął je, nie dotykając klamki. Ustąpiły z dziwną jak na drzwi do rudery łatwością. Przed sobą widział nieprzeniknioną ciemność. Mimo to, zrobił kolejny krok, po nim jeszcze jeden. Odruchowo dotknął łokciem boku, gdzie powinna znajdować się kabura, ale kość trafiła na próżnię.

Wtem poczuł nad sobą gwałtowny ruch powietrza. Nim zdążył jakkolwiek zareagować, coś ciężkiego spadło mu na kark. Po chwili poczuł uderzenie czymś twardym w głowę. Film został zerwany.

11

Warszawa, centrum handlowe Arkadia, ul. Jana Pawła II, godzina 21.00.

Komisarz Kostek Podbiał nie pamiętał, kiedy był ostatni raz w kinie. Pewnie kilka miesięcy temu i pewnie z Kaśką, no bo z kim innym. Odkąd się między nimi popsulo - łagodnie mówiąc - zaniedbał w ogóle tę sferę życia. Dlatego postanowił, że dziś, w ostatni wieczór karnawału, wybierze się na film. W mieszkaniu nie chciał sam siedzieć, poza tym miał zamiar wynagrodzić sobie cały ten dzień rozpoczęty kacem, a zakończony nerwami w telewizji Super TV.

Zresztą, wybierając się do kina, za bardzo nie odchodzę od najważniejszego tematu -

zaśmiał się w myślach, stojąc w krótkiej kolejce do jednej z kas multipleksu, znajdującego się w najbliższym centrum handlowym.

Było mu obojętne, na jaki seans się wybrać i dokąd. Może być o miłości albo strzelanina z mordobiciem - naprawdę wszystko jedno, byle tylko zmienić otoczenie. Nie miał też właściwie nic przeciwko multipleksom, no, może wyłączając smród popcornu, którego nie znosił. Dziś jednak był w stanie wytrzymać nawet to.

O repertuarze bieżącym informowały ekrany zawieszane nad rzędem kas. Żaden z wyświetlanych tytułów nic mu nie mówił, więc musiał posiłkować się plakatami filmowymi, wiszącymi bardziej na lewo. Z wielu najbardziej uwagę przykuwał ten najbardziej mroczny, z twarzą zabójcy, która równie dobrze mogła być twarzą ścigającego go stróża prawa, rysującą się blado i niepokojąco w tym mroku. Poprosił o bilet, wybrał miejsce w sali na płaskim monitorze, choć i to było mu zupełnie obojętne. Zapłacił, nie dziwiąc się nawet niezbyt niskiej cenie biletu.

Przynajmniej jeden plus życia w pojedynkę - pomyślał z goryczą.

- Miłego wieczoru - rzekła młodziutka kasjerka.

Rozejrzał się dookoła. Nie było wielkiego ruchu, wszak to tylko wtorek, a nie weekend w którymkolwiek swoim stadium, może prócz późnego niedzielного wieczoru, kiedy to dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa w tym kraju zaczynają boleć trzewia na myśl o poniedziałkowym poranku. Jeśli nie jest to lany poniedziałek.

Kostek wolnym krokiem człowieka uczciwie wypoczywającego skierował się w stronę sali numer cztery. Idąc, wyłączył telefon. Podeszwy butów lekko zapadały się w miękką wykładzinę, gdzieś z boku dobiegł strzęp muzyki kończącej jakiś inny seans. Tak, tego mu najwyraźniej brakowało. Lata mijały, a on nadal pozostawał nieodporny na magię, jaką ma w sobie kino. Nie lubił tego sformułowania, wydawało mu się strasznie wyświechtane, jednak jakoś nie znajdował innego na określenie tego, czemu się

bezwiednie poddawał.

Sala kinowa, jedna z dwunastu, jakie posiadał multiplex, nie była wielka. W głębokich i miękkich fotelach siedziało tylko kilka osób. Podbiał zajął miejsce w ostatnim rzędzie, o którym zawsze się mówiło, że siadają w nim pary, które przyszły nie na film, a do kina.

Do rozpoczęcia seansu zostało jeszcze pięć minut. Światła nieco przygasły i na ekranie zaczęło się wyświetlanie reklam. Przez cały czas przybywało widzów, jednak w momencie zgaszenia światel sala nie była wypełniona nawet w jednej piątej. Na ekranie zaczęły pojawiać się trailery nowych filmów. Wreszcie zaczęła się projekcja. Twarz przedstawiona na plakacie okazała się, jak Kostek przypuszczał, fizjonomią policjanta. Film od początku był też mroczny jak afisz. Morderstwa, żmudne dochodzenie, nękanie kolejnych świadków. Mało muzyki, długie chwile ciszy.

W pewnym momencie, jakieś pół godziny od chwili rozpoczęcia emisji, jedną z takich chwil przerwał odgłos dzwonka telefonu komórkowego. Podbiał wzdrygnął się. Dźwięk powtórzył się, a dochodził z dołu, ze środkowych rzędów.

- Wpuścić chamstwo na salony - podsumował głośno ktoś siedzący dwa rzędy od Konstantego.

Ale właściciel dzwoniącej coraz głośniejszej komórki, jakiś młokos, nie przejął się zarówno tą opinią, jak i w ogóle całą sytuacją. Jakby nigdy nic odebrał połączenie.

- Halo! - powiedział głośno, gdyż akurat na ekranie zaczęła się ilustrowana odpowiednią muzyką pełna dynamiki scena pościgu.

Podbiał pokręcił głową z niedowierzaniem. Tymczasem rozmówca rozmawiał sobie w najlepsze, w dodatku, co komisarz stwierdził ze zgrozą, wychyliwszy się ze swojej miękkiej gawry, trzymał nogi na oparciu jednego z foteli w niższym rzędzie! Komentarze

na temat takiego zachowania sypały się coraz gęściej i były coraz głośniejsze, nikt jednak nie kwapił się, aby zwrócić uwagę niewychowanemu gnojkwowi.

Nagle stało się to, na co wszyscy czekali. Jakaś postać podeszła od tyłu do rozmawiającego przez telefon młodzieńca i nie mówiąc nic, wyrwała mu telefon z ręki, po czym rzuciła nim w stronę wyjścia. Chłopak zerwał się jak oparzony. Zaczęli się szarpać. Podniósł się krzyk.

Wtem coś błysnęło. W rękach człowieka, który rzucił telefonem, pojawił się jakiś dziwny przedmiot.

- Uważaj! On ma siekiere! - wrzasnął ktoś.

Przerwano projekcję. Podbiał wstał z fotela i w kilku susach znalazł się w zapalnym miejscu. Rzeczywiście, w rękach mężczyzny, którego twarzy komisarz nie widział, znajdowała się najprawdziwsza siekiera.

Zapaliły się górne światła.

- Siadaj, Jacek. To jakiś psychiczny jest - powiedział do młokosa z komórką jeden z jego kamratów.

Podbiał spojrział w drugą stronę, ale ujrzał tylko oddalające się plecy mężczyzny. Siekiery też nie było już widać.

DZIEŃ SIÓDMY

1

Warszawa, plac Wilsona, nazajutrz, Środa Popielcowa, godzina 8.35.

Od kiedy zamontowali sygnalizację świetlną na placu Wilsona, nic nie działa normalnie! Człowiek już dawno wyszedłby z tego nabitego pod dach autobusu i pewnie już schodziłby po schodach prowadzących do stacji metra. A tak, kurwa, stoi. Na rondzie pusto, a autobus musi czekać, aż miłościwie zabłyśnie światło zielone.

Kostek dotknął czołem zimnej pionowej rurki, której się trzymał. Z kabiny kierowcy dobiegały stłumione nieco dźwięki przeboju T. Love, gdzie mowa o „pieprzonym Żoliborzu”. Nie jest znów taki zły, ale od kiedy jakiś debil w ratuszu wpadł na pomysł, żeby uregulować przy pomocy trójkolorowych świateł ruch na placu Wilsona, żyć tu jakby gorzej.

- „Gdy patrzę w twe oczy zmęczone jak moje, to kocham to miasto zmęczone jak ja”... - seplenił Muniek Staszczyk; stara piosenka, przywodząca na myśl młodość, nie potrafiła wprawić Kostka w dobry nastrój. Nie tym razem. I nie tylko dlatego, że nie miał już komu patrzeć w te oczy zmęczone.

Autobus linii 122 ruszył wreszcie spod świateł. Po chwili zatrzymał się na przystanku i otworzył drzwi. Wysypali się niemal wszyscy pasażerowie. W środku zostało może z pięć osób, między nimi dziwny gość w średnim wieku, który wsiadł kilka minut wcześniej, na przystanku Sady Żoliborskie. Od razu wzbudził zainteresowanie Podbiała; w jego twarzy, zadrapanej pewnie przy goleniu, było coś nienormalnego, mężczyzna głośno pochrząkiwał, rozglądał się naokoło, jakby chciał komuś przyłożyć. Ale to jeszcze nic: na jego piersiach wisiała zalaminowana biała kartka formatu A4. Wypisano na niej przy pomocy komputera, grubą czcionką, następujący tekst: NIE CHCĘ POZNAĆ ŻADNEJ DZIEWCZYNY. NIGDY NIE UMAWIAŁEM SIĘ Z NIKIM.

Kogo jak kogo, ale świrów nigdy w tym mieście nie brakowało i pewnie nie zabraknie - ocenił w myślach Kostek Podbiał, maszerując nieprędko, niesiony przez milczący tłum wzdłuż zachodniej pierzei placu, zajmowanej od niedawna niemal w całości przez banki.

Nic mu dziś nie wychodziło, choć dzień ledwo się zaczął. Kostek nie ocknął się na dźwięk dzwonka budzika, nie zjadł śniadania, nie ogolił się, a i tak nie zdążył na autobus, jadący w stronę metra Stare Bielany, tym samym pozbawiając się szansy na miejsce siedzące. Aby się nie spóźnić za bardzo do roboty (po wczorajszej aferze lepiej było nie przeginać), musiał jechać na plac Wilsona, autobusem 122, który właśnie podjeżdżał na przystanek. Wóz prowadziła kobieta, właściwie młoda dziewczyna, za sprawą czego Podbiałowi odrobinę poprawił się humor. Przez chwilę bawił się, obserwując, jak babka sobie radzi za kółkiem; radziła sobie nieźle, co jednak szybko znudziło obserwatora, pewnie zresztą niejednego.

Znów stać i czekać, aż zapali się zielone. Człek już dawno byłby w środku! O, jakaś panna weszła na zebnę, mimo czerwonego światła, wcielając tym samym w życie hasło „Złam zasady!”, powtarzane w kolorowych tygodnikach dla kobiet i reklamach wody niegazowanej. Za nią rozchybotanym krokiem ruszył jakiś pijaczek; ten jednak nie miał szczęścia, bo od ulicy Popiełuszki pędził samochód. Zbliżając się do przejścia, kierowca nie zwolnił jednak, tylko kilka razy nacisnął na klakson.

- No pasaran! - krzyknął pijaczek, wygrażając pięściami mijającemu go pojazdowi.

Wreszcie zabłysło zielone światło i Kostek, niewyróżniający się z tłumu, poszarzały nie tylko od zarostu na twarzy, nieco zgarbiony, z rękami ukrytymi głęboko w kieszeniach, powlókł się ku wejściu do stacji metra. Niestety, incydent z pijaczkiem na pasach też tylko na krótką chwilę poprawił mu humor.

Dziś w samo południe, w gmachu sądu w alei Solidarności, zwanym dawniej sądem na Lesznie, miała odbyć się pierwsza sprawa rozwodowa Konstantego Podbiała i jego żony, Katarzyny Rawskiej.

Potrójny, ostrzegawczy sygnał wybrzmiał o wiele głośniejszy niż zwykle i niemal złowroźnie.

- Srał was pies - mruknął Kostek pod nosem, odsuwając się od krawędzi peronu.

Opadł ciężko na ławkę i przymknął oczy. Znów nie próbował nawet podjąć walki o dostanie się do wagonu. Czy cały dzień taki będzie? Czy z bydlęcą pokorą przyjmie wszystko, co przyniesie - włącznie z wyrokiem sądu?

- Uwaga! Pociąg kierunek Młociny - rozległ się głos w megafonach.

A gdyby tak wsiąść do tego pociągu? - pomyślał Kostek. Nie patrząc na nic, ruszyć na północ, choćby i tych kilka stacji, potem wsiąść, podjechać na wylotówkę na Gdańsk, złapać stopa. Asfalt jezdnii będzie mokry, woda zaszumi pod kołami aut, a z radia samochodu, który zatrzyma się ledwo po minucie oczekiwania, popłynie dawno nie słyszana piosenka, przywodząca na myśl młodzińcze lata. Wtedy wszystko było jasne, a na pewno wyraźniejsze. No i człowiek miał jeszcze nadzieję, wierzył w miłość, co łączy na zawsze...

- Uwaga! Pociąg kierunek Kabaty.

Tłum nowych pasażerów czaił się już na krawędzi peronu niczym gotowe do skoku, drapieżne zwierzęta.

Niedobrze - pomyślał Kostek, nie zmieniając pozycji. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się dziewiąta. Dobra, jakoś wytrzyma.

Na peron wtoczył się skład. W środku było aż ciemno od ludzi. Podbiał zacisnął zęby i wzorem innych zbliżył się do krawędzi peronu. Otwarto drzwi. Nikt nie wysiadł. Podbiał przepuścił dwie kobiety, po czym wcisnął się do środka. Znalazł kawałek wolnej przestrzeni, stanął na rozstawionych szeroko nogach, bokiem do kierunku jazdy. Od najbliższego pasażera dzieliło go może dwadzieścia centymetrów. Jak na warunki podróżowania warszawskim metrem w godzinach szczytu, był to luksus. Zamknęły się drzwi, składem szarpnęło.

- Następna stacja: Dworzec Gdański - poinformował pasażerów aksamitny głos lektora, Ksawerego Jasińskiego.

Skład rozpędzał się. Podbiał zatrzymał wzrok na wiszącym nad głowami pasażerów monitorze, na którym emitowano wiadomości, a także reklamy. Te umieszczone były również na stałe po bokach: zachęcały do studiowania na prywatnych uczelniach albo też kupowania apartamentów, których wykonawcy prześcigali się w wymyślaniu przyjemnych nazw: Zielone Zacisze, Kasztanowy Zakątek, Apartamenty Pod Lipami - jakby nie patrzył, wszystko pasowało jak ulał do... cmentarza.

Nagle Podbiał poczuł, że coś wbija mu się w plecy. Wzdrygnął się, obejrzał przez ramię, nawet nie siłąc się na dyskrecję. Jakaś paniusia z parasolką i miną obrażonej kucharki. Zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. Kostek jeszcze mocniej zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć czegoś nieprzyjemnego. Za oknami pojawił się peron stacji Dworzec Gdański, przedostatniej, na której wsiada jeszcze dużo ludzi. Czy wsiądzie? Tego nikt nigdy nie będzie pewnym. Aż do zamknięcia drzwi.

- Proszę się posunąć! - gardłowała jakaś kobieta.

- Nie muszę, psze pani. Mam narzeczonego - odpowiedział jej piskliwym głosikiem jakiś gówniarz, czemu zawtórował rechot jego kompanów.

- Chamstwa się zawsze nazjeżdża... - burknęła baba.

- Nikt ci nie każe ciągnąć ze sobą całej rodziny - podsumował ten sam głosik, znów przy akompaniamencie śmiechu na granicy torsji.

W środku zrobiło się dużo ciasniej. Kostek, naciskany ze wszystkich stron, oddychał z coraz większym trudem. W pewnej chwili przeszło mu przez myśl, czy nie przepchać się przez tłum, nie wyjść z pociągu. W tym samym momencie jednak z sykiem zasunęły

się drzwi.

Daję stówę, że jeszcze się otworzą - zadeklarował w myślach.

Po chwili drzwi rzeczywiście ponownie otwarto. Podbiał tylko się uśmiechnął.

- Następna stacja: Ratusz Arsenal.

Kostek poczuł, jak wraca mu ochota do życia. Nie wiedział, że nim minie dopiero co rozpoczęty dzień, uczucie to wypełni go jak nigdy dotąd. Tak mocno, jak pragną żyć ludzie, którzy umierają...

2

Warszawa, Komenda Stołeczna Policji, godzina 10.12.

- Cześć pracy! - rzucił od progu, zamykając za sobą drzwi gabinetu.

Na swoich miejscach siedzieli już Konieczko i Rudzki. Pierwszy jak zwykle jadł, zresztą już drugą kanapkę, drugi tradycyjnie grzebał w papierzykach, które niezmiennie zalegały na jego biurku.

- A gdzie jest Tymon? - zapytał od niechcienia komisarz Podbiał.

Konieczko tylko wzruszył ramionami, podkomisarz Andrzej Rudzki, również milcząc, pokręcił zdecydowanie głową.

- Korki na mieście jak jasna cholera, to pewnie stoi i klnie, na czym świat stoi - spekulował ten pierwszy, wyciągając sobie z zębów długą skórkę od kiełbasy. - Choć z drugiej strony, nie powinno być tłoku na ulicach, bo chłopaki ostrzegali lojalnie i jak nigdy, że dziś przy wyjazdach z osiedli będą łapać „wczorajszych” kierowców. Paradoks,

nieprawdaż?

Podbiał wystukał na służbowym aparacie numer komórki Nowaka, chwilę czekał, patrząc za okno; nad Warszawą pojawiło się wiosenne słońce.

- Poczta się tylko zgłasza - stwierdził, po czym odłożył słuchawkę.

- Może zachlał gdzieś wczoraj wieczorem i teraz dogorywa, biedaczysko? - nie przestawał zgadywać komisarz Konieczko.

- Dziwne - mruknął Kostek, pocierając nieogolony zarost. - Bardzo dziwne.

- Wczoraj był tutaj u niego jakiś dziwny gość - powiedział milcząco dotąd Andrzej.

- Jaki gość? - zainteresował się Podbiał.

- Chłopaki w biurze przepustek mówili, że to chyba jakiś ćpun. Przynajmniej na takiego wyglądał.

Partner Tymka zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Dobra, nie ma co się martwić na zapas. Poczekamy - zakończył temat, po czym w pokoju śledczych nastąpiła cisza jak we wzorowym biurze.

Przerwało ją dopiero wejście naczelnika Musiała; był bez munduru, w dzinsach i sweterku w serek, o wiele bardziej swojski, tym samym chyba i szczęśliwszy, choć najwyraźniej nie miał zamiaru dać tego po sobie poznać.

- Dzień dobry - burknął.

Odpowiedzieli mu, każdy na swój sposób: ciszej, głośniejszy czy tylko skinieniem

głowy. Podinspektor potoczył badawczym wzrokiem po biurkach swoich podwładnych, ale nawet nie zapytał o nieobecność aspiranta Nowaka. Podeszedł do Kostka.

- Jak wczorajszy występ?

- W porządku, inspektorze - odpowiedział, zresztą zgodnie z prawdą, Podbiał.

- A co dziś grają w kinie?

Wiedzieli aż nazbyt dobrze, i to wszyscy, że tym razem nie mogą odebrać tego pytania wprost i pozwolić sobie na żarty, w czym najpewniej przodowałby dyżurny filut Konieczko, sięgając z niewinną miną po dzisiejszą gazetę z repertuarem kin. Nie mogli nie pojąć aluzji. Od wczoraj było wiadomo, że naciski z góry, żeby sprawę szybko zakończyć, będą się już tylko nasilać. Mimo że pora była dość wczesna, Musiał pewnie odebrać kilka telefonów z pytaniami o postępy w śledztwie.

- Ochrona została tym panom przyznana - powiedział Kostek.

- To wiem i bez ciebie - skwitował naczelnik. - Internet?

- Nie ma żadnych nowych filmów - odparł cicho Andrzej Rudzki, wyznaczony wczoraj między innymi do monitorowania sieci. - Sprawdziałem rano, ale zobaczę jeszcze raz...

Policjant podeszedł do komputera i włączył go.

- Podobno niektórzy ludzie potrafią sprawdzać pocztę elektroniczną nawet co pięć minut - rzekł ze znanstwem komisarz Konieczko. - Paradoks, nieprawdaż?

Przez moment było słyhać tylko stukot klawiszy komputera, Rudzki radził sobie najlepiej z nich wszystkich, aż trudno było uwierzyć, że na skutek tych serii trzasków, na

ekranie pojawia się jakiś logiczny tekst.

- Jest! - zawołał Rudzki.

- A nie mówiłem - rzekł z triumfem Konieczko.

Nachylili się we cztery nad pokrytym warstewką kurzu monitorem. Pod tym naturalnym filtrem okazał się nieco mniejszy ekran. Andrzej powoli najechał kursorem na strzałkę uruchamiającą film i kliknął.

- Chce zabić Szapołowską?! - gruchnęło ze wszystkich piersi niemal jednocześnie.

W istocie, w niewielkim prostokącie pokazała się twarz popularnej polskiej aktorki, bardzo pięknej kobiety. Nie był to jednak typowy film; znawcy strony wiedzieli, że często chodziło w niej bardziej o muzykę, mniej o obraz. Jeżeli ktoś miał na przykład problem ze zdobyciem oficjalnego teledysku swojego ulubionego wykonawcy, realizował swój. Często jakąś tkliwą piosnkę ilustrowano zdjęciami ukochanej, ukochanego, zachodem słońca czy serią slajdów z ostatnich wakacji w Tunezji.

Tymczasem na ekranie wciąż był ten sam fotos przedstawiający gwiazdę w jakimś filmie fabularnym. Powiększał się, potem przesuwał i zmniejszał, dzięki czemu w kadrze po chwili pozostawała sama twarz.

- Możesz go jakoś zlokalizować? - zapytał Kostek.

Odpowiedzią był odgłos uderzanych, a może raczej ledwo muskanych klawiszy, który to dźwięk przypominał przesypujące się drobne kamyki - taki dobry był Andrzej Rudzki!

- Obawiam się, że... - zaczął, by szybko zawiesić głos.

- Wiem, gość się będzie maskował, jak tylko można. Nie obstawimy przecież wszystkich kawiarenek internetowych - myślał głośno Musiał.

- Obawiam się, że go znalazłem - powtórzył cicho Rudzki. - Numer odpowiada numerowi... komendy na Mokotowie, przy Malczewskiego.

- To ktoś z naszych?! - wyrwało się znów z trzech gardeł jednocześnie.

O tym, że policjanci nie byli święci, wiedzano aż za dobrze, także z gazet i telewizji. Doniesienia o większych lub mniejszych aferach, w które zamieszani byli funkcjonariusze różnych wydziałów, pojawiały się, niestety, równie często jak wiadomości o sukcesach - spadku liczby przestępstw w tej czy innej dzielnicy bądź aresztowaniu jakiegoś mafijnego bossa i jego żołnierzy, co od razu ogłaszano jako rozbicie gangu.

Wydział wewnętrzny miał co robić. Jedną z głośniejszych wpadek była niedawna historia z lokalami operacyjnymi w mieście, które, „spalone”, funkcjonariusze podkupywali przez podstawione osoby za bezcen. Co jakiś czas pojawiały się też kwiatki dotyczące łapówkarstwa wśród chłopaków z drogówki, posługujących się przestawionym alkomatem, albo orłów z obyczajówki, biorących działkę za ochranianie agencji towarzyskich w Śródmieściu, także tych, gdzie pracowali panowie.

Dlaczego zatem któryś miałby się nie skusić i nie robić za mordercę na zlecenie?

- Włącz fonię - polecił Kostek po chwili.

- Właśnie miałem zamiar to zrobić - odparł ze spokojem Rudzki.

Po sekundzie z głośniczków gruchnął dziwny dźwięk. Nie od razu udało im się rozpoznać, z czym mają do czynienia. Ale już po kilku taktach...

- Niemiecki marsz? - Konieczko pytająco popatrzył na pozostałych. - Co to ma znaczyć? Kostek, ty się powinienes znać na niemieckich marszach!

Podbiał puścił żart mimo uszu. Na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie aktorki.

- Nic nie rozumiem - mruknął podinspektor Musiał. - Co ma wspólnego Grażyna Szapołowska z marszem NSDAP?

Nikt nie wiedział, więc nikt nie udzielił przełożonemu żadnej odpowiedzi. Również na następne, o wiele trudniejsze pytanie:

- A gdzie jest właściwie Nowak?

3

Warszawa-Włochy, ul. Notecka, godzina 10.20.

- Dziękuję! Bez dubla! - krzyknął reżyser, by po sekundzie dorzucić jeszcze z zadowoleniem: - Mamy to.

- Dwadzieścia minut przerwy! - rozległ się znajomy, wyczekiwany głos kierownika planu.

Robert spojrział pytająco na Kaškę. Nie odzywał się, tylko to spojrzenie, za którym przepadały nastolatki gromadzące się codziennie przed telewizorami. Wiedział, że coś jest nie tak. Nie domyślał się jednak, o co może dziewczynie chodzić. Wydawało mu się, że już nawiązał z nią nić porozumienia, która przez jakiś czas się trzymała...

- Palić, palić! - jęknęła Anka, która już trzymała w palcach, w charakterystyczny dla siebie sposób długiego i cienkiego papierosa. - Ktoś idzie do palarni?

- Ja - odpowiedziała z zapalem Katarzyna.

Robert otworzył drzwi prowadzące na korytarz hali zdjęciowej, odsłaniając na prawym bicepsie tatuaż w kształcie skorpiona. Troje aktorów przeszło w milczeniu kilkanaście metrów korytarza wytwórni. Z każdym krokiem było coraz ciszej, a jednocześnie coraz chłodniej. Tylko w jednej z tych osób niemal bulgotała gorąca krew.

Po chwili zamknęli za sobą drzwi niewielkiego pomieszczenia. Robert, cały czas milcząc, podał obu kobietom ogień, po czym rozsiadł się wygodnie w starym fotelu z wytartymi do żywego podłokietnikami. Cała trójka zaciągnęła się tytoniowym dymem, który w kilka sekund rozdzielił ich gęstą zasłoną. Wszystko toczyło się zgodnie z ogranym scenariuszem. Tylko Kaśka Rawska nie przewracała kartek scenariusza, który zawsze zabierała ze sobą na przerwę, aby przypomnieć sobie tekst dialogu. Wiedziała, co zaraz powie. O niczym innym zresztą nie myślała od kilkunastu godzin.

- Byłam wczoraj w szpitalu, u Laury Minz - rzekła, patrząc w zamgloną przestrzeń, gdzieś między Robertem a Anną.

- Co u niej? - zainteresowała się blondynka, strzepując popiół do wypełnionego w połowie słoika po dżemie.

- Już lepiej, przynajmniej fizycznie, choć czeka ją jeszcze kilka miesięcy rehabilitacji, a potem przeszczep. Gorzej jest z jej psychiką. Chyba jeszcze do niej nie doszło, że już nic nie będzie takie jak kiedyś. Że nie zagra...

Chyba że w horrorze jakimś - dokończył w myślach Robert. Jednocześnie pomyślał o tamtym, wcale nie tak odległym dniu, kiedy skrzypnęły drzwi i na progu tego pokoju stanęła młodziutka aktorka Laura Minz, przez chwilę wahała się, czy w ogóle wejść do środka, ale w końcu jednak zamknęła za sobą drzwi. Lubił ją nawet, choć to nie mogło wpłynąć na to, że...

- Rozmawialiśmy o jej wypadku - powiedziała Kaśka powoli, jakby chciała być dobrze usłyszana, choć w kanciapie panowała cisza niemal miazdząca. - Niestety, niewiele pamięta z tamtego dnia. Może nie chce.

- Tak, to straszne - westchnęła z bólem Anka, by na tym samym wydechu zachwycić się: - A wiecie, dostałam wczoraj zaproszenie na ten wyjazd do Kaprun! Cały tydzień w Alpach, narty, alkohole, zabawa i to wszystko zupełnie za friko!

Ty zdziro jedna! Będiesz następna do błyskawicznego liftingu kwasem - bluznął Robert, choć znów tylko w myślach. Zewnętrzną oznaką jego gniewu były jednak tylko lekko ściągnięte brwi; jedynie skorpion wytatuowany na prawym bicepsie poruszał miarowo głową, a tak naprawdę tylko jakimś mięśniem pod nią, przy pomocy którego organizm mężczyzny odkrywał swoje emocje, także te złe, najgorsze, niemal zwierzęce.

- Ciekawe, czy są jeszcze jakieś wolne miejsca? - zainteresowała się Kaśka.

Zapalony papieros niebezpiecznie zatańczył Robertowi w palcach, aż trochę popiołu spadło mu na spodnie, nie wyrządzając jednak żadnych szkód. Nie, tego się nie spodziewał po tej dziewczynie! Lans, pozowanie fotoreporterom z debilnym uśmiechem, odpowiadanie na kretyńskie pytania? Nie, to przecież nie ona! Na szczęście żadna z aktorek nie zauważyła jego zdenerwowania. Za bardzo były zajęte tematem darmowego spędu dla szukających okazji do autopromocji trzeciorzędnych gwiazdek mydlanych oper.

- Musisz zadzwonić do ich biura i po prostu zapytać - radziła Anka. - Na pewno mają jeszcze jakieś wolne miejsca.

- Dobra, dzisiaj do nich zadzwonię - zgodziła się Rawska. - A w razie czego wskoczę na twoje miejsce - dodała jeszcze, niezmiennym głosem.

Anna roześmiała się głośno, niemal jurnie, kręcąc głową w podziwie dla poczucia

humoru swojej koleżanki po fachu. Aż po kolanach uderzyła się otwartą dłonią z tej uciechy. Kaśka patrzyła na nią przeciągle, a w jej spojrzeniu nie było ani śladu niedawnego śmiechu.

- Wiem już, kto oblał Laurę Minz kwasem, robiąc z niej kalekę na całe życie - powiedziała powoli, znów starannie cedząc słowa.

Anka przestała się śmiać. Kilka poziomych bruzdek na chwilę przecięło jej czoło. Robert wrzucił swojego papierosa do słoika z petami.

- To ciekawe - rzekł. - Jak do tego doszłaś?

- Po nitce do kłębka, jak mawiały nasze babcie - odparła. - Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy nie kupują gotowych sweterków z anilany.

Zapanowała cisza o gęstości i wadze kilka razy przewyższającej szarą zawieszinę dymu wypełniającą wciąż palarnię. Kaśka i Robert mierzyli się nawzajem niewiele lżejszymi, wszystko mówiącymi spojrzeniami.

- Najłatwiej było posłużyć się kimś - zaczęła Rawska - kto nie rozróżnia fikcji od rzeczywistości. Wystarczyło powiedzieć: Emil, robota dla ciebie. I potem tylko czekać na efekt. I pewnie udałoby się, gdyby nie przypadek. Pracujemy, można nawet śmiało powiedzieć, że żyjemy w miejscu, gdzie nic nie dzieje się niezauważone. Jeżeli nie przez oko żywego człowieka, to przez maszynę. Dom Wielkiego Brata wciąż funkcjonuje. Wystarczyło powiązać kilka faktów, także tych dotyczących rzeczywistości serialowej, to i owo zauważyć, poszperać, aby w końcu otrzymać odpowiedź.

Robert czuł, jak zaczynając trząść mu się ręce. Nie umiał nad tym zapanować, choć zawsze uważał się za profesjonalistę tak w wyrażaniu emocji, jak i, kiedy trzeba, panowania nad nimi. Teraz tego nie potrafił.

- Jak można było w ogóle pomyśleć, że to się nie wyda?! - zapytała Kaśka. - Jak można było zakładać, że nikt nie uwierzy niepełnosprawnemu mentalnie człowiekowi! Możesz mi to wytłumaczyć... Aniu?

Blondynka podniosła wzrok na koleżankę. Jej oczy, zazwyczaj duże i okrągłe naiwnością i ufnością oczy dziecka, były teraz zwężonymi szparkami.

- A co? Miałam czekać, aż ta szmata mnie wysiuda i zajmie moje miejsce w czołówce?! - syknęła niskim, charczącym głosem. - Zawalczyłam po prostu o swoje i tyle.

- Zawalczyłam - powtórzyła jak echo Rawska.

- Nikt mi niczego nie udowodni, nikt nie uwierzy ani temu głupkowi, ani tobie, ty policyjna suko!

Kaśka przygryzła wargi, jej twarz wykrzywił grymas złości, a może nawet bólu, jaki spowodowało niewybredne określenie. Wstały niemal jednocześnie, mierząc się nawzajem pełnym nienawiści wzrokiem, jak czynią zawodowi bokserzy, których waży się oficjalnie w przeddzień walki o mistrzowski pas.

- Coś ty powiedziała? - syknęła Rawska. - Możesz powtórzyć, bo jakoś głośno się tu zrobiło i chyba niezbyt dobrze zrozumiałam.

- Bardzo proszę. Nazwałam cię policyjną suką, szmatą, wywłoką, kurwą - wyliczyła Anka, starając się, by kończąca każdy z wyrazów samogłoska „ą” wybrzmiała czysto i do końca, zgodnie z zasadami, wpajanymi każdemu studentowi szkoły teatralnej na zajęciach z dykcji.

- Dziękuję - powiedziała Kaśka z ukłonem. - Mamy to. Bez dubla!

- Znaczy że co? - zapytała półgębkiem Anka, prowokacyjnie wysuwając ku przodowi dolną szczękę.

- A to, że teraz jestem pewna, że wszystko dobrze się nagrało.

To powiedziawszy, zerknęła w górę i nieco w bok. Anka podążyła swoim wzrokiem w tym samym kierunku, ostatni odpowiedni ruch wykonał Robert, sprawiający wrażenie oziębiałego. Człowieka, który nie za bardzo rozumiał, co się wokół niego dzieje.

Nagle blondynka z kocią zręcznością rzuciła się ku drzwiom do palarni, w mgnieniu oka otworzyła je i nim ktokolwiek zdążył zareagować, była już na korytarzu, skąd dobiegł tupot nóg. W tym momencie Robert jakby przebudził się z letargu, a z nim jego mieszkający na ramieniu smok.

- Łapać ją! - krzyknął, dopadając drzwi.

Tylko Kaśka zachowała spokój, jeśli nie liczyć wciąż jeszcze drżących warg, których nie trzymały już zęby. Dziewczyna powoli zbliżyła się do drzwi i tylko wyjrzała zza framugi na długi korytarz. Na jego końcu stało dwóch umundurowanych policjantów. Właśnie zakuwali w kajdanki dyszącą jeszcze Ankę.

- Mówiłam, że Dom Wielkiego Brata wciąż funkcjonuje, czy tego chcemy, czy nie - powiedziała do stojącego w szerokim rozkroku na środku korytarza Roberta, patrzącego to na akcję mundurowych, to na Kaśkę. - A policyjną suką przestanę być. Dokładnie za godzinę - dodała cicho.

4

Warszawa-Wola, aleja Solidarności, godzina 12.40.

Kostek Podbiał siedział na ciemnej dębowej ławie, jednej z wielu stojących pod

ścianami na korytarzu gmachu, na którego frontonie widniał wykuty w marmurze napis: SPRAWIEDLIWOŚĆ OSTOJĄ RZECZYPOSPOLITEJ. Siedział, opierając łokcie na kolanach i od czasu do czasu popatrując na boki, na ludzi, którzy nie przestawali kręcić się po sądowym korytarzu. Mimo że do rozpoczęcia rozprawy miał jeszcze czas, przyszedł wcześniej, aby oswoić się nieco z miejscem i dekoracjami. Denerwował się. Jak przed jakimś ważnym egzaminem. Pokurczona pozycja, którą mimowolnie przybrał, była tego efektem.

Był tu pierwszy raz. Nie zabrał ze sobą „klamki”, której obecność i tak zostałyby zasygnalizowana dzięki stojącym tuż przy wejściu bramkom, wykrywającym metale. Był zatem zupełnie bezbronny. Miał tylko swoje argumenty. Na „tak”. I swoją miłość, która jakoś nie chciała zniknąć ani nawet zmaleć. Wciąż kochał swoją żonę i wierzył, że to pozwoli mu uchronić ich małżeństwo przed ostatecznym rozpadem. Że spektakularnym - to już też wiedział. Nawet jeśli dziś się nie rozleci, będzie z tego przynajmniej temat dla gazet. Wchodząc do gmachu sądu, został sfotografowany przez warujących pod drzwiami dwóch paparazzich. Na razie tylko dwóch; sępy zlecą się - tego był pewien - kiedy będzie miała wchodzić ona, Katarzyna Rawska, znana aktorka, żona „tego gliniarza”. Jeszcze żona...

Ich nazwiska, wypisane pismem maszynowym na wokandzie przy drzwiach sali sądowej, jakoś nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia. Z drugiej strony, dziękował opatrznosci, że cała ta pożałowania godna komedia rozgrywa się daleko od jego rodzinnych stron. Przynajmniej wstydu nie będzie ani przyjacielskiego poklepywania po plecach. Nie wiedział już zresztą, co gorsze.

- Przepraszam, nie wie pan, gdzie tu jest toaleta? - zapytał jakiś człowieczek, szeptem, pochylając się nisko nad komisarzem, jakby chodziło o wyjawienie wielkiej tajemnicy.

- Tam - odparł Podbiał i wskazał ręką na prawo. - Prosto i na lewo.

- Dziękuję. Bardzo panu dziękuję - jęknął mężczyzna, po czym drobiąc kroki i trzymając się za brzuch, udał się we wskazanym kierunku.

Miał około trzydziestki, ale był już siwy; twarz niemal zielonkawa - zauważył Kostek. A wszystko to zapewne z nerwów przed rozprawą i wszystkim, co ze sobą niosła: koniecznością publicznego prania brudów, pytań sędziego albo nawet, co gorsza, kobiety w todzie, której ponoć nie można nazwać sędzią, tylko sędzią. Będzie drażyć, naciskać, próbować złapać na niekonsekwencji lub zmusić do przyznania się do uderzenia żony albo nawet skoku w bok.

Nie, to nie na nerwy zwykłego człowieka, któremu wydawało się, że to już na zawsze będzie, że klótnie o niezmyte gary i niezamieciono mieszkanie to przykry, ale niezbędny element życia we dwoje. Konieczność, bo nie zawsze świeci słońce. Że tak zwane ciche dni, a potem tygodnie czy już nawet miesiące to dobry czas, żeby zatęsknić za rozmową, jakieś oczyszczenie. Jak rozłąka, która zwiąże jeszcze bardziej, zbliży małżonków. Pod warunkiem wszak, że za drzwiami nie czai się ktoś trzeci, lepszy, przystojniejszy, silniejszy. A Ciebie, brachu, stać tylko będzie na to, żeby skamleć jak pies, kiedy sam znajdziesz się za tymi drzwiami.

Kostek spojrział na zegarek. Kaśki wciąż nie było. Pewnie wpadnie w ostatniej chwili z rozwianym włosiem i wypiekami na twarzy - pomyślał. - Podobno teraz dużo pracuje: serial, teatr, jakieś plany związane z filmem fabularnym, o czym zawsze tak bardzo marzyła.

- Dzień dobry - dobiegło z boku.

Podbiał podniósł wzrok. To był ojciec Kaśki.

- Dzień dobry - odpowiedział Konstanty.

Wymienili spojrzenia. Stary Rawski pokiwał głową. Chyba się rozumieli. Choć

Kaśka powołała go na świadka (chyba taka była przyczyna jego obecności w sądzie),
Podbiał od początku miał wrażenie, że teść po cichu trzyma jego stronę.

Oby tak było i dzisiaj, kiedy trzeba będzie zeznawać - pomyślał Kostek z nadzieją.

Wstał i podszedł do okna. Za brudną szybą szarzało miasto. Nie było widać śniegu, więc widok ten skojarzył mu się z innym dniem, kilka miesięcy wcześniej. Dniem, o którym zwykle się mówić jako o początku końca. Mieli wtedy wyjechać na wymarzony urlop. I wyjechali, choć w gorączce przygotowań klócili się co chwila. Podróż samolotem też jakoś przeszła, mimo że Kostek nie przepadał za lataniem (zawsze podziwiał kolegów, którzy na mundurze nosili srebrną odznakę spadochronową, tak zwaną „gapę”, z wieńcem, w którym widniała cyfra oznaczająca liczbę oddanych skoków). Wypił dwa piwa i jakoś przeżył dwugodzinny lot. Prawdziwy koszmar zaczął się dopiero na miejscu...

5

Split, Chorwacja, pół roku wcześniej.

Od rana padał deszcz. Właściwie nie był to deszcz, ale wodny pył. Drgający w lepkim, ciepłym powietrzu, niemal nieruchomy niczym zawiesina. Osiadał na twarzy, ubraniu, wreszcie na pokładzie jachtu, czyniąc go śliskim i niebezpiecznym. Taka pogoda w mieście mogłaby być zupełnie nie zauważona, gdyby przez cały dzień siedziało się w biurze. Problem w tym, że złośliwie nastąpiła dokładnie w momencie rozpoczęcia urlopu Kostka i Kasi. Może nawet nie nastąpiła, tylko oni ją tu zastali, wychodząc z samolotu w Splicie i jadąc taksówką do portu, gdzie czekał na nich, i parę ich znajomych, wycarterowany na tydzień, pełnomorski jacht.

- Piękny - nie przestawała się zachwycać Rawska, ledwo całą czwórką stanęli na kei.

Na Kostku nie robiło to jednak jakiegoś wielkiego wrażenia. Miał to na co dzień. To

znaczy kiedyś miał. Próbował zresztą namówić żonę, żeby pojechali na rodzime Mazury, tam, gdzie się poznali, jednak tym razem uparła się. Chorwacja i Chorwacja! Adriatyk i nic innego. Nie było opcji. Podbiał tylko westchnął, sięgając po swoje zaskórniaki. Starał się nastawić na „tak”. Wydawało się, że sztuka ta mu się nawet udała. Gdyby nie ten cholerny deszcz...

Zaokrętowali się szybko i sprawnie. Właściciel łajby, bardzo miły Chorwat, po angielsku udzielił kilku niezbędnych informacji, włącznie z tą, jak właściwie korzystać z pokładowej toalety, bo i taki luksus mieli, i że słoneczna pogoda już wraca. Czego można było chcieć więcej?

- Chyba trzeba zrobić jakieś zakupy - powiedział Zenek, mrugając znacząco do Kostka, który, pracując na co dzień w męskim towarzystwie, z miejsca złapał aluzję.

Żony bez problemu zgodziły się na krótką wyprawę po prowiant do miasta. Podbiał niezbyt dobrze znał Zenka, ten jednak okazał się gościem bardzo sympatycznym i bezpośrednim. Wyszło też, że dobrze zna Split i wie, gdzie znaleźć wszelkie potrzebne towary.

- Co pijemy? - zapytał bezpośrednio.

- Nie wiem - Kostek wzruszył ramionami. - Myślałem o jakimś piwie.

- To chyba na popitkę - prychnął z pogardą Zenon. - Chodź, pokażę ci, gdzie można kupić prawdziwy alkohol.

To, co nabyli, nie wyglądało za dobrze. Przypominało do złudzenia resztki, które pozostały po opróżnieniu dawno nieczyszczonego akwarium i których ktoś zapomniał, wraz z litrowym słoikiem, wyrzucić do śmieci. Wynalazek, nabyty od jakiegoś dziadka, nosił nazwę rakii albo travaricy i był niczym innym jak chorwackim bimbrem.

- Kopie nieźle, sam zobaczysz - zachwalał Zenek, pakując z pietyzmem słoik do dwóch plastikowych reklamówek. - Czy może lepiej wziąć dwa, co? Kostek?

Kiedy niespełna godzinę później odbijali od kei w Splicie, wciąż mżyło. Może nawet jeszcze bardziej, o czym jednak nikt z załogantów nie chciał powiedzieć głośno. Planowali przemieszczać się na silniku najwyżej do główek portu w nadziei złapania tam wiatru. Tylko że wiatru, tak jak słońca, również nie było. Szli więc dalej na świetnym, cichym wynalazku Yamahy, w każdej chwili gotowi podnieść wszystkie żagle, by pruć naprzeciw przygodzie, za który to luksus tak słono przecież zapłacili. Kilka razy Kostek na końcu języka miał zdanie, że podobna historia na pewno nie spotkałaby ich na wzgardzonych Mikołajskim, Niegocinie czy Śniardwach, ale za każdym razem udawało mu się zatrzymać to dla siebie.

- Do wieczora powinno się przetrzeć, mówię wam. Czuję to! - mędrkował Zenek, wzbudzając zachwyty zapatrzonych w niego żony Agnieszki, a jednocześnie coraz bardziej działając na nerwy Podbiałowi.

Rozmowa toczyła się o wszystkim i o niczym. Usiłowano za wszelką cenę zachować dobrą minę do złej gry. Nowiutkie, niebieskie sztormiaki pokrywały się parującą wilgocią. Wkrótce stracili z oczu ląd. Łodzią zaczęło kołysać, powiał wreszcie tak upragniony wiatr.

- Stawiamy żagle! - zakomenderowała z ochotą Kaśka.

Wszystko załatwiało się przy pomocy automatu, ale - mimo to - frajda była. Ledwo grot i fok wypełniły się powietrzem, w Kostka Podbiała jakby wstąpił nowy duch. Przejął ster, usadowił się wygodnie, ściągnął talię. W tym samym momencie o żagle uderzył nagły podmuch.

Woda zasyczała pod burtami. Podbiał wydał z siebie dziki okrzyk radości. Jacht przechylił się, jednak sternik wcale nie miał zamiaru odpadać od linii wiatru, przeciwnie

- jeszcze bardziej wystrzył. Z kabiny dobiegł zbiorowy krzyk, który Kostek wziął za oznakę radości. Że jest zgoła inaczej, przekonał się dopiero wtedy, gdy na zewnątrz wyjrzała jego żona, by obdarzyć go celnym i bezlitosnym:

- Co robisz, ty debilu?!

Wtedy po raz pierwszy poczuł, że coś w nim pękło.

Kiedy wieczorem tego samego dnia dobijali do jakiejś wysepki, była już piękna pogoda. Akurat malowniczo zachodziło słońce. Przewidywania i obietnice wszystkich - od pani w biurze podróży, po właściciela łajby - na szczęście sprawdziły się, więc wszyscy mogli spać spokojnie. Tylko że akurat nikt nie myślał wtedy o spaniu. Okazało się, iż do pomostu przycumowanych jest jeszcze kilka jachtów z Polakami, o czym żony Kostka i Zenka przekonały się podczas wieczornej toalety w portowych łazienkach, dokąd pobiegły, ledwo Kostek zrobił użytek z cumy. Nie można było nie umówić się na wieczór na wspólną zabawę.

Imprezę zorganizowano na jednym z największych jachtów. W kajucie i na zewnątrz spokojnie mieściło się nawet dwadzieścia osób. Kiedy nadeszli, biesiada trwała już w najlepsze. Rozlewano kolejkę wódki, ktoś brzdąkał na gitarze. Towarzystwo było młode i bardzo głośne, a jednocześnie ciekawe nowych gości.

- Wskakujcie, wskakujcie! - zapraszał facet w kapitańskiej czapeczce, którego akcent zdradzał Ślązaka.

- Dobry wieczór - przywitała się Kaśka.

Kilka osób odpowiedziało na pozdrowienie. Uszy Kostka złowiły też tajemnicze szepty. Od razu domyślił się, czego, a raczej kogo dotyczą.

- Chyba zostałam rozpoznana - powiedziała mu do ucha żona, kiedy pomagał jej

wejść na pokład.

Nie pierwszy raz to się zdarzało. Ludzie jednak oglądali seriale. Bywało, że w kawiarni czy w centrum handlowym podchodziło jakieś dziecko i prosiło o autograf. Rawska w podobnych przypadkach była zawsze anielsko cierpliwa. Wiedział, że sprawia jej to niebywałą przyjemność i mile łechce. Gdy znajdowali się w towarzystwie dorosłych, ludzi spoza branży filmowej, z początku zawsze wzbraniała się przed rozmową na temat swojej pracy, Podbiał jednak wiedział, że w środku tej dziewczyny aż się gotuje - tak chciała bez przerwy brylować w towarzystwie, być hołubiona i oklaskiwana. Choroba ta nazywała się megalomanią i póki co, jeszcze nikt nie wymyślił na nią skutecznego antidotum.

Szybko dokonano niezbędnych prezentacji. Kostek, tradycyjnie, nie zapamiętał ani jednego imienia. Przycupnęli z Kaśką na brzeżku długiego, biesiadnego stołu i starali się wpaść w rytm rozmowy, którą przerwali swoim pojawieniem się. A ta, jak szybko zdążyli się zorientować, toczyła się o wszystkim i o niczym. Czyli o... pracy, którą każdy z tych ludzi zostawił kilka tysięcy kilometrów stąd, dobrodziejstwie, które pozwoliło tutaj być, i przekleństwie, co nie pozwalało o sobie zapomnieć.

- No i diabli wzięli kontrakt, szlag by to trafił!

- Za tydzień mamy zacząć rozmowy na temat wejścia na GPW.

- Euro spada, to i może wreszcie odbijemy się od dna...

A że na dnie znów zrobiło się sucho, dyżurny polewacz rozpoczął kolejną rundkę wzdłuż siedzących przy stole żeglarzy. Ktoś, kto męczył gitarę i uszy słuchaczy przy okazji, wreszcie, zniechęcony do końca, odłożył na bok instrument.

- Hej, miałeś coś zagrać! - zawołała z pretensją któraś z dziewczyn, w czym od razu wsparła ją reszta towarzystwa żądnego kulturalnej rozrywki, a może i sprawdzenia

przepłukanych już solidnie gardel w jakimś żeglarskim, a najlepiej swojsko-biesiadnym repertuarze.

- Dajcie najpierw zjeść - podgrymaszał artysta z pełną już gębą.

Robiło się coraz bardziej ciemno i chłodno. Włączono oświetlenie na jachcie, dzięki czemu zapanowała niemal domowa atmosfera. Woda mlaskała o burty, fały dzwoniły miarowo o aluminiowe maszty jachtów.

- A ty, wyjdiesz w końcu za męża? - padło naraz pytanie.

Kostek poczuł, jak ciało jego żony, skulone nieco i przywierające przyjemnie do jego ciała (na ławeczce nie było zbyt wiele miejsca), nagle prostuje się i napręża. Puszy się. Pytanie bowiem zostało skierowane nie do nikogo innego, jak do Katarzyny Rawskiej, aktorki.

- Przecież już wyszłam - zaśmiała się sztucznie, pokazując głową na siedzącego wciąż sztywno Konstantego.

- Chodziło nam raczej o ten ślub na ekranie, w serialu - sprostował drugi głos. - Przecież ten Marek chodzi za tobą już chyba od roku...

- Od jesieni - sprecyzował jeszcze ktoś inny.

No i się zaczęło! Pytania, spekulacje, prośby o ujawnienie planów scenarzystów, a także o najnowsze ploteczki z planu filmowego: kto, z kim, po co i od kiedy, no bo właściwie czemu nie, czemu nie - co prawda nie znamy się jeszcze za dobrze, ale jesteśmy na wczasach, siedzimy na jednym jachcie, pijemy wódeczkę przy jednym stole, jest fajnie, tak? Jest fajnie, co nie?! Kto nie pije, ten kabluje! A Polska i wszystkie nasze codzienne sprawy są gdzieś tam, hen, daleko, w pizdu, właściwie nie wiadomo już gdzie i czy na pewno...

Znów odezwała się gitara, której właściciel zapewne pozazdrościł Kaśce sławy i splendoru, a może tylko się najadł, napił i był gotowy umilać czas innym. Wybrzmiało kilka mocnych akordów.

- „Żegnajcie nam dziś hiszpańskie dziewczyny, żegnajcie nam dziś marzenia ze snu”... - zaczął śpiewać posiadacz instrumentu.

Kostek Podbiał skrzywił się, jakby rozgryzł gruby plaster cytryny. Gdyby miał miejsce, pewnie uderzyłby czołem w blat stołu. Ale było go tylko tyle, żeby sięgnąć jedną ręką po kieliszek albo kanapkę. Zdecydował się na to pierwsze. Nie cierpiał bowiem tej piosenki, kojarzącej mu się nieodzownie z wioską żeglarską w Mikołajkach - pijaną noc w noc, rżącą rozstrojonymi gitarami w akompaniamencie rozbijanych na trotuarze butelek i piszczącą głosami dziewczyn, bynajmniej nie hiszpańskich.

Chór szybko podjął melodię. Zniechęcenie Kostka szybko przerodziło się w senność. Wypity alkohol, ledwo dwa kieliszki, ale zawsze, i cały poszarpany zmienną pogodą dzień zaczęły dawać mu się we znaki. Zapragnął ponad wszystko wyciągnąć się w hundkoi, czasami nazywanej „trumną”, przyłożyć głowę do poduszki i dać się ukołysać falom. Kaśka jednak nawet nie chciała słyszeć o powrocie na jacht. Choć nie była już w centrum uwagi, bawiła się świetnie.

Nie pierwszy raz stawał wobec takiej sytuacji; były przypadki, że potrafił po prostu wyjść z imprezy i ruszyć piechotą do domu, mimo że „domówka” miała miejsce w podwarszawskim Józefosławiu. Kiedy miał bowiem dość, to miał dość. I nic nie potrafiło tego zmienić. Sen uważał zawsze niemal za świętość, tym bardziej przed dniem roboczym. Teraz co prawda byli na urlopie, ale... Nie, te Hiszpańskie dziewczyny przelały czarę goryczy.

- Jak chcesz, to siedź - szepnął jej do ucha, podnosząc się z ławki. - Ja idę spać.

Nic nie odpowiedziała ani nawet nie popatrzyła na niego.

Po chwili leżał już wyciągnięty wygodnie w śpiworze. Mimo dochodzących z imprezowego jachtu wybuchów śmiechu i coraz bardziej wrzaskliwych pijackich śpiewów, szybko zasnął. Przez sen słyszał, jak reszta załogi wraca na jacht, tarabaniąc buciorami po pokładzie z laminatu. Nie spojrział, która mogła być godzina. Nie był też pewien, czy słowa, które w pewnej chwili usłyszał, były snem czy jawą.

- Dobranoc, gwiazdo.

- Dobranoc, doktorze.

Chwilę potem Kaśka leżała obok niego. Poczł woń alkoholu i papierosów. Nie pytał o nic. Udawał, że śpi.

Nie wracali do tego, co się wydarzyło. Do końca rejsu prawie się do siebie nie odzywali. Ledwo miesiąc po powrocie do domu Kaśka oświadczyła, że ciągnięcie tego nie ma najmniejszego sensu. Pokłócili się o to. Potem Kostek przeproszał, ale jakby gadał do ścian. Kiedy następnego dnia wrócił po służbie, żony już nie było. Wyprowadziła się z domu. Jeszcze tego samego wieczoru komisarz Podbiał samodzielnie opróżnił cały słoć rakii.

6

Warszawa-Saska Kępa, ul. Francuska, godzina 12.50.

Kaśka wysiadła z taksówki przed apartamentowcem, w którym wynajmowała mieszkanie. Dawno nie była w takim nastroju, dziwnym nastroju, w którym zadowolenie z siebie, z dobrze wypełnionego obowiązku, mieszało się z emocjami, które były wynikiem nieprzyjemnej sytuacji. Nie, jeszcze nikt nie nazwał jej nigdy policyjną dziwką. Nikt! Poczła to jak policzek. I co z tego, że Anka siedziała teraz w areszcie i

pewnie łatwo się nie wywinie z tego, co zrobiła. Słowa padły. Ktoś je wypowiedział, ktoś usłyszał.

Kobieta podeszła do drzwi i na znajdującej się obok nich klawiaturze wystukała najpierw numer mieszkania, a potem kod otwierający drzwi. W chwili, gdy rozległo się bzyczenie elektromagnesu, szyba w skrzydle drzwi odbiła jakąś postać.

- Kaśka? To ty?

Obejrzała się powoli. Nie od razu rozpoznała mężczyznę, który uśmiechał się do niej.

- Cześć - rzuciła na wszelki wypadek, wciąż trwając w krępującej niewiedzy.

- Widzę, że mnie nie poznajesz - zaśmiał się znajomy-nieznajomy.

Sąsiad? Fotografik? Dziennikarz? - próbowała w myślach skatalogować tę twarz, która, rzeczywiście, z każdą chwilą stawała się jakby bardziej znajoma.

- Poznaliśmy się na Adriatyku - wyjaśnił mężczyzna.

- Jasne! - Rawska aż klepnęła się otwartą dłonią w czoło. - Doktor Korcz! Jurek.

Uśmiechnął się potwierdzająco.

- Mieszkasz tutaj? - zapytał po chwili.

- Tak, od niedawna - odpowiedziała.

- I jeszcze się nie spotkaliśmy... To wszystko przez te moje dyżury. No, ale może nie stójmy tak w drzwiach. Proszę - uchylił szerzej drzwi, wpuszczając Kaśkę do środka.

Znaleźli się w hallu i skierowali ku windom. Korcz nacisnął guzik, aby wezwać kabinę. Kobieta spojrzała na zegarek.

- Co słychać? - zapytał lekarz.

- W porządku - odpowiedziała Rawska, czerwieniąc się. - A u ciebie?

- Też jakoś leci. Dużo pracy. A wiesz, widziałem cię kilka dni temu w Szparce z koleżanką, ale jakoś nie miałem odwagi podejść...

Rozległ się pojedynczy gong, po sekundzie rozchyliły się metalowe skrzydła windy. Weszli do środka.

- Które piętro? - zapytał lekarz.

- Przedostatnie.

- Ja czwarte - powiedział, naciskając dwa sąsiednie guziki, a potem trzeci ze skierowanymi ku sobie strzałkami.

Skrzydła drzwi zmierzały już ku sobie z cichym rumorem, kiedy nagle zwężający się szybko prostokąt światła wypełniła czyjaś postać. Spóźniony pasażer zdążył wsunąć rękę między drzwi, powodując ich ponowne rozsuniecie, po czym wszedł do środka.

- Przepraszam - szepnął tylko.

Korcz jeszcze raz dotknął palcem przycisk. Wreszcie winda zamknęła się, szarpnęła i ruszyła ku górze.

- Wciąż nie mogę uwierzyć w to spotkanie - powiedział Korcz do Kaśki, która odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na poczynania trzeciego pasażera windy. Ten sięgnął ręką do dużej torby i wyjął z niej puszkę, przypominającą opakowanie napoju energetycznego. Coś w nim nacisnął, po czym pochylił się i ze spokojem postawił pojemnik na wystającym ze ściany kabiny uchwycie, następnie sięgnął z powrotem do torby, skąd wydobył... maskę przeciwgazową, którą jednym wprawnym ruchem nałożył sobie na głowę. Tego już Kaśka i Jerzy nie mogli nie zauważyć. Nie mogli też nic zrobić.

Najpierw na podłogę upadła ona, potem po metalowej ścianie zsunął się on. Ostatnim obrazem, jaki Katarzyna Rawska zapamiętała przed zapadnięciem się w czarną pustkę, była pochylająca się nad nią twarz gumowego słonia z wielkimi szklanymi oczami.

7

Warszawa-Wola, aleja Solidarności, godzina 13.20.

Kostek chodził w tę i z powrotem po korytarzu. Co chwila spoglądał na zegarek. Przed chwilą zostali wezwani na salę sądową. Ale Kaśki nie było.

Właściwie nie powinienem się tym martwić - przeszło mu przez myśl. Ja jestem, jej nie ma. Ja zachowałem się jak należy, przyszedłem, ona nie. Tylko że pozostawało jeszcze coś, co nazywa się trwogą - trwogą o najbliższą osobę. Może coś jej się stało, miała wypadek? - zadawał sobie w duchu kolejne pytania, od razu starając się odpędzić najgorsze myśli.

- Dzwoniłem do niej już kilka razy, ale włącza się tylko poczta głosowa - powiedział stary Rawski.

- Pewnie prowadzi auto i nie może odebrać - próbował spekulować Podbiał. - Zbliża się pora szczytu, korki w mieście...

Jeszcze jedna rundka wzdłuż całego rzędu drzwi, za którymi sprawiedliwości stawało się zadość albo nie. Rodziny pozbywały się okrutnika albo dawano alkoholikowi jeszcze jedną szansę, na co ów, szczęśliwy, z sądu kierował się od razu do sklepu monopolowego po flaszkę i wszystko zaczynało się od początku. Za jednymi z tych dębowych, solidnych drzwi za kilka chwil Kostek straci żonę, którą wciąż kochał. Chyba że los (no bo nie sąd) zdecyduje inaczej. Na razie był po jego stronie, choć Podbiał nie potrafił się tym cieszyć. Wolał zobaczyć Kaśkę na końcu korytarza, całą i zdrową, a potem w blasku trzaskających fleszy wziąć na siebie winę za rozpad małżeństwa, niż miałyby się stać jej coś złego.

- Sprawa z powództwa Katarzyny Rawskiej-Podbiał przeciwko Konstantemu Podbiał
- odezwał się postawiony kobiecy głos, który potoczył się echem po korytarzu.

Komisarz bezradnie rozłożył ręce. Potem musiał je szybko włożyć do kieszeni, żeby opanować ich drżenie.

- Muszę sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku - rzekł cicho, podchodząc do teścia.

Rawski pokazał swój telefon komórkowy na znak, że znów dzwonił i że znów odezwała się poczta głosowa.

- Gdzie ona mieszka? - zapytał Kostek.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Muszę wiedzieć, gdzie jej szukać!

- Nie mogę... - jęknął teść.

- Może coś się stało, może jest w niebezpieczeństwie. Powiedz mi tylko, Ludwik,

gdzie ona teraz mieszka!

Rawski podał adres. Po chwili Podbiał biegł korytarzem sądu. Błysnął flesz aparatu fotograficznego. Policjant przez cały czas powtarzał w myślach nazwę ulicy, numer domu i mieszkania. Jeszcze nie wiedział, że, choć nigdy wcześniej tam nie był, dobrze zna to miejsce.

8

Warszawa-Włochy, mieszkanie Tymona Nowaka, godzina 13.50.

Tymon Nowak z trudem otworzył oczy. Obraz, który ujrzał, był nieostry, ale jasny. W głowie słyszał modulowany szum. Czuł, że całe jego ciało jest zdrętwiałe i jakby nie jego. Próbował podnieść głowę, ale i to był wyczyn ponad jego siły.

- Hej, Tymek. Słyszysz mnie? - usłyszał naraz czyjś głos. Jakaś postać zamajaczyła na jasnoszarym tle. Nowak nie od razu ją rozpoznał, tak samo jak z nikim nie skojarzył mu się głos. Usiłował sobie też przypomnieć, co zaszło. Poszedł do opuszczonej rudery, ach. Do starego kina, ach. Tam ktoś na niego czekał, ach. Nieprzyjaciel. Potem pustka. Gdzie teraz jest?

- Jesteś w domu - odpowiedział mu ten sam głos.

Musiał wypowiedzieć ostatnie zdanie na głos - przeszło mu przez myśl. Jak się tu znalazł? Kto go przeniósł i co się, do kurwy nędzy, dzieje?!

Postać nachyliła się nad leżącym. Nowak wyteżył wzrok: twarz osobnika szarzała od zarostu, a jego wzrok był żywy, badawczy, przenikający.

- Która godzina? - zapytał Tymek.

- A kto pyta?

- Swój.

- No to chuj.

- Święta prawda - zgodził się aspirant. - To która godzina?

- Prawie druga - odpowiedział „Krzywy”.

- W nocy?

- Po południu.

- Jak się tu znalazłem?

- Leżałeś w tej ruinie i już myślałem, żeś gotowy, ale, na szczęście, nie.

- Skąd wiedziałeś, że tam będę? - Nowak zmarszczył brwi.

- Ktoś widział, jak wchodziłeś przez dziurę w płocie. To mała dzielnica. Po coś tam w ogóle włąził?

Tymek Nowak zdołał unieść się nieco wyżej i podeprzeć łokciami.

- Miałem dziwny telefon - powiedział po chwili.

- W sprawie Ewy.

- Tak. Ktoś coś wie.

- Porywacz?

- Mam nadzieję, że nie.

- Jak się czujesz?

- Dziwnie. Nie wiem, co mi jest.

- Dostałeś szprycę.

Zimny pot oblał Tymka. Serce zaczęło walić jak oszalałe. Na lewym przedramieniu znalazł niewielką ranę. Zmroziła go myśl o brudnej strzykawce i wszystkim, czym groziło jej użycie.

- Jezu... - jęknął.

- Napij się czegoś? - zapytał Zdzisiek.

Tymon nie zdążył odpowiedzieć, gdyż zadzwonił telefon. Mężczyzna zerwał się z łóżka, jednym susem dopadł aparatu, ale tradycyjnie nie odbierał połączenia. Uruchomił podsłuch, odchrząknął i dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- I jak się czujemy po pierwszej lekcji? - zapytał męski głos po drugiej stronie.

- O co ci chodzi, człowieku?! - rzucił Tymek, nie panując nad nerwami; jego palce zacisnęły się na plastikowym profilu, aż ten zatrzeszczał. - Czego chcesz?

- Żebyś poczuł, jak to jest.

- Chcę rozmawiać z siostrą!

- Do tego jeszcze dojdziemy - odparł głos. - Póki co kopsnij się na dół, do skrzynki na listy. Coś na ciebie czeka.

To powiedziawszy, rozmówca rozłączył się. Tymek rzucił słuchawką i nie wyłączwszy nawet podsłuchu, lekkim skosem, waląc ramieniem we framugę drzwi, wybiegł z mieszkania.

Po chwili wrócił. W ręku trzymał zwykłą, białą kopertę.

- Co teraz? - zapytał Zdziśka, który siedział na krześle i patrzył na to wszystko jak widz w teatrze.

Nie czekając na odpowiedź, która i tak nie padła, Nowak ostrożnie otworzył kopertę. W środku znajdowała się jedynie mała kartka i... biała tabletką, której policjant omal nie przeoczył.

- Lekcja numer dwa. Stań przed oknem i połknij pigułkę - czytał na głos treść wiadomości. - Nie próbuj żadnych sztuczek. Pamiętaj, że jesteś obserwowany... O co im chodzi, „Krzywy”?!
Obdartus wzruszył ramionami; tym razem jednak Tymek nie zapanował nad sobą. Dосkoczył do niego, chwycił za koszulę na piersiach i szarpnął do góry.

- Gadaj, gnoju, co wiesz! - ryknął aspirant.

Mężczyzna patrzył przerażonymi oczami na policjanta, dolna warga mu drżała, ale z ust nie wyszło nic prócz jednostajnego rżenia i smrodu podłych papierosów. Tymek szarpnął jeszcze raz, przesuając się nieco w bok, po czym prawą ręką otworzył szufladę, skąd wy dobył służbowy pistolet. Przeładował.

- No!!! - huknął znów, wciąż jednak trzymając broń wzdłuż własnego ciała, skierowaną lufą w podłogę.

- Ja nic nie wiem, jak Boga kocham, Tymek! - wymamrotał obdartus. - Nie wiem, kim są ci ludzie. Nie mam pojęcia! Przecież wiesz, znasz mnie.

- Ludzie różne popełniają błędy...

- Raz już mi uratowałeś dupę i ja ciągle o tym pamiętam. Nie wystawiłbym się za żadne pieniądze, przecież wiesz, Tymek!

Nowak odepchnął „Krzywego”, podszedł do okna, odsunął firankę, położył pistolet na parapecie. Następnie ujął w dwa palce tabletkę, podniósł ją na wysokość oczu, jak prestidigitator przed kolejnym numerem. Jednym ruchem włożył ją do ust. Połknął. Blisko minutę trwała kompletna cisza. Żaden z mężczyzn nie zmienił nawet swojej pozycji. Wreszcie ponownie zadzwonił telefon.

- Klub Oaza za godzinę. Nie spóźnij się - powiedział głos w słuchawce, po czym rozłączył się.

Tymon Nowak nie zdołał już odłożyć słuchawki na miejsce. Zobaczył przejeżdżający przed oczami sufit, lampę, w końcu przeciwległą ścianę. Upadł. Obraz, który teraz widział w ciągu kilku sekund tracił swoje ostre kontury, a potem jasną barwę. Tracąc przytomność, zdążył jeszcze pomyśleć, że zostało mu tylko pięćdziesiąt dziewięć minut...

9

Warszawa-Saska Kępa, ul. Francuska, godzina 15.00.

Gdzieś tutaj - myślał - kilkanaście metrów w dół, znajdował się Plac Przymierza.

Stało na nim zbudowane w 1963 roku, w sercu Saskiej Kępy, kino Sawa. Było piękne i nowoczesne, miało szerokokątny ekran, pochylą widownię, balkon. Czas pozostały do rozpoczęcia seansu spędzało się w bufecie lub ogromnym hallu, który charakteryzowały okrągłe słupy. Przed budynkiem, na niewielkim skwerze, rosła wierzba płacząca. To właśnie tutaj, po drugiej stronie Wisły, oglądało się po raz pierwszy Gwiazdne wojny, Wejście smoka, a także jedyny polski film, na który chodziło się właściwie tylko na jedną z ostatnich scen.

Dziś nie ma śladu po kinie Sawa. Pod koniec wieku budynek został wyburzony, a w jego miejscu, w 2002 roku, wybudowano dwa apartamentowce, domy dla tych lepszych, ze sklepami i biurami na dole. Nie ma też Placu Przymierza, bo cały kwartał między Francuską, Zwycięzców i Paryską zajęły budynki.

Mężczyzna jeszcze raz wychylił się przez okno i wyjrzał na ulicę. Przegubowy ikarus z żółtym dachem pokrytym liszajami rdzy ruszał z przystanku w kierunku Ronda Waszyngtona. Nad miastem powoli rozpościerała już swój parasol lutowa noc. Kończyła się powoli środa popielcowa, ludzie wracali do domów z kościołów, gdzie posypano im głowy popiołem. On za chwilę też wróci - z poczuciem spełnionej misji.

Popatrzył na dwa skępowane ciała leżące na łóżku. Sięgnął po siekiere, oselkę i miarowo, długimi ruchami zaczął ostrzyć narzędzie.

- Co się dzieje? - usłyszał naraz stłumiony męski głos.

Odłożył starannie siekiere na parapet, podszedł do łóżka, nachylił się nad jednym z ciał. Jednym ruchem wyciągnął knebel z ust doktora Korcza.

- Co się dzieje?! - wybełkotał jeszcze głośniejszy lekarz, wybałuszając przy tym pełne przerażenia oczy.

- Poznajesz mnie? - zapytał oprawca.

Jerzy Korcz zaczął kaszleć; była to jeszcze konsekwencja użycia gazu.

- Czego chcesz? - wyrzucił z największym trudem.

- Poznajesz mnie?

Leżący zamrugał oczami. Widać było, że stara się coś sobie przypomnieć.

- Nie - odpowiedział wreszcie. - Nie poznaję...

- Wiedziałem.

Mężczyzna ponownie, ale o wiele głębiej wepchnął szmatę w usta więźnia, Korcz zaczął coś krzyczeć, próbował się szarpać, ale węzły, którymi spętano ręce i nogi jemu i leżącej obok bez ruchu kobiecie, były naprawdę mocne. Oprawca niespiesznym krokiem podszedł do okna i wrócił do przerwanej czynności, a także do myśli, które, chciał nie chciał, umknęły w przeszłość.

Siedział wtedy sam w rzędzie, dziesiątym albo jedenastym. Z tyłu tylko kilka obściskujących się par. Na ekranie snuły się pastelowe postacie w przedwojennych ciuchach. Co chwila pokazywali wielkie akwarium, a w nim żółwie. Morskie fale, plaża. Zbliżające się zaćmienie słońca sprawiało, że postacie zaczynały zachowywać się dziwnie, robić wszystko wbrew sobie. Ona, nauczycielka, wychodzi nagle z lekcji. On przyjeżdża pociągiem nad morze, ale nie wie, gdzie jest ani co tutaj robi. Jakaś siła kieruje tymi ludźmi, pcha ich w konkretnym czasie w konkretne miejsce, gdzie, podczas aktu seksualnego, dochodzi do makabrycznej zbrodni, która okazuje się powtórzeniem podwójnego zabójstwa sprzed kilkudziesięciu lat...

Żeby tak mieć taką siłę, która kierowałaby ludźmi - pomyślał. - Jedyne siłą woli sprawiać, żeby robili wszystko, o czym się tylko pomyśli. Reżyseria bez słów.

Mężczyzna poczuł, jak wzrasta w nim podniecenie. Odłożył ostrożnie siekiere, wyjął z zanadru pistolet, w drugą chwycił nóż, zapalił światło w bocznym kinkiecie i podszedł do łóżka. Wprawnymi ruchami zaczął przecinać więzy krępujące oba ciała.

- Co się stało? - jęknęła cicho kobieta, mrużąc oczy od światła. - Gdzie ja jestem?

Odpowiedział jej tylko bełkot Korcza, w którego ustach knebel tkwił naprawdę głęboko.

Tymczasem oprawca dokończył przecinanie więzów. Przez cały czas trzymał jednak swoich więźniów na muszce pistoletu. Odrzucił resztki sznurka, wyrwał szmatę z ust lekarza.

- Czego od nas chcesz?! - wybełkotał Korcz.

Mężczyzna z pistoletem zmarszczył brwi.

- Zadam jeszcze raz pytanie: poznajesz mnie? - wycedził przez zęby.

- Jesteś moim pacjentem? - próbował zgadnąć.

- To wszystko?

- Jesteś moim pacjentem - powtórzył tylko słabym głosem lekarz. - Nie rozumiem, po co to wszystko. Broń... Pogadajmy.

- Zamknij mordę, „Siwy”! - huknął oprawca.

Korcz zaniemówił. Mrugając oczami, zaczął dokładniej przypatrywać się stojącemu nad nim mężczyźnie.

- Skąd pan zna... Skąd wiesz, jak na mnie mówili w dzieciństwie? - wybełkotał.

- Zamknij mordę, powiedziałem!

Mężczyzna okrążył łóżko, nie spuszczać z oczu leżących na nim ludzi, jakby analizował plastycznie całą tę scenę.

- Świetnie, świetnie - mruknął z zadowoleniem. - Wszystko układa się po mojej myśli. Myślałem, że będę musiał dzwonić po jakąś dziwkę z agencji, a tutaj, patrz: prawdziwa gwiazda kina. Doskonale. Odegrasz mi pięknie tę scenę, prawda? - zwrócił się z uśmiechem do Rawskiej i nie czekając na odpowiedź, rzucił twardo, już do obojga: - Rozbierać się do naga.

10

Warszawa-Mokotów, ul. Raławicka, klub Oaza, godzina 15.05.

Skoda octavia zatrzymała się przed starym budynkiem z brudnożółtej cegły, z którą kontrastowały przytwierdzone do jednej ze ścian, nad drzwiami, kolorowe, podświetlane reklamy piwa i napojów chłodzących. Tymon wyłączył silnik i wyszedł z auta. Dopiero jednak kiedy stanął przy drzwiach, można było zauważyć, że ledwo trzyma się na nogach. Wyglądał, jakby wypił sam pół litra wódki. Jednak alkomat, gdyby takowy jakiś funkcjonariusz zechciał przystawić teraz swojemu koledze do ust, nie wykazałaby obecności żadnych promili w wydychanym powietrzu.

Nowak, nie zamknąwszy nawet drzwiczek skody na klucz, chwiejnym, choć buńczuczным krokiem, wymachując szeroko rękami, skierował się ku głównemu wejściu do klubu. Drzwi były otwarte. Za nimi znajdował się krótki korytarzyk. Gdzieś z dołu dochodziło miarowe buczenie basów, nozdrza atakował smród skwaśniałego piwa, dymu papierosowego i najtańszego odświeżacza do toalet.

- Dzień dobry panu - uklonił mu się misiowaty, ostrzyżony na pałę ochroniarz, który wyrósł nie wiadomo skąd.

- Dobry - odpowiedział z trudem Nowak.

Kwadratowy wykidajło, encyklopedyczny okaz, przyglądał się nowemu gościowi przez dłuższą chwilę, ale nie dostrzegł w nim kandydata do obicia mordy i wyrzucenia z klubu.

Tymczasem aspirant nie bez trudu pokonał ciężkie story o pluszowej fakturze i ruszył po schodach w dół, w stronę źródła dźwięku. Wszystko wirowało mu przed oczami, umieszczone po bokach lampki stapały się w jedną nieprzerwaną, falującą, laserową wiązkę, schody przed nim zaś zdawały się nie mieć końca, nie mniej idący ani razu nie potknął się. W pewnej chwili zrobiło mu się tylko niedobrze, ale udało mu się opanować odruch, który z pewnością ściągnąłby na niego kłopoty.

Zatrzymał się, przytrzymał ściany z cegieł, takich samych, jak mur zewnętrzny. Dłoni nie było jednak widać, zapadła się między cegły. Wyrwał ją gwałtownie, zbliżył do twarzy, jednak nie mógł... doliczyć się palców. Pulsowanie muzyki to przybliżało się, to znów oddalało.

- Pan Nowak? - usłyszał nagle za plecami męski głos.

Odwrócił się powoli. W półmroku zarysowała się sylwetka.

- Tak, Nowak - odparł Tymek głosem, którego nie poznał. - Gdzie jest moja siostra?

Odpowiedziało mu milczenie. Poczul w nozdrzach woń jakiejś wody po goleniu i mięty; źródłem tego ostatniego zapachu była najprawdopodobniej guma do żucia.

- Szukam Ewy, mojej siostry - powtórzył znów dziwny głos, dziwnie niski, jakby

odtworzany z taśmy na zwolnionych obrotach. - Miała tutaj być. Tutaj. To klub Oaza, prawda?

- Mam tylko przekazać panu to - odpowiedział mężczyzna, wyciągając przed siebie rękę z białą kopertą.

Ręka Nowaka z wciąż nieznaną jej właścicielowi liczbą palców zbliżyła się ku rysującemu się w półmroku jasnemu prostokątowi. Palce zacisnęły się na papierowym opakowaniu z cichym szelestem, mnąc je w kilku miejscach. Tymek zamrugał oczami, próbując dostrzec przed sobą niedawnego rozmówcę, ale stał na schodach sam.

Szybko schował kopertę do kieszeni i zbiegł w dół po pozostałych stopniach. Po chwili znalazł się w dużej, zamglonej, skąpanej w żółtym i czerwonym świetle sali. Była pusta. Pod jedną ze ścian, przy stoliku siedziała tylko jakaś para. Dziewczyna nie była Ewą. Tymon obszedł całą salę wraz z przyległymi pomieszczeniami, ale zewsząd ziało pustką.

Czyżby rzeczywiście wszyscy posypali dziś sobie głowy popiołem i zaczęli post - przeszło mu przez myśl i była to pierwsza logiczna myśl Tymka od dłuższego czasu.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała kelnerka, dziewczyna wyglądająca na licealistkę, która, podobnie jak wykidajło z góry, zjawiała się nie wiadomo skąd.

- Nic, dziękuję - wymamrotał policjant.

Kiedy odeszła w stronę baru, przypomniał sobie o zawartości kieszeni. Wyjął przesyłkę. Było tu w miarę jasno, więc od razu zaczął czytać.

Lekcja numer trzy. Połknij pigułkę, wyjdź na zewnątrz i czekaj na telefon. Pamiętaj, że jesteś obserwowany. Jeśli będziesz próbował nas oszukać, Ewa zrobi sobie „złoty strzał”.

Zrobiło mu się na przemian zimno i gorąco. Wiedział aż za dobrze, co użyty termin oznacza w języku narkomanów i tych, którzy zajmowali się ich leczeniem.

Szybko wydobyl z koperty niewielką tabletkę. Połknął ją i schowawszy złożoną na pół kopertę z listem ponownie w kieszeni spodni, ruszył z powrotem na górę.

Po paru chwilach oszołomiło go świeże powietrze. Spojrzał w górę i ujrzał nad sobą gwiaździste niebo, które w ciągu kilku sekund przecięło kilkanaście spadających meteorytów. Opuścił głowę. Wyciągnął z kieszeni komórkę i podniósł ją do oczu, aby sprawdzić, czy działa i czy odzyskał już zasięg, stracony najpewniej w kazamatach klubu. Zielonkawe światło na chwilę padło na twarz mężczyzny. Ledwo zgasło, telefon zadzwonił.

- Halo? - odezwał się z pijacką chrypą, nie odczekawszy nawet czterech tradycyjnych sygnałów.

- Gdzie ty się włóczysz, do kurwy nędzy?! - w słuchawce rozległ się wrzask komisarza Konieczki. - Pół komendy cię szuka!

- Miałem takie kłopoty, ale już... tego... - zaczął dukać aspirant Nowak, ale Konieczko nie miał czasu na ceregiele.

- Dobra! Jest tak: posterunkowy wyznaczony do ochrony jednego z tych bogoli z twojej listy nie może się dodzwonić do swojego klienta. Podejrzewa, że coś się mogło wydarzyć, tym bardziej, że tam też było kiedyś kino, którego zabrakło na liście Kostka. Jedź tam w tej chwili, zanim stary doberze ci się do dupy. Zaraz wyślemy ci wsparcie.

- Tak, jasne, już... - odpowiedział jakiś głos zamiast Tymka.

- I jeszcze jedno: udało nam się ustalić, kto ukrywał się pod nickiem „Zielony-65”.

Nie uwierzysz...

11

Warszawa-Saska Kępa, ul. Francuska, godzina 15.20.

- Na rondzie w prawo, we Francuską.

Kostek Podbiał siedział w busie... ekipy filmowej i były to jego pierwsze słowa, od chwili, kiedy przed gmachem sądu, nie mając innego wyjścia, wskoczył do pojazdu z logo stacji telewizyjnej i ludźmi, których prywatnie nazywał hienami, w środku. Czatowali na niego i Kaśkę wychodzących z sądu po rozprawie, to nie ulegało wątpliwości. Kiedy jednak ujrzeli samego pozwanego i to z dość niewyraźną miną, od razu było wiadomo, że coś jest nie tak. Zagadnięty przed dziennikarkę, po krótkiej chwili wahania poprosił wprost o pomoc.

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się redaktor Pokojka, po czym wyciągnęła rękę. - Jestem Iwona.

- Konstanty - mruknął Podbiał, ściskając prawicę dziennikarki.

- Możemy kręcić? - zapytała.

Wiedział, że to pytanie prędzej czy później zostanie zadane. Ucieszył się nawet, że wcześniej. Zrezygnowany kiwnął głową.

- Możecie.

Dość szybko udało im się przemknąć przez miasto. Komisarz siedział wtulony w kąty tylnej kanapy, zgarbiony, patrzył tępych wzrokiem w pokrytą bielmem szybę. Kilka razy sięgał po telefon komórkowy, wybierał numer żony, ale wciąż zgłaszała się poczta

głosowa.

- Który budynek? - zapytała Iwona Pokojska.

- Chyba ten wielki, na rogu - odpowiedział szybko Podbiał, usiłując dostrzec coś przez przednią szybę busa. - Tak, ten po lewej stronie.

- Kiedyś było tutaj kino Sawa - wtrącił kierowca.

Podbiał poczuł nagłą suchość w gardle. Spojrzał machinalnie na zegarek, potem na wyświetlacz komórki. Póki co, nikt z Pałacu go nie niepokoił. Wiedzieli, włącznie z Musiałem, że ma dziś kiepski i ważny dzień.

Zaraz do nich zadzwoni, zapyta, co i jak - postanowił. Tylko najpierw dowie się, co się dzieje z Kaśką. Niechby nawet zastał ją w szlafroku, ledwo trzymającą się futryny drzwi po kilku głębszych i z jakimś gościem z długim kutasem w tle - wtedy przynajmniej wszystko będzie jasne.

Bus skręcił w lewo w ulicę Zwycięzców i zaparkował. Silnik jeszcze był włączony, kiedy ekipa zaczęła rychtować sprzęt. Kostek skrzywił się.

- To sprawa prywatna - bąknął, po czym dźwignął się z kanapy.

- Obiecałeś - powiedziała Iwona, mierząc go ciężkim wzrokiem, ani na chwilę nie przerywając przygotowań. - Poza tym prawdziwy gliniarz nie ma spraw prywatnych, prawda?

- Filmów się za dużo naoglądałaś - westchnął Kostek.

Wyskoczył z samochodu i nie zważając na swój „ogon”, przeciął na ukos ulicę, w ciągu kilku sekund dotarł do drzwi, które jednak okazały się nie tymi właściwymi. Kątem

oka zauważył zaparkowany przed budynkiem samochód Kaśki. Poszedł wzdłuż frontowej ściany, minął kilka sklepów i punktów usługowych, rozlokowanych na parterze apartamentowca. Kolejne drzwi. Nad nimi tabliczka informująca, do których mieszkań można dostać się tą klatką schodową. Ale to jeszcze nie ta. Kolejnych kilkanaście metrów. Delikatesy, oddział banku, sklep z telefonami GSM i akcesoriami. Jeszcze parę kroków. Kolejna klatka. To tutaj.

Wklepał na klawiaturze domofonu podany przez teścia numer mieszkania poprzedzony, zgodnie z podaną obok instrukcją, dwoma zerami. Po chwili z urządzenia dobyło się ciche, właściwie ledwo słyszalne kwilenie. Kostek przyłożył ucho do sitka. Lepiej. Trzeci sygnał, czwarty.

Chyba wystarczy, żeby zwlec się z łóżka, cokolwiek by się na nim robiło - pomyślał nie bez złości. Ale nikt nie podnosił domofonu. Nagle Kostek usłyszał za sobą odgłos kroków. Może ktoś będzie wchodził i uda się wśliznąć razem z nim - pomyślał z nadzieją.

- Panie komisarzu - ktoś odezwał się scenicznym szeptem.

Podbiał odwrócił się. Poznał jednego z młodych ze swojej sekcji.

- Co się dzieje? - zapytał drewnianym głosem.

- Nie mam kontaktu z jednym facetem z naszej listy, który tutaj mieszka - odpowiedział półgłosem policjant, odwracając się plecami do oka kamery. - Coś jest nie tak, bo dzwoniłem i...

- Wezwałeś posiłki?

- Tak. Przecież jest pan komisarz...

Podbiał bezradnie rozejrzał się dookoła, szarpnął za klamkę, zmełł w ustach soczyste przekleństwo.

- Znajdź mi jakiegoś ciecica, żeby nas wpuścił do środka - warknął.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się - od środka. Z budynku wyszło jakieś dziecko. Podbiał chciwie złapał ręką za krawędź skrzydła.

- Czekaj na posiłki, ja idę na górę - rzucił przez ramię do młodego policjanta.

Dopał windy. Dźwig szczęśliwie był na miejscu. Drzwi rozsunęły się, ukazując rozświetlone jasno wnętrze z lustrem zajmującym całą przeciwległą ścianę. Zdążył w nim dostrzec, jak młody funkcjonariusz - niechcący czy z rozmysłem - blokuje ekipę telewizyjną z Iwoną Pokojką na czele. Podbiał wszedł do środka. Nie wiedząc, na którym piętrze mieszka Rawska, nacisnął ostatni guzik.

Lepiej schodzić niż wchodzić - pomyślał. Drzwi zasunęły się, dźwig szarpnął. W tym samym momencie Kostek uświadomił sobie, że nie ma przy sobie broni. Nawet scyzoryka.

Może się nie przyda - pomyślał z nadzieją.

Winda dojechała na ostatnie piętro. Drzwi otworzyły się. Kostek wyszedł na ciemny korytarz. Próbował znaleźć włącznik światła. Wreszcie, po kilku chwilach, namacał plastikowy kwadrat. Po sekundzie rozbłysły jarzeniówki. Numer na pierwszych z brzegu drzwiach jednak przewyższał ten, za którym Podbiał miał nadzieję za chwilę ujrzeć Kaśkę całą i zdrową. Ciekawe, jak będzie się tłumaczyła ze swojej nieobecności w sądzie, jeżeli w ogóle będzie próbowała? Co wtedy zrobi on? Czy przyjmie zaproszenie na herbatę, czy może uniesie się honorem, mówiąc: do zobaczenia na sali rozpraw?!

Zbiegł po schodach. Wciąż pachniało tu nowością, świeżym cementem czy innymi

materiałami budowlanymi, mimo że dom miał już kilka lat. Gdzieś zza ściany dobiegła głucha pulsacja basów. Otworzył drzwi i znalazł się na kolejnym, niższym piętrze. Zapalił światło. Skądś doleciał charakterystyczny dźwięk gadu-gadu, gdzieś dalej gwizdał czajnik. Blok żył swoim normalnym, codziennym życiem.

Bez trudu znalazł mieszkanie, które wynajmowała Kaśka. Nacisnął przycisk dzwonka. Czuł, jak serce wali mu coraz szybciej i głośniejsze, jakimiś wewnętrznymi, sobie tylko znanymi drogami dźwięk ten dobiegał do uszu od środka i stawał się z każdą chwilą bardziej nieznośny. Przeróżający. Jednocześnie komisarz wytrzymał słuch, aby złowić choćby najcichszy dźwięk po drugiej stronie. Nic jednak nie usłyszał.

Nacisnął jeszcze raz dzwonek, zastukał do drzwi, jeszcze spokojnie, choć spokój ulatywał z niego jak powietrze z balonu, któremu odmówiono nadania ostatecznego, dumnego kształtu.

- Kaśka, jesteś tam? - zawołał i zaraz się zawstydził; jego głos potoczył się echem po korytarzu i pewnie był doskonale słyszany i w innych mieszkaniach. Zaraz uchyla się drzwi naprzeciwko i ukaże się pół twarzy wszystkowiedzącej, czujnej babci-sąsiadki.

I owszem, tak się stało. Otworzyły się drzwi, ale mieszkania obok.

- Wiedziałem, że skądś znam ten głos.

Przed Kostkiem Podbiałem stał nie kto inny jak komisarz Andrzej Rudzki. Ubrany był tylko w podkoszulek i dżinsy. Jedną rękę miał ukrytą za plecami.

- Co ty tutaj robisz, Andrzej? - zdziwił się Podbiał.

- Nic.

- Przecież widzę! - Kostek nie wiadomo czemu podniósł głos.

Młody komisarz, znów chwaląc półmrok, bo dzięki niemu nie było widać, jak bardzo się czerwieni, w kilku krokach zbliżył się do kolegi. Wciąż nie wyjmował jednak ręki zza pleców...

W tym samym momencie pod budynkiem na rogu ulic Francuskiej i Zwycięzców zatrzymała się srebrna octavia. Pojazd zaparkował dziwnie krzywo, jakby jego kierowca miał duże problemy z jego prowadzeniem. W dodatku co chwila gazował, przez co samochód w ciągu kilku chwil otoczyła gęsta chmura spalin, mieszająca się z wieczorną mgłą. Jednocześnie po drugiej stronie ulicy pojawił się niczym szczególnym nie wyróżniający się volkswagen transporter. Nikt z przypadkowych przechodniów, mieszkańców tego rejonu Saskiej Kępy nie połączyłby ze sobą tych dwóch pojazdów. A jednak: dwie postacie, które po chwili wyszły z obu samochodów, spotkały się w połowie drogi.

- Czołem - przywitał się komisarz Mąka, szef grupy antyterrorystycznej. - Oby tym razem miejscówka okazała się trafiona.

- Cześć - odpowiedział Tymek, ściskając dłoń oficera. - Zobaczymy. Do trzech razy sztuka, jak to mówią...

Mąka z uwagą przyjrzał się aspirantowi.

- Źle się czujesz, Tymek?

- Nie. Dlaczego?

- Bo sapiesz, jakbyś miał z osiemdziesiąt lat albo przed chwilę przebiegł maraton.

- To drugie - zaśmiał się Nowak. - Twój gotowi?

- Jak zawsze.

Podeszli do volkswagena. W środku, w świetle pobliskich latarni i reflektorów jadących ulicą samochodów majaczyły nieruchome cienie. Mąka otworzył drzwi auta, ale tylko do połowy. Tymek nie musiał zaglądać do środka, żeby wiedzieć, kto się tam znajduje. Zaciekawiała go jednak inna rzecz: siedzący na przednim siedzeniu jeden z antyterrorystów trzymał na kolanach podłużny przedmiot.

- Czy to Sako? - zapytał.

- Nie, Sig Sauer SSG 3000 - wyrecytował funkcjonariusz jak na jakimś egzaminie.

- Piękny - ocenił Tymek szeptem.

Tymczasem przy samochodzie pojawił się pechowy „nielat”.

- Panie aspirancie, melduję... - zaczął, ale Tymek pokazał mu palec na ustach, a Mąka zapobiegawczo przymknął drzwi transportera.

- Co jest? - zapytał Nowak.

- Tak jak meldowałem w sekcji. Dwie godziny temu straciłem kontakt z ochranianym obiektem. Samochód stoi, ale człowiek się nie zgłasza. Domofon nie odpowiada. Kilka minut temu przyjechał komisarz Podbiał...

- I Kostek jest tutaj? Jeszcze wczoraj widziałem go w telewizji - zarechotał komisarz Mąka, młodszy aspirant Nowak zaś przyjął tę rewelację co najmniej z obojętnością.

- Które to okna? - zapytał po chwili Tymon.

- Przedostatnie piętro, drugie i trzecie od prawej - wyrecytował młody, wskazując coś

palcem.

Wzrok Tymka Nowaka był jedynym, który nie powędrował w tym samym kierunku, co spojrzenia pozostałych.

- Rozejrzę się trochę - powiedział głucho i nie czekając na reakcję pozostałych funkcjonariuszy, lekkim skosem ruszył przed siebie; Mąka i młody posterunkowy odprowadzali go wzrokiem aż do chwili, gdy zniknął w bramie stojącej naprzeciwko kamienicy.

- Andrzej, nie wygłupiaj się! - krzyknął Podbiał. - Tyle lat studiów, nienaganny przebieg służby. Chcesz to wszystko, ot tak, przekreślić?!

Rudzki tylko głęboko westchnął.

- Nie miałem wyjścia, Kostek - powiedział drżącym głosem. - Rozdawanie ulotek, kelnerstwo. To wszystko chuj i marne grosze. A ja mam rodzinę na utrzymaniu. Dopiero kilka tygodni temu kumpel powiedział mi, że jest robota. Grzech było nie wziąć, Kostek!

Podbiał utkwiał wzrok w podłódze. Nie wiedział, co powiedzieć. To, co wciąż trzymał w opuszczonej ręce jego kolega, oficer, Andrzej Rudzki, nie pozostawiało jednak najmniejszych złudzeń.

Była to szczotka do czyszczenia toalet.

Komisarz Rudzki dorabiał do policyjnej pensji sprzątaniem cudzych mieszkań, a dokładnie apartamentów. I właśnie został przyłapany przez kolegę z pracy na szorowaniu „porcelany” z czyjegoś gówna.

- A ty czego tu właściwie szukasz? - zainteresował się Rudzki.

Kostek ocknął się z zamyślenia. Nie odpowiedział od razu koledze, tylko po raz kolejny przycisnął taster dzwonka i zastukał w drzwi. Ale, jak wcześniej, bez efektu. Na koniec huknął pięścią w drzwi, bardziej już z czystej złości niż dla wymuszenia ich otwarcia od wewnątrz.

- Kaśki szukam. Swojej, póki co, ślubnej - odpowiedział wreszcie przez zęby. - Powinna być dziś w sądzie, żeby wreszcie skończyć ten cały cyrk. Ale jej nie było i dlatego tutaj jestem. Żeby sprawdzić, czy się nie zaccadziła przypadkiem, czy coś...

- Tu jest ciepła woda miejska. Nie ma piecyków.

- No to gaz w kuchni.

- Wszystko jest na prąd.

- Umiesz pocieszać, Andrzej.

Przez któreś z zamkniętych drzwi przedarł się charakterystyczny sygnał wiadomości jednego z kanałów.

- Skąd wiesz, że jest w domu? - naciskał bezlitośnie Rudzki.

- Samochód stoi pod blokiem.

- Może poszła do sklepu? Albo kopsnęła się gdzieś taryfą?

Kostek bezradnie spojrział w perspektywę korytarza, na końcu którego różowym światłem jodowych latarni jaśniało okno.

- Chyba żeby... - zaczął Kostek, a jego druh dokończył, podzwaniając pękiem kluczy.
- Tylko nie mów, że u niej też zamiatasz!

- U niej nie, ale obok.

Po chwili obaj oficerowie stanęli na progu pustego mieszkania. Kostek, patrząc wymownie na kompana, cofnął się pół kroku i dokładnie wytarł buty na słomiance.

- Lepiej będzie, jak tu zostanę - powiedział Andrzej.

Kostek w kilku krokach pokonał lśniąca drewnianą podłogę przedpokoju i salonu, by stanąć przed drzwiami prowadzącymi na balkon. Otworzył je. Zimne powietrze wdarło się do wnętrza, nagły podmuch podniósł firankę. Balkon był duży i zupełnie pusty. Żadnych rowerów, zapomnianych mebli, starych doniczek czy rozkładanej suszarki. Z dołu dochodził zwykły pomruk popołudniowego miasta.

Podbiał zbliżył się do ścianki dzielącej balkony, wychylił się, próbując cokolwiek dostrzec. Światła w mieszkaniu Rawskiej były jednak zgaszone. Mężczyzna dostrzegł, że drzwi balkonowe są otwarte. Wystarczyło przedostać się z jednego balkonu na drugi. Nie miał lęku wysokości, z drugiej strony - jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się bawić w akrobatę na szóstym piętrze.

Jeszcze raz spojrzął w okna mieszkania Kaśki, po czym chwycił się oburącz za balustradę, pokonał ją nożycami, by po chwili stanąć po drugiej stronie. Szczęściem nie musiał patrzeć w dół. Już miał przesunąć się po gzymsie na wysokość sąsiedniego balkonu, kiedy nagle usłyszał dziwny dźwięk.

Kostek zdrętwiał. Znał go aż za dobrze, ale nie dopuszczał do siebie myśli, że go słyszy. Może ktoś szampana otworzył. Albo strzeliło z rury wydechowej jakiegoś samochodu - próbował tłumaczyć sobie w myślach fakt, że właśnie gdzieś blisko padł strzał. To, co ujrzał po sekundzie przed oczami, nie pozostawiało wątpliwości: w krawędzi ścianki dzielącej balkony znajdował się doskonale okrągły otwór po kuli, która wyłupała kawał tynku, ukazując fragment drucianej siatki.

- Kurwa! - zaklął.

Próbował się przesunąć. Powoli. Wtem pod lewą nogą załamał się gzyms. Palce rąk zaczęły zsuwać się z zimnej krawędzi balustrady.

Wtedy padł kolejny strzał...

- Słyszeliście?! - krzyknął posterunkowy, stojący wciąż przy volkswagenie transporterze z antyterrorystami w środku. - To chyba był strzał, nie?

- Eee, panie. Pewnie gówniarze petardy rzucają, choć dawno po sylwestrze - wtrącił się z wątpliwościami jakiś przypadkowy przechodzień.

Komisarz Zenek Mąka zadarł głowę, patrząc na zmianę na przedzielone ulicą budynki.

- O, tam, wysoko, ktoś wisi na ścianie! - zawołał naraz jakiś inny facet, pokazując ręką na ostatnie piętra domu.

- Samobójca?

- Albo złodziej.

- Może trzeba zadzwonić po straż pożarną?

Nie wiadomo kiedy na rogu Francuskiej i Zwycięzców zaczął zbierać się tłumek. Od razu pojawili się jacyś miejscowi stójkowi, którzy jednak tylko w milczeniu przypatrywali się zajściu. Po chwili znalazł się przy nich także młody, którego najwyraźniej wciąż nie chciał opuścić pech. Mąka za to skrył się we wnętrzu samochodu, zamknął dokładnie drzwi.

- Co robimy, szefie? - zapytał go któryś z „czarnych”.

- Czekamy na rozkazy - odpowiedział Mąka z pozornym spokojem, by po chwili rzucić przez ramię: - Borek, Lipski. Idźcie sprawdzić tego na strychu. Może Tymon potrzebuje wsparcia. Tylko spokojnie. Weźcie ze sobą tylko „klamki”.

Rozsunęły się drzwi, dwa cienie oderwały się od pojazdu, by po chwili zniknąć w bramie kamienicy.

Tymczasem spekulacje w tłumie nie kończyły się.

- Nie, to chyba jakiś film kręcą. Patrzcie, tam jest kamera.

- Albo reklamówkę.

- Niedawno widziałem taką jedną, panie, o kochanku. To on też tak wisiał na balkonie, bo mąż akurat wrócił do domu.

W tym samym momencie dwa przyczajone cienie, należące do starszych posterunkowych Borka i Lipskiego, zatrzymały się na progu wejścia na strych kamienicy naprzeciwko apartamentowca. Było stąd widać doskonale stojącą w oknie postać z pistoletem wymierzonym w jakiś punkt na zewnątrz. Wyciągnięte ręce wykonywały jednak dziwne ruchy, zupełnie jakby celem był... latający ptak.

- I tak cię dopadnę, skurwysynu! - mamrotał mężczyzna.

Nawet nie drgnął, kiedy zaszli go od tyłu, jeden z nich przyłożył do pleców elektryczny paralizator, drugi zaś złapał za pistolet. Mężczyzna osunął się lekko na podłogę.

- Przecież to Tymek - stwierdził Lipski. - Co mu odbiło?

- Jest totalnie naćpany - stwierdził Borek, nachyliwszy się nad leżącym.

Podbiał leżał na zimnej i twardej posadzce. Kilka sekund wcześniej, nie mogąc dłużej się utrzymać, runął w dół. Zdążył jeszcze wierzgnąć nogami, tak że ciało szczęśliwie wśliznęło się w niszę znajdującego się poniżej balkonu. Cudem! Uderzył jednak boleśnie w balustradę kością ogonową, a następnie potylicą, przez co chyba na chwilę stracił świadomość.

Kiedy się ocknął, ujrzał w odległości dwudziestu centymetrów od swojej twarzy czubki czyichś butów. Podniósł wzrok. Nogi rzucały cień. W mieszkaniu, do którego należał balkon, paliło się światło.

A więc już po wszystkim - pomyślał z ulgą. Bardzo się jednak mylił...

- Oto i kolejna osoba dramatu - usłyszał nad sobą chrapliwy głos.

Nim zdążył pomyśleć, czyjaś ręka chwyciła go za kołnierz kurtki, podniosła do góry i zaciągnęła do środka. Nie miał w sobie siły, by w jakikolwiek sposób na to zareagować. Po chwili bezwładne ciało Kostka legło na środku salonu. Podłoga pod palcami prawej dłoni komisarza była przyjemnie gładka. Dotykowe doznanie zostało jednak szybko zniweczone przez wszystko to, co niemal w jednym momencie zaatakowało inne zmysły - słuch, a potem wzrok.

- Czego od nas chcesz, zboczeńcu jeden?!

Podbiał rozpoznał głos Kaśki. Nagły przyływ adrenaliny szarpnął ciałem, ale okazało się, że jego właściciel nie może wykonać nim żadnych ruchów. Nie wiadomo kiedy został związany. Mógł jedynie podnieść nieco głowę. To, co ujrzał w jaskrawym świetle stylowego żyrandola, spowodowało, że zabrakło mu tchu. Nie mógł zaczerpnąć

powietrza, nie mógł też krzyknąć z przerażenia.

Na łóżku leżało dwoje zupełnie nagich ludzi: Kaśka, usiłująca nieporadnie osłonić się połą prześcieradła, a obok niej milczący mężczyzna, którego twarz, teraz sina, prawdopodobnie od uderzeń albo kopniaków, wydawała się Kostkowi skądś znajoma. Nad wszystkimi, niczym postać wyzwoliciela na spizowym cokole, górował mężczyzna w średnim wieku. W jednej ręce trzymał ogromnych rozmiarów siekiere, w drugiej, nieco bardziej przy ciele, pistolet.

- Na szczęście i pan komisarz zdążył na wieczorny seans - zaśmiał się prześladowca.
- Mimo że nie przewidujemy następnych, jest szansa na zawsze wpisać się w historię.

Kostek zmarszczył brwi. Prawda, którą sobie szybko uświadomił, przyszła w parze z zimnym dreszczem, który smagnął mu plecy.

- Wypuść kobietę - powiedział. - Ona nie ma nic wspólnego z twoimi porachunkami.

- Niestety, nie mogę - mężczyzna z siekiere rozłożył szeroko ręce. - To prawdziwa gwiazda. Co prawda gra tylko w serialu i teatrze, ale zawsze to zawodowa aktorka. I jest mi potrzebna. Tak samo, jak ty, komisarzu.

- Nie rozumiem. Przecież się nawet nie znamy.

- Znamy się, owszem. Pracowałem przez kilka lat w resorcie, w tym i podobnym, dopóki nie doznałem kontuzji i władze nie uznały, że można mnie wyrzucić na śmietnik. Nawet pan doktor nie potrafił mi pomóc. Wtedy odżyły stare sprawy.

- To twoje sprawy! - krzyknął Podbiał. - Wypuść kobietę.

- Już ci powiedziałem, że jest nam potrzebna. Wcześniej byłeś świadkiem kilku scen z moich ulubionych filmów, które kiedyś obejrzałem w różnych kinach, zanim te poszły

pod kilof. Dziś w repertuarze mamy film polski, Medium. Jakaś tajemnicza siła kazała przyjść do tego mieszkania kilku osobom. Wszystko po to, żeby dramat sprzed lat mógł rozegrać się ponownie.

Kostek Podbiał przełknął ślinę. Usiłował spojrzeć na Kaśkę, ale ułożenie ciała nie sprzyjało temu. Widział tylko jej lewą nogę. Naprężył mięśnie, ale więzy były mocne. Starał się przypomnieć sobie treść filmu, ale nie potrafił. Wiedział tylko, jak się okazuje - od rana, że w roli kobiecej wystąpiła w nim Grażyna Szapołowska. Teraz miała to być Katarzyna Rawska. Jaką rolę zabójca przewidział dla niego?

Przekonał się o tym chwilę potem. Prześladowca bez imienia włożył siekierę za pas, z leżącej na stole w rogu pokoju torby wyjął sznur zakończony wisielczą pętlą.

- Co ty chcesz zrobić?! - ryknął Kostek, rzucając się niczym ryba wyciągnięta na brzeg. - Nie wywiniesz się z tego, wiesz o tym. Czapy już co prawda u nas nie ma, ale w pierdlu cię zajebią. Obiecuję ci to! Zresztą posiłki już jadą. Lekarz miał naszą ochronę...

- Jak widać kiepską - skwitował mężczyzna, po czym, zmieniając nieco ton, dodał: - Dobra, nie mamy czasu. Zbliża się godzina zaćmienia słońca. Potworna siła demoluje pokój kobiety medium, a ją samą zabija. Gaszewski nie może wyjechać z Sopotu, choć już był w drodze na dworzec. Luiza znowu ukradła suknię. Wszyscy spotykają się w domu. Dochodzi do aktu płciowego...

Gorąco zalało twarz komisarza. Nagle bowiem przypomniał sobie ze szczegółami scenę, o której mówił psychopata i która za chwilę miała się ponownie rozegrać. Jeszcze raz z największym wysiłkiem napiął wszystkie mięśnie, ale więzy nie puściły...

- Kładź się na nią! - rozkazał szaleniec doktorowi Korczowi.

Kaśka zaczęła płakać. Lekarz, nie spuszczając z oczu wycelowanej w niego lufy, jął się niezdarnie gramolić na dziewczynę. Kostek zamknął oczy.

- Teraz udawaj, że ją pieprzysz - zabójca wydał kolejne polecenie. - Nie każę ci tego robić naprawdę, bo pewnie ci nie stanie. Ruszaj tylko tyłkiem, byle szybko.

Ledwo Korcz wykonał kilka niezdarnych ruchów frykcyjnych, prześladowca odłożył ostrożnie pistolet i uniósł wysoko w górę siekierę. Płacz Kaśki przeszedł w spazm. Kostek ze wszystkich sił zacisnął powieki. Spętane ciało drżało mu jak w febrze.

- Kamera. Akcja! - krzyknął zabójca.

W tej samej sekundzie rozległ się głuchy trzask. Po nim jeszcze jeden. Mężczyzna wypuścił z rąk siekierę, jego tułów wyprężył się jak do skoku. Ułamek sekundy później zwiotczał, jakby coś pękło w nim w środku, po czym ciężko zwałił się na podłogę.

Potem wszyscy zobaczyli innego mężczyznę z trzymanym oburącz pistoletem wchodzącego do salonu przez główne drzwi. Był to komisarz Andrzej Rudzki.

- Choć macham mopem, o „klamce” nigdy nie zapominam - rzekł, ni to do siebie, ni to do Kostka.

W tej samej chwili do mieszkania z hukiem i wrzaskiem wpadła grupa antyterrorystów komisarza Mąki. Katarzyna Rawska przestała płakać, za to doktor Jerzy Korcz darł się teraz wniebogłosy. Oswobodzony z więzów przez Rudzkiego komisarz Kostek Podbiał dopadł łóżka i nakrył nagą żonę kołdrą. Tylko kałuża krwi, w której leżał poszukiwany od ponad tygodnia zabójca, po cichu robiła się coraz większa.

EPILOG

Warszawa-Centrum, trzy dni później, sobota, godzina 11.15.

- Uważam, że każdy facet, który wykonuje męskie zajęcie, powinien od czasu do

czasu wtrząchnąć porządnego „Araba” - rzekł z przekonaniem komisarz Konstanty Podbiał, patrząc z lubością na kebab na grubym cieście i dużą colę, które to specjały przed chwilą znalazły się na stole.

Młodszy aspirant Tymon Nowak ostrożnie zabierał się do tradycyjnego falafela w cienkim cieście, do którego zażyczył sobie ostry sos. Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu.

Pierwszy odezwał się Kostek.

- Co u Ewy? - zapytał.

Tymek ostrożnie odłożył na talerz swoją kanapkę, wypił łyk coli.

- Okazało się, że przez cały czas była cała i zdrowa, a przede wszystkim wolna - rzekł po chwili. - Ktoś rąbnął jej komórkę i dlatego nie mogłem się z nią skontaktować. Była u koleżanki na drugim końcu miasta, o czym oni musieli dobrze wiedzieć, skoro tak mną manewrowali. Domyślam się nawet, kto to mógł być.

- Kto?

- Dilerzy, którzy kiedyś stracili rynek zbytu, do czego i ja się przyczyniłem. Oczywiście nikomu nic się teraz nie udowodni. Pewne jest jedno: trzeba lepiej pilnować Ewy. Załatwiłem jej wyjazd, dwa tygodnie w Zakopanem ze studentami z uniwerku. Może to jej jakoś pomoże. Przynajmniej jej...

- Trzęsiesz portkami o tę historię na strychu? - zapytał komisarz.

- A ty byś nie trząśł?

- Pewnie, że tak. Ale żeby była afera, muszą być ofiary albo świadkowie. Na

szczęście byleś nieźle nawalony i nie udało ci się mnie trafić. Właściwie gdybym nie spadł wtedy piętro niżej, nie trafiłbym do mieszkania doktora, a gdybym nie trafił, to sam wiesz... Poza tym nikt nic nie widział ani nie słyszał. Chłopaki od Mąki zaopiekowali się tobą i też nic nie powiedzą. Znają twoją sprawę. Najgorsze jest co innego: prowadziliśmy śledztwo, pętla powoli, bo powoli, ale zaciskała się, a o wszystkim znów zdecydował czysty przypadek...

- Kim był ten gość?

- Paweł Zieliński. Były gliniarz, antyterrorysta, do tego świetny snajper. Był też na misji w krajach arabskich, stąd być może muzyka, którą zilustrował pierwszy film zamieszczony w necie. Doznał kontuzji ręki i resort, jak często bywa w takich wypadkach, podziękował mu za współpracę. Wtedy też odżyły stare frustracje. To przecież bogaci wysyłali żołnierzy na wojnę z Arabami. Cały swój gniew na system gość skierował na starych kumpli z podwórka, którzy dorobili się na zmianach ustrojowych i którzy kiedyś, w dzieciństwie, gnębili go. Teraz zresztą też nie chcieli go nawet wśród swoich znajomych na stronie klasowej. Nikt z nas aż tak długo nie pamięta, kto i za co spuszczał mu łomot w piaskownicy. Ale on pamiętał o tym dobrze. Aż za dobrze! Zaczął więc likwidować po kolei swoich dawnych kolegów. Być może natchnęła go do tego rozmowa trzech pracowników wyrzuconych właśnie na bruk przez dyrektora Lubskiego. Wychowany na filmach, właściwie nieleczone kinomaniak, nie mógł nie posłużyć się jakimś kluczem. Prawdopodobnie w Relaksie widział kiedyś Kobrę z Sylvestrem Stallone, w Skarpie był, pewnie ze szkołą, na pokazie Popiołu i diamentu Wajdy, a w Moskwie, już jako dorosły facet, zdążył jeszcze obejrzeć Leona Zawodowca albo Snajpera z Tomem Berengerem. Na szczęście sceny z Medium nie udało mu się odegrać.

- Jak miała wyglądać?

- Pieprząca się parka zostaje potraktowana siekierą. Jemu zabójca rozwała łeb, wcześniej kobiecie masakruje klatkę piersiową. Na końcu ja sam miałem zagrać tam wisielca.

- A jak zrobił Ziobrę? - zapytał Tymek po chwili.

- Znali się. Postawił Ziobrze piwko i zabrał butelkę, którą następnie podrzucił na Rakowiecką róg Puławskiej. Stary numer.

Chwilę milczeli.

- Jak się trzyma Kaśka? - zapytał znów Tymek.

- Jakoś się trzyma. Dzisiaj wylatuje w Alpy, na narty i picie, oczywiście wszystko za darmo, bo to dla gwiazd. Ale należy jej się za taki spektakl.

- A jak będzie z wami?

Kostek popatrzył w okno. Słońce świeciło już wiosennie, na ulicach i chodnikach nie było śladu śniegu.

- Obawiam się, że bez zmian - odparł po chwili. - Sąd wyznaczył nowy termin rozprawy. Poza tym ten doktorek z Wołoskiej chyba coś do niej ma. Nie skojarzyłem gościa, a oni poznali się podczas tego naszego pechowego wyjazdu do Chorwacji, na żagle.

- Przykro mi.

- Daj spokój! - Kostek machnął ręką. - Już się zdążyłem z tym pogodzić. Najlepiej wybija się klin klinem.

- Masz coś na oku? - zainteresował się Nowak.

Podbiał uśmiechnął się tajemniczo, po czym ściągnął brwi w udawanym gniewie.

- Kończy jeść i zapierdalała do Pałacu pisać raporty. To cię już na pewno nie ominie, strzelcu wyborowy.

- A ty? - zapytał Tymon.

- Ja mam jeszcze coś ważnego do załatwienia na mieście...

Dawno się tak nie czuł. Jedyne w swoim rodzaju podniecenie, niepewność, w tym ta o swój wygląd, zapach z ust czy uczesanie. Dawno nie randkował. Właściwie tego spotkania nie można było nawet nazwać randką. Mimo że czekał na piękną dziewczynę. Która spóźniała się pięć minut. Już sześć.

Komisarz Kostek Podbiał siedział w kawiarni na Nowym Świecie, niedaleko ronda de Gaulle'a; przez duże okno było zresztą widać tak pomnik francuskiego generała, jak i stojącą na środku ronda, sztuczną palmę. Nic jeszcze nie zamawiał, zostawiając decyzję do czasu pojawienia się dziewczyny. Bał się też jeszcze jednej rzeczy - czy ją pozna. Czy jeśli, co gorsza, ona wejdzie do środka i nie poznawszy czy tylko nie zauważywszy jego, usiądzie gdzieś sama - on będzie miał na tyle odwagi, by podejść do stolika i zapytać, czy nie jest czasem tą osobą, o którą mu chodzi. A jeśli nie jest? Toż to wstyd i poruta! Czterdziestka na karku, a rozterki smarkacza.

- Cześć! - usłyszał nagle nad sobą i zdrętwiał.

Poznał od razu głos. To była ona. Teraz tylko nie pozwolić wyobraźni wygrać z rzeczywistością. Bardzo powoli podniósł wzrok, uśmiechając się. Z każdą chwilą uśmiech Kostka Podbiała stawał się mniej sztuczny i wymuszony - dziewczyna była jeszcze ładniejsza niż w chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Zresztą trudno, żeby wyglądało się jak gwiazda filmowa (i nigdy więcej gwiazd filmowych!) na chwilę przed skokiem z Mostu Poniatowskiego do Wisły.

- Cześć, Ala.

- Dzień dobry.

Usiadła. Zamówili kawę. Zaczęli rozmawiać. Z każdą minutą lody, a tych nie mogło nie być, widzieli się bowiem dopiero trzeci raz w życiu, topniały.

- Właściwie chciałem się spotkać, bo załatwiłem kilka spraw, o których mi opowiadałaś, jeszcze w szpitalu - rzekł Kostek, wykorzystując dłuższą przerwę w konwersacji.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, by po chwili zaczerwienić się na myśl o kilkudniowym pobycie na Solcu, a raczej powodzie tego pobytu. Kostek udał jednak, że nie widzi zakłopotania na twarzy dziewczyny. Wyciągnął z zanadru białą kopertę i położył ją na stoliku, między filiżankami z resztą kawy.

- Co to jest? - zapytała cicho Alicja.

- Otwórz i sprawdź.

Na dłoń dziewczyny spadło skórzane etui ze złotym napisem DOKUMENTY. Po chwili z koperty wyjęła dwa stużłotowe banknoty.

- Jak to? Nie rozumiem... - powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Po prostu. Człowiek, który kilka dni temu okradł cię w autobusie, oddaje fanty i bardzo przeprasza za swoje zachowanie. Podobnie jak agencja nieruchomości, która przyjęła od ciebie opłatę, ale nie znalazła żadnego lokalu do wynajęcia. Mam nadzieję, że żadne z nich więcej już tego nie zrobi. Nikomu. Niestety, trzeciej sprawy, najważniejszej, nie udało mi się dla ciebie załatwić. Nie odnalazłem twojego chłopaka, przez którego próbowałaś zrobić sobie krzywdę. Zresztą może to i lepiej dla niego...

Zamilkli oboje. Kiedyś słyszał, że prawdziwie milczeć potrafią jedynie stare, dobre małżeństwa. Nie przekonał się o tym. Może nigdy już się nie przekona. A może to jednak jakość, niepoznawalna dla takich jak on? Czy Ala czuła się w tej chwili bezpieczna? Z nim, tutaj? Kto ją odprowadza do domu na co dzień? Czy jest już następca gnojka, przez którego dziewczyna poczuła niechęć do świata i postanowiła się z nim pożegnać, skacząc w Walentynki do Wisły? Ów nowy, człowiek bez twarzy i imienia (wysoki, przystojny, to jasne - zawsze są wyżsi i przystojniejsi od nas!) wraca potem do siebie czy zostaje na noc? Komu Podbiał kradnie tę dziewczynę, choćby poprzez niewinne zgoła muśnięcie palców, sięgających po cukier...

- Kim ty jesteś? - zapytała cicho.

- Zwyczajnym facetem, który nie lubi, jak ludziom dzieje się krzywda.

Nigdy przedtem nie widział, jak ktoś tak patrzy. Patrzy na niego. Próbował się otrząsnąć. Może to tylko gra, poza. Już raz dał się nabrać na coś, co uważał za uczucie, a co, kurwa, było tylko aktem drugim sceny pierwszej.

- Trzymaj się - powiedział, wstając od stolika.

Nie mógł się otrząsnąć z myśli. Chłodne powietrze, które uderzyło mu w twarz, ledwo wyszedł z kawiarni, przyniosło ulgę, ale tylko na chwilę.

Kilkanaście minut później komisarz Konstanty Podbiał wsiadał do metra na stacji Centrum. Zajął wolne miejsce przy drzwiach, usiłując na nowo zebrać myśli. Rozległ się potrójny ostrzegawczy sygnał, drzwi pociągu zatrzasnęły się.

- Następna stacja: Świętokrzyska.

Skład szarpnął. Wagony potoczyły się po szynach. Kołysanie szybko przyniosło

senność. Podbiał marzył tylko o jednym - wejść do łóżka i spać. Spać może nawet aż do poniedziałku.

Nagle rozległ się przerażający ryk. Kostek niemal podskoczył. Znał ten dźwięk; tak od czasu do czasu maszyniści dyscyplinowali tłoczących się przed drzwiami podróżnych, usiłujących dostać się do zatłoczonego już daleko ponad miarę pociągu.

Metro zaczęło gwałtownie hamować, jakby ktoś zerwał hamulec bezpieczeństwa. Za oknami pokazał się peron następnej stacji. Pociąg zatrzymał się, ale tylko jego część znajdowała się przy rampie. Ludzie dopadli okien, ale nie można było wiele zobaczyć. Ktoś otworzył awaryjnie drzwi, ale nie wychodził na zewnątrz, skąd dobiegły jakieś krzyki, nawoływania.

- Rzucił się pod pociąg!

Kostek wstał i przepchnął się przez wzbierającą w drzwiach ciżbę.

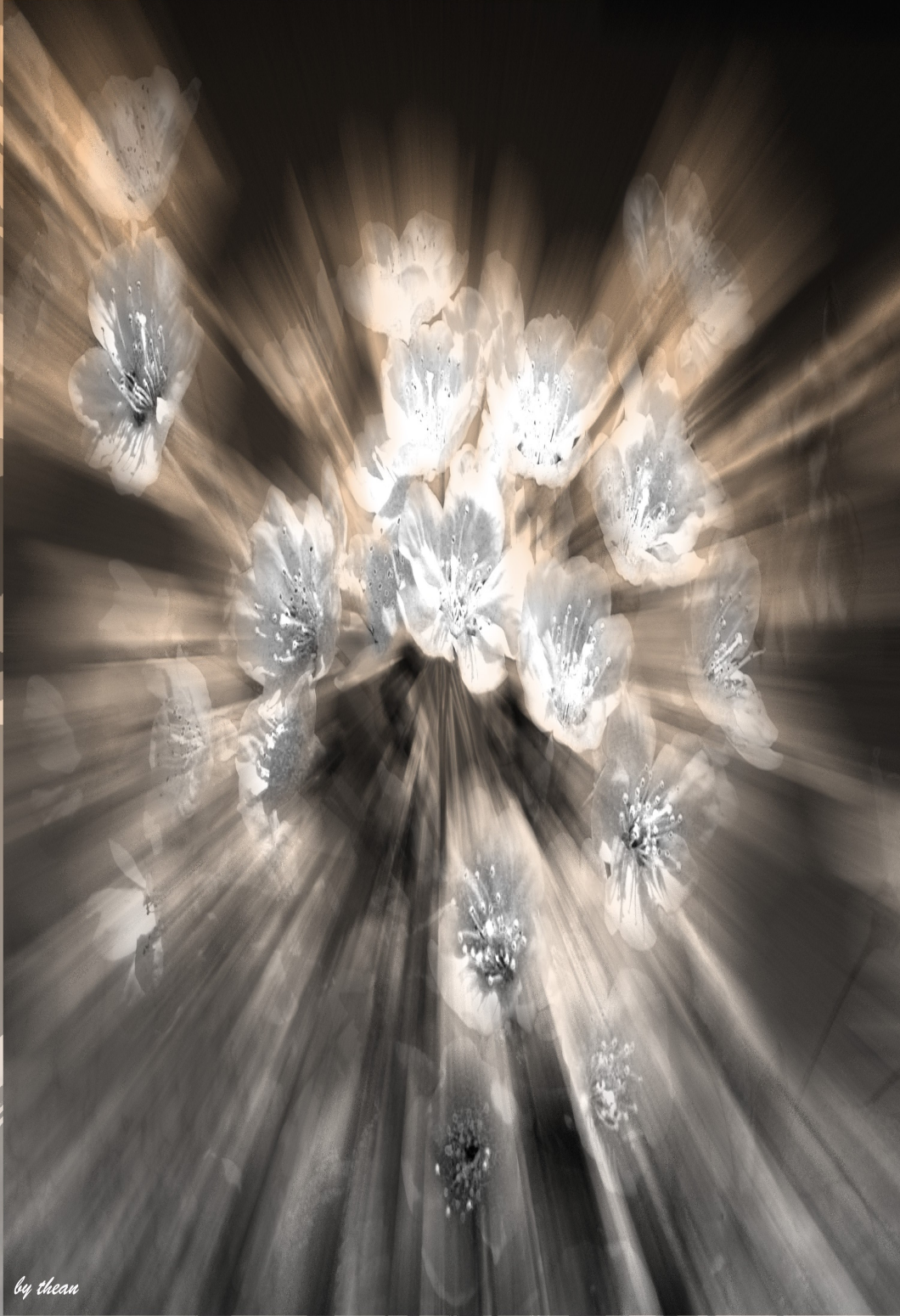
- Nie wolno wychodzić - usłyszał za plecami, ale nie chciało mu się nawet odwracać.

Pociąg zatrzymał się dokładnie w połowie peronu. To tam kłębił się tłum.

- Zadzwońcie po pogotowie! - krzyknęła jakaś kobieta.

- Jemu już nic nie pomoże - skwitował inny facet. Komisarz Konstanty Podbiał sięgnął do kieszeni, namacał swoją służbową odznakę. Już nie chciało mu się spać.

Koniec.



by thean